

PODWÓJNE WYDANIE NA MAJÓWKĘ

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

Uwaga: tę okładkę stworzył algorytm!

Komu zabierze pracę sztuczna inteligencja

Sondaż:
kto zastąpi
Kaczyńskiego

Maciej Stuhr
martwi się
o Polskę. I ojca

Nasze mody
na ogrody

Inflacyjny Koszyk
„Polityki” 2023 r.

Król Karol
papieżem

Psy z Czarnobyła

Kryminały
na wesoło

Kariera hejtera



9 770032 350305



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów

CUBE

NAJNOWSZA KOLEKCJA ROWERÓW ODZIEŻY I AKCESORIÓW

KUP SWÓJ
WYMARZONY
ROWER CUBE
JUŻ DZIŚ!

 **Santander**
Consumer Bank

10 lub 20
RAT 0%

RRSO 0%. Bez dodatkowych kosztów



Leasing

- Błyskawiczna decyzja
- Minimum formalności
- Ubezpieczenie sprzętu wliczone w ratę

leaselink

- Dopasuj ofertę do siebie
- Błyskawiczna decyzja
- Pracujemy dla Ciebie 24h / 7 / 365.

NASZE SKLEPY STACJONARNE SĄ OTWARTE 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00**

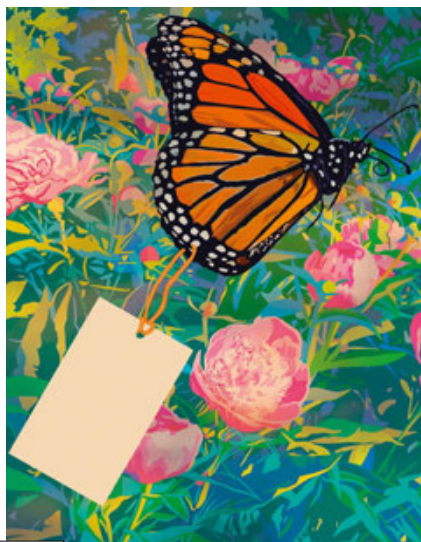
| Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00**

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b | **POZNAŃ:** ul. Bułgarska 117a | **WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE - NOWA LOKALIZACJA ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



14 Wielka sukcesja na prawicy
– sondaż POLITYKI



36 Ogrodowe
mody



68 Inteligencja
pracująca

Tematy tygodnia

- 14** Mariusz Janicki **SONDAŻ POLITYKI**
Sukcesja po polsku
– czyli kto po Kaczyńskim
- 18** Norbert Frątczak
Rządowy kryzys zbożowy

Rozmowa POLITYKI

- 21** Maciej Stuhr o polityce,
wyborach i swoim ojcu



Polityka

- 24** Rafał Kalukin **Lewica: krok w przód,
krok w tył**
- 27** Rozmowa z **Andrzejem Babińskim**
o dziesięcioleciu Polityki Insight
i o tym, czy jesienią PiS odda władzę

Spółeczeństwo

- 30** Zbigniew Borek **Emeryt w pracy**
- 33** Agata Szczerbiak **Oskar Szafarowicz:
kariera hejtera**
- 36** Rozmowa z **Tomaszem Kosiorkiem**
o polskich ogrodach
i zielonych trendach
- 40** Krzysztof Potaczała
Połonina bez noclegów

Rynek

- 46** Joanna Solska
KOSZYK POLITYKI
Co zdrożało
i o ile



- 50** Cezary Kowanda **Lotnisko
w Radomiu: port polityczny**

Świat

- 56** Paweł Reszka **UKRAINA**
Bachmut taxi
– reportaż
z **Konstantynówki**
i **Czasiw Jaru**
- 59** Marek Ostrowski
WIELKA BRYTANIA
**Karol III:
anglikański papież**
- 62** Piotr Łukasiewicz **IRAK**
20 lat po amerykańskim ataku
- 65** Mariusz Zawadzki **USA**
**Fentanyli:
pierwszy zabójca Ameryki**



Nauka/projektpulsar.pl

- 68** Edwin Bendyk **Czy sztuczna
inteligencja odbierze nam pracę**
- 72** James Belich o tym, jak zaraza
pchnęła Europejczyków do podboju
świata
- 75** Olaf Szewczyk **Rosyjska cyberwojna**
- 78** Marta Alicja Trzeciak
Psy z Czarnobyla
- 80** Jędrzej Winięcki **ZDROWIE**
Termy: terapia gorącą wodą



Historia

- 102** Rozmowa z dr hab. **Małgorzatą**
Grupą o tym, jak się ubierali
obywatele I RP za życia i po śmierci

- 106** NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI
**Nominacje w kategoriach:
Pamiętniki i Źródła**

Nagrody
Historyczne
POLITYKI
od 1959

Kultura

- 112** Piotr Sarzyński **Akt współczesny:
dużo konfekcji, trochę pruderii**
- 116** Łukasz Najder **„Już nie żyjesz”:
muzeum nie ludzkości**
- 119** MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 120** Rozmowa z reż. **Kubą Mikurdą**
o „Solaris Mon Amour”
i Stanisławie Lemie
- 123** Mariusz Herma **Dlaczego młodzi
słuchają klasyki**
- 126** Justyna Sobolewska **Cosy crime:
kryminały w lekkiej tonacji**

Ludzie i style

- 132** **Moda, trendy, dizajn, podróże,
hobby... – nowe tematy,
nowa rubryka**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski
- **6** Przypisy
- **8** Ludzie i wydarzenia
- **108** Afisz
- **128** Chutnik i Plebanek
- **129** Wicha
- **130** Tym
- **131** Do i od redakcji
- **138** Polityka i obyczaje

Uwaga, Czytelnicy!
Następny numer POLITYKI
ukaze się **w środę 10 maja**.



www.mleczko.pl

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Program 500 plus 500

Współczesna technika jest obecna w rozmaitych rzeczach, np. w ukraińskim zbożu.

Techniczne zboże z Ukrainy pustoszy kraj, zagrażając polskim rolnikom oraz sondażom Zjednoczonej Prawicy. Ponieważ jego ruchy trudno przewidzieć, technika ta stała się dla władzy przeciwnikiem groźniejszym niż przewidywalna i niemogąca się ze sobą dogadać opozycja.

Polityków opozycji służby mogą rozpracować Pegasusem, zainstalować im coś kompromitującego w smartfonach, ewentualnie podsłuchać w którymś z hoteli zarządzanych przez spółkę Polski Holding Hotelowy. Dzięki temu opozycja jest pod kontrolą, czego nie da się powiedzieć o ukraińskim zbożu technicznym, które jest nieuchwytnie i może być wszędzie, np. w ciastkach i pieczywie. Technika, z jaką to zboże porusza się po kraju, bije na głowę technikę pisowskich służb, które próbują je namierzyć.

Ukraińskie zboże podobno nie nadaje się do spożycia. Niekórym już zaszkodziło; Jarosław Kaczyński, będąc pod silnym wpływem ukraińskiego zboża, ogłosił, że w celu obrony polskiego rolnika rząd na jego prośbę w trybie

natychmiastowym zamyka dla tego zboża granice państwa. Dla wzmocnienia tej obrony prezes PiS poprosił o zamknięcie granic także dla ukraińskiego technicznego miodu, warzyw, owoców, drobiu, mięsa wołowego i wieprzowego, jaj, mleka, słodczy, a zwłaszcza technicznego wina, po spożyciu którego – jak donoszą służby – u pijących natychmiast wybuchają nastroje antyukraińskie i antypisowskie.

Prezes dał w ten sposób lekcję opozycji, która jest wobec ukraińskiego zboża kompletnie bezradna i od miesięcy ogranicza się do przestrzegania przed jego niekontrolowanym napływem, zamiast poprosić rząd o zamknięcie granic albo przynajmniej poprosić prezesa Kaczyńskiego, żeby poprosił premiera Morawieckiego. Gdyby opozycja kulturalnie poprosiła, premier na pewno by nie odmówił i do afery zbożowej, którą opozycja spowodowała swoim zaniechaniem, w ogóle by nie doszło.

Teraz jedyne, co zostało prezesowi, to poprosić rolników, żeby z uwagi na pękające w szwach silosy zrezygnowali z tegorocznych żniw. Boję się tylko, że ci są tak poirytowani, że mogą zebrać zboże na złość rządowi. Rząd nie wyklucza, że w tej sytuacji w celu opróżnienia silosów swój sztandarowy program 500 plus zastąpi programem 500 plus 500 kg zboża, które rodzina otrzyma na każde dziecko i będzie musiała przechować u siebie do czasu, aż w silosach zrobi się miejsce.



Wietnam od A do Z

Wietnam w pełnej krasie poznamy na tej fantastycznej wycieczce przez cały kraj od dużych miast po lokalne wioski i piękne krajobrazy z dala od utartych szlaków.

Niezwykła podróż przez cały Wietnam, która w sposób optymalny łączy znane zabytki Hanoi, Sajgonu i cesarskiego miasta Hue z ekscytującymi wycieczkami do wciąż nietkniętych części kraju. Podróżując z północy na południe zanurzymy się w niełatwej historii kraju od francuskiej obecności w Indochinach po okrutną wojnę wietnamską. Odwiedzimy pełne francuskiego klimatu i architektury miasta kolonialne, małe górskie wioski z mniejszościami etnicznymi i unikalne skarby przyrody, takie jak wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO Zatoka Ha Long i największe na świecie spajającym wszystkie aspekty tej wycieczki. Większość posiłków jest wliczona w cenę, a my dodatkowo spróbujemy swoich sił w gotowaniu podczas warsztatów kulinarnych w Hoi An.

20 dni | Wylot z Warszawy
31/10 2023, 18/02 2024

15.998,-

Warsztaty kulinarne

NOWOŚĆ

Albatros travel



Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej



WYKŁAD
ONLINE



Hiszpania i Maroko

11/05/23 o godz. 17:00

Rejestracja na stronie

www.albatros.pl



Sylwester i Nowy Rok

Mongolia – Szlakiem Czyngis-chana

Odwiedź Mongolię – kraj położony wśród dzikich stepów i dziewiczej przyrody, zamieszkały przez nomadów, których styl życia nie zmienił się od setek lat.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przyjazd do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta i Historycznego Muzeum Narodowego oraz Placu Niepodległości. Dz. 3 Ułan Bator. Klasztor Gandan i pałac Bogd-chana. Dz. 4 Ułan Bator – Park Narodowy Terelj. Park Narodowy Terelj i gigantyczna statua Czyngis-chana. Dz. 5 Park Narodowy Terelj – Bayangobi. Zakwaterowanie w bazie kempingowej i czas wolny. Dz. 6 Bayangobi – Karakorum. Stolica Czyngis-chana i klasztor Erdenne Zuu. Dz. 7 Karakorum – Park Narodowy Chustain Nuruu. Dzikie konie Przewalskiego. Dz. 8 Ułan Bator. Czas wolny, koncert muzyki folkowej i kolacja pożegnalna. Dz. 9 Wylot do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy 11/09 2023, 01/06 2024 | 10.998,-

Kapsztad – afrykański raj

Wybierz się z nami do Południowej Afryki, spróbuj najwspanialszych win świata i doskonałego jedzenia, rozkoszuj się pięknymi plażami i zobacz pingwiny w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei!

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Kapsztadu. Dz. 2 Kapsztad, zwiedzanie miasta. Dz. 3 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Górę Stołową, rejs statkiem po zatoce, dzielnica Victoria & Alfred Waterfront (dodatkowo płatna). Dz. 4 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Przylądek Dobrej Nadziei z lunchem (dodatkowo płatna). Dz. 5 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka do krainy win: Vrede en Lust, Franshoek i Stellenbosch, lunch i degustacja win (dodatkowo płatna). Dz. 6 Kapsztad. Dzień wolny lub wycieczka na Wyspę Robben i township (dodatkowo płatna). Dz. 7-9 Pobyt w Kapsztadzie. Wylot do Polski. Dz. 10 Przyjazd do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 13/11, 28/12 2023 | od 7.498,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: PL16

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

To Coś



Jerzy Baczyński

Tę piękną majówkową okładkę namalował na naszą prośbę sztuczny inteligent, czyli algorytm zwany Dallim (Dall-e-2), wyspecjalizowany w tworzeniu cyfrowych obrazów. Umiejętności Dallego są faktycznie porażające. Potrafi zmalować chyba każdy styl malarski, a jak nie ma precyzyjnej instrukcji, to wymyśla, wykazując się przy tym nadludzką techniką, szybkością, talentem kompilacyjnym. Świetnie naśladuje (?), poszerza (?), parodiuje (?), artystyczną wyobraźnię. Od paru miesięcy cały świat gra w sztuczną inteligencję udostępnioną przez Microsoft i OpenAI. Nie mamy jeszcze dobrych słów do opisu Tego Czegoś, co nam pokazano, żadnych reguł prawnych, etycznych, nie wiemy nawet, jak naprawdę działa, a już zwłaszcza jakie może mieć zastosowania i jakie przyniesie skutki. Niektórzy twierdzą, że właśnie zaczęła się rewolucja cywilizacyjna być może ważniejsza niż wynalezienie koła czy elektryczności.

Dziś największy niepokój budzi kwestia, komu i kiedy To Coś zabierze pracę, a wiadomo, że żadne demonstracje pierwszomajowe tego procesu nie powstrzymają. Edwin Bendyk w artykule „Inteligencja pracująca” (s. 68) przedstawia listę pierwszych potencjalnych ofiar: na ogół to zawody związane z obróbką danych, telemarketingiem, tłumaczeniami, doradztwem, nauczaniem, produkcją wideo, ale także np. grafiką.

Naszą okładkę proszę jednak traktować bardziej jako żart majówkowy niż zapowiedź przyjęcia Dallego na etat w POLITYCE. On dużo umie, ale – co sprawdziliśmy – żartów politycznych nie chwytą, aluzyjnej ilustracji do tekstu nie wykona, chyba że w stylu prasy pravicowej, np. narysuj Tuska w mundurze SS. Więc w POLITYCE – nie, ale w polityce bez wątpienia sztuczny inteligent będzie zatrudniany. Zwłaszcza w kampanii. Tu ostrzegam tzw. dziennikarzy TVP, że w kategorii „deepfake” (czyli tworzenia fałszywej rzeczywistości) SI jest dużo lepszy od nich, więc pewnie wiele posad w TVP też trzeba wpisać na listę zagrożonych. Pojawiło się oto jeszcze jedno potężne narzędzie manipulacji, karmienia internetowych trolli, botów, kolportowania fałszywek, organizacji hejtu na skalę nieosiągalną nawet dla tak oddanego aktywisty, jak opisywany przez nas młody działacz PiS Oskar Szafarowicz (s. 33).

Jedynie, czego, niestety, można być pewnym, to fakt, że w polityce SI będzie wykorzystywana głównie do złych celów. Algorytmy żyją (jeśli tak można powiedzieć) i uczą się w środowisku internetowym, w mediach społecznościowych, gdzie najbardziej widoczne, rozsiwane, komentowane są opinie ostre, proste, emocjonalne. To nie jest przestrzeń dla wyważonej debaty publicznej. Opisywany był przypadek jednej z wcześniejszych wersji SI Microsoftu o nazwie Tay, który już po dobre sieciowej konwersacji z realnymi osobnikami stał się zdeklarowanym nazistą – i profilaktycznie musiał zostać wyłączone.

Sławomir Mentzen, lider modnej w ostatnich tygodniach Konfederacji, twierdził, że jej parafaszystowski program, słynna Piątka Mentzena (Polska bez Żydów, gejów, aborcji, podatków i Unii), to właśnie produkt badań marketingowych, ekstrakt internetowych

opinii młodych mężczyzn, wśród których Konfederacja ma dziś niemal 40-proc. poparcie. Jeśli tak, to Konfederacja jest pierwszą formacją budowaną według algorytmu zaciągniętego z tzw. czarnego internetu. Dla starej, „analogowej prawicy” Kaczyńskiego tiktokowy Mentzen to nagłe i nieoczekiwane wyzwanie, nowa siła odpychająca PiS od prawej ściany. Co gorsza, jak pokazuje nasz sondaż („Wielka sukcesja” na s. 14), wielu wyborców już zaczęło w Mentzeniu upatrywać następcę starzejącego się Prezesa. I stało się w polskiej polityce coś, czego żaden ChatGPT by nie przewidział: potężny PiS wystraszył się Konfederacji.

Jeśli do tej pory mówiono, że mikra Solidarna Polska Ziobry to ogon, który kręci psem (czyli np. utracą wszelkie próby porozumienia rządu z Unią), to teraz PiS-owi wyrósł drugi ogon. Jednostronną, zaskakującą, nieprzyjazną wobec Ukrainy decyzję o wprowadzeniu embarga na import ukraińskiej żywności Kaczyński motywował nie tylko „interesem polskiej wsi”, lecz także groźbą dojścia do władzy w wyniku kryzysu „tych, którzy zmieniają” polskie poparcie dla walczącej Ukrainy. A jedyną taką formacją jest dziś Konfederacja. Gdyby „Konfa” utrzymała poparcie powyżej 10 proc., PiS, zacnie podbierać jej radykalną narrację. Na nowo pojawiają się w kampanii słabsze ostatnio wątki anty-LGBT; już wrócił (w speyficznej formie „polemiki” premiera Morawieckiego z prof. Engelking) temat „obrony godności narodu polskiego przed żydowskimi oskarżeniami”.

Antyunijna ziobrowska narracja zostanie ubogacona o mentzenowską pogardę dla europejskiego „rynkowego kołchozu”, w tym wspólnej polityki rolnej. To złe wiadomości dla Ukrainy. Montując sojusz unijnych państw przyfrontowych przeciwko importowi ukraińskiej żywności, rząd w Warszawie bardzo osłabił szanse integracji Ukrainy z Unią Europejską. Zasugerował przecież Zachodowi, coraz bardziej znużonemu wojną, że i Europa Środkowa – z obawy przed konkurencją tamtejszego potężnego rolnictwa – traci proukraiński entuzjazm.

Tuż przed majówką PiS uchwalił ustawę o „Państwowej komisji do zbadania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo RP”. To ma być sąd specjalny, który pozwoli nominatom partii rządzącej wydawać wyroki na polityków opozycji; prawnicze i ustrojowe horrendum. Wiadomo, że gdyby realnie chcieć tropić rosyjskie wpływy na polską politykę, PiS byłby tu pierwszym podejrzanym. (Przypomnijmy choćby aferę taśmową i pana Falentę, czy to, co zrobił z polskim wojskiem Antoni Macierewicz). Dziś oczywistym przesłuchiwanym powinien być szef Orłenu Daniel Obajtek. Oddanie za bezcen sporej części polskiego rynku paliwowego Arabii Saudyjskiej i węgierskiemu MOL to wręcz modelowa ilustracja pisowskiej koncepcji „zdrady stanu”. Arabia Saudyjska właśnie demonstracyjnie zawarła sojusz z Iranem, wrogiem Ameryki, dostarczającym broń Putinowi; nawiązała relacje z prorosyjskim reżimem Asada w Syrii; współpracuje z Rosją na globalnym rynku paliwowym. Rząd węgierski z kolei, właściciel MOL, wbrew całej Unii właśnie przedłużył umowę z Gazpromem, ich minister gościł na Białorusi, a Budapeszt wciąż blokuje poszerzenie NATO o Szwecję. Zresztą sam Orłen nadal importuje rosyjską ropę dla swojej filii. Starczy materiału na przesłuchanie? Ale, mówiąc poważniej: po sposobie, w jakim PiS rozegrał sprawę embarga, widać, że dla wyborczych, kampanijnych korzyści partia odpuści każdą rację stanu, sięgnie nawet po „ukrainosceptycyzm”.

Mam wrażenie, że kryzys zbożowy pomógł opozycji wyjść z niedawnej smuty, potwierdził bowiem jej opinie i diagnozy na temat chaosu, nieodpowiedzialności, pazerności i marnotrawstwa pisowskich rządów. Zresztą sondaże wciąż nie dają PiS większości, nawet po doliczeniu całej Konfederacji. Według ocen analityków z Polityki Insight (wywiad z Andrzejem Bobińskim na s. 27) zwycięstwo opozycji nadal jest najbardziej prawdopodobnym scenariuszem.

Trzeba pamiętać, że władza dysponuje w tej kampanii ogromną przewagą środków perswazji i technik manipulacji, zapewne już z użyciem sztucznej inteligencji. Odpowiedzią opozycji mogłoby być hasło naszego portalu naukowego Pulsar: „inteligentne formy życia, łączcie się!”. A przynajmniej się nie kłóćcie. „Tego czegoś” życząc na długi weekend i po nim.



Kanał Panamski - rejs z Miami do Los Angeles

Popyń we wspaniałym rejsie z Florydy do Los Angeles przez Kanał Panamski i klimatyczne, kolonialne miasta Ameryki Łacińskiej, na pokładzie statku Norwegian Bliss.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Miami. **Dz. 2** Miami. Wycieczka po mieście i wypłynięcie w rejs. **Dz. 3-4** Rejs statkiem. **Dz. 5** Cartagena, Kolumbia. Możliwość zwiedzania starego miasta, wpisanego na listę zabytków UNESCO oraz twierdzy San Felipe. **Dz. 6** Przeprowa Kanałem Panamskim i dołynięcie do Panama City. **Dz. 7** Panama City, Panama. Możliwość wycieczki do Panamy i śluz w Miraflores. **Dz. 8** Na morzu w kierunku Gwatemali. **Dz. 9** Puerto Quetzal, Gwatemala. Możliwość udziału w wycieczce do Antigua, wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 10** Rejs statkiem wzdłuż Riwiery Meksykańskiej i rozrywki na pokładzie. **Dz. 11** Acapulco, Meksyk Czas do własnej dyspozycji. **Dz. 12** Na morzu w kierunku Puerto Vallarta i rozrywki na pokładzie. **Dz. 13** Puerto Vallarta, Meksyk. **Dz. 14** Mazatlan, Meksyk. Perta Pacyfiku. **Dz. 15** Cabo San Lucas, Meksyk. Relaks na Riwierze Meksykańskiej i czas wolny. **Dz. 16** Na morzu. **Dz. 17** Los Angeles, Kalifornia, USA. Wycieczka po mieście i podróż do domu. **Dz. 18** Przyłot do Warszawy.

18 dni | Wylot z Warszawy 26/01 2024 | **18.998,-**



NOWOŚĆ

La Traviata

4 dni | wylot z Warszawy | 24/07 2023

©photo of Traviata by Attila Nagy

Rigoletto

4 dni | wylot z Warszawy | 28/07 2023

©photo of Rigoletto by Peter Rokossy

Opera w Budapeszcie

Nazywany przez wielu Paryżem Wschodu, Budapeszt zaprasza na fantastyczne przedstawienie operowe w Operze Narodowej oraz odkrywanie wspaniałych zabytków miasta.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przyłot do Budapesztu. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta po stronie Pesztu. Przedstawienie operowe w Operze Narodowej. **Dz. 3** Zwiedzanie Budy z Basztą Rybacką i Kościołem Macieja. Rejs statkiem po Dunaju. **Dz. 4** Powrót do Polski.

od **2.798,-**

Norwegia – na tropie zorzy polarnej

Zobacz jedno z najpiękniejszych miejsc norweskiego wybrzeża, gdzie czeka nas przejażdżka psim zaprzęgiem, a także rejs po Lofotach w blasku zorzy polarnej.

Program wycieczki: **Dz. 1** Przelot Warszawa – Bodø. Przyjazd i kolacja powitalna. **Dz. 2** Bodø. Spacer po mieście, rejs statkiem linii Hurtigruten przez wąskie fiordy archipelagu Lofotów do Tromsø. **Dz. 3** Przyjazd do Tromsø. Zwiedzanie miasta – Katedra Arktyczna i Muzeum Polarne. **Dz. 4** Tromsø. Czas wolny lub możliwość wykupienia wycieczki na obserwację wielorybów. Przejazd do Sommarøy – wieczorna wycieczka w poszukiwaniu zorzy polarnej. **Dz. 5** Sommarøy. Psie zaprzęgi i zorza polarna. **Dz. 6** Tromsø i podróż powrotna.

6 dni | Wyloty z Warszawy 08/01, 23/03 2024 | od **8.998,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: PL16

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Powstanie w getcie: opór i bohaterstwo



Prosimy Cię Boże o walkę krwawą, Błagamy o gwałtowną śmierć. Niech nasze oczy przed skonaniami, Nie widzą, jak się wloką szyny. Ale daj dłoniom celność, Panie, Aby się skrwawił mundur siny” – tym fragmentem wiersza Władysława Szlengła, żydowskiego poety zamordowanego przez Niemców 8 maja 1943 r., rozpoczął **Marian Turski** uroczystości 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim. Nazwał powstanie „żydowskimi Termopilami”, bo w starciu z nazistowską machiną nieliczni i pozbawieni niemal broni bojownicy nie mieli żadnych szans. W uroczystościach pod pomnikiem autorstwa Natana Rappaporta, stojącym w pobliżu miejsca, gdzie rozpoczęły się walki, wzięli udział prezydenci Andrzej Duda, Isaak Herzog i Frank-Walter Steinmeier. Jak mówił w swoim przemówieniu Isaak Herzog, fakt, że prezydenci Polski, Izraela i Niemiec w tym miejscu wspólnie składają hołd powstańcom, oznacza, że ostatecznie to oni zwyciężyli.

W przeddzień rocznicy w muzeum POLIN otwarta została wystawa „Wokół nas morze ognia”, która po raz pierwszy przedstawia obraz powstania nie z perspektywy walk i bojowników, ale oczami ludności cywilnej, na podstawie relacji, które po sobie zostawili. Materiałem ilustracyjnym są zdjęcia Zbigniewa Grzywaczewskiego, fotografa, strażaka, który brał udział w gaszeniu getta. Do tej pory znane były tylko odbitki, ale w ubiegłym roku kuratorce wystawy Zuzannie Schnepf-Kołacz i synowi Zbigniewa, Maciejowi Grzywaczewskiemu, po wielomiesięcznych poszukiwaniach udało się odnaleźć oryginalne klisze. W dniu otwarcia wystawy w pobliżu muzeum odbyła się także uroczystość nadania jednemu ze skwerów

imienia Rodziny Kuczerów. To rodzina Krystyny Budzyńskiej, jedynej żyjącej autorki relacji wykorzystanych na wystawie. Z całej rodziny powstanie przeżyła tylko ona.

W dniu rocznicy w Teatrze Wielkim odbył się koncert polsko-izraelskiej orkiestry symfonicznej pod batutą Anny Sułkowskiej-Migoń, laureatki Paszportu POLITYKI z 2022 r. Wykonano m.in. VIII symfonię „Kwiaty polskie” z muzyką Mieczysława Weinberga i słowami Juliana Tuwima.

Obok oficjalnych rocznicowych obchodów odbyły się także prywatne, według tradycji zapoczątkowanej przez Marka Edelmana, jednego z przywódców powstania. Ich uczestnicy przeszli Traktem Pamięci Męczeństwa i Walk Żydów od skweru Szmula Zygielbojma do Umschlagplatzu. Wieczorem z inicjatywy Stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita zorganizowano multimedialny spektakl „Wielka Synagoga przywraca pamięć”. Na ścianie Błękitnego Wieżowca, który zajął jej miejsce, wyświetlano obraz powstającej z gruzów Wielkiej Synagogi. Z nagrania archiwalnego popłynął śpiew jej kantora Gerszona Siroty, który zginął w warszawskim getcie.

Na Saskiej Kępie uczniowie Liceum Francuskiego im. René Gościńskiego i dzieci z przedszkola nr 292 odsłoniły mural upamiętniający Alinę Margolis-Edelman, lekarzkę, uczestniczkę powstania i założycielkę fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

Jak co roku w rocznicę powstania wolontariusze rozdawali papierowe żonkile. Po raz pierwszy jednak wręczano je nie tylko mieszkańcom Warszawy, ale także Łodzi, Krakowa, Białegostoku, Wrocławia i Lublina. (J. POD.)

Matura 2023: wielka improwizacja

Do ostatniego dnia na wdechu, bo może jeszcze pojawią się jakieś zmiany. Bez pewności, jak egzamin będzie wyglądać – tak o nastrojach tuż przed maturą, która startuje 4 maja, mówi wielu nastolatków, rodziców i nauczycieli. Niepewność okołomaturalna w ostatnich latach poniekąd stała się normą, tyle że tym razem nie ma już problemu pandemii, z którym niepokoje dotychczas były związane. Tegoroczny egzamin dla kończących naukę licealistów (158,5 tys. osób) to ukoronowanie tzw. reformy oświatowej zapoczątkowanej przez Annę Zalewską w 2016 r. Na przygotowania władze miały więc siedem lat.

Jednym z oficjalnych powodów, dla których PiS likwidowało gimnazja, wydłużając naukę w liceum do czterech lat, miało być słabe przygotowanie absolwentów do studiów. Uczniów i nauczycieli straszono, że nowa matura będzie znacznie

trudniejsza niż ta „pogimnazjalna”. Pierwsze konkretne informacje o tym, jak egzamin ma przebiegać, Ministerstwo Edukacji i Nauki oraz Centralna Komisja Egzaminacyjna zaczęły jednak publikować dopiero rok temu. A potem sukcesywnie je modyfikowały. Do MEiN i CKE zaczęło docierać, że poziom nauczania w szkołach średnich nie udało się podnieść – także z obiektywnych powodów związanych z pandemią. A do samego zalepcza politycznego MEiN – że rok ukoronowania „reformy” Zalewskiej nową, trudną maturą to także rok wyborczy.

W marcu ogłoszono skreślenie prawie 120 pozycji z listy tzw. pytań jawnych, które na pewno miały pojawić się na maturze ustnej. Była to już druga taka zmiana. Początkowo pytań było 270, ostatecznie zostało – 110. Poza tym złagodzone kryteria oceniania prac z języka polskiego – tak, że zdający może popełnić więcej błędów



ortograficznych i interpunkcyjnych, nie tracąc punktów. Zapowiedziano też zmianę arkuszy zadań z matematyki i angielskiego.

Matura w technikach po raz ostatni w tym roku odbędzie się według starej formuły (pierwsi absolwenci „zreformowanych”, pięcioletnich, techników opuszczają je w przyszłym roku). Do tego egzaminu podejdzie 114 tys. osób. Co rusz wśród maturzystów powracają nadzieje, że na ostatniej prostej egzaminatorzy dodatkowo dostaną wytyczne, by oceniać łagodnie i wyrozumiale. Wszystko powinno się wyjaśnić 7 lipca. Tego dnia mają zostać ogłoszone wyniki matur w obu formułach. Pod warunkiem że egzaminatorów, którzy stawiają się do sprawdzania matur, nie zabraknie. Bo wbrew oficjalnym deklaracjom całkowitej pewności nie ma i w tej sprawie. (J. CIEŚL)

Lasy Ziobry

Solidarna Polska uzbierała w 2022 r. **52 tys. zł składek** od swoich członków i **192 tys. zł darowizn**. Przypomnijmy, że od lipca partie muszą na bieżąco na swoich stronach internetowych ujawniać, kto i ile wpłaca na ich konta. Co ciekawe, w tym publicznym rejestrze znajduje się zaledwie 6 darowizn, co oznacza, że 117 wpłynęło jeszcze przed obowiązkiem publikacji wpłat. Tych licznych darczyńców odnajdujemy w sprawozdaniu finansowym partii za ubiegły rok złożonym trzy tygodnie temu w Krajowym Biurze Wyborczym.

Na liście znajdujemy sporo nazwisk związanych z Lasami Państwowymi, co jest kolejnym dowodem na uwikłanie tej instytucji w polityczno-finansowe relacje z Solidarną Polską. Nadleśniczy Nadleśnictwa Wałbrzych Leszek Kościński wpłacił **1,2 tys. zł**. Okazuje się, że wręczał też w imieniu LP pieniądze na budowę ośrodka duszpasterskiego parafii w Wałbrzychu. Po **500 zł** wpłacili też m.in. leśnicy z Międzyzlesia – Krzysztof Rusinek i Jerzy Adamek, a także Kazimierz Kopeć, nadleśniczy z Nowej Dęby; **600 zł** – Sławomir Karwowski, nadleśniczy z Jugowa. Także szef Zakładu Usług Leśnych w Bystrzycy Kłodzkiej Maksym Rogalewski dołożył **500 zł**. Nie są to wielkie wpłaty, ale tu chodzi przede wszystkim o dowody lojalności wobec Zbigniewa Ziobry.



Ziobryści nawet nie kryją swojego aliansu z leśnikami. Niedawno w siedzibie LP liczono głosy pod projektem ustawy Solidarnej Polski.

– *Leśnicy wpłacają na SolPol i Ziobro ma pewność, że przez ich ręce może transferować pieniądze z Lasów Państwowych do okręgów wyborczych, w których chce budować poparcie i rozpoznawalność. W przekazywaniu pieniędzy uczestniczy często wiceminister klimatu Edward Siarka, który z ramienia SolPol nadzoruje Lasy Państwowe – zauważa polityk z koalicyjnego PiS.*

W maju 2022 r. dyrektor generalny LP Józef Kubica ogłosił, że **136 mln zł** z Funduszu Leśnego zostanie przeznaczone na budowę i remonty lokalnych dróg, które z lasami nie mają nic wspólnego. Kubica, jako członek SolPol, wpłacił **600 zł**, ale hojniej dotuje regionalne mateczniki swojej partii. Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Krośnie przeznaczyła **15,7 mln zł** na realizację 30 inwestycji, a to właśnie z tego okręgu wywodzi się najwięcej parlamentarzystów Ziobry. Przypadek?

Wniedawno opublikowanym raporcie niezależnego Stowarzyszenia Pracownika na rzecz Wszystkich Istot wykazano, że Fundusz Leśny jest do dyspozycji polityków Ziobry, podobnie jak wcześniej Fundusz Sprawiedliwości, który miał pomagać ofiarom przestępstw. W 2021 r. Fundusz Leśny wynosił ok. **1 mld zł**, podczas gdy Fundusz Sprawiedliwości „tylko” **400 mln zł**. Dla ziobryistów Lasy stały się najważniejszym finansowym zapleczem, którego wartość stale rośnie. Według autorów raportów na kontach LP znajdują się w tej chwili ponad **4 mld zł**, które nie trafiają do budżetu państwa, a ich wydatkowanie pozostanie w gestii wąskiej grupy dyrektorów Lasów, którzy są związani z Solidarną Polską. To pomoże w kampanii. (DĄB.)

Więcej o wpłatach na Solidarną Polskę na: [polityka.pl](https://www.polityka.pl)

Hotele na podsłuchu

Niebawem minie dziewięć lat od wybuchu „afery kelnerów” (14 czerwca). Szczere, bynajmniej nie przestępcze, rozmowy polityków PO przy kawiarnianym stole walenie przyczyniły się do klęski wyborczej PO. Teraz „Gazeta Wyborcza” opublikowała materiał poparty złożonym notarialnie oświadczeniem sygnalisty Roberta Z., kierownika ds. bezpieczeństwa Polskiego Holdingu Hotelowego i pracownika MSWiA, z którego wynika, że na podsłuchu – tym razem nie kelnerów, ale służb specjalnych – są hotele należące do państwowego PHH. Prowadzący te hotele mają informować służby

o interesujących – także z politycznego punktu widzenia – gościach, współdziałać w zakładaniu w ich pokojach podsłuchów i podglądów. Internetowy serwis Poufna Rozmowa opublikował mail, który przez PHH Gheorghe Marian Cristescu wysłał do Joachima Brudzińskiego – ongiś szefa MSWiA, od 2019 r. europośła. W mailu Cristescu informuje, że w jednym z hoteli politycy opozycji (w tym ówczesny przewodniczący Borys Budka i wiceszef partii Tomasz Siemoniak) mają się spotkać ze Swiatłaną Cichanouską, białoruską dysydentką i kandydatką w wyborach prezydenckich.

Robert Z. zgłosił się do przewodniczącego Rady Fundacji Otwarty Dialog Bartosza Kramka z informacją, że był inwigilowany podczas pobytu w hotelu PHH Renesans, jemu zaś zlecono pomoc w instalacji urządzeń podsłuchowych, ale odmówił i złożył wypowiedzenie. Kramek i jego żona Ludmyła Kozłowska (prezesa fundacji) są od lat na celowniku PiS. W 2017 r. MSZ usiłowało zawiesić działalność fundacji i wyznaczyć zarządcę komisarycznego, ale nie zgodził się na to sąd. Zaś wiceminister MSWiA Maciej Wąsik przegrał z fundacją w pierwszej instancji proces o ochronę dóbr osobistych

(publicznie mówił o działaniu na rzecz Rosji i praniu brudnych pieniędzy).

PHH zaprzecza, jakoby w hotelach „regularnie dochodziło do inwigilacji przez obsługę gości, których wskazywała ABW”. A więc może są po prostu pokoje na podsłuchu, do których, nie czekając na „wskazanie” ABW, kieruje się gości, którymi może się interesować władza?

W aferze kelnerów prywatne osoby podsłuchiwały w prywatnych restauracjach. Jeśli prawdą jest to, co napisała „Wyborcza”, to mamy do czynienia z przewencyjną inwigilacją przez państwo za pomocą jego zasobów (hotele i ich pracownicy). Czyli z oczywistym nadużyciem władzy.

Właśnie PiS wniósł do Sejmu projekt zmiany Kodeksu karnego, który m.in. czyni przestępstwem „nieumyślne” szpiegostwo. Może je popełnić nieświadomie każdy, udzielając jakichś poufnych informacji osobie, która mogłaby je wykorzystać przeciw interesom państwa. To zaś otwiera drogę do inwigilacji przewencyjnej – np. informatorów mediów, dziennikarzy, przedsiębiorców, funkcjonariuszy publicznych czy polityków. Czy to jeszcze III RP, czy już PRL bis?

EWA SIEDLECKA



RosKomisja

Antoni Dudek

Politolog i historyk, profesor nauk humanistycznych; prowadzi na YouTube autorski kanał Dudek o Historii.



Póździernik 2023 r. Mimo startu z kilku list wyborczych opozycja demokratyczna zdobywa liczącą kilka mandatów przewagę i po nieudanych próbach wyluskania z jej szeregów głosów poparcia przez nominowanego przez prezydenta kandydata PiS na premiera, ten ostatni przegrywa głosowanie w Sejmie. Wówczas, zgodnie z tzw. drugim krokiem konstytucyjnym, inicjatywa tworzenia rządu przechodzi na stronę Sejmu. Na biurko prezydenta trafia wniosek o powołanie rządu Donalda Tuska z Kosiniakiem-Kamyszem, Hołownią i Czarzastym w roli wicepremierów. Andrzej Duda odmawia jednak ich nominacji, powołując się na wydaną tuż przed wyborami decyzję Państwowej Komisji ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne RP. Komisja ta bowiem uznała, że Tusk i Kosiniak-Kamysz jako „funkcjonariusze publiczni” po 2007 r. „pod wpływem rosyjskim, działali na szkodę interesów RP”. Tusk i Kosiniak byli członkami rządu, a co z Czarzastym i Hołownią?

Może i nie byli „funkcjonariuszami publicznymi”, ale za to przed 2023 r. wywierali „wpływ na środki masowego przekazu”, zatem również zostali wezwani przed oblicze RosKomisji. Ta zaś uznała, że „rozpowszechniali fałszywe wiadomości”, które „w istotny sposób (...) godziły w interesy RP” i w związku z tym zakazała im „pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi” na 10 lat oraz nakazała „cofnięcie poświadczenia bezpieczeństwa” wydawanego przez ABW i umożliwiającego dostęp do tajnych informacji. „Nie można wymagać od prezydenta zgody, aby oddawał rząd nad Polską ludziom, którzy zgodnie z prawem nie mają prawa dysponowania środkami publicznymi i nie mają dostępu do państwowych tajemnic” – oświadczył rzecznik Andrzeja Dudy. Niemożliwe?

A jednak w połowie kwietnia cytowany wyżej projekt ustawy o RosKomisji wyszedł z Sejmu i znajduje się obecnie w Senacie. I nawet jeśli zostanie tam odrzucony, to nie ma pewności, że w Sejmie nie znajdzie się większość, by ten kuriozalny projekt podtrzymać i przesłać do podpisu prezydenta. Trudno ocenić, jak zachowa się w tej sprawie Andrzej Duda, ale jeśli go nie zawetuje, to tuż przed wakacjami RosKomisja ruszy do działania. Jednak jej 9 członków, powoływanych przez Sejm, wakacji w tym roku mieć nie będzie, bowiem już przed 17 września opublikują swój pierwszy raport, w którym mają znaleźć się podjęte „decyzje administracyjne”. Tytułem rekompensaty za stracone wakacje członkowie RosKomisji otrzymają stanowiska sekretarzy stanu oraz gabinety w Kancelarii Premiera, bowiem to właśnie szef rządu wybierze sobie jej przewodniczącą.

Forsując utworzenie RosKomisji, obóz rządzący postanowił wykonać wojnę rosyjsko-ukraińską do stworzenia nadzwyczajnego organu o charakterze quasi-sądu, który umożliwi mu eliminowanie przeciwników politycznych. Formalnie do składu komisji swoich kandydatów mogą przedstawić wszystkie kluby poselskie, ale ABW będzie mogła im odmówić wydania poświadczenia bezpieczeństwa, co automatycznie wyeliminuje ich ze składu RosKomisji. Jeśli zaś nawet przejdą przez to sito i zaczną utrudniać jej działalność, to będzie ona mogła działać w składzie pięcioosobowym i podejmować wspomniane wyżej decyzje.

Ustawa o RosKomisji to kwintesencja myślenia PiS o państwie polskim w ósmym roku jego rządów. Takie instytucje, jak kontrwywiad (cywilny i wojskowy), prokuratura czy wreszcie sądy, okazały się rzekomo nieskuteczne w walce z rosyjskimi wpływami, dlatego potrzebna jest speckomisja. Pozostaje nadzieja, że do jej składu prezes Kaczyński skieruje postaci takiego formatu, jak te, które trafiły z jego rekomendacji do Trybunału Konstytucyjnego. Bo jeśli tak, to podejrzewam, że RosKomisja rozpocznie działalność od poszukiwania rosyjskich wpływów w swoim własnym składzie.

Nowy szef PKOl: na łączach z Sasinem

Szacowna olimpijska rodzina składająca się z wielu medalistów, a nawet mistrzów igrzysk, którzy z pewnością cenią sobie szczytne zasady czystej gry oraz uczciwości, wybrała na prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego **Radosława Piesiewicza**. Do tej pory sprawował on niepodzielne rządy w koszykówce. Dał się tam poznać jako bezwzględny gracz, który wykorzystuje bliską znajomość z ministrem aktywów państwowych Jackiem Sasinem, aby pod płaszczykiem sponsoringu pompować publiczne pieniądze do koszykówki.

Łącząc prezesowskie stanowiska w Polskim Związku Koszykówki, i Polskiej Lidze Koszykówki Piesiewicz łamie ustawę o sporcie. Poza tym ma zapewnione idące rocznie w grube setki tysięcy złotych premie jako bonus od załatwienia sponsorów – jak do tej pory przede wszystkim spółek Skarbu Państwa – i niekiedy wpływa na to, w którym

klubie ów sponsor zagości. Takie praktyki powinny być badane pod kątem przestępstwa płatnej protekcji, za które grozi nawet 8 lat więzienia. Ale Piesiewicz, mając takiego stronnika jak Sasin, czuje się bezkarny.

Środowisko działaczy sportowych jest pod wrażeniem obiecanek Piesiewicza: 300 mln budżetu w PKOl, radykalnego zwiększenia premii dla medalistów olimpijskich oraz mieszkań dla mistrzów igrzysk. Nowy prezes obiecuje również stworzenie olimpijskiej telewizji, nie dodając jednak, co miałaby ona konkretnie oferować, skoro prawa do transmitowania najważniejszych imprez, w tym przede wszystkim samych igrzysk, są już sprzedane. Działacze jednak tego nie drażą. Już liczą przyszłe miliony z państwowych spółek, które trafią do kierowanych przez nich związków. Są też gotowi



obsypać za to swojego nowego pryncypała złotem; Piesiewicz zresztą otwarcie mówi, że w przeciwieństwie do swoich poprzedników na stanowisku szefa PKOl nie zamierza pracować za darmo. Można w ciemno obstawiać, że w nowej roli zażąda nie tylko sówitej pensji, ale również dodatkowej gratyfikacji za załatwionych sponsorów.

Od patrzenia mu na ręce jest w PKOl komisja rewizyjna, jednak została opnowana już przez stronników Piesiewicza. Głosowanie nad jej składem – tak jak i inne związane z wyborczym procesem – odbyło się bez udziału przedstawicieli mediów. Sportowi działacze popierają Piesiewicza gorąco, ale wolą się z tym nie obnosić. Na wszelki wypadek, gdyby w jesiennych wyborach PiS przegrał i trzeba by się było umizgiwać do nowej władzy.

MARCIN PIĄTEK

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Majowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl





Ćwiczenia na jednym z ukraińskich poligonów.

Blokada przed ofensywą

Rzeczy ważne i przełomowe na froncie dopiero zaczną się dziać, ale przewidywanie i kreślenie na mapach spodziewanej ukraińskiej kontrofensywy już trwa. Przywódcy w Kijowie to coś sugerują, to milczą. Wiceminister obrony Hanna Malar jakby sygnalizowała początek, ale jej szef Oleksij Reznikow na międzynarodowym spotkaniu w Ramstein niczego nie zdradził. Prezydent Wołodymyr Zełenski odbył w miniony piątek spotkanie z najwyższymi dowódcami. Ujawnił tyle, że Ukraina przygotowuje brygady, które mają ruszyć do walki. Kijów nakłada komunikacyjną blokadę, gdy coś ważnego się dzieje – tak było przy kontratakach w Chersoniu i pod Charkowem. Na pytanie „czy to już”, odpowiedź padnie, gdy to coś będzie w trakcie.

Amerykański szef połączonych sztabów gen. Mark Milley potwierdził w Ramstein, że Zachód wyposażył, uzbroił, wyszkolił i zapatrzył dziewięć ukraińskich brygad zmechanizowanych. Chodzi o jednostki manewrowe, wyposażone w bojowe wozy piechoty i transportery opancerzone z USA, Niemiec, Szwecji, których pancerna pięć są czołgi Leopard. Trzy nowe brygady przygotowuje Ukraina zapewne z polskich czołgów. Sekretarz obrony Lloyd Austin powiedział, że plan operacji powstał we współpracy ukraińsko-zachodniej

i że w zakresie dostaw zrealizowano go. W sumie chodzi o 230 czołgów i 1,5 tys. wozów bojowych, dotarły też Patrioty z Niemiec, USA i Holandii. 9 tys. ukraińskich żołnierzy zakończyło szkolenie na sprzęcie, 2,5 tys. wciąż się szkoli. To trzon sił przewidzianych do kontrofensywy, całość liczy 35 tys. W internecie pełno zdjęć zachodniego sprzętu na poligonach. Rosjanie mają się bać.

Sztrażki kreślone na mapach prowadzą najczęściej z Zaporozża na południe. Dojście do Morza Azowskiego dałoby Ukrainie najwięcej w sensie strategicznym i symbolicznym. Gdyby odzyskała Mariupol, Berdiańsk i Melitopol, mogłaby odciąć Krym od lądowego korytarza do Donbasu. Putin straciłby największe terytorialne osiągnięcie wojny. Odzyskanie portów mniej się liczy, bo Rosjanie kontrolują wyjście z Morza Azowskiego. Ale mostowe połączenie Krymu, już raz przez Ukraińców zaatakowane, byłoby bardziej zagrożone. Ze zgrupowania ukraińskich wojsk pod Wuhłedarem, które powstrzymało trzy rosyjskie brygady, jest do wybrzeża 80 km. Spekulacje na temat tego, czy Ukraina ma potencjał, by wejść na sam Krym, są dziś przedwczesne. Warto pamiętać, że w operacji ofensywnej traci się nawet połowę ludzi i sprzętu, a dla Rosjan Krym jest symbolem, o który będą walczyć do końca.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Kolor Kleopatry

Egipski prawnik Mahmud as-Semary złożył w kairskiej prokuraturze zażalenie na Netflix, który w roli Kleopatry obsadził brytyjską aktorkę **Adelę James** (premiera serialu 10 maja). Ów prawnik twierdzi, że historyczna Kleopatra VII, królowa Egiptu z dynastii Ptolemeusz (51–30 r. p.n.e.), była „oczywiście biała” i oddanie tej roli „czarnej” James to próba „wymazania egipskiej tożsamości”. Prawnika poparła śmietanka egipskiej archeologii, a wszyscy oni domagają się blokady Netflixu w Egipcie.

To nie pierwsze filmowe zamieszanie z Kleopatry, która stała się bohaterką popkultury po hollywoodzkich produkcjach, m.in. z Elizabeth Taylor w roli głównej. W 2020 r. fale oburzenia wywołało powierzenie tej roli izraelskiej (!) aktorce Gal Gadot, która zbyła krytykę, stwierdzając, że akurat nie było pod ręką macedońskiej



aktorki – dynastia, której Kleopatra była ostatnią przedstawicielką (potem kontrolę nad Egiptem przejął Rzym), pochodziła wprost od Aleksandra Macedońskiego.

Kleopatra urodziła się w Aleksandrii, mieście, które nie było wówczas postrzegane jako afrykańskie – rzymskie powiędzenie brzmiało *Alexandria ad Aegyptum*,

przy czym to *ad* oznacza „w drodze do”, a nie „w”. Bezpośrednie opisy królowej nie koncentrowały się na kolorze skóry, to już przypadłość naszych czasów. Dlatego pytanie „biała” czy „czarna” służy dziś raczej jako instrument rozpoznania swój/wróg w ramach wojen kulturowych. A sama idea „czarnego” Egiptu zyskała na popularności wśród afroamerykańskich ruchów emancypacyjnych w latach 60. XX w., jako dowód na ucywilizowanie „przedeuropejskiej” Afryki. Jej zwolennicy stosowali następującą logikę: skoro w powojennej Ameryce wystarczył jeden czarny przodek, by uznać kogoś za „niebiałego”, to Kleopatra z pewnością nie była biała. W tym sensie również macedońska/grecka „białość” Kleopatry jest konstruktem – ci starożytni byli „biali” jako symboliczni założyciele zachodniej cywilizacji. Ale już ich XIX-wieczni spadkobiercy dla ówczesnych teoretyków rasy wcale biali nie byli. W sumie więc, zamiast o kolor skóry, może warto też zapytać, jak James zagrała kolejną filmową Kleopatry?

Kryzys sudański

Dwaj skonfliktowani generałowie podpalają Sudan, trzeci co do wielkości kraj Afryki. Ich starcie to paroksyzm wojskowego zamachu z 2019 r. Mohammed Dagalo ma do dyspozycji Siły Szybkiego Wsparcia, stutysięczną milicję czy raczej prywatne wojsko, które broni się przed wchłonięciem przez regularną armię dowodzoną przez Abdela Fattaha al-Burhana, faktycznie będącego głową państwa. Obaj stali na czele rady, która miała czuwać nad przekazaniem władzy cywilom. Mundurowi zwlekali, chociaż na transformacyjny kurs wrócili pod koniec zeszłego roku, do czego skłoniła ich międzynarodowa presja. Plan reform przewidywał scalenie oddziałów obu generałów, czemu Dagalo ostatecznie się sprzeciwił.

Trwający od połowy kwietnia kryzys ma niebezpieczny potencjał, by zamienić się w wojnę domową. W ciągu dziesięciu dni zginęło ponad 400 osób. Ruszyła fala uchodźców. Sześciomilionowy **Chartum**, dotąd tętniący życiem, zamarł w obawie przed samolotami i helikopterami ostrzeliwującymi cele wokół stolicy. Wiele państw ewakuowało swoich obywateli i personel placówek dyplomatycznych. Co nie oznacza, że świat Sudanem się nie interesuje.

Przeciwnie, upadek obłożonej sankcjami, izolowanej dyktatury otworzył kraj, który stał się polem rywalizacji sąsiadów, mocarstw regionalnych i globalnych.

Swoich szans upatrują w strategicznym położeniu Sudanu nad Nilem i Morzem Czerwonym, w potencjale jego ziem uprawnych i bogactwach naturalnych. Rosja za pośrednictwem m.in. znanej z Ukrainy Grupy Wagnera pomaga eksploatować złoża złota kontrolowane przez gen. Dagalo. Swoją majątek ma przechowywać w Dubaju i może liczyć na wsparcie Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Pomocną rękę wyciąga też libijski watażka Chalifa Haftar. Z kolei al-Burhana popiera przede wszystkim Egipt, a także część emirackich książąt i przedsiębiorców zaangażowanych w wielkie sudańskie projekty rolnicze. Choć duże obce zainteresowanie w podobnych sytuacjach zazwyczaj podsycza walki, to akurat w Sudanie może działać tonizująco, bo ponoć mało komu upadek tego kraju by się opłacał.



Fox uciekł z sądu

Aż 787,5 mln dol. otrzymała firma komputerowa Dominion Voting Systems od korporacji Fox jako rekompensatę za oszczerstwa na swój temat rozpowszechniane przez telewizję Fox News, główną propagandową tubę amerykańskiej prawicy. Po wyborach w 2020 r. komentatorzy stacji powtarzali kłamstwa prezydenta Donalda Trumpa, że ich wyniki zostały sfałszowane dzięki zastosowaniu przy obliczeniach głosów oprogramowania wyprodukowanego przez Dominion, firmy powiązanej rzekomo z agentami rządu Wenezeli. Domagając się 1,6 mld dol. odszkodowania, Dominion pozwał Fox do sądu. Porażka telewizji była tam przesądzona, ponieważ z niezbitych dowodów wynikało, że jej komentatorzy doskonale wiedzieli, iż podsuwane im przez prawników Trumpa materiały są wyssane z palca. Wiedział o tym także szef Fox Corporation Rupert Murdoch, ale kazał dziennikarzom kłamać, gdyż obawiał się, że jeśli poinformują fanów prezydenta o bezdykusyjnej wygranej Joe Bidena, straci widzów na rzecz ultrakonserwatywnej telewizji Newsmax. Pozwy mediów o zniesławienie w USA nie jest łatwo wygrać, bo chroni je poprawka do konstytucji o wolności słowa, ale jeśli powód wykaże kłamstwo rozmyślne, w złej wierze, sądy rozstrzygają na jego korzyść.



Wprzeddzień rozprawy obie strony uzgodniły polubowne załatwienie sporu. Wygrana firmy i ogromna kwota rekompensaty, prawie dziesięciokrotnie przewyższająca jej rynkową wartość, wygląda pozornie na wielkie zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości. W rzeczywistości to tylko pierwszy krok. Odszkodowanie, choć największe w historii cywilnych sporów z mediami o zniesławienie, dla Foxa to pestka, na pewno nie zrujnuje Murdocha, którego korporacja corocznie zarabia miliardy. Uгода nie przewiduje, że Fox ma przeprosić Dominion za oszczerstwa. A przede wszystkim, dzięki odwołaniu procesu, na którym zeznawać miał Murdoch i czołowe gwiazdy jego stacji: Sean Hannity, Tucker Carlson i Laura Ingraham, Fox News uniknął w ostatniej chwili publicznego, przeciągającego się nagłaśniania kompromitujących szczegółów swych fałszerstw. Media już czekały pod gmachem sądu na początek rozprawy. Fox News będzie nadal kształtował opinię widzów w swoim stylu, aby nie narazić się wyborcom Trumpa, co wymaga mieszania faktów z półprawdami i fikcją.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Raj w Mumbaju

Indie, z 1,417 mld ludności, wyprzedziły Chiny albo wyprzedzą je za kilka miesięcy – statystyka nie jest tu najmocniejszą stroną, a od 12 lat nie było spisu ludności. I niewątpliwie są młodsze od Chin: 40 proc. populacji ma poniżej 25 lat, mediana wieku 28 lat, wobec 39 lat w Chinach. To istotna przewaga Indii. Zwykle chwali się ten kraj za wysoki poziom edukacji, ważnym atutem jest znajomość angielskiego. Ale to jednocześnie powód wielkich napięć na rynku pracy.

Aby wykorzystać absolwentów, co roku powinien powstać przynajmniej milion nowych miejsc, co jest raczej trudne. Ostatni

głośny przykład z Mumbaju: po 8 tys. nowych etatów w policji zgłosiło się 650 tys. aplikantów. Bo też *government jobs* to najbardziej pożądana forma zatrudnienia, dająca niespotykane w innych obszarach gwarancje i benefity. W sytuacji, kiedy 80 proc. rynku pracy to sektor nieformalny, tylko 2 proc. indyjskich pracujących ma pełne ubezpieczenie społeczne, z funduszem emerytalnym, opieką zdrowotną i urlopem macierzyńskim. Reszta musi radzić sobie sama. Stąd miejskowy idiom *timepass*, czyli zabijanie czasu na marnie płatnych zajęciach poniżej kwalifikacji.

W Indiach powstał prawdziwy przymysł kursów i testów, które mają dopomóc w uzyskaniu państwowej posady. Całe

miasta żyją z obsługi kursantów. Praca w budżetówce winduje też na rynku matrymonialnym, nic dziwnego, że desperaci próbują przez wiele lat.

Świetnym państwowym pracodawcą jest kolej, z ponad milionem etatów; tradycyjnie dobra była również licząca 1,4 mln żołnierzy armia: z emeryturą po 20 latach i dożywotnym mieszkaniem. Ale kiedy na pensje, emerytury i socjal szła już ponad połowa budżetu wojska i rok temu zapowiedziano reformy, wybuchły zamieszki, starcia z policją i palenie pociągów. Według ostatnich danych w latach 2014–22 ogłoszono konkursy na 722 tys. państwowych posad. Zgłosiło się 220 mln chętnych. Nadzieja umiera ostatnia.

Wielka sukcesja

Obóz władzy wydaje się nie do zdarcia, ale i tam nadejdzie w końcu przełomowa zmiana, bo nieuchronnie zbliża się moment, w którym Jarosław Kaczyński odda stery swojemu następcy. Kto to może być, co to oznacza dla PiS, całej prawicy i dla politycznej sceny w Polsce? Zrobiliśmy sondaż, aby zobaczyć, jakie są w tej sprawie opinie prawicowych wyborców.

MARIUSZ JANICKI



ILUSTRACJA MIŁOSZ ZDUNEK

© MARCIN KALINSKI/WPROST/PAP, DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS, WOJCIECH OLUKSIŃSKI/EAST NEWS, ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

D

deklaracje. Jarosław Kaczyński pełni funkcję prezesa PiS już 20 lat, w 2003 r. przejął ją od swojego brata Lecha. W lipcu 2021 r. został wybrany na kolejną czteroletnią kadencję. Przy okazji tamtego wyboru zapowiedział: „Po raz ostatni staję na czele Prawa i Sprawiedliwości”. Jeśli będzie się trzymał tej deklaracji, to gdzieś w połowie 2025 r. powinien przestać przewodzić partii. Ale Kaczyński dał też inne wskazówki. Powiedział bowiem: „Wiek kanoniczny w Kościele to 75 lat. To wystarczy. Ale to nie oznacza, że będę w polityce do tego wieku”. Kaczyński skończy 75 lat w czerwcu 2024 r. Złożył też jeszcze jedno, jak to określił, przyrzeczenie: „Jeśli przyjdzie taki moment, w którym zrozumieć, że jest to już ponad moje możliwości, to oczywiście odejdę”. Zdaje się, że kondycja fizyczna prezesa PiS po przebytej operacji ortopedycznej wciąż nie jest optymalna. Wrócił co prawda do publicznych wystąpień, próbując m.in. ratować rząd Morawieckiego w kwestii zboża z Ukrainy, ale podobno wciąż ma się oszczędzać, aby zachować siły na końcowy okres kampanii.

Oczywiście Kaczyński wiele już mówił na swój temat i nie jest znany z nadzwyczajnej słowności. Wyraźnie bawią go takie zagrywki w „odchodzenie”, bywa w tym przekorny i kokieteryjny. Niewykluczone, że pogłoski o zbliżającym się ustąpieniu są tworzone także po to, aby zobaczyć, jak na nie reagują różne frakcje w partii i jej politycznych okolicach. Otoczenie przywódcy na wszelki wypadek zachowuje czujność, pojawiają się deklaracje, że „nie widać następcy prezesa Kaczyńskiego”, że „będzie rządził partią sto lat” itp. Jednak wiele znaków wskazuje na to, że jego odejście to rzeczywistość może być kwestia najbliższych dwóch lat. PiS, w odróżnieniu od innych ugrupowań, nie ćwiczył jeszcze zmiany na szczycie, bo nawet kiedy na jego czele stał formalnie Lech Kaczyński, faktycznym liderem od początku był Jarosław. Będzie to zatem w partii i jej otoczeniu prawdziwe trzęsienie ziemi.

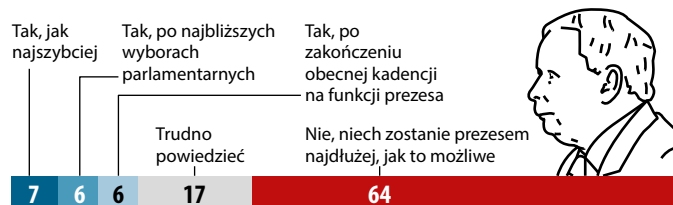
Król i dwór. Kaczyński miał zawsze niskie zaufanie społeczne, ale wciąż mocno scala najtwardszy elektorat PiS, tę ok. 20-procentową bazę (jak wynika z wielu badań), na której różnymi środkami socjotechnicznymi nadbudowano resztę poparcia. Nie wiadomo, jak ten wyborczy rdzeń zareaguje na odejście obecnego prezesa PiS, czy nie poczuje się zwolniony z lojalności, bo miała ona charakter przede wszystkim personalny, i będzie szukał nowego punktu odniesienia na prawicy. Hegemonia PiS w tej grupie wyborców może osłabnąć i w efekcie nastąpi rekonstrukcja całej prawicowej części politycznej sceny. Pytanie też, czy i na ile prezes będzie kontrolował proces swojego odchodzenia i sukcesji. Kaczyński pracowicie demontuje ustrój liberalnej demokracji, postępuje bezwzględnie, jednak zazwyczaj próbuje nadać tym działaniom jakieś pozory legalizmu i wyższego sensu. Oczywiście w miarę możliwości, bo ulega też urokowi prostej rozróbki, pograżenia wroga, upokorzenia wyborców opozycji.

Jego potencjalni sukcesorzy, zwłaszcza w ostrej walce o schedę, i gdyby PiS rządził nadal, mogą pójść jeszcze dalej w kierunku niczym już nieograniczonej politycznej bandyterki, z proponowaniem jeszcze bardziej horrendalnych ustaw, „rozkułaczaniem” elit, łamaniem wszelkich konstytucyjnych zasad, podważaniem procedur i praw nabytych, łącznie np. z zasadą ochrony własności. To znana reguła, że po autokratkach często przychodzą nie demokraci, ale jeszcze więksi zamordyści, i chcą się przez swoją bezwzględność uwiarygodnić.

Jak najszybciej, później, jak najdłużej. Prawo i Sprawiedliwość oczywiście wybierze na następcę Kaczyńskiego, kogo zechce, ale zapewne nie zignoruje do końca opinii prawicowego elektoratu, bo to on daje władzę. Postanowiliśmy zatem zbadać w specjalnym sondażu (wraz z pracownią Kantar), kogo właśnie ci wyborcy – bo tylko opinia elektoratu dzisiejszej władzy ma tu znaczenie – widzieliby jako sukcesora Jarosława Kaczyńskiego, zarówno na czele PiS, jak i w roli lidera całego prawicowego środowiska politycznego. Dlatego powiększyliśmy – w stosunku do rutynowych badań partyjnych – pulę respondentów, tak aby wynik był bardziej reprezentatywny.

Zapytaliśmy na początku, czy i ewentualnie kiedy powinien ustąpić z funkcji Jarosław Kaczyński. „Jak najszybciej” odpowiedziało wcale niemało wyborców PiS, bo 7 proc. Kolejne 6 proc. uważa, że odejście Kaczyńskiego powinno nastąpić po najbliższych wyborach parlamentarnych i znowu tyle samo, bo 6 proc.,

Czy Jarosław Kaczyński powinien ustąpić ze stanowiska prezesa PiS? (w proc.)



Gdyby Jarosław Kaczyński ustąpił ze stanowiska prezesa PiS, to jego następcą powinien zostać:



daje Kaczyńskiemu czas do końca jego bieżącej kadencji na stanowisku prezesa. 64 proc. chce, by został na czele PiS jak najdłużej się da, a 17 proc. wybrało opcję „trudno powiedzieć”. W sumie więc 36 proc. wyborców PiS albo chce, aby obecny prezes ustąpił w określonym czasie, albo nie ma zdania – a więc nie są specjalnie do Kaczyńskiego przywiązani. Pokazuje to, że chociaż pozycja lidera PiS jest wciąż bardzo solidna, to nie jest to już absolutna dominacja. Wśród tych, którzy chcieliby jak najszybszego odejścia obecnego prezesa, przeważają osoby młodsze i wykształcone, lepiej zarabiające, z większych miast. Za to za jego jak najdłuższym sprawowaniem funkcji najliczniej opowiedzieli się wyborcy 60+. Nawet więc w samym elektoracie PiS widać pewne polityczno-socjologiczne prawidłowości znane z całej populacji.

Morawiecki i panie. W drugim punkcie zapytaliśmy o to, kto powinien zastąpić Kaczyńskiego w fotelu prezesa PiS. Mateusz Morawiecki zyskał najwięcej wskazań – 38 proc. Beata Szydło już znacznie mniej, bo 14 proc., trzecia w tym rankingu jest Elżbieta Witek z 10 proc., co ciekawe, wyprzedziła Mariusza Błaszczaka z 6 proc. Joachim Brudziński dostał tylko 1 proc. wskazań wyborców PiS (tyle co Jacek Sasin, mniej niż Antoni ▶

► Macierewicz), a to właśnie o nim często mówi się jako o prawdopodobnym sukcesorze Kaczyńskiego na czele partii. W sumie blisko 30 proc. wyborców PiS, a więc całkiem sporo, nie wskazało z podanej listy ewentualnych następców nikogo. Widać, że rzeczywście w pewnym sensie Kaczyński jest nie do zastąpienia, choć zastąpiony być w końcu musi. Rozgrywka może być jednak żarzarta, a wynik daleki od oczywistości.

Trójka liderów i „inny polityk”. I trzecie pytanie: kto mógłby po odejściu Kaczyńskiego zostać liderem całej polskiej prawicy. W tym przypadku braliśmy pod uwagę odpowiedzi wyborców PiS, Konfederacji i Solidarnej Polski. Tu stawka okazała się znacznie bardziej wyrównana: Morawiecki – 20 proc. wskazań, Andrzej Duda – 19 proc., Sławomir Mentzen – 18 proc. Zbigniew Ziobro dostał tylko 6 proc. i chyba taki jest dzisiaj jego realny udział w prawicowym torcie, trzy razy mniejszy niż Mentzena. Całkiem duże poparcie zyskał „inny polityk”, bo 15 proc.

Na lidera Konfederacji wskazało ponad dwa razy więcej mężczyzn niż kobiet, w przypadku Ziobry proporcje były podobne, z kolei Dudę wybrało w naszym badaniu prawie dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn. Morawiecki i Duda zebrali dużo wskazań emerytów i rencistów, zaś Mentzen w tej kategorii prawicowych wyborców zebrał 1 proc. Za to ma stosunkowo wysokie poparcie osób młodych, lepiej wykształconych, prowadzących własną działalność gospodarczą, ale też tych niepracujących (64 proc. osób w wieku 20–29 lat i 41 proc. z grupy 30–39 lat). Na prawicy również widać zarys pokoleniowej i mentalnej zmiany.

Przyjrzyjmy się zatem ewentualnym sukcesorom Jarosława Kaczyńskiego, ich politycznej pozycji i szansom na zastąpienie prezesa.

Niepewny prymus. Mateusz Morawiecki ma specyficzną sytuację. Wydaje się, że został przez prawicową publiczność w miarę zaakceptowany jako premier-nominat Kaczyńskiego, ale chyba głównie w pakiecie z obecnym prezesem PiS. Jest jego prawą ręką, jakoś ogarnia gospodarke, do czego prezes nie ma głowy, bo jest zajęty ważniejszymi sprawami. Morawiecki jeździ po Polsce i gasi pożary, próbuje coś wytłumaczyć Brukseli itd. Ale czy da radę samodzielnie? Do tej pory był technokratą, to Kaczyński zapewnił głębszy sens, ideologiczną treść, tożsamościowo dociął cały projekt. Morawiecki próbuje do tego poziomu doszłusować, stara się być odpowiednio brutalny, ale robi to bez wycucia, jak ostatnio, kiedy na Twitterze umieścił zdjęcie z miejsca katastrofy smoleńskiej, gdzie widać było zdeformowane ciała ofiar.

Premier stara się być gorliwym prawicowym prymusem, odpowiednio szydzi z opozycji, bywa przykry dla Unii Europejskiej, jednak wypada to jakoś kanciasto. Ponadto wciąż ma słabą pozycję w PiS, gdzie jest nominalnie wiceprezesem, ale sam Kaczyński nie pozwolił mu dotąd na stworzenie silniejszej frakcji. Morawiecki próbuje zastępczo budować swoją grupę w rządzie, ale nie ma to większego znaczenia, bo gabinet na jesieni przestanie istnieć. Sporo o szansach Morawieckiego na sukcesę po Kaczyńskim powie to, ilu jego ludzi znajdzie się na listach kandydatów w nadchodzących wyborach. Listy, jak zawsze, będzie układał osobiście Kaczyński i jeśli „młodzi, zdolni” wiceministrowie z ekipy premiera zostaną wycięci, będzie to oznaczało, że akcje Morawieckiego stoją u Kaczyńskiego nisko. Jego atutem jest jednak największe poparcie wśród wyborców PiS, co pokazuje nasz sondaż, to że staje się powoli naturalnym kandydatem na zmiennika, co jego konkurentów powinno zaniepokoić. Tym bardziej że w naszym badaniu Morawiecki miał większe niż średnio poparcie w regionach będących matecznikiem PiS: Lubelskiem, Podlaskiem, Świętokrzyskiem. Najczęściej też na niego

wskazywali respondenci, którzy zarazem chcą, aby Kaczyński rządził PiS jak najdłużej. To oznacza, że Morawiecki trafia już do twardego elektoratu, z czym wcześniej miał problem.

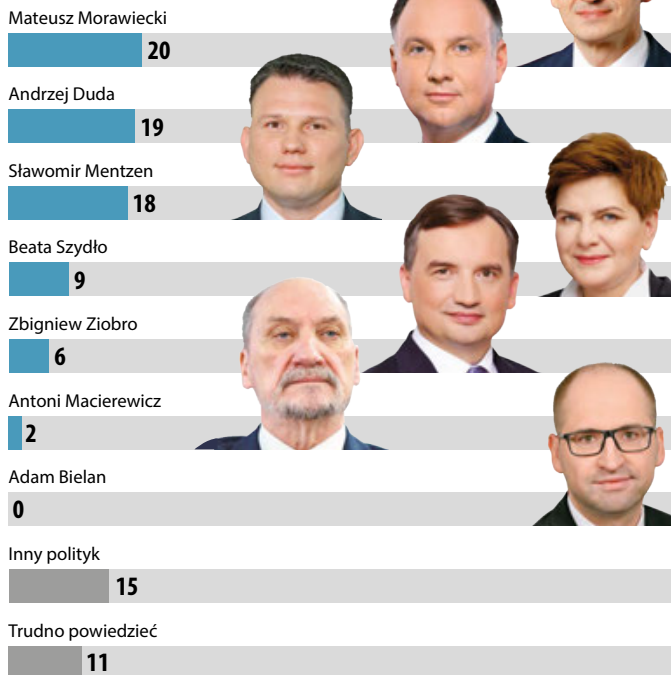
Rachuby byłej premier. Beata Szydło zdawała się dotąd bardziej popularna w elektoracie PiS niż Morawiecki, ale funkcję pełniła podobną – istnieje w pakiecie z prezesem, jako jego dopełnienie na odcinku docieplania, matkowania, swojskości i doceniania prowincji (jest wiceszefową partii). Ma w PiS swoich zwolenników, ale głównie dlatego, że coś załatwia u wyborców, a przede wszystkim nie znosi Morawieckiego. Była premier jest traktowana w partii raczej instrumentalnie, bardziej jako sprzymierzeniec w zdobyciu stanowiska po Kaczyńskim przez innych niż realny kandydat do sukcesji. Niewykluczony jest natomiast powrót Szydło na funkcję premiera. Może to zależeć od rozwoju sytuacji w Ukrainie, bo jeśli nadal będzie trwała tam gorąca wojna, premierem może zostać Mariusz Błaszczak. Albo znowu Morawiecki. Ale Szydło może też myśleć o prezydenturze.

Wierny, na tle czołgów. O Błaszczaku, ministrze obrony i wiceprezesie PiS, Kaczyński wyraża się bardzo dobrze, co frustruje innych potencjalnych pretendentów. Kiedy rezygnował z funkcji wicepremiera do spraw bezpieczeństwa, zasugerował, że Błaszczak godnie go zastąpi, także na innych niż rządowa funkcjach. Potem było to dementowane i rozwadnianie, jednak coś z tego zostało, a na wojnie w Ukrainie Błaszczak buduje się jeszcze bardziej, pokazuje na tle ciężkiego wojskowego sprzętu, imponuje kontaktami z amerykańską armią. Irytuje to inne frakcje w PiS, które uważają, że Błaszczak korzysta z niezasłużonej koniunktury, umacnia się na funkcji, którą po prostu dostał od Kaczyńskiego z rozdzielnika. Ale też wciąż mało kto w PiS wierzy, że Błaszczak wejdzie w buty Kaczyńskiego, bo jest odcinkowy, a nie całościowy, nie ma charyzmy, nie budzi emocji. Choć z drugiej strony jest oczywiste, że na miejsce obecnego prezesa nie przyjdzie jego sobowtór, że może zmienić się cała koncepcja przywództwa, a nowy szef będzie czerpał z innych źródeł politycznej siły. Dlatego Błaszczak nie jest lekceważony i bierze się pod uwagę, że w tej swojej quasi-wojskowej kurtce może nagle wkroczyć na salony pisowskiej władzy i zyskać poparcie, kiedy inne frakcje nawzajem się zablokują.

Gracz ostry, trochę zapomniany. Joachim Brudziński zrobił wiele, aby zyskać opinię człowieka „przy prezesie”. Słynne są jego fotografie z Kaczyńskim z czasu jego urlopów, które mają tworzyć wrażenie, że nikt nie może być bliżej przywódcy niż ktoś, z kim ten spędza wakacje. To robiło duże wrażenie na politykach partii, ale wyjazd Brudzińskiego do Brukseli spowodował, że wiara we wpływy obecnego europośła nieco zmalowała. Jednak Brudziński jest ostrym graczem i na pewno jako kandydat na sukcesora Kaczyńskiego nie odpuści. Ma w ugrupowaniu lojalnych ludzi, którzy mu sporo zawdzięczają, jest człowiekiem partyjnego aparatu, biegłym w wewnętrznych rozgrywkach. Problemem może być jednak wynik naszego sondażu – 1 proc. wśród wyborców PiS. Może Brudziński jako europoseł poszedł trochę w kraju w zapomnienie. Widać, że będzie się musiał mocno, z przytupem, przypomnieć, zwłaszcza wyborcom.

Mistrz powiatów. Andrzej Duda zapewne wierzy, że jego zasługi w wojnie w Ukrainie, relacje z rządem USA i przyjaźń z prezydentem Zełenskim dadzą mu po końcu kadencji w 2025 r. jakąś prestiżową funkcję w międzynarodowej instytucji. Ale to wątpliwe nie tylko dlatego, że walnie przyczynił się do łamania praworządności w swoim rodzimym kraju. Za dwa lata globalna

Która z poniższych osób mogłaby być następcą Jarosława Kaczyńskiego w roli lidera całego obozu prawicowego w Polsce? (w proc.)



rzeczywistość polityczna może się znacząco zmienić, z innym amerykańskim prezydentem, nową sytuacją w Europie, z niewiadomą dzisiaj rolą Chin, w które Duda dużo inwestuje. Ponadto Duda jest dla Amerykanów ważny jako polski prezydent i formalny zwierzchnik sił zbrojnych, w innych rolach niekoniecznie. A w Europie Duda popsuł sobie relacje często demonstrowaną antyunijną postawą.

Polskie zaś realia mogą być za dwa lata mniej więcej takie same, bo nie zmieniają się specjalnie od 2015 r. Duda już raczej nie wróci do PiS, bo nikt go tam nie chce, ale może swój ogólny kapitał zaufania jakoś politycznie spożytkować. Jeśli nowe kierownictwo PiS, po Kaczyńskim, okaże się słabe i skłócone, a partia zacznie się dzielić, to Duda, uosabiający złote lata prawicy, może nagle zyskać, założyć jakąś własną formację, nawet bez silnych struktur, i powalczyć o miano lidera całego środowiska. W PiS raczej specjalnie go nie cenią, ale na razie mają Kaczyńskiego. Bez niego mogą mieć kłopot z ogarnięciem Polski powiatowej, gdzie Duda czuje się jak ryba w wodzie. Obecny prezydent jest słaby w myśleniu politycznym, jednak dla wielu ma jakąś swojsko-przańską charyzmę, którą wywalczył sobie 10 lat w Pałacu. Kiedy skończy się jego urzędowanie w 2025 r., będzie to połowa nowej parlamentarnej kadencji. Niezależnie od tego, czy PiS będzie wówczas przy władzy, czy nie, Duda może się przydać – jeśli nie w roli lidera faktycznie rozdającego karty, bo takich talentów dotąd nie zdradził, to przynajmniej frontmana.

Ewentualny kierownik pobojuwiska. Problemem Zbigniewa Ziobry jest to, że nie ma jak zostać prezesem PiS, ponieważ jest szefem Solidarnej Polski. Najpierw musiałby być przyjęty do PiS, potem zaś zyskać poparcie ponad połowy z około półtora tysiąca delegatów na kongres. A tam jest raczej zniechęcony. Dlatego Ziobro może liczyć tylko na zupełną dezintegrację dzisiejszego

prawicowego rozdania i ułożenia go na nowo. W jego interesie jest, aby następca Kaczyńskiego był słaby, doprowadził do wewnętrznych awantur i rozłamów, w efekcie do destrukcji. Wtedy pryncypalny Ziobro, nawet jeśli w nowej kadencji już nie minister sprawiedliwości, miałby przewagę radykalizmu i brutalności, a to może się dla twardych wyborców liczyć najbardziej. Bo wiele wskazuje, że walka będzie szła właśnie o pierwotną bazę, o rodowe srebra prawicy, które uosabia dzisiaj Kaczyński, a nie o chwiejną, marketingową nadbudowę, o którą powalczy się później. W tej konkurencji Ziobro nie jest bez szans. Jeśli przed następnymi wyborami w 2027 r. zbuduje porządną prawicową jacejkę i przede wszystkim dużą część najtwardszych sympatyków dzisiejszego obozu władzy, stanie się kandydatem na lidera większego środowiska. Zwłaszcza gdyby szefem PiS został np. Morawiecki, miotający się między Brukselą a Smoleńskiem.

Radykał nowszej generacji. Jest też pytanie o Sławomira Mentzena, medialnego lidera Konfederacji. Ma szansę na stanie się może nie od razu liderem prawicy, ale wiceliderem już tak. Wszystkie odrażające poglądy Mentzena na temat środowisk LGBT, Żydów, kobiet, Unii Europejskiej dla pewnego środowiska nikną wobec jego deklaracji o wprowadzeniu niskich podatków. Pokazuje to jakieś zdziwienie demokratycznego etosu, ale to właśnie może się podobać prawicowej formacji, dla której walka z „elitarystyczną” demokracją wydaje się najważniejsza. Nihilistyczny Mentzen jawi się jako przedstawiciel nowej generacji prawicy, która przetrwała już wszystkie ataki na siebie, zneutralizowała je i oswoiła. Teraz występuje jako zupełnie nowa ideologia, ekstremalna, ale nowoczesnej. Mentzen wchłonął Korwiną i Brauna, zrobił z nich ekstrakt w nowym opakowaniu, jest trendsetterem pozbawionej już jakichkolwiek wątków etycznych prawicy. Kaczyński robił rzeczy, przed którymi wstrzymywali się demokraci, a Mentzen może robić to, przed czym wstrzymywał się Kaczyński, kiedy uzna to za skuteczne, czyli słuszne. Sprzyja mu to, co doceniał zawsze Kaczyński – pewna przychylność mainstreamowych mediów „spoza bańki”, rodzaj życzliwego zainteresowania – ojej, wzrosło Konfederacji, to prawdziwy przełom, Polska stała się inna. Mentzen jest sprytny i może to wykorzystać, skoro ludzie nabrali się wcześniej na tyle „antysystemowych” formacji. A Mentzena może spożytkować PiS.

Partia jest wieczna. Przyszłość PiS i całej prawicy w perspektywie kilku najbliższych lat nie jest więc tak jasna, jak zwykle się sądzić. Prezes przed odejściem zapewne wskaże swojego sukcesora i to może być decydujące, choć pewności nie ma. Dla Kaczyńskiego zawsze najważniejsza była partia, jej organizacyjna zwartość i sterowalność. Wybory się wygrywa i przegrywa, ale partia ma być wieczna. Nowy prezes zatem musi być mocno osadzony, mieć posłuch, prezentować odpowiednią bezwzględność i biegłość w partyjnych rozgrywkach. Ktoś taki jak Brudziński. Ale bardziej znany i doświadczony w pracy państwowej jest Morawiecki, zaś całkowicie lojalny i przewidywalny Błaszczak. Szydło jest lubiana, ale partii nie ogarnie. Jeśli po wyborach PiS znajdzie się w opozycji, rosną szanse Brudzińskiego, jeśli prawica będzie nadal rządziła, wskazówka przesuwana się w kierunku Morawieckiego, Błaszczaka i Szydło. Jest zatem wiele niewiadomych, choć jedno jest pewne: po rezygnacji Kaczyńskiego nic już w polskiej polityce nie będzie takie samo.

MARIUSZ JANICKI

Badanie zostało zrealizowane przez Kantar Public w dniach 11–13 kwietnia 2023 r. za pomocą wywiadów telefonicznych CATI, próba reprezentatywna, dorosłych Polaków. Liczebność próby = 1501.

Rzeczpospolita Polska



Granica Państwa

ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK

Zaorani przez zboże

Rząd na blisko tydzień zamknął granicę dla ukraińskiego zboża i żywności, ryzykując bezpieczeństwo Ukrainy, kary z Brukseli i wyższą inflację w kraju. Ale pozostanie przy władzy nie ma ceny.

NORBERT FRĄTCZAK

Przejście graniczne w Dorohusku, cztery dni po wprowadzeniu zakazu importu zboża i żywności z Ukrainy. – *Jeszcze do niedawna miałam tu kotchoz, a dziś od rana tylko jeden klient* – mówi ekspedientka w przygranicznym sklepie spożywczym. Na pasach po polskiej stronie czeka kilkadziesiąt ciężarówek. Co jakiś czas zapala się zielone światło, szlaban idzie w górę, a tir leniwie przetacza się w kierunku Ukrainy. Do nas też wjeżdżają, ale rzadziej. – *Tak jest od początku tygodnia* – wyjaśnia

sprzedawczyni, pieląc fiołki przed spożywczakiem. – *Dla mnie dobrze, płacą mi od godziny.*

Sebastian, rolnik z kolonii Okopy, cztery kilometry od granicy, stoi przy drodze i liczy. – *15 ciężarówek w ciągu godziny. Mało. Chyba rzeczywiście pisowcy coś zrobili* – rzuca, nie odrywając wzroku od ulicy. Za każdym razem, gdy w oddali pojawia się wóz z naczepą, mruży oczy złowrogo. W magazynie za ogrodzeniem ma kilkadziesiąt ton zboża, które szkoda mu sprzedać, bo za tania. Winą obarcza w szczególności byłego już ministra Henryka Kowalczyka, który po ubiegłorocznych żniwach zachęcał rolników, żeby przetrzymywali ziarno, bo później dostaną za nie więcej. – *Wtedy bym sprzedała półtora tysiąca za tonę. Dziś dają 800 z groszem. Psu na budę taka robota* – sumuje.

Jan Kalina z Nowosiółków, 30 km dalej, się z nim zgadza: – *10 lat temu była podobna sytuacja. Skupy dawały za mało, więc przezimowałem pszenicę i tak na tym wyszedłem, że synowi chałupę postawiłem. A teraz – 200 ton zboża w magazynie, część z niego już drugi rok, i słabe perspektywy, że z niego zejść. Chyba że rzeczywiście dadzą dopłaty, to za 1400 sprzedam.*

– *A jak nie dadzą?*

– *Pewnie się ugnę i sprzedam za półdarmo, nie będę przecież czekał, aż się zepsuje. Ale liczę, że nie będę musiał. Mniej tirów tędy ostatnio jeździ, do niedawna tyle ich było, że z trudem włączyłem się do ruchu.*

Do jednej bramki z Putinem

Pełne magazyny firm paszowych i rolników oraz niska cena zboża to obecnie dla PiS problem numer jeden. Partia Kaczyńskiego, której politycy wielokrotnie podkreślali, że to dzięki głosom wsi wygrywają wybory, może przez to stracić władzę. Rolnicy protestują i pomstują na rząd, bo dla ukraińskiego zboża mieliśmy być krajem tranzytowym, a zostało w Polsce.

Żeby temu zaradzić, PiS zdecydował się na najbardziej radykalne rozwiązanie – 15 kwietnia podczas partyjnej konwencji w miejscowości Łyse koło Ostrołęki Kaczyński ogłosił zakaz przywozu z Ukrainy produktów rolnych i żywności.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem w Dzienniku Ustaw opublikowano stosowne rozporządzenie. Na liście produktów, których nie można przywozić, prócz rolnych znalazły się też m.in. owoce i warzywa, cukier, mleko i przetwory mleczne, jaja, drób i inne mięsa, wino oraz miód. Czyli w sumie niczego nie można by przewieźć, a żeby nie było wątpliwości, punkt ostatni mówił o „pozostałych produktach”. Embargo miało obowiązywać do 30 czerwca.

Zakaz był niezgodny z prawem unijnym i szalenie niekorzystny dla naszego wschodniego sąsiada. Ministerstwo polityki rolnej i żywności Ukrainy niemal od razu wyraziło ubolewanie z powodu podjęcia przez „polskich kolegów” decyzji, którą określiło jako „jednostronne kardynalne działania”. „Rozumiemy trudną konkurencję, która była wynikiem blokady ukraińskich portów. Ale dla całego świata i dla każdego człowieka na tym świecie jest oczywiste, że ukraiński rolnik ma najtrudniejszą sytuację” – mówił Mykoła Solski, minister rolnictwa Ukrainy.

Śladem Polski poszły też orbanowskie Węgry, Bułgaria i Słowacja. – *To silnie zwiększyło pozycję negocjacyjną Rosji w porozumieniu zbożowym na Morzu Czarnym* – zauważa w rozmowie z POLITYKĄ Jakub Olipra, ekspert ds. sektora rolno-spożywczego banku Credit Agricole. Tzw. umowa zbożowa między Ukrainą i Rosją, wynegocjowana przez ONZ i Turcję, umożliwiająca eksport ukraińskiego zboża drogą morską, wygasa 18 maja. – *Umowa jest renegocjowana co kilka miesięcy, Rosja już*

kilkakrotnie groziła jej zerwaniem. Zablokowanie ukraińskiemu zbożu drogi lądowej przez Europę mocno podbija stawkę i jest jednoznacznie korzystne dla Rosji – tłumaczy.

W Łyse Kaczyński obiecał też skup ziarna od rolników za minimum 1,4 zł za tonę (ci, którzy zdążyli je już sprzedać po cenie rynkowej, mają dostać wyrównanie), a także dopłaty do nawozów, paliwa i budowy magazynów. Partyjna telewizja szybko ochrzciła te obietnice mianem „konkretów Kaczyńskie-go”. Tymczasem do zamknięcia tego numeru POLITYKI nie było jasne, czy dopłaty do skupu zboża będą liczone od tony – jak zapowiedział Kaczyński – czy od hektara, jak kilka dni później poinformował w Polskim Radiu minister Telus.

– *A to znacząca różnica* – uważa Marek ze wsi Stołpie, który zaprasza do magazynu i odsłania przyzmy z pszenicą. – *Mamy z żoną 150 ton niesprzedanego ziarna, ale tylko 12 ha pola na własność, bo resztę użytkujemy. I teraz pytanie: czy dopłata będzie się należeć nam czy człowiekowi, od którego dzierżawimy? Żona dodaje, że ona i tak średnio w te dopłaty wierzy. – Obiecują, żeby odzyskać naszą przychylność, a jak przyjdzie do płacenia, to powiedzą, że Unia nie pozwoliła i tyle z tego będzie* – twierdzi.

Pod koniec ubiegłego tygodnia marszałek Sejmu Elżbieta Witek ogłosiła, że na 9 maja zwoła dodatkowe posiedzenie Sejmu. Parlamentarzyści mają się na nim zająć ustawami pomocowymi dla rolników. Marszałek stwierdziła, że do Sejmu wpłynął na razie jeden projekt ustawy, dotyczący podniesienia kwoty zwrotu akcyzy za litr oleju napędowego z 1,20 zł do 1,46 zł (premier Morawiecki zapowiedział też wystąpienie o zgodę Komisji Europejskiej na przeznaczenie kolejnych 54 gr do litra). „Ale ja czekam na te pozostałe, tak żeby to był komplet. To będą pewnie krótkie ustawy, ale bardzo ważne dla rolników” – oświadczyła Elżbieta Witek.

Plombowane i śledzone

Jakub Olipra zauważa, że wbrew temu, co sądzą rolnicy, niskie ceny zboża na polskim rynku nie są jedynie wynikiem importu z Ukrainy. – *Największe znaczenie dla kształtowania się cen zboża, także w Polsce, ma francuska giełda MATIF. A tamtejsze ceny wcale nie odbiegają za bardzo od tych polskich. Dlatego embargo na ukraińskie produkty rolne niekoniecznie sprawi, że ceny ziarna w Polsce wrócą do poziomu, jakiego oczekują rolnicy. Podobnie wygląda sytuacja z drobiem i jajami. Polska została dotknięta skutkami ptasiej grypy. Bez drobiu i jaj z Ukrainy wzrost cen byłby wyższy. Rolnicy i producenci drobiu może i skorzystają teraz na dopłatach i blokadzie importu, ale odbędzie się to kosztem konsumentów, czyli nas wszystkich, zmuszonych płacić więcej za produkty w sklepach.*

Rządzący musieli mieć tego świadomość, a jednak dla własnego wyniku wyborczego zdecydowali się zaryzykować wyższą inflację, kary z Brukseli i bezpieczeństwo Ukrainy. Na szczęście po kilku dniach zrezygnowano z embargo na rzecz innego rozwiązania. W ubiegły wtorek minister rolnictwa Robert Telus zapowiedział, że transporty ukraińskiego zboża, jajek, drobiu i produktów pszczelich będą konwojowane, plombowane i śledzone za pomocą nawigacji satelitarnej, dzięki czemu będzie można sprawdzić, czy rzeczywiście opuściły Polskę. Konwojowaniem mają się zająć służby celno-skarbowe, a jeżeli ukraińscy przewoźnicy lub firmy naruszą zasady tranzytu, to zostaną im odebrane licencje (zobowiązała się do tego strona ukraińska). Tranzyt na tych zasadach został wznowiony w piątek i będzie obowiązywał do końca czerwca. ►

► Pomysł nie jest nowy, bo były minister rolnictwa Henryk Kowalczyk wspominał o nim już w marcu. Można było to zrobić bez narażania się Unii Europejskiej i straszenia Ukrainy kilkumiesięcznym embargiem.

Zdążyć przed zniwami

Pozostaje jeszcze kwestia, co zrobić ze zbożem, które obecnie zalega w polskich magazynach. Jeżeli nie uda się go wywieźć do czasu najbliższych zniw, protesty rolników nabiorą nowej mocy. To nie będzie łatwe: od wybuchu wojny do Polski mogły wjechać 3–4 mln ton zboża z Ukrainy. Do tego dochodzi ziarno zmagazynowane u krajowych rolników. Tymczasem przepustowość polskich portów wynosi maksymalnie 700–750 tys. ton miesięcznie. Mirosław Marciniak, analityk firmy zbożowej InfoGrain, opublikował na Twitterze dane, z których wynika, że średnie przeładunki zbóż w polskich portach w tym sezonie to 450 tys. ton.

– *Na jednym ze spotkań minister Telus zapytał, czy bylibyśmy w stanie zwiększyć tę liczbę do miliona ton. Jeden z eksporterów powiedział, że w jego 30-letniej karierze nie było takiego miesiąca* – mówi Monika Piątkowska, prezes Izby Zbożowo-Paszowej. I dodaje, że według jej szacunków do końca lipca jesteśmy w stanie wywieźć z Polski nie więcej niż 3 mln ton nadwyżki.

Pomóc mogłby terminal zbożowy w Gdańsku. Uchwałę w sprawie jego budowy rząd przyjął w lipcu 2022 r. Port miał być gotowy w ciągu półtora roku. „Prowadzone są rozmowy handlowe z podmiotami, które są zainteresowane inwestycją w terminal zbożowy w naszym porcie. Jednak to biznes musi zdecydować, czy jest to odpowiedni moment, i dać impuls do powstania takiej inwestycji na danym terenie” – przyznała w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” rzeczniczka Portu Gdańsk. Tylko że jak na razie nie ma wielu chętnych.

„Musimy wyeksportować ok. 4 mln ton i to zrobimy. Spotkałem się z eksporterami – problemem nie są porty i kolej, ale brak zainteresowania rolników sprzedażą zboża” – mówił na antenie Radia Zet minister Telus. Monika Piątkowska potwierdza: rolnicy od trzech tygodni praktycznie w ogóle nie sprzedają swoich plonów. – *I nie ma się im co dziwić. Czekają na konkretne decyzje w sprawie dopłat: ile dostaną, w jakim trybie i od kogo* – tłumaczy.

Poszukiwanie winnego

Jedno jest pewne: nadwyżki nie uda się wywieźć bez współpracy z polskimi przedsiębiorstwami obracającymi zbożem. Tymczasem PiS próbuje z nich uczynić kolejnego winnego tego kryzysu, obok Władimira Putina i Unii Europejskiej. Dzień przed wprowadzeniem embarga „Wiadomości” TVP w swoim materiale stwierdziły, że „nawet 20 proc. firm należących do Izby Zbożowo-Paszowej mogło rzeczywiście zarobić na ukraińskim zbożu”. Które dokładnie? Henryk Kowalczyk poinformował, że taka czarna lista istnieje, ale konkretów nie ujawnił.

A gdy do sprawy włączył się Zbigniew Ziobro, powołując zespół śledczy badający „proceder nielegalnego wwozu do Polski zboża i ewentualnie innych produktów z Ukrainy”, wystraszły się wszystkie firmy handlujące zbożem, nawet te, które

nie miały nic wspólnego z tzw. zbożem technicznym, jak rząd nazywa ziarno, które nie przeszło badań jakości. – *Każdy się dziś boi komentować sprawę ukraińskiego zboża. Nawet anonimowo. Dzisiaj jesteśmy, jutro nas nie będzie* – mówi szefowa jednej z firm dostarczających pasze dla zwierząt.

Uczestnicy protestów rolniczych twierdzą, że na ukraińskim zbożu obłowił się głównie Cedrob, największy obecnie w kraju koncern produkujący pasze, drób i mięso. Firma ma bliskie związki z PiS, sponsoruje ważne dla niej imprezy, jak Człowiek Wolności Tygodnika „Sieci” czy Człowiek Roku „Gazety Polskiej”.

Dlatego partia Kaczyńskiego próbuje przekierować tropy na Izbę Zbożowo-Paszową oraz jej prezeskę Monikę Piątkowską, która jest też przewodniczącą mazowieckiego koła Polski 2050. Rzecznik PiS Rafał Bochenek odniósł się niedawno do klipu Donalda Tuska opublikowanego na jego Twitterze, w którym przewodniczący PO zacytował Piątkowską. Bochenek przypomniał, że przed przystąpieniem do Hołowni była działaczką PSL.

– *Bardzo mało honorowe zachowanie: opluwać przedsiębiorców i jednocześnie prosić ich o pomoc* – komentuje w rozmowie z POLITYKĄ Piątkowska. I dodaje: – *Bez względu na to, czy ten rząd i jego metody nam się podobają, i tak zrobimy wszystko, żeby wywieźć z kraju tyle zboża, ile jesteśmy w stanie. To nasz obowiązek względem rolników, ale także konsumentów. Będziemy też twardo egzekwować obietnice wsparcia dla eksporterów. Ale z drugiej strony pomagamy się, żeby ministerstwo odcięło się od tych haniebnych wypowiedzi, oczekujemy też przeprosin od osób i podmiotów, które się dopuściły pomówień.*

Artur Balazs, minister rolnictwa w rządzie Jerzego Buzka i minister ds. warunków życia na wsi w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, a także rolnik produkujący na rynek, ma jeszcze inne skojarzenie.

– *W czasach słusznie minionych, gdy przedsiębiorcy w miarę wiodło się w biznesie, władza robiła z niego spekulanta. Dziś próbuje się przypiąć taką łatkę firmom działającym na rynku zbożowym* – mówi. Choć podkreśla, że jeżeli jakaś firma kupowała z Ukrainy pszenicę bez badań jakości i mieszała ją z naszą, to bez żadnych wątpliwości dopuściła się przestępstwa.

Rządzącym bardziej niż na skutecznym rozwiązaniu kryzysu zbożowego zależy na przedłużeniu władzy. Dlatego nowy minister rolnictwa przemawia do działaczy rolniczej Solidarności w żółtej kamizelce, mającej przypominać te protestujących, i zapewnia, że zakłada ją „nie dla szpanu”, tylko żeby pokazać, że jest jednym z nich. Ale opozycja nie odpuszcza „afery zbożowej”. Donald Tusk zaprosił na swoje wystąpienie w Białej-Podlaskiej Wiesława Grynia, lidera stowarzyszenia Oszukana Wieś. Ten przypomniał, że to lider Platformy jako jeden z pierwszych głośno powiedział o problemach, jakie czekają Polskę w związku z niekontrolowanym napływem zboża z Ukrainy.

Wygląda na to, że PiS, wrzucając do Sejmu pakiet ustaw, mających uspokoić wieś i rozładować kryzys, próbuje manewru, który przeciwiczył na opozycji podczas próby odzyskania pieczęty z KPO: musicie nam pomóc, bo tego wymaga racja stanu, ale jeżeli się nie uda, to będzie wasza wina.

NORBERT FRĄTCZAK





Gorzki miód

Rozmowa z aktorem

Maciejem Stuhrem o tym, jak nie dać się pokonać ojczymowi narodu i jak kochać własnego ojca, nawet kiedy narozrabia.

JULIUSZ ĆWIELUCH: – Gdzie się podział Maciej Stuhr, aktor z barykady wolności?

MACIEJ STUHR: – Jest tam, gdzie dzieją się dla niego rzeczy istotne. Robię to, co daje mi poczucie sensu i sprawstwa.

Czyli?

Sporo pracuję, gram, piszę swój stand-up. Czasem uciekam sobie to tu, to tam, otaczam się wspaniałymi ludźmi. Wciąż sporo pomagamy innym, czwarty rok gościmy kolejnych uchodźców. Czasem coś opublikuję. Ale gdyby przeszedł pan moje media społecznościowe, to jest tam coraz mniej o polityce. Wszyscy, którzy mnie obserwują, wiedzą, jakie mam poglądy na temat tej władzy i jej działań. Tylko że poza dawaniem otuchy podobnie myślącym i odczuwającym całe to moje udzielanie się niewiele zmieniło.

Mebujemy się w d...?

Przeczytałem w internecie takie zdanie: „Pszczółki nie tracą czasu na tłumaczenie muchom, że miód jest lepszy od gówna”. I to jest moje credo na dziś.

Niby o miodzie, ale jakoś gorzko to zabrzmiało.

Gorycz może kojarzyć się z frustracją, z jakimś poczuciem przegranej, a ja nie mam poczucia, że moje życie jest przegrane. Mam fajne życie. Ale są wśród nas ludzie, którzy uważają, że ta władza też jest fajna. Czyli widocznie po prostu „My, naród” to jest coś zupełnie innego, niż mnie i moim ziomkom się wydawało. Mam wrażenie, że kilka lat temu obudziliśmy się z jakiegoś pięknego snu o samych sobie.

Graliśmy takich fajnych, żeby nas wpuścili do Unii, a później zdjęliśmy maski?

Gdy patrzę, jak bardzo teraz Ukraińcy marzą o Unii, o Europie, to coś mi się przypomina. Po upadku PRL byliśmy wymęczeni tym Wschodem, parliśmy za wszelką cenę na Zachód. Mieliśmy w sobie jakieś ogromne pragnienie Zachodu, które czuliśmy, że w nas jest, i bardzo chcieliśmy móc się w tym odnajdywać. I wydawało się, że wszyscy będziemy szli w tym kierunku. I to było bardzo usypiające. Dziś okazuje się, że to nasze ►

© ROBBY CYRON/WYDAWNICTWO ZWIERCADŁO

Maciej Stuhr (rocznik 1975) – aktor, reżyser, wykładowca, konferansjer i nie tylko. Od wielu lat aktywnie zaangażowany w sprawy społeczne.

► zawieszenie pomiędzy Wschodem a Zachodem jest niezwykle głębokie. I niezwykle tragiczne, bo nie mamy jasnej identyfikacji.

Tragizm polega na tym, że nie pasujemy do Zachodu, a nie chcemy być kojarzeni ze Wschodem?

Właściwie tak. Moja młodsza siostra od paru lat mieszka w Niemczech. Jej refleksje z układania tam sobie życia są dla mnie źródłem wielu ciekawych przemyśleń. W Niemczech, kiedy zbliżają się ferie albo wakacje, to na dworcach i na lotniskach stoi policja. I jeżeli widzą w dzień powszedni rodzinę z dzieckiem, to podchodzą i pytają, co to dziecko tutaj robi. I jeśli nie ma zaświadczenia ze szkoły, że jest to przedmiotem jakiejś ważnej sprawy, to na sygnale zabierają dziecko i wiozą do szkoły. Kiedy usłyszałem tę historię i kiedy opowiadam ją moim podobnie myślącym przyjaciółom, to nawet ci najbardziej prozachodni z nas mówią, że to jednak przesada. Generalnie chcemy być Zachodem, ale po co wołać policję do źle wyrzuconego papierka, jak w Szwajcarii. Uważamy, że nasi zachodni sąsiedzi chyba poszli za daleko. Pomyślałem sobie, że ta nasza reakcja, w tym moja, to jest właśnie ten powiew Wschodu.

I o czym to jest?

O tym, że to nie jest tak, że ja jestem jakiś superzachodni, a ktoś z małej miejscowości i gorzej wykształcony nie rozumie, w którą stronę powinniśmy iść. Ten Wschód w nas wszystkich gdzieś tam głęboko tkwi. Na różnych poziomach i różnie to manifestujemy. Ale jest w nas to zawieszenie.

Co to jest polskość?

Wyłgam się od odpowiedzi na to pytanie. Zwłaszcza że chyba każdy ma inną wizję tego stanu, bo polskość jest niewątpliwie stanem umysłu. Wyłgam się, tym bardziej że coraz częściej boleśnie się przekonuję, że kiedy mówię: *my* albo *wszyscy*, to okazuje się, że nie tylko nie wszyscy, ale w ogóle mniejszość, a czasami nawet duża mniejszość.

W tym wypadku mówi pan głosem większości.

Większości, która – jak wynika z sondaży – ma wrażenie, że PiS wygra kolejne wybory. Dlaczego opozycja przestaje wierzyć w swoich kandydatów?

Pionier amerykańskiej architektury hi-tech Buckminster Fuller powiedział: „Nigdy nie zmienisz świata, walcząc z obecną rzeczywistością. Żeby coś zmienić, musisz zbudować nowy model, który sprawi, że istniejący stanie się przestarzały”. Spora część z nas doskonale potrafi powiedzieć, co jest nie tak, co jest skandaliczne, co się w głowie nie mieści i co absolutnie nie powinno się wydarzać. Ale mamy wciąż kłopoty ze sformułowaniem nowej wizji, za którą wszyscy chcieliby pójść, jakiej Polski chcemy.

Przedpisowskiej?

W Polsce przedpisowskiej mój kolega wziął kredyt oparty na WIBORZE, bo doradca mu powiedział: „Panie Marku, to jest WIBOR. Żeby to drgnęło, to by musiała przyjść jakaś wojna albo pandemia”. Tamtego świata już nie ma i im szybciej to rozumiemy, tym prędzej i lepiej sobie poradzimy z tym obecnym.

Filozof Wojciech Markiewka mówi, że problem jest w narracji.

Zamiast mówić ludziom, że nie wjadą autem do centrum miasta, trzeba tłumaczyć, że dostaną szybką i tanią komunikację, dzięki której nie będą stali w korkach, płacili bajorńskich sum za parking, i to pod warunkiem że w ogóle uda im się zaparkować. Może to jest pomysł na to, jak zmieniać, a nie wkurzać się, że naród głupi i nie słucha.

Gdyby 15 lat temu powiedział mi pan, że będę jeździł autobusem na zajęcia ze studentami, tobym pana wyśmiał. Dziś bardzo sobie to chwalebę. Jednak wymagało to zmiany mojej świadomości

i przyzwyczajęń. Można promować różne pomysły i modele życia i my – użyję tego okropnego słowa – celebryci chętnie weźmiemy w tym udział. Problem w tym, że po pierwsze, PiS ma kluczowe dla postaw większości media, a po drugie, nienawidzi z góry każdego tematu, który my podejmiemy. Czasem serio się zastanawiam, czy nie powinniśmy być sprytniejsi i np. celowo propagować zwiększenia ruchu aut w centrach. Wtedy oni z pewnością natychmiast zaczęliby promować jego ograniczenie.

To nie gra, tylko gierka polityczna.

Jeśli chodzi o gry polityczne, to o jakiegokolwiek grze mówimy, PiS jest w tym lepszy, bo bez zażenowania zmienia od razu reguły. Trochę tak, jakbyśmy wszyscy biegli w sztafecie, a tu nagle jeden zawodnik, zamiast przekazywać pałeczkę następnemu, zaczyna walić nią przeciwników po głowach. Skonsternowana reszta zawodników nie wie, co z tym zrobić, stara się biec dalej, a ten krzyczy, że wygrał. A jego telewizja to potwierdza. Nie umiemy grać w tę grę.

Pan widzi jakąś nadzieję?

Mam wrażenie, że PiS nie potrafi „grać w młódzież”. Oni po prostu nie kupują tego dziaderstwa, którym Jarosław Kaczyński karmi swoich wyborców. Chodzę czasem na spotkania z młodzieżą w liceach. Głównie w Warszawie, która jest oczywiście absolutnie niereprezentatywna dla reszty kraju. Ale ta młodzież, którą tam widzę, to czarny sen ministra Czarnka i jego prezesa. Są takie klasy, w których nie potrafię określić płci połowy z tych dzieciaków. Oni żyją, ubierają się i myślą tak, jak chcą. Nawet dla mnie jest to jakieś wyzwanie, żeby się odnaleźć w ich spojrzeniu na świat. Myślę, że nadzieją jest to, że przyjdzie pokolenie, które nie będzie się kłócić o to, czy był zamach, czy też nie. A to z tego prostego powodu, że będzie miało to głęboko w nosie.

Chłopcy z pomalowanymi paznokciami wywoływali we mnie jakiś sprzeciw, jakiś zły odruch. Teraz widzę, że to jest ich rewolucja, ich bunt, bez którego jedno pokolenie nie może się odciąć od drugiego.

Żyjemy w czasach, w których na jedną rewolucję nakładają się kolejne. Na rewolucję cyfrową nakłada się rewolucja płciowa, dokonuje się wyzwolenie kobiet. Dodatkowo mamy wojnę za wschodnią granicą i gigantyczny kryzys humanitarny na tej samej granicy. W polskich lasach umierają uchodźcy. Jeszcze niedawno byłoby to absolutnie nie do wyobrażenia. Ludzie zastygają w swoich emocjach, obojętnieją. Ledwo zdążyli się oswoić z groźbami ataku nuklearnego, a już ich straszą sztuczną inteligencją, która chyba nawet zdaniem Elona Muska może popchnąć świat w stronę zagłady.

Zabije nas własne dziecko. Co do kłusujących dzieci, to nie oszczędził pan nawet własnego ojca z tym żartem o osle.

Nie traktuję żartów jako formy ataku. To mój ojciec powiedział mi, że jak chcę się śmiać z ludzi, to w pierwszej kolejności muszę się nauczyć śmiać z siebie.

Do dziś pamiętam pana żart, jak zdawał pan do szkoły teatralnej, a przewodniczący komisji był niemły. Tak niemły, że aż musiał mu pan powiedzieć: „Tato, daj spokój”!

Ja świadomie tak zaplanowałem swoją karierę, żeby nie wisić na ojcu i nie wozić się na nazwisku. Najpierw poszedłem na psychologię. Równocześnie robiłem swój kabaret i grywałem w filmach. Dopiero później zdecydowałem się na zdawanie do szkoły teatralnej, do czego zresztą ojciec gorąco mnie namawiał, skoro już chciałem być aktorem. My obydwaj bardzo się lubimy. Proszę pamiętać, że kilka lat temu, na tej samej scenie,



wręczałem mu Nagrodę za Osiągnięcia Życia i wygłaszałem laudację. Narobił głupot, to mnie wkurza, jest mi z tym źle, czuję upokorzenie – więc żartuję, bo żarty mi pomagają w życiu. Ale pozostaje dla mnie autorytetem, bo wiem, jak ciężko pracował, żeby osiągnąć to, co osiągnął.

To był bardziej ojciec czy znany aktor?

Może nie taki ojciec, z którym dzień w dzień grało się w piłkę. Ale i to się zdarzało, na tyle, na ile pozwalała jego partycypacja w dziecięcym świecie. Nie sądzę, żeby wiedział, do której chodziłem klasy, ale wśród rodzin mi znanych i moich kolegów przeważnie tak było, że ojcowie byli nieobecni. I nikt się specjalnie nie zastanawiał, że ich nie ma. Z pewnością trudno to porównywać z tym, jak dziś ojcowie próbują funkcjonować w rodzinie. W moim dzieciństwie ojcowie wkraczali w życie dzieci w jakichś kluczowych momentach, najczęściej kiedy trzeba było przywrócić nas do pionu. Nigdy chyba nie poruszaliśmy tematów osobistych, o uczuciach w ogóle nie mówiąc. Dla tamtego pokolenia to jest jakaś czarna magia. Nikt im nie dał narzędzi do takich rozmów.

Pan go teraz broni czy atakuje?

Boże, czy dziś naprawdę w świecie nie ma już niczego pomiędzy obroną a atakiem? To wielkie kłamstwo naszych czasów. Nienawidzę tego. Ja prawie zawsze mam w sobie różne uczucia. Nie tylko miłość albo nienawiść. A dziś wszyscy żądamy od siebie jasnych, często ekstremalnych odpowiedzi. Papier: tak czy nie? Aborcja? Kaczmarek? Uprzejmie proszę, odpier... się z tym ode mnie. Nienawidzę, że mój stary wsiadł za kółko po kielichu, ale kocham, że mnie tyle nauczył i w dużym stopniu ukształtował. Atakując ojca, atakowałbym samego siebie. Dziś jest już starszym i bardzo schorowanym panem, który po wielu latach zawodowej szarpaniny osiadł w domu, i to jest trudne i dla niego, i dla rodziny.

Pan jest ze mną szczery, ale równocześnie bardzo oszczędny.

A ja mam wrażenie, że mówię za dużo. W dzisiejszych mediach funkcjonuje się według zasady: wszystko, co powiesz, zostanie wykorzystane przeciwko tobie. Nawet niewinne wyznanie wyrwane z kontekstu staje się tabloidowym nagłówkiem, jakąś bzdurą, do której dokleja się kolejne bzdury. Jakiej szczerości pan oczekuje?

Takiej, jaka mnie męczy. Staram się być dobrym ojcem, ale nie mam poczucia sukcesu, a pan?

To nigdy nie jest do oceny na tu i teraz. Mam dorosłą córkę z pierwszego małżeństwa i różne były pomiędzy nami perypetie. Trauma rozstania rodziców powodowała, że bardzo różnie się między nami działo. Czasami cudownie i w przyjaźni, a czasami okropnie darliśmy koty. Do dziś próbujemy sobie te relacje układać. Czasami trzeba je zresetować, niemal do zera.

Pan jest psychologiem, panu chyba jakoś łatwiej to zrozumieć.

Przeczytanie paru książek i udział w kilku wykładach nie załatwia sprawy. Inaczej jest się ojcem w wieku 20 i 40 lat. To jest właściwie nieporównywalne. W moim wypadku ewidentnie na plus dla starszego ojca. Moje przygotowanie osobowościowe, mentalne, balans pomiędzy życiem a karierą. Plus inny model rodziny, którą tworzyłem z pierwszą żoną, w porównaniu z tym, który tworzę dziś. Te moje dwa ojcostwa, a właściwie trzy, bo jestem ojczymem 12-letniego Stasia, który jest synem mojej żony z pierwszego związku, wszystkie są inne. O czym zresztą przez sześć lat pisałem felietony.

Często pytam rozmówców, czy ich ojciec powiedział im: kocham cię. Kolekcja tych, którzy to usłyszeli, jest kameralna.

W najnowszej książce Houellebecqa jest taka scena, kiedy syn jedzie do ciężko chorego ojca. Jedzie, żeby sobie wszystko z nim wyjaśnić, wygarnąć mu. I kończy się na tym, że milczą przez parę godzin, patrząc na piękny ogród. Bardzo tę scenę rozumiem i umiem ją sobie wyobrazić. Ta niemoc rozmawiania o uczuciach nie dotyczy przecież tylko naszych ojców, ale i nas. Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które uczy się trudnej sztuki mówienia o swoich potrzebach.

I to na trzeźwo, a nie po pijaku i na zasadzie – kocham cię, mordo.

Mam nadzieję, że kiedy spotkamy się za dziesięć lat, to nie tylko będzie nam łatwiej o tym rozmawiać, ale nie będzie w tym nic niezwykłego. Kobiety jakoś dużo szybciej odrabiają te wszystkie lekcje, które przynosi współczesna cywilizacja, i one jakoś się w tym wszystkim lepiej odnajdują. Siła kobiet robi swoje. One mówią swoim językiem. Moja mama jeszcze tak nie potrafiła.

To że wydarzyło się niedawno, właściwie dwa lata temu.

Wydarzało się już wcześniej, ale dwa lata temu pękło. Tak jak, mam wrażenie, coś pęka w facetach, ale to nie będzie łatwy ani szybki proces. Chłopaki – jak wiadomo – nie płaczą. A przecież też by chcieli. Ale w sumie nie wiedzą, czy im wolno, czy nie.

Tymczasem kobiety są już gdzie indziej. Mówią o swojej literaturze, kobiecym filmie, o tym, jak są dyskryminowane i jak walczyć z przemocą. To jest jedna z tych wielkich rewolucji, które ciągle spowija mgła, i nie wiemy, jak się zakończą i jak wpłyną na nasze dzieci.

Kupujecie chłopcom pistolety?

Należymy do tych rodziców, którzy nie kupują, a synowie i tak ich mają mnóstwo. Moim zdaniem te zaginione skarpetki jakoś magicznie przemieniają się w zabawkowe pistolety. Z czym przestaliśmy już walczyć.

A o co walczyć?

Skupiamy się na sprawach fundamentalnych. Długo zastanawialiśmy się z żoną, jak nie popsuć tych dzieci już na wstępie i uświadomić im, że nasz luksusowy samochód to nie jest dobro powszechne, że to w ogóle jest jakieś dobro, i że nie spadło z nieba. Tak jak wakacje nad włoskim morzem są luksusem, a nie czymś oczywistym. My, dzieci PRL, łatwo wyłapywaliśmy, co jest w standardzie, a co jest luksusem. A dziś to może być zachwiane przez sam fakt, że jest. Kiedy otworzyliśmy nasz dom na uchodźców, na ludzi, którzy przychodzili do nas z lasu, to dla naszych dzieciaków była cenna lekcja życia. Ja nawet zaczynam myśleć, że to my więcej na tym zyskiwaliśmy. Dawaliśmy komuś dach nad głową i jedzenie, a on nam lekcję życia, pokory, cierpliwości, empatii. Dla moich dzieci nie jest abstrakcją, że istnieją na świecie ludzie, którzy mają gorzej. Oni doświadczają kontaktu z takimi ludźmi. Widzą, jak skomplikowane potrafi być życie i gdzie są priorytety.

Te doświadczenia z uchodźcami to nie jest przecież sielanka.

Nie. Ale per saldo to są dobre doświadczenia. Mnie osobiście bardzo pomogły w walce z tą polityczną frustracją. Bardzo długo nie potrafiłem dostrzec własnej sprawczości. Czujęm beznadzieję, a nagle okazało się, że sam mogę zmieniać świat na lepsze. Nie czekać, aż załatwi to za mnie ten wymarzony rząd, którego ciągle nie mam. Było to bardzo uzdrawiające uczucie. Poczujęm, że coś realnie robię, a nie tylko wrzucam kolejnego tweeta.

Tylko że to nie jest masowy odruch. Masowe jest przyzwolenie na to, żeby w polskich lasach były trupy uchodźców.

Produkujemy miód. Nie mamy innego wyjścia.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CŹWIELUCH





Co z tą lewicą

Lewicę można stawiać za wzór dobrze zorganizowanej formacji politycznej. Tyle że niedużej, bo już od wielu lat nie rośnie ponad stan przetrwalnikowy. Czy lewica w Polsce ma jeszcze szansę na wejście do najwyższej ligi?

RAFAŁ KALUKIN

To obecnie najdyskretniejsza formacja na scenie. Niby twardo się trzyma opozycyjnego szyku, ale tylko sporadycznie zdarza jej się wychodzić przed szereg i wyraźnie nie odczuwa potrzeby licytowania się na wyrazistość. Wzajemnych połajanek, będących od jakiegoś czasu elementem pejzażu opozycji, próbuje unikać, może z paroma wyjątkami na Twitterze. Zamiast tego uprawia programowe poletko, skupiając się na sprawach, które wyborcy zazwyczaj wskazują w badaniach jako najważniejsze, chociaż tak naprawdę już od dawna nie potrafią się na nich skupiać.

W tej swojej zwyczajności Lewica stała się wręcz oryginalna, przynajmniej na tle bliższego bądź dalszego sąsiedztwa. Problem w tym, że niby jest, ale gdyby na jakiś czas zniknęła, zauważyliby to jedynie zagorzali sympatycy śledzący jej społecznościowe profile. Z drugiej strony, ze stabilnym poparciem na poziomie ok. 10 proc. nie musi się obawiać, że po jesiennych wyborach wypadnie za burtę. Nie jest też uzależniona od żadnych scenariuszy, tak samo może iść do wyborów w ramach

wspólnej listy, jak i samodzielnie, niezależnie od konfiguracji reszty opozycji.

Czarzasty się wyluzował

Uspokojenie nastroju widać też na obliczach i w wizerunkach liderów. Z Włodzimierza Czarzastego wyraźnie zeszło napięcie, odkąd złączył SLD i Wiosnę pod szyldem Nowej Lewicy. Dwa lata temu wyszedł z niego partyjny tyran, który bez litości rozprawia się z opornymi. Nawet takimi, z którymi łączył go najgłębszy życiowy sentyment, jak z Robertem Kwiatkowskim. Pojawiły się publiczne skargi na jego maczyzm w partyjnych relacjach, co w środowisku lewicowym jest wyjątkowo źle widziane. O dziwo jednak, po dopięciu zjednoczeniowego projektu udało mu się rozładować sytuację i wygląda na to, że wiele grzechów mu wybaczone.

Chyba też zdołał wreszcie Czarzasty rozbroić swój kompleks Donalda Tuska. Kiedyś trudno było nie zauważyć, jak przeżywa powrót na krajową scenę byłego premiera. Mówiło się, że szczerze podziwiał polityczne zdolności Tuska, szczególnie jego skuteczność i brutalność. Choć jeszcze bardziej się ich obawiał. Nie

znali się osobiście, a przy tym nowy-stary szef Platformy wcale się nie spieszył z zawarciem znajomości. Szeroko komentowana w politycznych kuluarach była swego czasu scena z jednej z opozycyjnych manifestacji w Warszawie. Czarzasty wraz z pozostałymi liderami oczekiwał na spóźniającego się Tuska, aby pierwszy raz uścisnąć mu dłoń. Ten jednak wparował w ostatniej chwili, i to jeszcze otoczony kordonem współpracowników. Przemknął od razu na scenę, wygłosił przemowę i natychmiast się ulotnił.

Nadchodził już okres, w którym Tusk poddawał nieustającej presji Lewicę oraz samego Czarzastego, sugerując jego opozycyjną nielojalność, nawet skrytą chęć dogadywania się z PiS. I była to przemyślnie zastawiona pułapka, bo wchodząc w publiczne zwanie, Czarzasty od razu znalazłby się w uszytych specjalnie dla niego butach mąciciela i rozłamowca. Nie umiał znaleźć na to dobrej odpowiedzi. Konsekwentnie starał się potwierdzać gotowość swojej formacji do budowania wspólnej listy, stawiając się w upokarzającej roli niechcianego petenta. Jego frustracja była więc zrozumiała, ale też trochę za bardzo dawał jej wyraz. Szczególnie mniej zobowiązujące rozmowy z Czarzastym zrobiły się w pewnym momencie monotematyczne, gdyż niemal każdy wątek kończył się dygresją na temat Tuska. Aż pewnego dnia szef Platformy niespodziewanie odpuścił i dał Lewicy spokój. Po prostu przestał ją zauważać. Poza tym obaj liderzy w końcu się poznali, co zazwyczaj dobrze robi relacjom. I tak obsesja Czarzastemu minęła.

Dzisiaj jest bodaj najbardziej naturalnym w swoich odruchach liderem partyjnym. I rzecz nie tylko w jego swobodnym języku, z czego akurat zawsze był znany. W niedawnej rozmowie z Robertem Mazurkiem w RMF FM z zaskakującą szczerością wyznał, że mając już 63 lata na karku, znalazł się u schyłku swojej kariery, co też działa na niego mitygująco. Na tym etapie człowiek już bowiem myśli głównie o tym, żeby pozostawić po sobie dobre wrażenie. Czy to nawiązanie do czarnej legendy Czarzastego z czasów afery Rywina? Albo nie do końca jeszcze zatarta obawa, że ktoś mógłby go uznać za zdrajcę opozycyjnej sprawy i przyszłego koalicjanta PiS? Szczególnie że takich pokus w jego obozie już od dawna nie ma.

Lewicowe kuluary najczęściej potwierdzają, że Czarzasty faktycznie zakopał większość ambicji i nie jest już zainteresowany wysokimi stanowiskami. Nawet jeśli jego głównym politycznym celem pozostaje przeprowadzenie Lewicy do kolejnego etapu, najlepiej jako wpływowego koalicjanta w przyszłym rządzie. W zupełności miałyby mu jednak wystarczyć rola akuszer sukcesu, który wydobyl lewicę z zapaści, ustabilizował jej pozycję, przeprowadził pokoleniową zmianę warty. To w sumie niemało, jak na polityka, który siedem lat temu obejmował masę upadłościową po niegdyś potężnej formacji postkomunistycznej, samemu przy tym uchodząc za niewybieralnego.

Z Konfą tylko na TikToku

Wygladziły się również wizerunki pozostałych liderów. Swego czasu Robert Biedroń srodze zawiódł w roli samodzielnego komiwojażera politycznej zmiany, z czym nie umiał się zresztą pogodzić. Dawał później dowody nieznośnego egocentryzmu, trwoniąc resztki powagi. Fatalny wynik w wyborach prezydenckich ostatecznie pokazał, że temu politykowi raczej już nie będzie pisane realne przywództwo. W końcu chyba sam zdał sobie z tego sprawę, bo od jakiegoś czasu poskramia naturę solisty i showmana, za to dużo lepiej wkomponował się w lewicową drużynę i dobrze wypada w roli głównego rzecznika emancypacyjnych tematów.

Nieco inny jest przypadek Adriana Zandberga. Pamiętną polemiką z premierem Morawieckim w swoim sejmowym debiucie

w jednej chwili wykreował oczekiwania, które stały się później jego przekleństwem. Opinia publiczna dostrzegła w nim lewicowego charyzmatyka i naturalnego przywódcę już nie tylko wątlęgo środowiska Razem, ale całej lewej strony. Za błyskotliwym intelektem, dodatkowo wspartym niedźwiedzią posturą i tubalnym głosem, od początku skrywała się jednak delikatna natura, raczej niezdolna do podjęcia twardej politycznej rywalizacji. Przez długi czas wydawał się pogubiony i przygaszony, niekiedy na całe miesiące zniknął z publicznego widoku. Jakby chciał dać do zrozumienia swoim sympatykom, że nie jest tym przywódcą, na którego czekali.

Co chyba mu się ostatecznie udało, bo odkąd presja osłabła, trochę odżył. Teraz najchętniej dzieli scenę ze współprzewodniczącą Razem Magdaleną Biejat, niewiele uwagi poświęcając polityce rozumianej jako gra o władzę. Po dawnemu woli się za to zajmować wycinkowymi politykami (socjalną, mieszkaniową etc.), łącząc ulubione role ideologa oraz eksperta. Nie tylko zresztą z trybuny sejmowej, na konferencjach prasowych i w poważnych wywiadach, ale też w mediach społecznościowych, ostatnio głównie eksperymentując na TikToku. Krótkie filmiki z udziałem Zandberga (ale też plejady innych twarzy Lewicy) w pierwszej kolejności mają oczywiście stanowić przeciwwagę dla ofensywy Konfederacji, która wyrabia na chińskim portalu ogromne zasięgi i jako jedyna potrafi tak sprawnie zakorzenić polityczny przekaz w estetyce mema, młodzieżowej zgrzywy.

Lewica również od dawna o tym myśli – tym bardziej że Konfederacja pozostaje jej główną konkurentką w rywalizacji o najmłodsze pokolenie wyborców. Chociaż nie jest to wcale proste, bo akurat na TikToku i w podobnych przestrzeniach komunikacyjnych najbardziej się liczy zwięzłość przekazu. A to z góry premiuje korwinistów, którzy przepuszczają każdy aktualny temat przez prosty wolnościowy schemat. Lewicy daleko do stworzenia analogicznej intelektualnej maszyny, przynajmniej odkąd tradycyjny klasowy marksizm trafił na śmietnik historii. Każdą kwestię zmuszona jest zatem z osobna naświetlać, żeby uzasadnić swoje stanowisko. Nietrudno sobie wyobrazić hipotetyczną debatę Sławomira Mentzena z Adrianem Zandbergiem: na każde zdanie „wolnościowca” o zbawiennym wpływie niskich podatków na życie jednostki musiałoby pewnie przypadać co najmniej pięć zdań „razemka” o tym, do czego prowadzą społeczne nierówności i dlaczego warto inwestować w ich niwelowanie.

Zejść z placu zabaw

Tyle że do takiej debaty najpewniej nie dojdzie. To przede wszystkim kwestia ogólnej kalkulacji politycznej Lewicy. Co innego bowiem budować przeciwwagę dla wolnorynkowej i ultrakonserwatywnej prawicy w stosunkowo mało zobowiązującej przestrzeni mediów społecznościowych, a co innego ogólnie ustawiać się frontem do niej, tak jakby stanowiła najważniejszy punkt odniesienia. Nawet jeśli obie formacje faktycznie znajdują się na ideowych antypodach i absolutnie nic ich nie łączy. Liderzy Lewicy zdają sobie sprawę, że jeżeli zaczną szukać wyrazistości w odróżnianiu się od Mentzena, Bosaka albo Brauna, pewnie już na dobre potwierdzą swój status *junior partnera* Platformy. Swoistej młodzieżówki Tuska, która trochę w jego imieniu uprawia akwizycję na placach zabaw, żeby szef Platformy mógł się skupić na dorosłej rozgrywce z Kaczyńskim.

Raczej więc będą unikać medialnych formatów „jeden na jeden” z Konfederacją, skupiając się na krytyce PiS i prezentowaniu własnych propozycji. Jej żelazne tematy to od jakiegoś czasu polityka mieszkaniowa, usługi publiczne, transport zbiorowy, edukacja, płace w budżetówce. Oczywiście wsparcie socjalne, chociaż bez wielkiego ścigania się z PiS na spektakularne transfery. Do tego ►

► stanowiące nieodłączną część lewicowego pakietu prawa kobiet, LGBT, świeckiego państwa. Jednak bez eskalowania wojen kulturowych, bo to nie jest temat na najbliższą kampanię.

Uwaga na Tuska

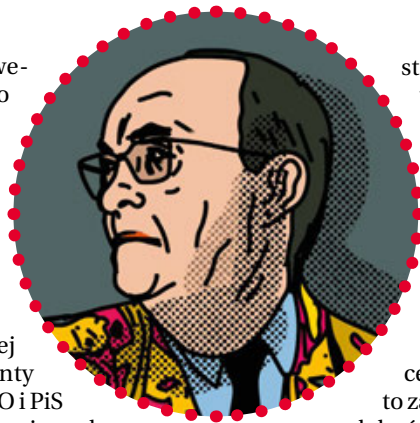
Problem w tym, że lewicowa opowieść nie wpływa na sondażowe słupki, nie staje się tematem ożywionych debat. Czasem tylko jej okrucy przebijają się do zbiorowej świadomości, jak niedawno propozycja renty wdowiej albo wbicie się klinem w licytację PO i PiS na obniżki oprocentowania kredytów mieszkaniowych (Lewica proponuje przeznaczyć stały odsetek PKB na budownictwo czynszowe). Częściej jednak krążą w zamkniętym obiegu zaangażowanych baniek, skutkując powstawaniem wokół Lewicy swego rodzaju emocjonalnej próżni.

Na przekór swoim utopijnym tradycjom lewica zrobiła się w ostatnich latach chyba zbyt sucha, sterylna, przesadnie ekspercka. Tak jakby oferowała wyborcom jedynie zestaw społecznych urządzeń w rozmaitych obszarach rzeczywistości, które mają zadanie poprawiać jakość życia. Niewątpliwie starają się amortyzować cywilizacyjne wyzwania, nie można im również odmówić ideologicznej spójności. Nie ma w tym jednak narracyjnego powabu, który przynajmniej do niedawna wyróżniał Hołownię. Nie widać wielkich kropel potu, jak na czole Tuska,

który każdego dnia odgrywa kolejny odcinek swojej wielkiej epopei z Kaczyńskim w roli wiecznego antagonisty. Nie ma też wizerunkowej atrakcyjności Trzaskowskiego, który już samym swoim pojawieniem się ściąga uwagę.

Lewicę bardziej więc można popierać z rozumu niż z serca. Bo próbuje uchodzić za kompetentniejszą, bardziej odpowiedzialną i poukładaną programowo od konkurencji. Udało jej się dzięki temu zebrać rozmaite grupki wyborców – sporo z budżetówki, trochę zasobniejszej klasy średniej z wielkich miast, ideowo zaangażowaną młodzież – ale nie zdołała przekształcić tego konglomeratu we wspólnotę pod lewicowym szyldem. Stąd ustawiczny lęk, że przy jakiejś okazji pracowicie budowane poparcie z dnia na dzień stopnieje. Jeśli in kampanii da o sobie znać żelazne prawo polaryzacji i formacja Tuska jednak znacznie nadrabiać dystans do PiS, lewicowy elektorat – w swoich odruchach na ogół silnie antypisowski – stanie się podatny na apele o przerwienie poparcia na siłę realnie zdolną zakończyć rządy Kaczyńskiego. Nieprzypadkowo pragmatyczni Czarzasty i Biedroń nie mieliby nic przeciwko temu, żeby się schować pod parasolem wspólnej listy całej opozycji. Nawet jeśli pojawiłyby się wtedy problem z ulokowaniem środowiska Zandberga. Ale dylematu dzisiaj nie ma, bo na wspólną listę się przecież nie zanosi. Lewica szykuje się do samodzielnego startu, w pierwszej kolejności próbując zabezpieczyć tyły przed Platformą.

Z tej perspektywy mijająca kadencja powinna być źródłem niedosytu. Cztery lata temu niemal wszystkie lewicowe środowiska ogarnął nieopisany entuzjazm. Po raz pierwszy poczuły się częścią poważnego politycznego projektu i nie mąciła tego



stanu świadomość, że przepustkę do Sejmu zawdzięczały plecocom pogardzanego dotąd SLD. Pełne równoprawnienie lewicowej wrażliwości w polskiej polityce wydawało się już bliskie.

Bo do tej pory lewicowość, zwłaszcza ta „nowa”, ciągle miała u nas status importowanej nowinki. Jej heroldzi dwoili się i troili, żeby dowieść, iż lewica jest Polakom potrzebna. Odwoływano się w tym celu do rodzimej tradycji politycznej, analizowano współczesną strukturę społeczną, wskazywano nadchodzące wyzwania cywilizacyjne. Intelktualnie bywało to zajmujące, ale zarazem zdradzało fundamentalną słabość. Na prawicy nikt przecież nie pytał, czy taka

orientacja jest potrzebna. Prędzej już – jaka prawica? Nawet śladowo zakorzeniony u nas liberalizm – skądinąd obciążony po transformacji czarną legendą w stopniu nie mniejszym niż socjalizm po PRL – potrafił bez trudu odnaleźć się w zbiorowym doświadczeniu i wcale nie potrzebuje do tego formacji politycznej otwarcie afirmującej liberalne wartości.

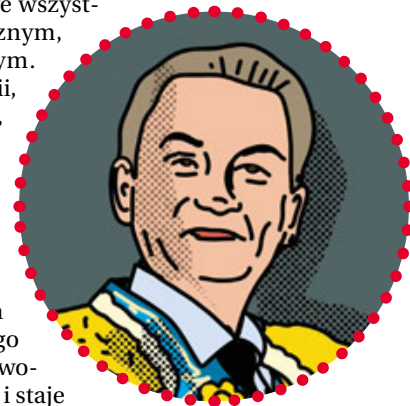
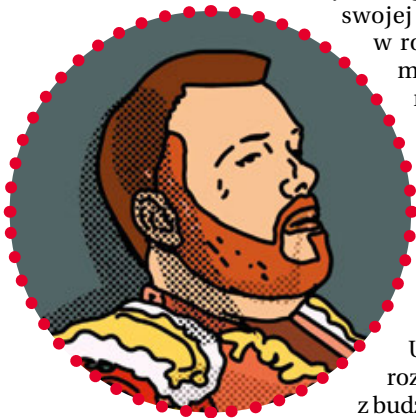
W lewo zwrot

Zresztą charakterystyczne, że obie główne strony polskiego sporu tak chętnie wzajemnie się oskarżają o lewicowe odchylenia. Najbardziej integralni zwolennicy Platformy krytykują „pisowski socjalizm”, z kolei prawica zarzuca formacji Tuska uleganie „lewicowemu obłędowi”, „kulturowemu marksizmowi”, „ideologii gender” i tym podobnym bezeceństwom. Przeważnie na wyrost, ale chodzi przecież o podkreślenie lewackiej obcości. Skądinąd samo pojęcie „lewactwa” dawno straciło oryginalne znaczenie, stając się w potocznym języku synonimem lewicy. Wydawałoby się, że takie strategie nie mają już większego sensu, skoro zbiorowa świadomość Polaków od paru lat przesuwa się na lewo, i to właściwie we wszystkich

wymiarach: ekonomicznym, kulturowym, cywilizacyjnym. W podejściu do takich kwestii, jak relacje państwo-Kościół, aborcja, związki LGBT bądź prawa zwierząt, można wręcz mówić o mentalnym przełomie. Ale z tego przesunięcia Lewica politycznie nie ma praktycznie nic.

Sęk w tym, że każdy z tych wątków z chwilą społecznego oswojenia się zaczyna tracić swoją stricte lewicową konotację i staje się elementem uogólnionego doświadczenia. Na gruncie politycznym trafiają one szybko do narracji i programów większości partii, deklaratywnie mniej bądź bardziej odległych od lewicy. Czasami bywają to przeszczepy nieco sztuczne, jak w przypadku socjalnych obietnic Tuska albo jego ubiegłorocznego zwrotu w sprawie aborcji. Innym razem wręcz odrzucane, jak pisowska „piątka dla zwierząt”. Ale mimo wszystko ową określoną drogą udaje się większości lewicowych wartości bądź koncepcji krok po kroku zakorzenić w głównym nurcie. Tymczasem ich naturalny reprezentant ciągle jeszcze nie zdołał wyjść poza założycielski etap budowania własnej tożsamości oraz podciągania jej do średniej społecznej. I doprawdy trudno rozstrzygnąć, ile w tym słabości lewicy jako obcej ogółowi Polaków idei czy też Lewicy jako politycznej formacji.

RAFAŁ KALUKIN



Trzecia Polska

Rozmowa z **Andrzejem Bobińskim**, dyrektorem ośrodka analitycznego Polityka Insight, o tym, że zachodzące procesy wskazują, że PiS przegra te wybory i straci władzę.

RAFAŁ KALUKIN: – Dowiadujesz się, że **Jarosław Kaczyński ogłasza zakaz importu ukraińskiego zboża. Twoja pierwsza reakcja to: a) Mamy problem w relacjach z Ukrainą; b) Co na to Komisja Europejska?; c) To może być zwrot w kampanii wyborczej; d) Ciekawe, że akurat Kaczyński.**

ANDRZEJ BOBIŃSKI: – Najważniejszy wydaje mi się oczywiście pierwszy z tropów, chociaż one są ze sobą ściśle powiązane. Kiedy wybuchła wojna, od początku było

dla mnie jasne, że to dla PiS polityczne złoto i właściwie nic lepszego nie mogło im się przytrafić na koniec kadencji. Przez długi czas pomagała im wielka fala solidarności z Ukrainą, lęk przed Rosją, konieczne przestawienie polityki na bezpieczeństwo i zbrojenia. Aż tu nagle społeczne nastroje wokół Ukrainy zaczęły się odwracać, i to najbardziej w elektoracie PiS. To dla rządzących coraz większy problem i muszą wybrać, czy zacisnąć zęby i kontynuować proukraiński kurs, czy też dokonać korekty.

I na co się ostatecznie zdecydują?

Myszę, że jak najdłużej będą lawirować. **To cię oburza, niepokoi?**

Przed wszystkim zastanawiam się, jakie będą tego skutki. To przecież jeden z wątków, które mogą zmienić bieg kampanii wyborczej. Chociaż trzeba być ostrożnym z prognozami: w końcu raptem miesiąc temu wydawało się, że to Jan Paweł II będzie bohaterem kampanii, a teraz nagle lądujemy w zbożu.

A to też może być tylko międzyładowanie.

Ano właśnie... Chyba na wyrost szacujemy nowe trendy. Dopiero co byliśmy przekonani, że PiS właściwie już leży na deskach, a teraz wszyscy załamują ręce, że będzie trzecia kadencja. Umyka nam jednak, w jak niestabilnych czasach oni muszą rządzić. Znaleźli się w klatce wzajemnie splątanych ze sobą problemów i starając się rozwiązać jeden, prowokują szereg kolejnych. Przed zimą były obawy, że może zabraknąć węgla, więc na wszelki wypadek posprowadzano go tyle, że teraz blokuje nasze porty i nie można ►



► wypchnąć ukraińskiego zboża. Podobnych splotów jest mnóstwo, a kolejne kryzysy coraz mocniej przenikają się z logiką kampanii wyborczej. To fascynujące, ale też trudno cokolwiek przewidywać.

Dawniej miałeś poczucie, że więcej ogarniasz?

Właśnie wróciłem z paromiesięcznego urlopu ojcowskiego, w trakcie którego ograniczyłem śledzenie bieżących wydarzeń do tych naprawdę istotnych. I powiem ci, że z oddalenia można zobaczyć więcej, niż kiedy żyje się każdym drgnięciem rzeczywistości, goniąc od jednego mikrokrzysu do drugiego. Nabrałem większego dystansu.

Wracasz czasem do starych tekstów, żeby sprawdzić, czy zawarte w nich prognozy się później posprawdzały?

Staram się tego nie robić. Wawrzyniec Smoczyński uważał, że lepiej się czasem pomylić, niż nie mieć zdania. Ale ja jestem ostrożniejszy, szczególnie w czasach covidu, wojny i tysiąca kolejnych zawirowań, które dopiero nas czekają.

Instynktownie większość z nas wręcz ucieka od przewidywania przyszłości. Co najwyżej parę miesięcy do przodu, bo dalej to już „ciemność widzę”.

Najtrudniejsza jest średnia perspektywa, mniej więcej pięcioletnia. Bo już prognoza świata za dwie dekady to czysta futurologia, którą można uprawiać bez ryzyka, że ktoś to zweryfikuje. Ale czasem nawet i krótki horyzont się zaciemnia, jak w przypadku naszej nieprzewidywalnej kampanii. Kiedy ktoś mówi, że wie, jak ona się potoczy, to kłamie albo nie jest zbyt mądry.

To ja się przyznam, że już po zwycięstwie Andrzeja Dudy nad Bronisławem Komorowskim w 2015 r. odpuściłem sobie nawet niezobowiązujące prognozowanie.

Są na szczęście jakieś wybiegi. Możemy oceniać prawdopodobieństwo, formułować scenariusze, wskazywać na procesy. Chodzi w końcu o zrozumienie rzeczywistości, a nie jej zgadywanie. To kwestia odpowiedzialności.

Od jakiegoś czasu lubię rozróżniać procesy i wydarzenia. I moim zdaniem na wybory w największym stopniu wpływają procesy, wydarzenia natomiast często zacierają obraz. Z drugiej strony zdarzały się jednak wybory, w których pojedyncze wydarzenia zmieniały wynik, odwracając bieg historii.

Jaka więc jest twoja prognoza na te wybory?

Moim zdaniem zachodzące procesy wskazują na to, że PiS przegra te wybory i straci władzę. Mam na myśli sytuację gospodarczą, szczególnie na wsi, oraz

postępujące zmęczenie wojną w Ukrainie i obciążenie usług publicznych wynikające z olbrzymiej liczby przyjętych przez nas uchodźców. Widać też silne zmęczenie tą władzą, jej zużycie. Trzeba też uwzględnić w kalkulacjach zmianę struktury społecznej: policzyliśmy w październiku, że od ostatnich wyborów parlamentarnych umarło 1,3–1,4 mln starszych wyborców, a ponad 1,3 mln nastolatków zyskało prawa wyborcze. Wszystko to są czynniki, które grają na porażkę PiS na jesieni.

Tylko jeśli decydować mają same wielkie procesy, to po co kampania?

Od ostatnich wyborów parlamentarnych umarło 1,3–1,4 mln starszych wyborców, a ponad 1,3 mln nastolatków zyskało prawa wyborcze. To też jest czynnik, który gra na porażkę PiS.

To jest ten drugi czynnik: wydarzenia, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Sprawność i zasobność kampanijna to atut PiS, z kolei oferta opozycyjna jest dzisiaj chaotyczna i umiarkowanie atrakcyjna.

I co z tego wszystkiego wynika?

Dzisiaj moim bazowym scenariuszem jest utrata władzy przez PiS, daję mu 55 proc. szans realizacji. Drugi dosyć silny, aczkolwiek mniej prawdopodobny – powiedzmy na 35 proc. – to wygrana PiS i potem rząd koalicyjny z Konfederacją albo jej częścią. Natomiast pozostałe 10 proc. pozostawiłbym sobie na trzęsienie ziemi. Np. wynik Konfederacji powyżej 15 proc. i przyspieszone ponowne wybory w 2024 r.

Teraz niemal wszyscy widzą w Konfederacji czarnego konia wyborów, ale jeszcze niedawno wydawało się, że z łatką „ruskiej onucy” powoli idzie na dno.

Zaraz po wybuchu wojny zamówiliśmy analizę ruchu w internecie. I wyglądało to fatalnie: rosyjskie konta atakują, totalna jazda na Ukrainie, za chwilę wybuchnie ksenofobiczne szambo i Konfederacja poszybuje na 30 proc. Jednym słowem: panika. Zrobiliśmy zebranie, co z tym teraz zrobić. Postanowiliśmy poczekać i popatrzeć. I tak czekaliśmy miesiąc, drugi i nic strasznego się nie działo. Przeciwnie, rosło oddolne zaangażowanie na rzecz Ukrainy.

Tylko że kiedy już trafił do Polski pierwszy milion uchodźców, napięcia zaczęły wracać. Chociaż już w innej formie, bo problemem stał się teraz dostęp do edukacji i opieki zdrowotnej. Znowu zastanawiamy się, czy ryzykować prognozę eskalacji społecznego resentymentu. Okazało się na szczęście, że jest on hamowany przez nową poprawność polityczną, która ukształtowała się po 24 lutego. Ale czy to oznacza, że ten hamulec już zawsze będzie działał? Zaczęła się kampania wyborcza, która generuje dodatkowe emocje. Czasem wystarczy pozornie drobne wydarzenie, żeby zmienić jej dynamikę. A bywa i tak, że ludzie sami z siebie zaczynają o czymś rozmawiać i temat staje się nośny. Tak było z Kukizem w 2015 r., który coś tam sobie opowiadał o JOW-ach i nagle niszowy temat zaczął się klikać. Z tego powodu nie można wykluczyć, że podobnie teraz będzie z kartą ukraińską. Nie twierdzą, że ona na pewno wypadnie z gorsetu politycznej poprawności, niemniej jestem przekonany, że Konfederacja będzie nią grać.

Na razie schowali swojego dyżurnego hejtera Grzegorza Brauna i ogrywają temat dużo oględniej.

No jasne, przecież mało kto domaga się w Polsce kolejnej akcji Wisła. To jest napięcie podskórne. W jednym z badań respondentów w spornym procencie zgodzili się z twierdzeniem, że dostaliby w pracy większą podwyżkę, gdyby nie było u nas Ukraińców. A zarazem nie mieli nic przeciwko temu, żeby ich zatrudniać w polskich firmach. Nie ma więc przestrzeni do otwarcia ksenofobicznej reakcji, ale można tym resentymentem zagrać w sposób mniej jednoznaczny i zdobyć polityczną premię. Są to jednak delikatne sprawy, wymagające sporego wyczucia.

A może istnieją uniwersalne schematy poznawcze, które pomagają nawigować po rzeczywistości?

Nie sądzę. Przeczytałem teraz z paroletnim opóźnieniem „Wyjście awaryjne” Rafała Matyi. Chciałem sprawdzić, jak się zestarzały jego głośne swego czasu konkluzje. On tam przekonuje, że marny stan naszej debaty publicznej wynika z tego, że za bardzo skupiamy się na sporze politycznym. Ogniskując wokół niego aż tyle emocji, tracimy z pola widzenia szersze procesy. Utkwiliśmy na dobre w pułapce polaryzacji i nie potrafimy z niej wybrnąć.

A ta polaryzacja nie jest po prostu naszą realnością?

Nie do końca w to wierzę. Dwaj główni aktorzy polityczni chętnie nią grają, komentariat podchwytuje, a ludzie po bieżnie ulegają. Co jakiś czas wchodzą

na scenę nowe siły, które próbują z polaryzacją walczyć, ale ponieważ im się nie udaje, jeszcze bardziej ją utwierdzają. Moim zdaniem to wynika z deficytu politycznej reprezentacji innych postaw. Nie tak dawno opisywaliście w POLITYCE badanie, z którego wynikało, że Polska tak naprawdę dzieli się na trzy części. Też czuję, że istnieje nienazwany środek, który chciałby czegoś zupełnie innego niż starcie Tuska z Kaczyńskim.

Pytanie, czy owa trzecia Polska w ogóle wie, czego chce. Tymczasem obecny podział wyrasta z cywilizacyjnego napięcia, które ma charakter globalny.

Zgoda, tylko czy w ramach tego sporu jesteśmy w stanie uratować Polskę? Pytam jako obywatel, który jest coraz bardziej zniesmaczony marnością debaty publicznej.

A po wybuchu wojny miałeś nadzieję, że stanie się ona nieco mądrzejsza i bardziej odpowiedzialna?

Tylko przez chwilę. Ale też nie jest tak, że nic się nie zmieniło. Akurat w obszarze bezpieczeństwa zrobiło się trochę mądrzej. Debata posunęła się do przodu i pojawiło się sporo nowych postaci, które mają coś ciekawego do powiedzenia. Ostatecznie wszystko zależy od odbiorcy. Czego będzie szukał i czy zachowa dość krytycyzmu. Co nie jest takie proste, szczególnie przy wysokim emocjonalnym napięciu. Przyszanam się, że na początku wojny sam się na tym złapałem, że za bardzo ulegam swojemu strachowi. W naszym zespole ujawniły się zresztą bardzo różne postawy. Jedni zapadli się w siebie, inni biegali jak nakręceni. Pierwszy miesiąc to był czas ogromnego przebodźcowania, stresu, lęku o przyszłość.

I jak to pogodziliście z etosem chłodnego analityka?

Wbrew pozorom nie było to aż tak trudne. Chyba w jakimś sensie sami się terapeutyzowaliśmy poprzez pracę, która w najtrudniejszym okresie pozwalała nam kanalizować niezdrowe emocje. Pracując w Polityce Insight ludzie z różnymi doświadczeniami i niekiedy o skrajnie różnych podejściach. Dużo więc ze sobą dyskutujemy, poszukując właściwej ścieżki i miejsca w postmedialnym świecie przyszłości. I jestem co do tego optymistą.

Dobrze, że o tym mówisz, właśnie obchodzicie 10-lecie Polityki Insight. Czy wy się w ogóle czujecie częścią świata dziennikarskiego, którego zadaniem jest obsługiwanie codzienności?

Ja... [po namyśle] tak. Trochę za sprawą miejsca, w którym się znajdujemy, czyli siedziby POLITYKI. Ale już Wawrzyniec

Smoczyński, który był pomysłodawcą tego projektu i przez długi czas nim zarządzał, kładł nam do głów, że nie jesteśmy dziennikarzami. I część zespołu nadal to przyjmuje. Określamy się zresztą mianem analityków, chociaż ta specyfika będzie się zacierać. I nie mówię o miejscu Polityki Insight w naszej branży, ale o nieuchronnej ewolucji obecnych mediów w stronę czegoś bardziej pojemnego.

Czego?

Może – nazwijmy to tak – sektora wiedzowego? Z zacierającym się podziałem na dziennikarzy, komentatorów, eksper-

Ogniskując wokół sporu politycznego aż tyle emocji, tracimy z pola widzenia szersze procesy. Utkwiliśmy na dobre w pułapce polaryzacji.



tów. To już się dzieje i jak to w życiu, ma swoje dobre i złe strony.

Dziennikarz z zasady musi być jak najbliżej rzeczywistości i tak też ją opisuje. My jesteśmy z kolei od tego, żeby przetwarzać zdobyte przez niego informacje na wiedzę. Dawniej jeszcze próbowały to robić tradycyjne media, jednak coraz trudniej im to idzie. Wszystko się dzieje zbyt szybko i nie ma czasu na głębsze przemyślenie.

W to miejsce wchodzi emocje.

Taka jest naturalna odpowiedź. I jeszcze przymus wyrażania opinii, czyli: co ja o tym myślę? Nawet jeśli nie mam czasu, żeby się zastanowić. Dotychczasowy świat mediów odchodzi jednak do przeszłości, ale odrzucam czarne prorocтва, że czeka nas informacyjna katastrofa, po której staniemy się głupszy. W czasach olbrzymiej niepewności, permanentnej zmiany, czekających nas rewolucji bardziej niż kiedykolwiek musimy być zorientowani w tym, co się wokół nas dzieje. To kwestia instynktu ludzkości, żeby w ogóle mogła przetrwać. Teraz jesteśmy na etapie przetwarzania: stare media jeszcze się bronią, a te nowe nie stworzyły na razie silnych instytucji. Z czasem jednak zaczniesz się wytaniać coś nowego.

Tymczasem dyskurs publiczny ewoluuje w stronę plemienności,

w czym media mają dominujący udział. Któryś z braci Karnowskich stwierdził, że są one „strażnikami wspólnot”. Dawniej niemal wszyscy zgadzaliśmy się co do faktów i spieraliśmy się o opinie, a teraz każdy ma swoje fakty. Jak to pogodzić z twoim sektorem wiedzowym, który musi dążyć do obiektywizacji opisu świata?

Oba te zjawiska będą biegały obok siebie. Dziennikarstwo tożsamościowe nadal będzie kształtować emocje odbiorców, ale to nie może być całość oferty. Jakościowa informacja nie zniknie, chociaż będzie dostępna jedynie wyspowo.

Gdzie leżą granice obiektywizmu? Ważnym klientem Polityki Insight są np. akredytowani w Polsce dyplomaci. Czy w związku z tym czujesz się zobligowany do prezentowania polskiego punktu widzenia?

Nie. Naszą misją jest opowiadać rzeczywistość tak, jak ją widzimy.

A co z emocją obywatelską, szczególnie w czasach rządów PiS?

Kiedy zauważamy, że coś złego się dzieje z naszą demokracją, dajemy temu wyraz w naszych analizach. Nie czujemy jednak potrzeby dodatkowego ich podbijania o emocjonalne opinie. Każdy tekst Polityki Insight kończy się podsumowaniem, co z tego wynika – i tam jest miejsce na subiektywną ocenę wydarzeń.

Są oczywiście tematy łatwiejsze i trudniejsze. Akurat kwestia zrujnowanej praworządności wydaje mi się bezdyskusyjna: prawda od początku leży tam, gdzie leży, i nie mam najmniejszego problemu z oceną. Ale czasem bywa mniej jednoznacznie. Weźmy Orlen, który jest wiodącym podmiotem gospodarczym oraz nieformalnym ośrodkiem władzy politycznej. Jest co krytykować, ale nie uciekniemy od pytań o sens budowania tego rodzaju częboli, o rolę państwa w gospodarce. Wiele jest takich zagadnień, które w pierwszej chwili wydają się proste, ale na głębszym poziomie analizy zaczynają się komplikować. Ostatecznie pozostawiam to sumieniom, doświadczeniom i mądrości naszych analityków.

ROZMAWIAŁ RAFAŁ KALUKIN

Polityka Insight to źródło wiedzy o polskiej i europejskiej polityce oraz gospodarce dla liderów biznesu, decydentów politycznych i dyplomatów. Od 10 lat dostarcza swoim odbiorcom serwisy analityczne dostępne w abonamentach, przygotowuje raporty i prezentacje na zlecenie polskich i międzynarodowych instytucji oraz organizuje debaty i konferencje. Zatrudnia kilkudziesięciu analityków, wielu z nich można usłyszeć w ogólnodostępnych autorskich seriach podcastowych, m.in. w Nasłuchu i w Energii do zmiany: www.politykainsight.pl



Henryk Krupa – przez wiele lat był najstarszym krawcem w Polsce. Pracował niemal do końca, zmarł w listopadzie 2022 r., mając 92 lata.

Praca przedłuża im młodość, nadążają dzięki niej za nowinkami branżowymi i technologicznymi, ale też za młodzieżowym slangiem. Czasem tylko ktoś spadnie z krzesła, gdy zapyta ich o wiek.

Metryka nie tyka

ZBIGNIEW BOREK

Zycie jest fantastyczne, a dzięki pracy jeszcze lepsze – mówi prof. Eugeniusz Murawski. Ma 96 i nadal jest aktywny zawodowo. Na emeryturę przeszedł 21 lat temu, wyłącznie z powodów formalnych: powyżej 75. roku życia nie mógł już kierować kliniką. Wciąż jednak pracował pełną parą. Jeszcze trzy lata temu był czynnym chirurgiem dziecięcym (najstarszym w Polsce), ale pandemia odcięła go od operacji. – *Gdyby było trzeba, jestem gotów* – wysuwa przed siebie dłonie (ani drgną). Raz na dwa tygodnie wsiada do samochodu

i ze Szczecina jedzie niemal 100 km, żeby wykładać anatomię opisową i topograficzną dla ratowników medycznych.

– *Gdy zaczyna się semestr i spotykam nowych studentów, wzajemnie się poznajemy i to jest coś, co niezwykle sobie cenię* – mówi prof. Krystyna Skarżyńska. Ma 77 lat, etatowo pracuje na Wydziale Psychologii SWPS w Warszawie, społecznie zasiada w radach programowych Międzynarodowego Instytutu Społeczeństwa Obywatelskiego i Instytutu Spraw Publicznych, jest autorką, współautorką i redaktorką wielu fundamentalnych pozycji naukowych (m.in. „Psychologii politycznej”) oraz aktywną publicystką.

Emeryt w pracy

- Na koniec 2022 r. liczba pracujących emerytów wyniosła 826 tys. i była większa o 52 proc. od liczby pracujących emerytów na koniec 2011 r. (541,9 tys.) i o 44 proc. od liczby pracujących emerytów na koniec 2015 r. (575,4 tys.). Między 2011 a 2022 r. udział pracujących emerytów w stosunku do emerytów otrzymujących świadczenie z ZUS zwiększył się z 10,9 proc. do 13,5 proc. – informuje serwis Ciekaweliczby.pl na podstawie danych ZUS. To oznacza, że pracuje co siódmy emeryt, podczas gdy na koniec 2011 r. pracował co dziewiąty.
- Pracujący emeryt w Polsce ma (dane z końca 2021 r.) średnio 66,9 lat, częściej (57,5 proc.) jest kobietą, największy odsetek pracuje w opiece zdrowotnej i pomocy społecznej (14,7 proc.) oraz w edukacji (8,8 proc.) – wynika z odpowiedzi, jakiej w lutym 2023 r. udzielił sekretarz stanu w Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej Stanisław Szwed na interpelację poselską Urszuli Paślawskiej. Przypomniał, że po osiągnięciu wieku emerytalnego (60 lat dla kobiet, 65 dla mężczyzn) można jednocześnie pobierać emeryturę i kontynuować pracę bez ograniczeń.
- W gronie zatrudnionych emerytów największą (38,8 proc.) grupą są pracujący na umowę o pracę. Własną działalność gospodarczą prowadzi 30,4 proc., a pracujący na umowę-zlecenie stanowią 26 proc. – informuje serwis Prawo.pl za danymi ZUS z grudnia 2021 r. Liczba pracujących emerytów w przeliczeniu na tysiąc osób pracujących w gospodarce narodowej w kraju wynosi 61. Najwięcej z nich zamieszkuje województwa: zachodniopomorskie (79), śląskie (73), lubuskie (72) oraz łódzkie i dolnośląskie (po 68). Najmniej (43) zamieszkuje woj. podkarpackie.

– *Praca mobilizuje i jest wyzwaniem, bo nie tylko ja uczę, ale i się uczę. Uczę się od studentów, uczę się od współpracowników, ja ciągle się uczę, prawie jak pan prezydent* – mówi Krystyna Skarzyńska. Właśnie skończyła redagowanie książkowej publikacji o nieufności. – *To było spore obciążenie, dlatego cieszę się, że wracam do spokojniejszego rytmu pracy.* Ten spokojniejszy rytm zakłada 7–8 godzin pracy dziennie (ale nie codziennie), niekiedy zdarzają się też, jak mówi, niespodzianki: zaproszenia do udziału w konferencjach, panelach.

Potrzeby wyższego rządu

Józef Jakubowski, lat 75 ze Skwierzyny w Lubuskiem, przez dekadę od „niby-przejęcia” (tak to nazywa) na emeryturę utrzymywał w swoim zakładzie zegarmistrzowskim normalne godziny pracy. – *Od niedawna otwieram o godzinę później, ale nie żeby się lenić, tylko rano nie było klientów.* Co rusz ktoś do niego wpada, żeby wymienić baterię albo teleskop czy skrócić bransoletę, z rzadka naprawić zegar ścienny (– *To już nie te czasy, że się reperowało nakręcane zegarki*). Witryna jego zakładu wychodzi na deptak, przy którym naliczył pięć zakładów fryzjerskich i kosmetycznych. W całym mieście jest ich 18, a zegarmistrz jeden.

Dr Magdalena Wieczorkowska, kierowniczka Zakładu Socjologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi zauważa, że utrzymanie na rynku pracy osób w wieku uznawanym dotychczas

● W 2018 r. 24,8 proc. Polek i Polaków miało 60 lat i więcej. Według prognozy GUS udział osób w wieku 60 lat i więcej w całej populacji w 2030 r. wyniesie 29 proc., w 2040 r. – 34,4 proc., a w 2050 r. – 40,4 proc. Tendencja starzenia się społeczeństwa jest wyższa w miastach. Jak wynika z danych ZUS, już niemal co piąta osoba w Unii Europejskiej, czyli ok. 100 mln ludzi, ma 65 lat i więcej.

● „Na starość pracuje się za karę” – taki wniosek płynie z analizy debaty publicznej Biura Rzecznika Praw Obywatelskich dotyczącej wieku emerytalnego. W opinii ekspertów może to być efekt silnie obecnej w polskich przedsiębiorstwach „kultury pańszczyźnianej”: od osoby zatrudnionej wymaga się głównie wydajności, a gdy ona spada, taką osobę się zwalnia.

● Gdy jesienią 2021 r. Polski Instytut Ekonomiczny wysłał 1,2 tys. CV fikcyjnych osób (kobiet i mężczyzn) w wieku 28 i 52 lat jako odpowiedzi na prawdziwe ogłoszenia o pracę, okazało się, że (przy wyrównanych kwalifikacjach i umiejętnościach) ponad dwa razy więcej zaproszeń do drugiego etapu rekrutacji otrzymywały osoby młodsze. W ocenie badaczy wynika to z powszechnie panującego stereotypu, że starsi powinni ustąpić miejsca młodym pracownikom.

● Niemal co drugi respondent ogólnopolskiego badania PolSenior2 w wieku emerytalnym 65–75 lat (przeprowadzonego w ramach Narodowego Programu Zdrowia na lata 2016–20) deklarował gotowość pozostania na rynku pracy. Gdy zapytano, jakie warunki powinny być w tym celu spełnione, wymieniali: podniesienie wynagrodzenia, możliwość łączenia pracy z innymi obowiązkami, elastyczne przejście na emeryturę poprzez stopniowe zmniejszanie liczby godzin, a przede wszystkim potrzebę zmiany stosunku pracodawcy oraz współpracowników do osób starszych.

za poprodukcyjny jest jednym z największych wyzwań polityki społecznej. Współczynnik obciążenia demograficznego (określa, ile osób starszych przypada na 100 osób w wieku produkcyjnym) wciąż rośnie, mamy tymczasem poważny problem z tzw. ageizmem (z ang. *age* – wiek), czyli dyskryminacją ze względu na metrykę. Środowisko pracy jest jednym z najczęściej wskazywanych miejsc takiej dyskryminacji. Już na tzw. przedpolu starości, czyli w wieku 55 plus, wiele osób czeka więc z niecierpliwością, żeby „uciec na emeryturę”. Co gorsza, w ramach polityki senioralnej, która z założenia ma im sprzyjać, dochodzi do, jak to się fachowo określa, gettoizacji starszych osób. – *Wszystkich traktuje się jednakowo, choć osobę w wieku 65 lat różni od 85-letniej nie tylko wiek, ale i stan zdrowia, trajektoria życiowa: warunki, w jakich dorastała, pracowała bądź funkcjonuje, różne są też ich potrzeby i aspiracje* – podkreśla dr Wieczorkowska.

– *Trendy kulturowe są takie, że w pracach naukowych podaje się jedynie inicjały imion, bo w pełnym brzmieniu identyfikują płęć i dość precyzyjnie także wiek. Z drugiej strony młodzi ludzie już człowieka po sześćdziesiątce traktują nieraz, jakby był z XIX w. Zakładają, że stary młodego nie zrozumie, spodziewają się starszej pani w długiej spódnicy, włosami spiętymi w kok* – zauważa prof. Skarzyńska. I dodaje: – *Wiek nie odgrywa roli, gdy ma się do czynienia z osobami otwartymi na ludzi z inną perspektywą życiową i poglądami.* ►



© ZBIGNIEW BOREK

Józef Jakubowski – 75 lat, ostatni zegarmistrz w Skwierzynie w Lubuskiem.

► O własny dobrostan nie sposób też zadbać bez umiejętności odcięcia się od pracy. Najmniej się tym przejmuję Andrzej Galos, stolarz od 60 lat. Żartuje, że najdalej poza swoim Sierakowem był w wojsku, do relaksu wystarczy mu wyjazd na ryby. – *Po obiedzie przymknę oko w fotelu na 10–15 minut i zaraz pędzi do stolarni* – mówi żona. Józef Jakubowski uwielbia spacerować (zawsze z żoną), wycieczki rowerowe albo weekendowe wypadki na obiad w okolicy. Eugeniusz Murawski wgrzyza się w fizykę kwantową, grywa w szachy z komputerem (na ósmym z dziesięciu poziomów) albo jedzie na działkę.

Krystyna Skarżyńska dla wypoczynku pochłania książki i słucha muzyki, zwłaszcza symfonicznej i, jak to ujmuje, jazziku. – *Mam teraz więcej czasu dla siebie niż w wieku średnim czy tym bardziej młodym. Przynajmniej trzy razy w tygodniu idę na półtoragodzinny spacer. Sama, wtedy się ze mną nie rozmawia nawet przez telefon. Nadrabiam później. Smutkiem takiego okresu jest to, że odchodzą przyjaciele, ale nie ma roku, żebym do grona przyjaciół nie włączyła nowej osoby.*

Eugeniusz Murawski jest po zawale serca, lecz nadciśnienie, przed miesiącem wszczepiono mu stymulator serca: – *W tym wieku musi coś dolegać, ale chętnie popracuję i do setki.* Jakubowski przeżył udar, Galos ma problemy z kręgosłupem. Ale nie planują kresu aktywności zawodowej. – *W domu by się chyba zamęczył z nudów* – mówi o zegarmistrzu żona.

– *W tym roku ukończyłam 80 lat, ale nie przeszkadza mi to pracować intensywniej niż dotychczas* – mówi Izabela Chełkowska-Wolczyńska. Projektuje scenografie i kostiumy do spektakli teatralnych, seriali i teatrów telewizji, koncertów, benefitów, imprez targowych i muzealnych, ekspozycji w kraju i za granicą. Była głównym scenografem Festiwalu Gwiazd

w Międzyzdrojach, projektowała wnętrza słoniarni i pawilonu hipopotamów. – *W magazynach Teatru Wielkiej Opery Narodowej jest około tysiąca kostiumów mojego autorstwa, mam w planach ich sporą wystawę. Studiuję historię mody lat 1908–10, aby przygotować się do projektu kilkudziesięciu kostiumów do operetki Szymanowskiego. Na stare lata musiałam się nauczyć projektów wideo.*

Opowiada, że nie chciano jej sprzedać drogiego komputera na kredyt (– *Bali się, że nie zdążę spłacić*). Znajomi mówią o niej: petarda. Reporterowi wysłała mail o „starszej pani pracującej aż do końca dni swoich” z czarnym humorem w tytule: „Praca do śmierci”.

Kolej rzeczy

– *Dziadek mawiał, że jeśli po drugiej stronie nie można szyc, to jemu się tam nie spieszy* – opowiada Karol Rzeszutko, wnuk Henryka Krupy, który przepracował w zawodzie 76 lat. Razem prowadzili zakład krawiectwa miarowego w Poznaniu. Pan Henryk jako 92-latek uchodził za najstarszego czynnego krawca w Polsce. Wnukowi powtarzał: „Głowa do góry, kłata do przodu i przed siebie! Zawsze do przodu!” – *Mówił mi też, że pewnego dnia nie przyszedł do pracy jego ojciec, nie przyjdzie on i kiedyś nie przyjdzie ja, bo taka jest kolej rzeczy.*

Miewał zawroty głowy, ale 11 września 2022 r. upadł w pracy i do pracowni nigdy nie wrócił. – *Proponowałem, że zawiozę go na wózek, ale chciał pamiętać pracownię taką, jaka była, gdy w niej pracował. I chciał, żeby ona takiego go zapamiętała* – opowiada Karol Rzeszutko. Henryk Krupa zmarł 25 listopada. Zdążył jeszcze wyznać wnukowi, że pracy to mu zazdrości.

ZBIGNIEW BOREK

Oskarowa rola

22-letni działacz pisowskiej młodzieżówki **Oskar Szafarowicz** publikował tweety pozwalające zidentyfikować ofiary pedofila, dzieci posłanki Magdaleny Filiks. Kilka miesięcy później dostał pracę w Krajowym Zasobie Nieruchomości, program w TV Republika, a ostatnio także posadę w PKO BP.

AGATA SZCZERBIAK

Oskar Szafarowicz: – *Bardzo pani dziękuję, że w ogóle chce pani ze mną porozmawiać* – zaczyna rozmowę. Rocznik 2001, urodzony w Łowiczu, student prawa na UW. Na Twitterze obok zdjęcia profilowego umieścił Jana Pawła II. Dom rodzinny nie był specjalnie rozpolitykowany. Mówi, że „nie zaglądał rodzicom do kart wyborczych i na pewno się to nie zmieni”. Do Forum Młodych PiS dołączył zaledwie w zeszłym roku, a dziś można go już nazwać pierwszym apologetą PiS, przynajmniej w jego pokoleniu. Jarosław Kaczyński to dla niego polityczny idol w kategorii „politik żyjący”. Na drugim miejscu wskazuje Lecha Kaczyńskiego. Tego pierwszego nazywa „wizjonerem, który marzy o silnej, niezależnej, dostatniej dla obywateli Polsce”. Drugiego z braci ceni najbardziej za to, że chciał budować „niezależne państwo”.

Opozycja rymuje się mu z ideologiami, „ograbianiem Polaków”, jest totalna, partie opozycyjne to „partie zewnętrzne”. – *Każdego przeciwnika politycznego można nazwać hejterem tylko dlatego, że przypomina fakty, liczby, dane albo po prostu przedstawia własną wizję Polski* – wzdryga się na pytanie o to, że ciągnie się za nim opinia hejtera. 16 kwietnia napisał na Twitterze: „codziennie czytam i słyszę setki wyzwisk lider PiSjugend, pisowski śmieć, podczłowiek itd., tylko dlatego, że miałem odwagę ujawnić swoje prawicowe poglądy, że działam w PiS, jestem katolikiem i chcę bronić wartości patriotycznych”.

Tylko podawał dalej

22-letni działacz młodzieżówki PiS zaczął od TikToka. Od lata ubiegłego roku wspólnie z dwojgiem innych studentów objaśniał świat z perspektywy Prawa i Sprawiedliwości na kanale Okiem Młodych. Miał to być element zapowiadanej przez PiS ofensywy w internecie, skierowanej do młodych. Nie wyszło. Filmiki i posty, w których głównie chwalono rząd i krytykowano opozycję, a zwłaszcza Donalda Tuska, nie zyskiwały popularności, w komentarzach pojawiały się głównie krytyka. Szafarowicz zaczął jednak aktywnie działać na Twitterze na własną rękę. Jego konto (gdzie obserwuje go 15 tys. osób) produkuje setki wpisów popierających rząd PiS oraz podaje dalej wpisy o podobnym wydźwięku.

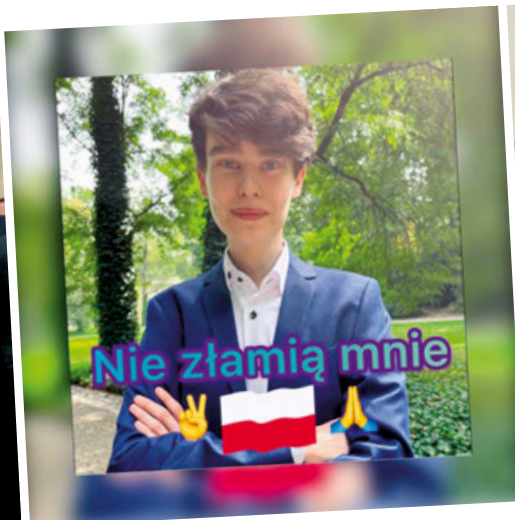
Gdy 29 grudnia 2022 r. Tomasz Duklanowski z Radia Szczecin opublikował artykuł o pedofilu związanym z PO, a podane przez niego informacje umożliwiły internautom szybką identyfikację małoletnich ofiar, Oskar Szafarowicz udostępnił je na swoim Twitterze. „Bardzo Was proszę, ta sprawa nie może być przemilczana (...). Pełnomocnik marszałka Gebłowicza skazany prawomocnie za zachęcanie do narkotyków

i PEDOFILIĘ wobec córki znanej posłanki (tuszowano w PO)” – brzmiał pierwszy z tweetów. W kolejnym zarzucał matce dzieci Magdalenie Filiks, że „naciskana przez władze swojej partii” przemilczała sprawę molestowania swojego syna przez osobę powiązaną ze środowiskiem zachodniopomorskiej PO: „milczy od ponad roku, stawiając karierę partyjną ponad ich dobrem”. Wiadomo jednak, że oskarżony w tej sprawie, skazany na 4 lata więzienia, odbywał już zasądzony wyrok. Po tym, jak posłanka Filiks poinformowała o samobójczej śmierci syna oraz po fali krytyki ze strony internautów, Szafarowicz usunął swoje wpisy. Dziś jego Twitter zaczyna się 8 marca. Wcześniejszych postów brak. Ale w sieci nic nie ginie.

30 tys. podpisów

Najpierw powstała petycja wzywająca do usunięcia Szafarowicza z listy studentów UW. Podpisało ją ponad 30 tys. osób. – *Petycja była dostępna dla wszystkich, nie tylko studentów UW, ale to ewidentny sygnał, że ta sprawa wielu z nas oburza* ▶





Ze Oskarem Szafarowiczem PiS jest potrzebny w drodze do kariery, wydaje się oczywiste, ale po co PiS-owi Szafarowicz? W partii jest mało aktywnych działaczy, którzy mogliby pokazać, że 20-latkowie też na nią głosują.

Na fot. internetowa autopromocja Szafarowicza.

► – mówi Maksymilian Mirecki, student II roku prawa na UW. – Na uczelni ludzie podchodzili do mnie i mówili: Podpisałem. To była ulga, że wreszcie ktoś zareagował i nie jest tak, że Oskar może wszystko wypisywać i nie ponosi za to żadnych konsekwencji – dodaje Daria Brzezicka, inicjatorka petycji, studentka III roku prawa na UW, rzeczniczka prasowa Unii Europejskich Demokratów. Stało się coś jeszcze: po burzy wokół petycji w sieci pojawiło się oświadczenie społeczności wychowanków II LO im. Stefana Batorego, którego absolwentem jest Szafarowicz. „Jego działanie oceniamy jako głęboko niemoralne i jaskrawo sprzeczne z wartościami, które od ponad stulecia nasza Szkoła wpaja swym uczniom. Wierni etosowi Liceum chcemy zająć stanowisko w tej bulwersującej sprawie. (...) Wzywamy pana Oskara Szafarowicza do publicznych przeprosin i zadośćuczynienia oraz deklaracji zaprzestania podobnych działań w przyszłości” – można przeczytać w oświadczeniu.

Sprawa precedensowa

Tweety Szafarowicza pozwalające zidentyfikować ofiarę pedofila oraz to, co mówił na temat tej sprawy w klepiących go po plecach prawniczych mediach, zebrała Daria Brzezicka i złożyła zawiadomienie o możliwości popełnienia deliktu dyscyplinarnego. „Jego działania uchybiają godności studenta oraz stanowią możliwe naruszenie prawa powszechnie obowiązującego oraz wewnętrznego Uniwersytetu Warszawskiego. Pan Szafarowicz w grudniu 2022 r. w swoich wpisach nie tylko zachęcał do rozsyłania danych ofiary, ale co bulwersuje najbardziej, oskarżał matkę chłopca o tuszowanie sprawy” – napisała w zawiadomieniu do prof. Alojzego Nowaka, rektora UW. A POLITYCE mówi: – Uważam, że wszystko ma swoje granice. Każdy uprawia politykę tak, jak mu się podoba, ale w momencie, w którym robi się to na krzywdzie dziecka, jest to najbardziej obrzydliwa rzecz z możliwych, o którą nie posądzałabym nawet większości osób związanych z PiS. Nie

wyobrażam sobie, żeby ten człowiek studiował dalej ze mną na uczelni.

Sprawą zajmuje się rzecznik dyscyplinarny UW, a władze uniwersytetu wydały krótką notkę, wspominając o „stosownych krokach” podjętych „w związku z pojawiającymi się w przestrzeni publicznej informacjami dotyczącymi udziału studentów UW w przekazywaniu treści sprzecznych z obowiązującym porządkiem prawnym, etycznym i moralnym oraz szerzeniem mowy nienawiści w mediach społecznościowych”.

Wiadomo, że w trakcie jednego z przesłuchań rzecznik dyscyplinarny był zainteresowany tym, czy Oskar Szafarowicz narracje z tweetów rozpowszechniał także na uniwersytecie, czy ograniczał się „tylko” do internetu. – Nie wiem, czy da się coś bardziej publicznie powiedzieć niż na Twitterze. Tylko pierwszy wpis w grudniu zobaczyło 40 tys. ludzi – mówi Daria Brzezicka. I dodaje: – Po wszystkich doszłam do wniosku, że dobrze zrobiłam, drukując wszystkie tweety i one są teraz w aktach sprawy, bo widziałam w pewnych momentach zaskoczenie na twarzy rzecznika.

Sprawa jest precedensowa – rzecznik dyscyplinarny UW zajmuje się szkodliwością działań studenta, które, choć mają realne konsekwencje, „dzieją się” na Twitterze. Komisje dyscyplinarne mogą wymierzać kary spośród ujętych w katalogu ustawowym, poczynając od najłagodniejszej, czyli upomnienia, poprzez naganę, naganę z ostrzeżeniem, zawieszenie w określonych prawach studenta do jednego roku, aż po najsurowszą, czyli wydalenie z uniwersytetu. – Tu naprawdę nie chodzi o poglądy, a zachowanie, które godzi w zawód prawnika. Na to nie ma wytłumaczenia. Oskar Szafarowicz wiele razy mówił, że nie żałuje tego, co pisał. Jak ktoś taki ma być potem prawnikiem, wykonywać zawód zaufania publicznego? To dla mnie niepojęte – mówi Brzezicka.

W sieci ruszyła też akcja w jego obronie – polityków, publicystów, zwolenników prawicy. „Co jest z nim nie tak? Tylko jedno

– nie popiera jedynie słusznej formacji marksistów” – napisała małopolska kurator oświaty Barbara Nowak. „Bardzo złe standardy na Uniwersytecie Warszawskim. (...) Wstyd. Oskar, trzymaj się. Cała ta sprawa zapisuje się z dnia na dzień na ciemnych kartach historii UW” – napisał na Twitterze wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta.

Cichy, wycofany?

Synekury za nieprzeciętną aktywność zostały sprezentowane dość szybko. 1.02 Oskar Szafarowicz zostaje zatrudniony jako młodszy specjalista ds. promocji w Krajowym Zasobie Nieruchomości. To państwowa instytucja utworzona przez rząd PiS, która ma wspierać rozwój budownictwa mieszkaniowego. Szafarowicz objął stanowisko młodszego specjalisty ds. promocji, czyli tak naprawdę ma odpowiadać za prowadzenie social mediów. W rozmowie z POLITYKĄ tłumaczy, że na ofertę natknął się, bo „śledzi różne ogłoszenia”, choć jest mało prawdopodobne, by w wieku 22 lat wejść do spółki Skarbu Państwa „na anonima”.

1.04 Oskar Szafarowicz zaczyna prowadzić program „Hity w Sieci” w prorządowej stacji TV Republika. Również w kwietniu nazwisko Szafarowicza pojawiło się na liście pracowników w systemie kontrolowanego przez państwo banku PKO BP. – *Pomagam w kampaniach zachęcających przedstawicieli młodego pokolenia do wybrania oferty pracy w banku* – mówi Szafarowicz. Rzecznik PKO Bank Polski, zapytany o kompetencje i zarobki młodego działacza PiS, odpisuje, że bank „nie komentuje spraw kadrowych”. Krajowy Zespół Nieruchomości nie odpowiedział na mejla wysłanego przez POLITYKĘ. – *Ja bym tego nawet nie nazwała sprawą polityczną, ale karierowiczostwem. Myślę, że chodziło o to, żeby zaimponować ludziom władzy. I to się sprawdziło. Myśli pani, że łatwo dostać posadę w PKO BP studentowi II roku, który nie ma żadnego doświadczenia?* – komentuje Brzezicka.

Na żywo tymczasem Szafarowicz jest cichy, wycofany i mało widoczny. – *Na zajęciach raczej nie zabiera głosu. Nie dyskutuje z prowadzącymi. Jest raczej na uboczu* – mówi o nim Maksymilian Mirecki, znajomy z Wydziału Prawa UW: – *Jestem z nim w jednej grupie na zajęciach z prawa konstytucyjnego i ten przedmiot jest o tyle ciekawy, że chyba najbardziej ze wszystkich jest związany z polityką. Nie da się analizować prawa*

konstytucyjnego w oderwaniu od bieżących wydarzeń, np. prawa łaski w oderwaniu od ulaskawienia Mariusza Kamińskiego, albo omawiać funkcjonowanie Trybunału Konstytucyjnego bez odniesienia się do obecnego paraliżu tej instytucji, spowodowanego działalnością PiS. Na tych zajęciach zdarzają się dyskusje na tematy bieżące, Oskar w tych dyskusjach nie uczestniczy, nie wyraża własnego zdania.

Że Oskarowi Szafarowiczowi PiS jest potrzebny w drodze do kariery, wydaje się oczywiste, ale po co PiS-owi Szafarowicz? – *Oskar jako osoba, która świadomie weszła do tego środowiska, mając na uwadze to, że większość młodych popiera opozycję, w tym Konfederację, a nie PiS, wiedział, że przebicie się na najwyższe szczeble może być łatwiejsze, bo będzie potrzebny partii. W PiS jest mało aktywnych działaczy, którzy mogliby pokazać, że młodzi, 20-letni, też głosują na PiS, a on to w nieetyczny sposób wykorzystał* – uważa Mirecki.

Żelazem wypalać

O swoim pokoleniu Szafarowicz mówi bez ogródek: bez autorytetów, czuje lęk przed przyszłością, pozbawione sensu i stabilizacji, szansy na rozwój osobisty. Przypomina to przemówienia Jarosława Kaczyńskiego, który co rusz ujawnia, że nie ma o młodych najlepszego zdania, bo są podatni na „ideologie” i „mody”, wpływy gender i Zachodu. Ale Szafarowicz chciałby być tego pokolenia głosem (przygotował m.in. „Diagnozę młodego pokolenia”).

Czy żałuje, że opublikował tweety o szczecińskiej posłance PO? „Bazowałem na różnych doniesieniach medialnych, była jakaś zmowa milczenia w szczecińskiej Platformie i to było skandaliczne. Takie sprawy należy gorącym żelazem wypalać”.

Jak z dzisiejszej perspektywy ocenia postępowanie Duklanowskiego? „Nie chciałbym w ogóle oceniać działalności mediów, jakichkolwiek, ponieważ uważam, że rolą każdego medium jest pisanie prawdy.”

Granice wolności słowa w sieci? „Podstawową sprawą jest moralne i etyczne podejście każdego użytkownika”.

Czy sam przestrzegał wspomnianych zasad? „Sądzę, że do tej pory zawsze przestrzegałem zasad moralnych, które są wyznacznikiem mojej działalności”.

AGATA SZCZERBIAK

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 30.04 - 02.07.2023r.

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrawiskowa „Pod Tęźniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

Wspomnienie peonii

Rozmowa z Tomaszem
Kosiorkiem, psychologiem
klinicznym, który zajął
się pielęgnacją roślin,
o ogrodowych modach.

JĘDRZEJ WINIECKI: – **Kto pana zatrudnia?**

TOMASZ KOSIOREK: – Mój statystyczny wyzytowany ogród leży na obrzeżach Warszawy. Przed dekadą założyła go specjalistyczna firma. Ma od kilkuset do kilku tysięcy metrów kwadratowych, nie do końca działające automatyczne podlewanie i kabel od podświetlenia drzew, zerwany po tym, jak coś próbowano na nim zasadzić. Zrobił się tłok, rośliny od dawna się nie mieszczą, bo firma rozmieściła je tak, by od początku nie było „dziur”, więc teraz trzeba coś z tym gąszczem zrobić. Sporo mam ogrodnictwa interwencyjnego, zwłaszcza przed dużym przyjęciem, komunią czy wizytą teściowej. Czasem klienci nie wiedzą, jak się zająć ogrodem kupionym razem z domem, i chcą się tego z moją pomocą nauczyć.

Ogrodnik należy do służby czy grona ekspertów?

Bywa i tak: „Panie Tomku, wychodzę, a mój partner nie mówi po polsku. Proszę dzwonić, jak będzie problem”. No i przychodzi ów partner z herbatą, wita się, faktycznie poczynającą polszczyzną. Przechodzimy na angielski i gadamy, ja cały czas piętę. Zeszło nam na muzeum w Brukseli i fatalne oświetlenie obrazów Boscha. Bo naprawdę jest kiepskie. A wieczorem telefon: przepraszam, że potraktowałam pana jak ogrodnika. Czyli jesteśmy bardziej od łopaty.

Ogrodnik-robotnik jest słuchany?

Naszym zadaniem jest wy badać potrzeby domowników i dostosować do nich funkcje ogrodu. Zakres kompromisów wyznacza otoczenie, charakter siedliska, rodzaj gleby, stosunki wodne. Rekomendacja o polubieniu naturalnych okoliczności ogrodu to nie jest coś, co klienci chcą ode mnie usłyszeć. Ani to, że nie każda formacja roślinna pasuje do stylu i fantazji podwarszawskiego posiadacza ogrodu. Tak samo w środku mazowieckiej wsi, w sąsiedztwie łąk i lasu sosnowego, przy domu z lat 90. z dwuspadowym dachem pokrytym blachą trapezową, niekoniecznie korzystnie zaprezentuje się ogród japoński i połowa podwórka wysypa granitem.

Nie chce pan drugiej Japonii w polskim ogrodzie?

Tamtego zlecenia nie wziąłem, ale pomagam prezesowi bardzo dużej firmy, który kawałek ogrodu japońskiego ma. Siedzę na podnośniku i obcinam poszczególne gałązki, kształtując sosny, by wyglądały jak bonsai. A pan prezes stoi w oknie na piętrze i wskaźnikiem laserowym pokazuje, co ciąć. Powinienem też chronić klientów przed przyszłą frustracją. Ustalić, jakiego cienia potrzebujemy od danego drzewa, czy ma zaglądać w okna, czy odsunąć się

od budynku. Wyzwaniem bywają ogrody najmniejsze, najtrudniej zachować w nich atrakcyjność o każdej porze roku. Niemniej nie wsadzę do ziemi wszystkiego, o co jestem proszony. Słowa „ładnie” i „nieład” składają się z tych samych sylab, tylko trzeba je odpowiednio ułożyć. A ponieważ nie każdy ma wyobraźnię przestrzenną albo zna się na roślinach, więc pomaga wspólna wyprawa do szkółki roślin. Albo prosty rysunek. Może się okazać, że ktoś po prostu nie lubi czerwonych kwiatów i chodzi o zmianę kolorystyki.

Na co jest pan gotów się zgodzić?

Właśnie posadziłem dwieście tuj.

Fuj!

Naigrwanie się z nich jest już passé. Oddajmy im sprawiedliwość – mogą być solidnym żywopłotem albo zimozielonym elementem rabaty. Wydawały się wieczne, a okazały się modą, niechybnie przemijającą. Niestety mody ogrodowe bywają koszarne, bo wszyscy rzucają się na to samo. Wciąż widać ślady mód z lat 90., bo przecież sadzimy na lata. A moda to statystyka. Trwa jeszcze hortensjowe szaleństwo, ale za dwa lata będziemy je wykopywać. Zrobią miejsce nowym inspiracjom prezentowanym w serwisach internetowych typu Pinterest czy Instagram. Latami wzięcie miały miskanty, wysokie trawy zachowujące się jak gatunek inwazyjny. Zaguszają inne uprawy, wylażą w środku trawnika i u sąsiadów, i bywam proszony o ich wytrzebiecie. Niektórzy z zawstyżeniem mówią, że lubią paprocie. Bo wydają im się swojskie, dobrze kojarzą, ale nieśmiałość wywołuje to, że uchodzą za „nic specjalnego”.

Co ma szansę wkraść się w łaski?

Rośliny bywają kupowane aspiracyjnie, zwłaszcza wtedy, gdy ogród traktowany

jest jak oznaka statusu. Wtedy wie się, że splendoru dodają zakupy w konkretnych miejscach, można się pochwalić w serwisach społecznościowych dostawą z centrum X, będącego „przedłożonym” sklepem ogrodniczym. Niektórzy zostawiają etykiety zawieszane na roślinach, by było widać, skąd przyjechały. Albo: „Panie Tomku, ogrodnik sąsiadów posadził coś takiego, wyślę panu zdjęcie. Czym to przebijemy?”.

Brzmi jak wyjście zbrojeń.

Szalony. Także między najbliższymi, zwłaszcza synowymi i teściowymi. Ogród staje się terytorium rodzinnych wojen zastępczych, przenosi się do niego emocje. Teściowe lubią oszczędnie, wiedzą, że np. hortensję łatwo samodzielnie rozmnożyć. Na to synowa jedzie do sklepu i kupuje hortensję w takim kolorze, żeby mamusi oko zbiełało. Teściowe dostają po łapach, gdy próbują same pogrzebać w nie swojej ziemi. Bojkotuje się przyniesione przez nie sadzonki. Podpowiadają kawałeczek warzywniczka, ale szczypior nie ma szans, bo ma być ładnie i efektywnie.

Naprawdę nikt nie chce szczypioru?

Niektórzy się angażują, pracujemy ramie w ramie, wspólnie zachwycamy się rosnącą sałatą. Zakładamy kompost, użyźniamy. Dla innych perspektywa, że w ogrodzie znajdują się elementy użytkowe, estetyczna szopa na narzędzia czy warzywnik, równałaby się z pokalaniem sanktuarium. Ewentualnie zielnik, to nawet chętnie, blisko kuchni. W której widzę potem te same zioła, dopiero co kupione w markecie. Jakby te własne były gorsze. W takiej przestrzeni nie ma miejsca na rośliny, którymi trzeba się zaopiekować, regularnie przycinać czy zbierać z nich owoce. Chociaż zdarzyło ▶

Tomasz Kosiorek, (ur. 1980 r.) – warszawski ogrodnik. Fachu uczył się od dziadków i na studiach podyplomowych w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Przez wiele lat zakładaniem i prowadzeniem ogrodów zajmował się amatorsko, pomagając rodzinie i znajomym. Pracował jako dziennikarz radiowy, menedżer w firmie projektującej gry komputerowe i trener kompetencji miękkich. Z wykształcenia psycholog kliniczny.



► się, że klienci wrócili w niedzielny wieczór z urlopu i w obliczu pustki w lodówce poszli do ogródka i przynieśli z niego kolację – rzodkiewki, pomidory, szczypiorek i poziomki, których cała masa dojrzała pod ich nieobecność. Nawet ogródki działkowe mają coraz mniej wspólnego z uprawą. Coraz więcej pełni funkcję wyłącznie rekreacyjną. Altanka może mieć i 40 lat, ale wokół powinien się rozpościerać równiuseńki trawnik, czasem z rolki, założony przez profesjonalną firmę. I już nie tuje, ale rabaty ściółkowane kamieniem i gatunki egzotyczne, do wymiany co roku, bo znowu przed zimą zapomnieliśmy przykryć.

Skąd pęd za egzotyką?

Ma być ekstra, a to najczęściej znaczy drogo. Bratki nie są wystrzałowe, bo są tanie, tak jak niedrogie tuje. Forsycje pięknie otwierają wiosnę, ale dla wielu osób to takie krzaki z blokowiska, więc ich nie chcą. Ostatnio pojawiły się palmy i firmy, które zabierają je na przechowanie przez zimę. Dobrze robi skomplikowany, nobilitujący człón w nazwie. Możemy powiedzieć omżyn albo – to ten sam krzew – budleja Davida. Za coś super uchodzą skimmie japońskie, krzewy z ładnymi, utrzymującymi się przez całą zimę kwiatostanami. Kilka lat temu popularnością cieszyły się siodły koreańskie.

Udają się?

Z faktu, że jakieś drzewo radzi sobie np. w Chorwacji, nie wynika, że da radę w Polsce. Klienci studiują w internecie zdjęcia roślin z południowej Azji albo z Kalifornii, pytają o rzeczy, których nie mają nawet nasze ogrody botaniczne. Objaśniam, że trzeba będzie otoczyć je wyjątkową troską, a i tak pewnie zmarzną. Niektóre rośliny nieodpasowane do naszych warunków łatwo atakują szkodniki. „No to pan opryska”. Ale ileż można łać tej chemii? „Do skutku, panie Tomku, do skutku”. Klon palmowy z Japonii nie przepada za wiatrem, balkon to nie będzie dla niego optymalne stanowisko. Nie przeżyje zimy? Nie ma problemu, kupimy nowy i ładniejszy.

Wiele jest wyrzucania?

W pewnym domu dwumetrową strelcję, wnętrzarski hit z wysokimi liśćmi w kształcie wiosł kajakowych, sadziłem już trzykrotnie. Każda kosztowała 2,5 tys. zł, domownikom nie szło z podlewaniami. Z wielu ogrodów wyjeżdża wszystko, co wydaje się niepotrzebne, także kłody, konary, gałęzie, liście i ziemia, wszystko, co się zmieści w plastikowych worach. Nowi właściciele starych ogrodów na wstępie zamierzają czyścić teren do gołej ziemi. Wtedy zaczynamy negocjacje, zachwycam się starymi roślinami,



Tak popularne kiedyś oczka wodne dziś wychodzą z mody.

objaśniam, ile lat trzeba czekać na coś podobnego. Przekonują argumenty finansowe. Spory jałowiec, wytypowany do wyrzucenia, kosztuje w szkółce ze 3 tys. I optyka się zmienia. Ostatnio głośno było o potrzebie zostawienia liści, choć niekoniecznie służą trawnikom. Próbuje się zgarniać na rabaty albo kompostować. Ale kompost już nie jest dla wszystkich, bo zapach. Tymczasem dobrze prowadzony pachnie bardzo przyjemnie. O ile nie jest uwięziony w szczelnym plastikowym pudle, pada na niego deszcz i jest szansa w nim zamieszać. Obierki z ziemniaków ładują w śmieciach, a po ziemię do skrzynki jeździ się do sklepu.

Trawnik?

Domena pana domu, razem z grillem, bo zniknęły ogniska. Reszta uznawana jest za sferę kobiecą. Panowie często koszą sami i są z tego swojego cięcia bardzo dumni. Udzielają się w internetowych grupach typu „trawnik doskonały”, śledzą porady o aeracji, wertykulacji, dosiewaniu, eksterminacji mchu. Nawożą jak opętani, azotem, co dwa tygodnie. Trawa ma być szmaragdowa. Z drugiej strony godziny z kosiarką i podkaszarką – bo trzeba do równego wygolić przy murkach – pełni ważną rolę terapeutyczną. Koszenie jest medytacją w ruchu, czynnością, która nie powinna być przerywana, skoro to bufor między godzinami w pracy a życiem rodzinnym albo odparowanie na początek weekendu.

Kosiarze widzą coś poza trawnikiem?

Taka kośba nie wiąże się z bezpośrednim kontaktem z naturą. Od zielonego,

żywego i mokrego są oddzieleni maszyną kosiarki, podobnie jak samochód izoluje od miejskiej dżungli. I jak żyjąc w mieście, oczekujemy, że ulice zawsze będą przejezdne, odśnieżone albo bez korków, to domagamy się w ogrodzie permanentnego stanu idealnego, dociętego i dokoszzonego, dopryskanego. I znów część klientów zaczyna doceniać nieidealny trawnik, który nie wymaga tyle wody i zabiegów co szmaragdowy trawnik ze zdjęć w sieci. Za to szczerą męską fascynację budzi zwłaszcza mienienie gałęzi na trociny i ryk rębaka, dominiujący nad całą okolicą.

Ziemia za paznokciami nie jest modna?

Niektórzy zaczynają grzebać samodzielnie, ale narzekają, że boją ich plecy. Skądinąd są badania wpływu bakterii glebowych na łatwiejsze pokonywanie depresji, ogrodnictwo jest też zapisywane jako środek terapeutyczny. Jedna z moich klientek poległa na kilku próbach uruchomienia sąsiedzkiej giełdy roślin. Możliwe, że ludzie nie wiedzą, że sporo roślin daje się rozmnożyć, że fajnie je rozdać albo się nimi powymieniać. Że nie wszystko do ogrodu musi przyjechać, to tylko do śmietnika.

A skąd mamy to wiedzieć?

Niby wszyscy jesteśmy z chłopą, kontakt z ziemią mamy w genach i w tradycji, do tego szkoła dostarczyła jakąś porcję wiedzy o funkcjonowaniu roślin i zwierząt, ale bywa, mówiąc delikatnie, różnie. „Panie Tomku, a co tu się stało, czy to nowotwór?”. Nie, przekwitły



Kariere zaczynają u nas robić ogrody japońskie.

tulipany, szykują się do rozmnażania i dlatego tak wyglądają. Podobnie organizmy przychodzące bez zaproszenia są źródłem obaw. Z wyjątkami. Jest sentyment do ptaków, można zorganizować budki i karmnik, by dostarczyć starannie wyselekcjonowany pokarm.

Da się stworzyć typologię ogrodowych strachów?

Numerem jeden są opuchlaki, chrząszcze zjadające liście, ich larwy żywią się korzeniami. Są w tym naprawdę niezłe, potrafią dość szybko zabić roślinę, pchają się też do domu. Odpowiedzią są oczywiście opryski, niespecjalnie zresztą działające. Teoretycznie należy przyskać tylko opanowane przez nie rośliny, ale pewne nadzieje związane są z profilaktyką: „Panie Tomku, niech pan to wszystko porządnie zleje, zrobi im drugie Dreżno”. Dalej cma bukszpanowa. O dziwo, przeszło trochę z komarami, a przecież dawniej przyskano na nie szaleńczo. Później ślimaki, zwłaszcza przywleczone spoza Polski pomrowy, uznawane za nieestetyczne. Te z muszelmami to dzieci sobie jeszcze przeniosą, a bezmuszłowe wydają się paskudne. Później mszyce, przędziorki, wełnowce i mrówki. Docenia się motyle i pszczoły, dużo wiadomo o ich kłopotach, więc są łaki kwietne. Ale nie należy ich mylić z trawnikiem czy łąką za płotem. Bo praktycznie nie ma ogrodów bez ogrodzeń.

Zielona twierdza?

Doskonale odizolowana. Drzewa mają służyć za parawany oddzielające od sąsiadów i dróg. Często iglaste, bo liściaste brudzą, no, chyba że lipy, żeby brzęczały

pszczoły. Ale to nie może być zwykła lipa, tylko z jakimś twistem, coś niezbyt częstego, z innym pokrojem, np. krymska, wtedy jest ekstra. A jak brzoza, to nie samosiejka, lepiej jakaś odmiana z białszą korą, jak Doorenbos. Izolacja tworzy wyzwania. Jak na działce leżącej w lesie, otoczonej wysokim, litym, ceglany murem. Zrobiło się wilgotno, w czym pomaga podlewanie z tryskaczy i obecność fontanny. Naturalnie pojawiły się grzyby, porosty i mchy, trawnik stał się grząski, ewidentnie był bardzo ograniczony ruch powietrza. Właściciel znalazł rozwiązanie: „Panie Tomku, tu jest taka wypożyczalnia sprzętu budowlanego, mają dmuchawy. Weźmiemy?”.

Wzięliśmy?

Są granice absurdu. Jesteśmy odpowiedzialni za krajobraz, lokalny i globalny ekosystem. Jeśli ktoś mieszka w lesie i ma mech, to nie ma sensu go eksterminować i wydzierać, jest cudownie miękki i przyjemnie się po nim chodzi. Trawnik może być naturalną krótko skoszoną łąką. Namawiam na rośliny, które przeżyją lata bez sztucznego podlewania.

I jak idzie?

Nieźle ze zbieraniem deszczówki, nie przeszkadza nawet to, że zbiorniki mają przeciętną estetykę. Coraz więcej osób podlewa ogród wodą odzyskaną z kuchni, w której na przykład myły warzywa i owoce. Udaje się przekonać do kawałka ogrodu deszczowego, miejsca wypełnionego żwirem, które będzie przejmować wodę i nie pozwoli jej od razu odpłynąć.

Oczka wodne są nadal popularne?

Och, nie! Od lat już stanowczo nie. Oczka teraz zasypujemy. Kojarzą się z latami 90. i początkiem wieku. Problem bywa nawet ze skarbami w rodzaju naturalnego strumyka czy jakiegoś cieką płynącego przez działkę. Ja się zachwycam, jest tyle roślin, które można tam wprowadzić, które w innych ogrodach nie mają szans przeżyć, ale właściciele raczej to nie kręci, bo tej przestrzeni nie da się do końca kontrolować. Opornych szantażują przyszłością dzieci i kondycją biosfery. To klucze do sensownych działań, w tym porzucenia oprysków. Posadziłem nieskończoną liczbę krzaków poziomek, malin i borówki amerykańskiej, rzadziej agrestu i porzeczek. Sadzę jabłonie, żeby dzieci widziały, że jabłko jest z drzewa. Dzieci są niesamowicie zainteresowane, pomagają i pokazują swoje ogrodowe odkrycia, konfrontują je z tym, czego nauczyły się w szkole. Opowiadają, co przegapiłem, jak mnie nie było. Rodzice tęsknią za owocami starych odmian, przebijają się ich sadzenie i czekanie na własne jabłko, nawet jak będzie ich pięć i każde będzie niedoskonałe.

Siła nostalgii?

Tak, wracają floksy, ostróżki, malwy, choć z tymi ostatnimi jest problem przez południowoamerykański grzyb wywołujący rdzawość liści. Ale generalnie odżywają wspomnienia peonii i irysów w wiejskim ogrodzie babci, odwiedzanym w czasie wakacji. Na szczęście we współczesnych ogrodach chodzi też o powtórzenie tamtych emocji.

ROZMAWIAŁ JĘDRZEJ WINIECKI

Puchatek nie przyjmuje

W najwyższym położonym nowym schronie turystycznym w Bieszczadach nie można wykupić noclegu. Dzisiaj w paśmie połonin nie ma ani jednego punktu z łóżkiem do spania. Dlaczego?

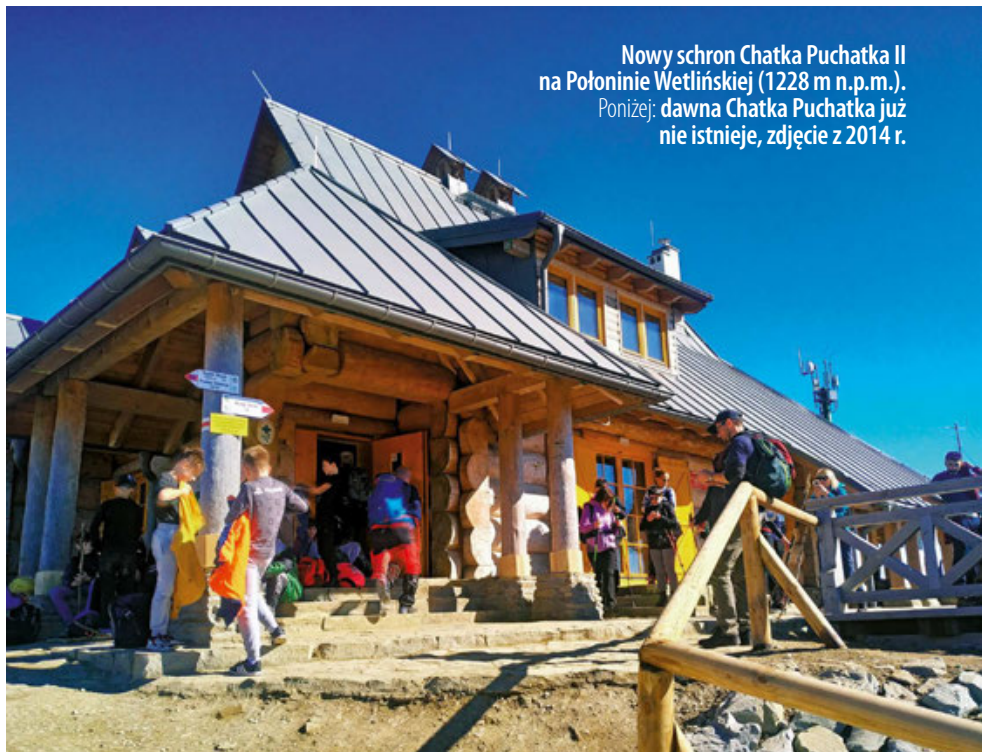
KRZYSZTOF POTACZAŁA

Połonina Wetlińska (1228 m n.p.m.) to jeden z najpopularniejszych szczytów. Każdego roku miejsce to odwiedzają tysiące turystów, by podziwiać pejzaż gór. Także tych ukraińskich, z majestatycznym Pikujem (1408 m n.p.m.), najwyższym wzniesieniem całych Bieszczadów. Podczas zjawiska inwersji powietrza z Wetlińskiej widać Tatry. Amatorzy i profesjonalni fotograficy nie szczędzą wysiłku, by trafić na taki poranek i uwiecznić niezwykłą panoramę.

Jeszcze kilka lat temu na grzbiecie góry funkcjonowała uwielbiana przez turystów Chatka Puchatka. Do 2015 r. była w zarządzie PTTK. Nie stawiało przeszkód, by w górskiej przystani wędrowcy mogli spać i zjeść ciepły posiłek serwowany przez gospodarza i jego partnerkę. W budynku mieściła się też dyżurka GOPR. Po 25 latach batalii o własność Bieszczadzki Park Narodowy (BdPN) przejął budynek. Już wcześniej dyrekcja nie ukrywała, że zostanie on albo gruntownie wyremontowany, albo – w przypadku otrzymania dotacji – rozebrany, w jego miejscu zaś wyrośnie nowa Chatka Puchatka, odpowiadająca współczesnym wyzwaniom ekologicznym i spełniająca funkcję edukacyjną.

Część turystów z żalem przyjęła tę zapowiedź, ale dopiero w 2018 r., gdy zaczęto rozbierać budynek na połoninie, w mediach społecznościowych rozgorzała dyskusja. Najczęściej powtarzano, że Park pozbywa się kultowego obiektu, z którym związane są emocjonalnie rzesze turystów. Internauci z goryczą podkreślali, że teraz „to już nie będą te same Bieszczady”, i za pośrednictwem lokalnych mediów próbowali zatrzymać bieg wydarzeń.

BdPN się nie ugiął, również wtedy, gdy w trakcie rozbioru wysłużonego schronu, jak i podczas budowy nowego, wrzucano do sieci posty z gorzkimi uwagami. Komuś nie spodobało się, że budowlańcy rozryli ścieżkę prowadzącą na połoninę (najpopularniejszy i najkrótszy szlak z Przełęczy



Nowy schron Chatka Puchatka II na Połoninie Wetlińskiej (1228 m n.p.m.). Poniżej: dawna Chatka Puchatka już nie istnieje, zdjęcie z 2014 r.

Wyżnej na czas prowadzenia inwestycji zamknięto), komu innemu, że architektura obiektu nie jest wystarczająco bieszczadzka albo że śmigłowiec transportujący materiały budowlane zaburza spokój dzikiej zwierzyny.

Wdyrekcji Parku w Ustrzykach Górnych przysłuchiowano się tym głosom ze spokojem, choć niekiedy krytycy nowego schronu potrafili podnieść ciśnienie nawet najbardziej pokojowo nastawionym przyrodnikom. Oficjalnie informowali oni jedynie o postępach prac i przybliżonym terminie oddania budynku do użytku. Nie wchodzili w polemikę z internautami, bo – mówią – nie musieli tłumaczyć się z czegoś, co było prowadzone zgodnie z prawem i z konieczności. Konieczność wynikała z tego, że stary obiekt nie nadawał się już do eksploatacji. – *Był w fatalnym stanie technicznym, zagrażającym bezpieczeństwu turystów, nie miał bieżącej wody, kanalizacji i prądu,*



a bezpośrednie sąsiedztwo bardziej przypominało rozryte klepisko niż chroniony obręb – podkreślali. W dodatku tuż obok rosło dzikie wysypisko odpadów, o którym przeciwnicy budowy nowego przytuliska w ogóle nie wspominali. Tymczasem setki kilogramów odpadków lądowały od lat w ziemnym dole i były jedynie przysypywane. Pod koniec funkcjonowania wysłużonego schronu było ich już tak dużo,

że nie dało się tego nie zauważyć, a do wywózki trzeba było zaangażować sztab pracowników i wolontariuszy.

– *Usunęliśmy stamtąd ponad 500 m sześć. odpadów stałych, musieliśmy też zlikwidować nieszczęsne szamba, z których ścieki przedostawały się do gruntu* – mówi dr Ryszard Prędko, dyrektor BdPN. – *Sam obiekt też wyglądał bardzo źle, z dodatkami wykonanymi z niskiej jakości materiałów, najpewniej bez planów i pozwoleń budowlanych. Między innymi dlatego w corocznym ogólnopolskim rankingu schronisk górskich magazynu „N.P.M.” to na Połoninie Wetlińskiej znajdowało się na szarym końcu.*

Testerzy magazynu narzekali m.in. na prymitywne warunki, ciasne pokoje oraz toaletę usytuowaną na zewnątrz. Negatywna ocena nie przeszkadzała jednak turystom, którzy niezmiennie tłumnie odwiedzali Chatkę Puchatka. Przez dekady mówiło się, że kto nie był w tym górskim przytulisku, ten nie poznał ważnego elementu Bieszczadów, mocno osadzonego w ich powojennej historii. W końcu był tu tutaj i tworzył Wojciech Belon z Wolnej Grupy Bukowina. Podobno właśnie na szczycie połoniny napisał „Majstra Biedę”, jedną z najbardziej znanych turystycznych piosenek.

Formalnie Chatka Puchatka nigdy nie była jednak schroniskiem górskim w rozumieniu Ustawy o usługach hotelarskich oraz usługach pilotów wycieczek i przewodników turystycznych. W Podkarpackiem nie ma żadnego takiego obiektu, choćby z uwagi na niską wysokość pasm górskich nad poziomem morza. To jednak kwestia dla wędrowców drugorzędna.

– *Wszystko kręciło się wokół Lutka Pińczuka, długoletniego gospodarza schronu* – opowiadają przewodnicy turystyczni. – *Głównie dla niego ludzie szli na ten szczyt, chcieli z nim porozmawiać, poznać jego niezwykły życiorys. Ale też, rzecz jasna, poczuć klimat kultowego miejsca. To wiązało się również ze spontanicznymi biesiadami czy minikoncertami gitarowymi przy ognisku i z opowieściami o Bieszczadach. Chatka działała na wyobraźnię, była odzwierciedleniem marzeń niejednego wędrowca o życiu z dala od cywilizacji.*

Odmienne zdanie ma dyrektor Ryszard Prędko. Twierdzi, że nazywanie schronu na Wetlińskiej kultowym to chyba żart, w odróżnieniu od legendarnej postaci Ludwika Pińczuka, obecnie cieszącego się emeryturą i życiem w swoim domu w ukochanej Wetlinie. Dzisiaj niewielu może uwierzyć, że materiały na przebudowę obiektu w latach 60. woził z doliny

na końskim grzbiecie i mieszkał w iście partyzanckich warunkach.

W trakcie wznoszenia nowego schronu (poprzedni rozebrano) uspokojono turystów, że zachowana zostanie jego dotychczasowa nazwa, jedynie z tą różnicą, iż będzie to Chatka Puchatka II. Dr Stanisław Kucharzyk, wicedyrektor BdPN, zapowiedział, że wędrowcy znajdą tu miejsce na nocleg, z tym że już nie na pryczy, jak to było dawniej, lecz na podłodze i materacu. Dodał, że w budynku nadal będzie funkcjonował sklepik z napojami i suchym prowiantem, jednak bez możliwości kupienia bigosu czy grochówki. – *Kiedyś agent sprzedawał ciepłe dania, ale pod naszym zarządkiem nie uruchomiliśmy punktu gastronomicznego* – informuje dyrektor Prędko. – *Każdy piechur może skorzystać z własnego prowiantu, a w schronie zaopatrzyć się w kawę czy herbatę. Kto zaś chce zjeść obiad, może to zrobić w barze przy parkingu gminnym na Przełęczy Wyżnej. To nie jest wielka odległość.*

Nowa Chatka Puchatka różni się od swojej poprzedniczki niemal wszystkim. Są nowoczesne toalety (także dla osób niepełnosprawnych), energia elektryczna i solarna. Woda do spożycia dowożona jest w atestowanych pojemnikach. W sanitariatach wykorzystuje się deszczówkę gromadzoną w specjalnie przeznaczonych do tego zbiornikach. Przy schronie powstała mechaniczno-biologiczna oczyszczalnia ścieków. Teren wokół jest odnawiany, turyści mogą korzystać z tarasów widokowych wraz z opisem panoramy połonin, oglądać filmy przyrodnicze, brać udział w zajęciach edukacyjnych czy też w obserwacjach astronomicznych.

Pod koniec zeszłego roku Bieszczadzki Park Narodowy ogłosił zasady noclegu w schronie. W regulaminie zapisano, że zatrzymanie się na noc możliwe jest jedynie w przypadku osób indywidualnie wędrujących szlakami pieszymi i ścieżkami przyrodniczymi w parku narodowym. Schron ma im zapewnić bezpieczeństwo w razie załamania pogody, zapadających ciemności i utraty sił lub pogorszenia samopoczucia. Dla pozostających na nocleg przygotowano 20 miejsc na materacach. Taką samą liczbę miejsc przewidziano na podłodze, z zastrzeżeniem, że turyści powinni mieć własne śpiwory i karimaty. Ustalono też cennik – 60 zł od osoby za dobę pobytu. Turyści zareagowali natychmiast, głównie w mediach społecznościowych. Argumentowano m.in., że cena w schronie jest – nomen omen – wygórowana, a za podobną można przenocować na wygodnym łóżku w hotelu dwugwiazdkowym, a nie podłodze. W dodatku

60 zł bez możliwości wejścia pod prysznic (można się umyć jedynie pod kranem) to stanowczo za dużo. Byli jednak i tacy, którzy uznali, że cena jest przystępna, a pewne niewygodności rekompensują widoki roztaczające się z wierzchołka połoniny.

W tym samym czasie w innych górskich przystaniach obowiązywały podobne lub nieco wyższe ceny. Przykładowo w schronisku PTTK na Hali Szrenickiej w Karkonoszach nocleg w pokoju dwu- i trzyosobowym kosztował 80 zł za dobę, a w pokoju cztero- i pięcioosobowym – 75 zł za dobę. W schronisku PTTK Na Skrzycznem w Beskidzie Śląskim turysta płacił 50–60 zł za pokój dwuosobowy bądź 40–50 zł za cztero- lub pięcioosobowy. Z kolei w schronisku PTTK Na Przehybnie w Beskidzie Sądeckim noc w jedynce kosztowała 60 zł, a w dwójce – 70 zł. Droższe były i nadal są – z uwagi na popularność – niektóre schroniska tatrzańskie.

– *Dlaczego Park najpierw zezwolił na nocny kwaterunek, a później go zakazał? – pytają turyści. Ryszard Prędko tłumaczy: – Zawiesiliśmy możliwość korzystania z noclegów z powodu wątpliwości, czy możemy obiekt na Połoninie Wetlińskiej wykorzystywać do tzw. celów komercyjnych. Wiąże się to z otrzymaną dotacją z Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Podkarpackiego. Stanowiła ona około połowy funduszy, które przeznaczaliśmy na prace w budynku i wokół niego. Chcę jednak zapewnić, że nikomu, kto wędruje po górach, nie odmówimy użyczenia noclegu w przypadku, jeśli idzie czerwonym szlakiem i zastała go noc.*

Zdaniem przewodnika beskidzkiego Zbigniewa Maja w paśmie połonin powinno funkcjonować choćby jedno schronisko bądź schron z noclegami. – *Nie chodzi o stworzenie warunków hotelowych, lecz o to, by mogła w nim przespać noc grupa 15–20 osób, a rankiem podziwiać wschód słońca bądź wyruszyć dalej w drogę.*

Łukasz Bajda, także przewodnik beskidzki: – *Byłoby fajnie, gdyby wędrowiec mógł sobie wykupić miejsce noclegowe, ale też nie uważam, by funkcjonowanie „hoteliku” było niezbędne.*

Dyrektor Prędko: – *Pozostawianie w schronie na wypoczynek nocny zostanie z czasem przywrócone, ale jako element zajęć z zakresu edukacji przyrodniczo-turystycznej. Musimy jeszcze dopracować ten program.*

Budowa Chatki Puchatka II kosztowała 4,2 mln zł. Ponad 2 mln zł to dofinansowanie z Unii Europejskiej. W budynku, jak dawniej, mieści się też dyżurka GOPR. ■

Zmniejszyć górę śmieci

SAMORZĄDY PLANUJĄ BUDOWĘ PRAWIE CZTERDZIESTU SPALARNI W CAŁEJ POLSCE, CHOCIAŻ WIELU MIESZKAŃCÓW NIE CHCE ICH MIEĆ W SWOJEJ OKOLICY. CZY TAKIE OBIEKTY POMOGĄ NAM W WALCE Z ODPADOWYM KRYZYSEM, CZY TEŻ OKAZĄ SIĘ EKOLOGICZNĄ I EKONOMICZNĄ PUŁAPKĄ?

Mieszkańcy Bielska-Białej w lokalnym referendum, które odbyło się 16 kwietnia, dość wyraźnie powiedzieli „nie” budowie lokalnej spalarni. Takiego zdania było ponad 57 proc. głosujących, chociaż wynik referendum nie jest wiążący dla władz miasta, bo wzięło w nim udział nieco mniej niż 30 proc. uprawnionych. Jak będzie w Kraśniku? Tam mieszkańcy pójną do urn już 21 maja i również będą musieli zdecydować o losach projektowanej spalarni. Taki temat często wzbudza wielkie lokalne emocje, jak choćby w podwrocławskiej Wiszni Małej, gdzie spalarnię chce budować nie samorząd (to najczęstszy scenariusz w Polsce), ale prywatny inwestor. Pod Wrocławiem powstał nawet społeczny komitet próbujący zablokować ten projekt.

Emocje wokół takich instalacji to jeden z symptomów polskiego kryzysu śmieciowego. Liczba odpadów komunalnych, czyli produkowanych głównie przez gospodarstwa domowe, stale rośnie. W 2021 r. każdy z nas był odpowiedzialny za wytworzenie średnio 358 kg śmieci – o 16 kg więcej niż w 2020 r. Danych za 2022 r. jeszcze nie ma, ale nic nie wskazuje na przełamanie tej negatywnej tendencji. Za odbiór odpadów płacimy coraz więcej, bo też koszty ponoszone przez gminy nieustannie rosną. Równocześnie recyklingowi poddaje się zaledwie 27 proc. odpadów – ten wskaźnik przestał rosnąć, bo wiele zwłaszcza mniejszych firm z tej branży po prostu zakończyło działalność z powodu eksplozji cen energii. Nierzadko producentom bardziej opłaca

się używać surowców pierwotnych niż tych z recyklingu. Kto decyduje się na to drugie rozwiązanie, robi tak raczej z poczucia odpowiedzialności za planetę niż z chęci zysku.

Aż 40 proc. odpadów w Polsce wciąż trafia na składowiska, chociaż te powinny w zasadzie zniknąć. Co robić ze śmieciami, których nie da się ponownie przetworzyć? Na Zachodzie podstawowe rozwiązanie to ich utylizacja w specjalnych instalacjach, potocznie zwanych spalarniami. My takich miejsc mamy na razie zaledwie dziewięć, chociaż trzeba też do nich doliczyć cementownię, również spalające odpady. W sumie pozbywamy się w ten sposób ok. 20 proc. wszystkich śmieci. Gdyby spalarni było więcej, zapewne mniej odpadów trafiłoby na składowiska. To dlatego wiele gmin chce budować nowe instalacje. Do Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej złożono niedawno prawie 40 wniosków z prośbą o dofinansowanie takich inwestycji. Fundusz ma na razie do rozdania trzy miliardy złotych, tymczasem łączny budżet wszystkich projektów to prawie 17 mld.

Ostra debata na temat spalarni dzieli nie tylko lokalne społeczności, ale i wielu ekspertów. Jedni wskazują na Niemcy, gdzie takich zakładów jest około stu, i na kraje skandynawskie, które od lat inwestują w podobne rozwiązania. Inni ostrzegają: spalarnie to dziś ślepa uliczka, bo trzeba koncentrować się na recyklingu i na ograniczaniu masy wytwarzanych odpadów. Czy zatem spalarnie to niezbędny element, który choć w części może nam pomóc w walce z górą śmieci? Czy też ►



Hochland stawia na Zrównoważony Rozwój

Zrównoważony Rozwój stanowi integralną część wszystkich obszarów funkcjonowania **Hochland Polska**. Osadzenie go w strategii firmy gwarantuje, że jest to stała część kultury organizacyjnej, spójna z misją i kluczowymi wartościami całej Grupy Hochland. Na uwagę zasługują zwłaszcza projekty inwestycyjne zgodne z założeniami gospodarki cyrkularnej, bo aby dziś rozwijać się harmonijnie, trzeba pamiętać o przyrodzie i o człowieku.

Zrównoważony rozwój nie jest już tylko modnym hasłem – jest jedynym odpowiedzialnym sposobem działania i reagowania na szybko zmieniające się potrzeby rynku. Dla całej **Grupy Hochland** to przede wszystkim znalezienie równowagi pomiędzy wzrostem gospodarczym, poprawą jakości życia oraz dbałością o środowisko. „Jesteśmy świadomi naszej odpowiedzialności jako firmy produkcyjnej. Wiemy, że długoterminowy sukces możemy osiągnąć tylko wtedy, gdy będziemy postępować w sposób odpowiedzialny ekologicznie i społecznie. Wierzymy, że podejmowane dziś działania wpłyną pozytywnie na kondycję naszej planety oraz przyszłość następnych pokoleń. Szerokie aktywności **Hochland** na polu proekologicznym i wdrażanie innowacyjnych działań, inwestycji z uwzględnieniem zrównowa-

tego roku i poświęcony był wyzwaniom w zarządzaniu zakładem produkcyjnym. Firma **Hochland Polska** nie tylko została Partnerem Branżowym wydarzenia, ale także przedstawiła swoje projekty inwestycyjne zgodne z założeniami gospodarki cyrkularnej. Żaneta Georgiew i Dariusz Sadowski zaprezentowali strategiczne pola dla **Wizji Hochland 2025**, czyli najważniejsze cele, jakie firma zamierza osiągnąć do roku 2025. **Hochland** przede wszystkim stawia na produkty o minimalnym śladzie ekologicznym, ponieważ gospodarka cyrkularna pozwala zachować środki do życia dla naszych dzieci i wnuków. Celem pierwszym jest więc redukcja śladu węglowego w zakładach o 50%, cel drugi to 100% opakowań nadających się do recyklingu, celem trzecim jest zaś poprawa



fot. Kongres Liderzy Optymalizacji Produkcji

Cel: optymalizacja produkcji

Inwestycje, jakie **Hochland Polska** prowadzi w ramach optymalizacji produkcji, obejmują m.in. automatyczną optymalizację suszenia proszków, która pozwoliła dostosować parametry suszarni do warunków atmosferycznych. Przed inwestycją system suszenia prowadzony był ręcznie, a manualna obsługa skutkowała większymi tolerancjami parametrów procesu. W efekcie osiągnięto efekt ekologiczny w postaci zmniejszenia zużycia energii cieplnej o 757 343 [kWh/rok] oraz obniżenia emisji CO₂ o 150 [ton/rok]. Ponadto firma zdecydowała o automatyzacji krystalizacji z odzyskiem ciepła. Efektem wprowadzenia zmiany sposobu chłodzenia jest redukcja zużycia wody lodowej o ok. 25% oraz wykorzystanie chłodu z wody odzyskanej na instalacji membranowej do zagęszczania serwatki i mleka. W rezultacie oszczędność energetyczna wynosi 245 000 [kWh/rok], a emisja CO₂ uległa obniżeniu o 208 [ton/rok]. Hochland Polska postawił także na modernizację oczyszczalni ścieków poprzez zmianę technologii prasy do osadów. Pozwoliło to na obniżenie zużycia energii elektrycznej o 60%, zmniejszenie zużycia wody użytkowej o 85%, zmniejszenie ilości osadów o 25%, obniżenie emisji CO₂ o 11,1 ton rocznie oraz poprawę klimatu akustycznego, który wynosi <70dB.

Te i inne informacje na temat optymalizacji produkcji znaleźć można w **Raporcie Zrównoważonego Rozwoju Hochland Polska 2021**, jaki firma – mając świadomość wpływu wywieranego na otoczenie społeczne oraz środowisko i przyjmując za to odpowiedzialność – umieściła na swojej oficjalnej stronie internetowej.



żonego rozwoju stanowią wyznacznik trendów dla całej branży i określają kierunek, w jakim powinien podążać dojrzały, świadomy biznes” – podkreśla Joanna Kamińska, Menadżer ds. Zrównoważonego Rozwoju w **Hochland Polska**.

Odpowiedzialność to podstawa

Taki właśnie tytuł miała prelekcja, jaką przedstawiciele firmy Hochland ogłosili podczas pierwszego panelu **kongresu Liderzy Optymalizacji Produkcji**, który odbył się w Warszawie w marcu

dobrostanu zwierząt tak, aby 70% dostawców mleka miało najwyższą kategorię w tym zakresie. Podczas prezentacji zgromadzeni goście poznali także wymierne efekty prowadzonych przez Hochland inwestycji. W 2021 roku firmie udało się obniżyć emisję CO₂ o 62% (w stosunku do roku 2019) i zmniejszyć ilość plastiku w opakowaniach o 22 tony, a także zasiać ponad 14 tys. m² łąk i pasów kwietnych. Ponadto aż 98,6% energii elektrycznej zużywanej w zakładach pochodzi z odnawialnych źródeł energii (z wiatru).



► rozwiązanie przestarzałe, nieekologiczne, wręcz niebezpieczne, w które na pewno nie należy inwestować kolejnych miliardów, zwłaszcza z publicznej kasy?

Wiele samorządów w spalarniach widzi przede wszystkim nadzieję na zatrzymanie śmieciowej inflacji. Liczą, że takie obiekty pomogą ograniczyć koszty, zwłaszcza gdy będą należały do samych gmin. – *W idealnym świecie gospodarki w pełni cyrkularnej spalarni by nie było, ale dzisiaj potrzebujemy ich w rozsądnej liczbie. Radzę gminom, żeby projektując takie instalacje, zastanawiały się, co będą w nich spalać nie teraz, ale za 20–30 lat. Trzeba bowiem założyć, że strumień odpadów trafiających do takich instalacji – dzisiaj większy niż ich możliwości w Polsce – będzie z czasem maleć. Na pewno warto stawiać na spalarnie o charakterze regionalnym, tworzone przez związki gmin, a nie pojedyncze miasta. Tak jest w Gdańsku, Szczecinie czy Koninie. Pamiętajmy, że nie wszystkie odpady nienadające się do recyklingu można składować. Część z nich jest dzisiaj transportowana przez setki kilometrów w poszukiwaniu dostępnej spalarni. Więcej instalacji pozwoli ograniczyć ten absurd* – wyjaśnia Maciej Kiebus, ekspert Związku Miast Polskich zajmujący się gospodarką odpadami.

Do działających dzisiaj dziewięciu spalarni dołączą wkrótce kolejne. Zaawansowane prace trwają w Gdańsku, Olsztynie

i Warszawie. Gminy pozbawione spalarni patrzą często z zazdrością na te zarządzające takimi obiektami. Stąd też wysłgić po dotacje. – *Tymczasem powinniśmy zupełnie zmienić priorytety. Pierwszy krok to poprawienie segregacji odpadów u źródła, czyli w naszych domach.*

Wiele śmieci jest przeznaczonych do spalania, bo ze zmieszanych odpadów

ciężko wyodrębnić surowce nadające się do recyklingu.

Bardzo słabo zagospodarowujemy odpady biologiczne – kuchenne i zielone. Jako państwo chcemy przeznaczyć 6 mld zł na dofinansowywanie spalarni, a zaledwie 1,5 mld zł na biogazownie, tymczasem proporcje powinny być odwrotne. Co gorsza, wiele nowych spalarni może być przewymiarowanych, a budujący je będą musieli walczyć o odpady. Ucierpi na tym gospodarka cyrkularna, która nie może opierać się na spalaniu, lecz na ponownym wykorzystaniu – podkreśla Paweł Głuszynski, ekspert Towarzystwa na rzecz Ziemi.

Zwolennicy takich instalacji argumentują, że są one – wbrew obawom lokalnych mieszkańców – całkowicie bezpieczne, a do tego produkują ciepło i prąd dla gospodarstw domowych po bardzo korzystnych stawkach. Przeciwnicy wskazują na plany Unii Europejskiej, która w ostatnich latach całkowicie zmieniła swoją politykę. Nie popiera ona już budowy kolejnych spalarni, a do tego planuje je pod koniec tej dekady włączyć do systemu ETS.

Co to oznacza w praktyce? Spalarnie będą musiały płacić kary za emisję dwutlenku węgla, a wówczas może się okazać, że stracą biznesową rację bytu. Z drugiej strony dziś mogą pomóc w produkcji tańszego ciepła i prądu, gdy ceny ropy, gazu czy węgla są bardzo wysokie i wyjątkowo niestabilne.

Co zatem robić w obecnej sytuacji? Rozwiązanie najbardziej logiczne to po prostu próba zatrzymania wzrostu masy śmieci. Niestety, pod tym względem Polska nie ma się czym chwalić. Wciąż nie wprowadzono u nas tzw.

Rozszerzonej Odpowiedzialności Producentów (ROP). Pod tym hasłem kryje się szereg środków, które mają skłonić firmy do używania jak najmniejszej ilości opakowań, a także do takiego ich projektowania, by były łatwe w recyklingu. System

ROP różnicuje opłaty ponoszone przez przedsiębiorstwa w zależności od ich ekologicznej odpowiedzialności. Ci, którzy używają na przykład opakowań za dużych, za grubych czy wykonanych z materiałów trudnych do recyklingu, płacą zdecydowanie więcej niż stawiający na tworzywa łatwe do ponownego przetworzenia i zgodne z ideą ekoprojektowania.

Tymczasem w Polsce, przy braku odpowiednich rozwiązań systemowych, największej zależy od odpowiedzialności samych firm. Na szczęście część z nich widzi śmieciowy problem i stara się zmienić swoje nawyki. Tacy producenci stawiają na rozwiązania pozwalające na przykład zmniejszyć grubość opakowań, wyeliminować z nich zbędne elementy czy ułatwiać pracę recyklerom. Robią to, chociaż polskie prawo wcale ich za to nie nagradza. Godnymi pochwały są inicjatywy samodzielnego zbierania butelek przez niektóre sklepy i producentów napojów, gdy normalny system kaucyjny powstanie zapewne nie wcześniej niż w 2026 r. Nie wiadomo nawet,

czy spełni swoją rolę, skoro rząd planuje kaucję za butelkę na poziomie zaledwie 50 gr.

Dzisiaj to także na barki prywatnych firm spada kampania edukacyjna, dzięki której powinna poprawić się segregacja odpadów. To ogromny problem, w rozwiązaniu którego mogą choć częściowo pomóc jasne oznaczenia, instruujące, co zrobić z pustym opakowaniem czy zużyтым produktem. Bez lepszego segregowania nie uda się zwiększyć wskaźników recyklingu. Tymczasem już w 2025 r., zgodnie z unijnymi przepisami, powinniśmy ponownie wykorzystywać 55 proc. odpadów komunalnych, a w 2030 r. – 60 proc. W przeciwnym razie grożą nam surowe kary. Już dzisiaj Polska płaci do unijnej kasy dwa miliardy złotych rocznie daniny plastikowej za tworzywa sztuczne, które nie trafiają do recyklingu.

Największy kłopot to brak spójnej, ogólnopolskiej strategii. Zanim państwo dofinansuje spalarnie czy inne instalacje przetwarzania odpadów, powinno najpierw określić, jakie są nasze potrzeby. Ile ton odpadów będzie za 10 czy 20 lat spalanych, ile może trafić na składowiska (jeśli te w ogóle będą wówczas jeszcze istnieć), a jak duże znaczenie powinien mieć recykling? Tego nie wiemy, więc poruszamy się po omacku. Gminy nie radzą sobie z organizacją gospodarki odpadami, bo nieustannie zmieniające się przepisy i szybko rosnące koszty uniemożliwiają stworzenie stabilnego systemu. Zaś firmy odpadowe, niepewne jutra i niechronione przed eksplozją cen prądu czy gazu, żądają coraz więcej w kolejnych przetargach. Trudno im się dziwić, skoro i one nie są w stanie zaplanować jakichkolwiek inwestycji, żyjąc tylko z roku na rok. Niestety, nie wiada nadziei na poprawę sytuacji. Tymczasem budowanie kolejnych spalarni powinno być przede wszystkim efektem przemysłowej polityki odpadowej, a nie krzykiem rozpacz.

PIOTR CYMERMAN

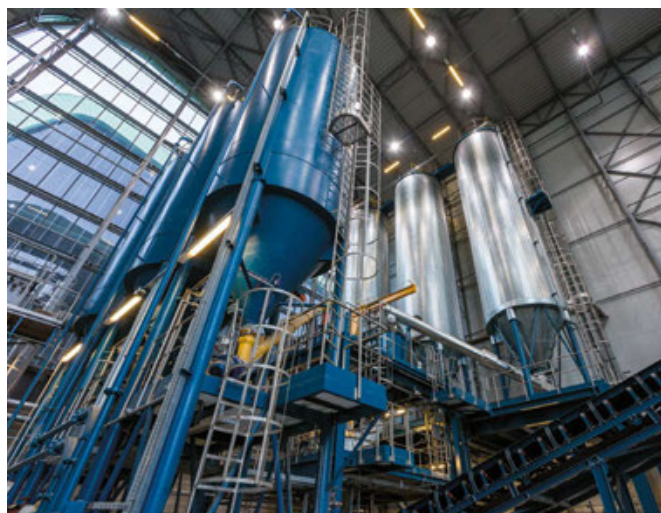
EKO Energia dla Krakowa

KRAKOWSKI HOLDING KOMUNALNY SA, TO SPÓŁKA BĘDĄCA WŁASNOŚCIĄ MIASTA KRAKOWA, ŚWIADCZY USŁUGI ZWIĄZANE Z SEKTOREM GOSPODARKI KOMUNALNEJ ORAZ INSPIRUJE I REALIZUJE DZIAŁANIA PROWADZĄCE DO ZWIĘKSZENIA EFEKTYWNOŚCI FUNKCJONOWANIA KRAKOWSKICH SPÓŁEK MIEJSKICH.

Od czerwca 2016 r. spółka jest właścicielem i operatorem Ekospalarni – Zakładu Termicznego Przekształcania Odpadów, należącego do najbardziej nowoczesnych zakładów tego typu w Polsce. Zakład może przekształcić rocznie maksymalnie 245 tys. ton odpadów komunalnych nienadających się do recyklingu oraz wyprodukować z nich ponad 100 tys. MWh energii elektrycznej i ponad 1 mln GJ energii cieplnej.

Robimy wszystko, by Kraków zwiększał swoją niezależność energetyczną, dlatego prowadzony jest program inwestycyjny, który pozwala krakowskiej instalacji być liderem w branży termicznego przekształcania odpadów. W tym roku szczególny nacisk położono na instalację odzysku energii ze spalin. To trwająca inwestycja, która ma zwiększyć efektywność energetyczną zakładu. Dzięki niej będzie można produkować więcej ciepła w zimie i prądu latem, nie zwiększając przy tym ilości spalanych odpadów. Przy podejmowaniu decyzji o realizacji tej inwestycji ważne były aspekty ekologiczne – instalacja ta spowoduje jeszcze mniejszą emisję CO₂ do środowiska, obniżenie temperatury spalin i co również jest ważne – pozwoli na znaczną oszczędność wody.

W KHK S.A. realizowany jest również innowacyjny projekt Gospodarki w Obiegu Zamkniętym. Jest to dążenie do samowystarczalności energetycznej i zwiększanie skali gospodarowania surowcami odpadowymi i naturalnymi oraz energią w kierunku ich odzysku i recyklingu w obrębie łańcucha wartości produkcyjnych. Zaznaczyć należy, że każda spółka robi to inaczej – dostosowując się do swojej infrastruktury i specyfiki.



Stale prowadzone są projekty związane z fotowoltaiką. Energia elektryczna z instalacji fotowoltaicznej wykorzystywana jest do zasilania wewnętrznej stacji ładowania pojazdów elektrycznych. Można zatem stwierdzić, że samochody ładowane w Ekospalarni jeżdżą na czystym i w pełni ekologicznym paliwie. W planach

KHK SA jest stworzenie farmy fotowoltaicznej na dachach i elewacji obiektów zakładu o łącznej zainstalowanej mocy 1 MWp.

Kraków, choć znany jest z bogatej historii i światowego dziedzictwa UNESCO, dzięki walce ze smogiem i innym działaniom proklimatycznym, uznawany jest w Polsce

za miasto zielone i nowoczesne. Kluczowym elementem tych wysiłków jest edukacja ekologiczna, której centrum stała się Ekospalarnia Kraków. Już w momencie projektowania instalacji przewidziano specjalną ścieżkę edukacyjną, która cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem. Krakowska Ekospalarnia stała się nie tylko jedną z architektonicznych wizytówek Krakowa, ale także modelowym zakładem, do którego po wiedzę i doświadczenie przyjeżdżają uczniowie, studenci, samorządowcy i przedstawiciele biznesu z całej Polski i z zagranicy.

Skuteczne informowanie o korzyściach, jakie energia z odpadów przynosi mieszkańcom i środowisku jest jednym z najważniejszych zadań realizowanych w Ekospalarni. Edukacja społeczeństwa w zakresie segregacji odpadów i praktyk ekologicznych jest zadaniem samorządów. Cieszymy się, że możemy to robić dla mieszkańców Krakowa.



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Coraz lżejszy koszyk

Co się dzieje z siłą nabywczą naszych pieniędzy? Czujemy, że biedniejemy. A może nam się tylko tak wydaje? Żeby to sprawdzić, postanowiliśmy po latach znów obliczyć Koszyk POLITYKI. Zobaczyć, czy faktycznie stać nas na mniej.

JOANNA SOLSKA

Nasz pierwszy koszyk w tygodniku pojawił się w grudniu 1983 r. tuż po stanie wojennym. Był bardziej opisem ówczesnej rzeczywistości niż faktycznej siły nabywczej polskich zarobków. Podaliśmy w nim oficjalne, czyli przeważnie urzędowe, ceny 42 towarów i usług i porównaliśmy je z cenami sprzed roku, obliczając, czy za średnie zarobki możemy ich kupić mniej czy więcej. Tak jak robi to każdy Polak, udając się na zakupy. W owym czasie ceny

w sklepach wcale jednak nie były najważniejsze, liczyła się „dostępność”, a więc realne ceny, za jakie dany towar można było kupić na bazarze. Ta rubryka czytana była najbardziej uważnie.

Weźmy cukier – wtedy był na kartki, w 1983 r. kosztował 42 zł, rok później już 52 zł, w sklepie poza reglamentacją był nie do kupienia. Za to na bazarze kosztował 150 zł. Mięso, jako towar kluczowy politycznie, musiało być tanie, więc sprzedawano je na kartki, które i tak coraz trudniej było wykupić, bo towaru w sklepach nie było.

W koszyku nie mogło zabraknąć papieru toaletowego, po 8 zł rolka, chociaż w sklepie nie do dostania. W rubryce „dostępność” stwierdziliśmy krótko: „meteor”, w uwagach: można dostać w punkcie skupu makulatury; na bazarze po 30 zł. Tak wyglądała nasza ówczesna rzeczywistość. Do wolnego rynku, czyli pełnych półek, ale też cen zbliżonych do bazarowych, zbliżyliśmy się mozolnie.

W nową rzeczywistość ekonomiczną Polska wkroczyła 1 sierpnia 1989 r., wraz z urynkowieniem cen żywności. Ceny oszalały, płace próbowały za nimi nadążyć, zaczęła się hiperinflacja. Wolny rynek poznawaliśmy od strony pełnych półek i pustych portfeli. Z Koszyka POLITYKI zniknęła rubryka „dostępność”, zaczęliśmy liczyć siłą nabywczą zarobków. Czyli patrzyliśmy, ile za średnią pensję „na rękę” możemy kupić cukru, ile benzyny itp. Na początku lat 90. ta nasza siła nabywcza była wątła, niższa niż w poprzedniej dekadzie, ale z każdym rokiem mogliśmy sobie pozwolić na więcej. W koszyku przybywało optymizmu. Choć o naszej biedzie świadczył fakt, że w 1990 r. na żywność wydawaliśmy prawie połowę swoich dochodów, dużo więcej niż obywatele zachodniej Europy.

Z koszykiem pożegnaliśmy się w 2006 r., nie było sensu go nadal prezentować, stawał się monotony. Inflacja w 2005 r. wyniosła jedynie 1,5 proc. Nie sprawdziły się czarne prognozy, że po wejściu do Unii ceny znów pójdą w górę, wróci koszmar, który jeszcze dobrze pamiętaliśmy. Ceny w 2005 r. były stabilne, a siła nabywcza naszych zarobków powoli rosła. I miało być już tylko lepiej.

Inflacja: prawie 30 proc.

Dziś do historii polskiej inflacji, jaką opisywał Koszyk POLITYKI, na gwałt trzeba dopisywać kolejny rozdział, bo znów dzieje się coraz gorzej. Od lutego 2022 r. do lutego 2023 r. ceny wzrosły aż o 18,4 proc., a choć w marcu tempo zmalało do 16,2 proc., to nadal wszystko drożeje. Ale szybkie tempo wzrostu cen nie zaczęło się po agresji Rosji na Ukrainę, drożyzna ruszyła rok wcześniej, co pokazujemy w koszyku. Porównujemy w nim ceny z marca 2021 r. oraz z marca 2023 r.

I wpadamy w zdumienie, że inflacja skumulowana w ciągu zaledwie dwóch lat potrafiła być tak wielka. W przypadku drobiu ceny podskoczyły w tym czasie o prawie 50 proc.! Średnie zarobki wcale ich nie dogoniły, bo siła nabywcza naszych zarobków skurczyła się – w przypadku tego jednego towaru – do 84 proc. ilości, którą mogliśmy kupić w marcu 2021 r. GUS liczy inflację roczną: od marca 2021 do marca 2022 wyniosła 9 proc., w następnym roku, od marca do marca 2023, już 18,4 proc. Kiedy jednak ten sam GUS policzył dla nas inflację skumulowaną, dwuletnią, okazało się, że po lutym wyniosła aż 29,2 proc. Po marcu 2023 r. osiągnęła już 30 proc. W przypadku większości towarów niezbędnych w każdym domu, które włożyliśmy do Koszyka POLITYKI, ten wzrost był o wiele większy. Co przez ostatnie dwa lata stało się z naszą siłą nabywczą?

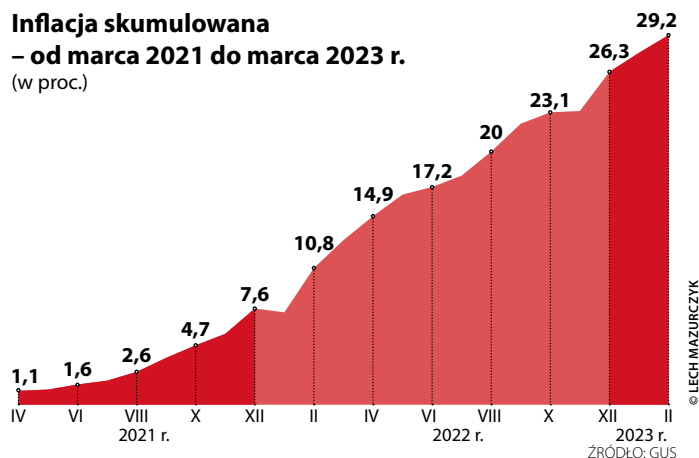
Konstruując nowy koszyk, tradycyjnie unikamy nadmiaru porównań w procentach. W realnym życiu liczą się przede wszystkim złotówki. Wybraliśmy towary niezbędne w każdym domu. Wiadomo bowiem, że każdy inaczej odczuwa wzrost cen, każdy ma swoją prywatną inflację, która zależy od jego trybu życia, rodzaju wydatków itp. My chcieliśmy, aby w Koszyku POLITYKI znalazły się towary niezbędne w każdej rodzinie, mniej i bardziej zamożnej. Łatwo ze sobą porównywalne. Są w nim podstawowe artykuły żywnościowe (mąka, chleb) oraz codziennego użytku, jak pasta do zębów, chemia gospodarcza, nie ma ośmiorniczek, luksusowych wycieczek.

Dane są zebrane profesjonalnie, pochodzą z cyklicznego raportu „Indeks cen w sklepach detalicznych”, autorstwa UCE

Inflacja skumulowana

– od marca 2021 do marca 2023 r.

(w proc.)



Research i Uczelni WSB Merito (dawniej Wyższe Szkoły Bankowe). Zebrano ceny z ponad 37 tys. sklepów należących do 63 sieci handlowych, wszystkich dyskontów, hipermarketów, supermarketów oraz sieci convenience i cash&carry. Na prośbę POLITYKI, UCE Research i Uczelni WSB Merito porównały ceny z marca 2021 r. do cen z tego samego miesiąca 2023 r. Uzupełniliśmy je cenami produktów coraz bardziej istotnych w budżetach rodzinnych, czyli: paliw, energii oraz metra kwadratowego mieszkania. Przyglądając się naszemu koszykowi, widzimy, czego za średnią krajową netto, czyli „na rękę”, możemy kupić w ciągu ostatnich dwóch lat więcej, a czego mniej. Wnioski czasami zaskakują.

Tylko wódka ze śledziem

Kiedy porównamy średnie ceny ze średnią pensją na rękę, to widzimy, że w marcu 2023 r. każdego rodzaju towaru możemy kupić mniej niż w marcu 2021 r. Wtedy siła nabywcza średnich zarobków oznaczała możliwość kupienia, na przykład, prawie 330 kg wieprzowiny, obecnie już tylko niecałe 294 kg. Wtedy stać nas było na ponad 850 kostek masła, teraz na 772. Z całej listy 50 podstawowych artykułów, których ceny mają wpływ na „prywatną” inflację każdej polskiej rodziny, siła nabywcza pensji jest większa zaledwie w pięciu przypadkach. Więcej możemy kupić tylko śledzi i wódki (!) oraz jabłek, ziemniaków, pasty do zębów. Pozostałych artykułów za nasze zarobki możemy kupić mniej. Takiej sytuacji nie mieliśmy od początku transformacji.

Więc próbujemy walczyć. Idziemy po zakupy uzbrojeni w listę produktów tylko najbardziej potrzebnych. – *Po wybuchu pandemii lista służyła do tego, żeby spędzić w sklepie jak najmniej czasu, nie złapać wirusa, obecnie ma nas dyscyplinować, stała się strażnikiem domowego budżetu* – zauważa Marcin Lenkiewicz, wiceprezes Grupy Blix. Jego firma dostarcza coraz popularniejszych aplikacji zakupowych, m.in. informujących o promocjach. To najważniejsze kryterium decydujące o tym, w którym sklepie zrobimy zakupy. Przed dwoma laty promocje były najważniejsze dla 70 proc. kupujących, a obecnie już dla 90 proc. – *Promocyjne gazetki uważnie studiują zarówno osoby z miesięcznym dochodem w wysokości 3 tys. zł, jak i 9 tys. zł* – zapewnia Lenkiewicz.

Niska cena stała się ważniejsza niż możliwości większego wyboru, dlatego z naszego handlowego krajobrazu zniknęły delikatesy, a podstawowym miejscem zakupów stały się dyskonty. – *To także stało się źródłem kłopotów sieci hipermarketów, których asortyment sięga nawet 50 tys. pozycji, ale konsumenci tak dużego wyboru nie oczekują, zamiast dziesięciu rodzajów musztardy wystarczy im dwa* – twierdzi Edyta Kochlewska, szefowa portalu dlahandlu.pl. Większość klientów wybiera dyskonty, w których ▶

Koszyk POLITYKI 2023

Nazwa towaru	Cena towaru w marcu 2021 r. (w zł)	Ilość towaru za średnią płacę netto: 4131 zł (brutto: 5733 zł)	Cena towaru w marcu 2023 r. (w zł)	Ilość towaru za średnią płacę netto: 5156 zł (brutto: 7079 zł)	Procentowy wzrost cen od 2021 r.	Dzisiejsza siła nabywcza w porównaniu z 2021 r. (w proc. dla danego towaru)
Cebula 1 kg	1,41	2930 kg	3,92	1315 kg	178,01	44,88
Mydło - kostka	2,39	1728 kost.	5,36	962 kost.	124,27	55,67
Papryka 1 kg	8,10	510 kg	17,88	288 kg	120,74	56,47
Banany 1 kg	4,18	988 kg	8,49	607 kg	103,11	61,44
Węgiel opałowy dla gosp. dom. – 1 tona	1000,00	4,13 t	2 000	2,57 t	100,00	62,23
Cukier 1 kg	2,78	1486 kg	5,14	1003 kg	84,89	67,50
Karma dla psa 1 kg	7,72	535 kg	14,18	364 kg	83,68	68,04
Pomidory 1 kg	9,45	437 kg	16,49	313 kg	74,50	71,62
Karma dla kota 1 kg	14,74	280 kg	25,17	205 kg	70,76	73,21
Łosoś 1 kg	45,52	90,8 kg	76,12	67,7 kg	67,22	74,56
Marchew 1 kg	1,95	2118 kg	3,22	1601 kg	65,13	75,59
Płyn do WC 1 liter	8,30	498 litrów	13,84	373 litrów	66,75	74,90
Jajko 1 szt.	0,60	6885 szt.	0,98	5261 szt.	63,33	76,41
Ogórki 1 kg	9,14	452 kg	14,58	354 kg	59,52	78,32
Papier toalet. 1 rolka	1,17	3531 rol.	1,81	2849 rol.	54,70	80,69
Proszek do prania 1 kg	8,49	487 kg	13,07	394 kg	53,95	80,90
Szynka pakowana 1 kg	32,75	126 kg	49,17	104,9 kg	50,14	83,25
Drób 1 kg	9,77	422 kg	14,52	355 kg	48,62	84,12
Mąka 1 kg	2,70	1530 kg	4,00	1 289 kg	48,15	84,25
Olej 1 liter	6,59	627 litrów	9,73	530 litrów	47,65	84,53
Ser biały 1 kg	12,48	331 kg	18,34	281 kg	46,96	84,89
Balsam do ciała	16,49	251 opak.	24,08	214 opak.	46,03	85,26
Wołowina 1 kg	23,21	178 kg	33,19	155,3 kg	43,00	87,25
Bułka 50 g	0,54	7650 szt.	0,76	6784 szt.	40,74	88,68
Pianka do golenia	7,57	546 opak.	10,62	485 opak.	40,29	88,83
Wieprzowina 1 kg	12,53	329,7 kg	17,54	293,5 kg	39,98	89,02
Truskawki 1 kg	19,59	211 kg	27,23	189 kg	39,00	89,57
Mleko modyfikowane dla dzieci 500 g	23,12	179 opak.	31,82	162 opak.	37,63	90,50
Masło-kostka 200 g	4,86	850 kost.	6,68	772 kost.	37,45	90,82
Kawa rozpuszczalna – opak. 500 g	51,89	80 opak.	70,71	73 opak.	36,27	91,25
Benzyna Pb 95 – 1 liter	4,92	840 litrów	6,70	770 litrów	36,18	91,67
1m kw. mieszkania w Warszawie	10 695,00	0,39 m kw.	14 475	0,35 m kw.	35,34	89,74
Parówki 1 kg	19,39	213 kg	26,06	197,9 kg	34,40	92,91
Kiełbasa zwykła 1 kg	21,32	194 kg	28,27	182,4 kg	32,60	94,02
Makaron – opak. po 500 g	4,33	954 opak.	5,74	898 opak.	32,56	94,13
Jogurt 200 g	1,91	2163 szt.	2,53	2038 szt.	32,46	94,22
Kabanosy 1 kg	47,63	86,7 kg	61,80	83,4 kg	29,75	96,19
Woda gazowana 1 liter	1,28	3 227 litrów	1,66	3106 litrów	29,69	96,25
Pstrąg 1 kg	26,59	155,4 kg	34,15	151 kg	28,43	97,17
Szampon 400 ml	13,26	312 opak.	16,62	310 opak.	25,34	99,36
Piwo 500 ml	3,04	1359 opak.	3,87	1332 opak.	27,30	98,01
Chleb zwykły 1 kg	7,66	539 kg	9,57	539 kg	24,93	100,00
Śledź 1 kg	14,53	284,3 kg	17,15	301 kg	18,03	105,87
Pasta do zębów	11,54	358 tubek	13,50	382 tubek	16,98	106,70
Energia elektr. dla gosp. dom. – 1 kWh	0,74	5582 kWh	0,85	6066 kWh	14,86	108,67
Wódka czysta 1 liter	61,49	67 litrów	68,07	75,7 litrów	10,70	112,99
Ziemniaki 1 kg	2,46	1679 kg	2,62	1968 kg	6,50	117,21
Jabłka 1 kg	2,87	1439 kg	2,58	1998 kg	-10,10	138,85

► rodzajów towarów jest tysiąc, góra dwa, a zaletą to, że są blisko domu.

Portal dlahandlu.pl zrobił dla POLITYKI drugą wersję koszyka – porównał ceny 50 identycznych artykułów w dyskontach i hipermarketach. To również są podstawowe artykuły żywnościowe, chemii gospodarczej i kosmetyków. I kolejne zaskoczenie: w dyskontach jest drożej!

W sieci hipermarketów za koszyk 50 towarów w czerwcu 2021 r. trzeba było zapłacić 282 zł, w lutym 2023 r. to samo kosztowało już 386 zł. Czyli – skumulowany w ciągu dwóch lat wzrost cen najbardziej podstawowych artykułów wyniósł ponad 33 proc.! W popularnych dyskontach, uważanych za najtańsze, przed dwoma laty za to samo zapłacić trzeba było 291 zł, zaś w lutym 2023 r. już 407 zł. A więc dwuletnia inflacja była jeszcze wyższa, wyniosła prawie 40 proc.! Jedni i drudzy uważnie obserwują swoje ceny i bardzo często są one w obu rodzajach sieci identyczne, dlatego promocje stają się tak ważne, wtedy kupujemy na zapas. Polowanie, gdzie można kupić dwa opakowania za cenę jednego, stało się narodowym sportem.

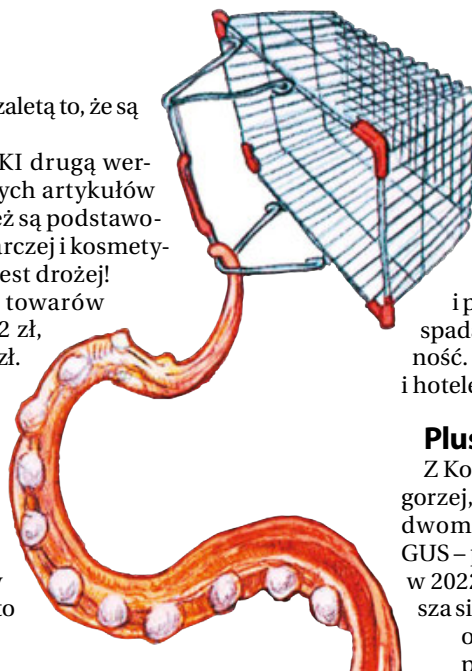
Rząd straszy i uzależnia

Część Koszyka POLITYKI, pokazuje, co stało się z cenami paliw i energii, mającymi olbrzymi wpływ na prywatną inflację każdego z nas i przypomina nieco jego pierwsze edycje. Trudno precyzyjnie ustalić, czy jest lepiej, czy gorzej? Państwo do nas dopłaca czy nas skubie? Widzimy, że jest gorzej, bo rachunki dostajemy coraz wyższe, ale z koszyka wynika, że nasza siła nabywcza w przypadku energii elektrycznej wzrosła. W marcu 2021 r. gospodarstwa domowe za jedną kWh płaciły 74 gr, obecnie wprawdzie 85 gr, ale zarobki wzrosły bardziej. Jednak chyba jest gorzej, bo to cena zamrożona, po przekroczeniu limitu rocznego zużycia, czyli 2 tys. kWh, pójdzie w górę. Mało kto jest w stanie przewidzieć, kiedy przekroczy limit i za każdą nadmiarową kWh będzie musiał płacić sporo więcej.

Z węglem do ogrzewania domów jest podobnie. Cena wzrosła dwukrotnie, ale za to gospodarstwa ogrzewające domy węglem dostały od państwa rekompensatę. Lecz w przyszłym roku już mogą jej nie dostać. Co więc naprawdę wynika z koszyka? To, że państwo nas straszy i uzależnia. Straszy, że jak PiS przegra wybory, to następcy na pewno ceny odmrożą i dopiero zobaczymy, jak bardzo będą wysokie, jak mocno zaboli. Jednocześnie rząd uzależnia nas od transferów i rekompensat. To wyborczy komunikat: tylko „dobre” PiS dopłaca do wszystkiego. Winni drożyzny są w Moskwie i Brukseli.

W sumie więc, jak w PRL, nie wiemy, ile naprawdę kosztowałby prąd, gaz czy paliwo, gdyby cen nie dyktowali monopoliści. Coś nam się w tych rachunkach nie zgadza. Niby państwo do naszych rachunków za gaz czy energię elektryczną dopłaca, ale zyski energetyki czy Orlenu są rekordowe, idące w dziesiątki miliardów, a przecież pochodzą z naszej kieszeni. Więc kto tu kogo skubie?

Bezsporne wydaje się jedno – struktura naszych domowych budżetów w ciągu ostatnich dwóch lat bardzo się zmieniła. Odwrócił się trend wskazujący na spadek udziału wydatków żywnościowych w budżetach domowych (w ciągu dwóch lat wzrósł z 25 do 27 proc.). Do prawie 20 proc. wzrosły koszty utrzymania



W sieci hipermarketów skumulowany w ciągu dwóch lat wzrost cen najbardziej podstawowych artykułów wyniósł ponad 33 proc.! W popularnych dyskontach, uważanych za najtańsze, inflacja była jeszcze wyższa, wyniosła prawie 40 proc.!

mieszkania i energii. Kolejne 10 proc. kosztuje nas transport. Czyli już prawie połowę domowego budżetu musimy wydać na comiesięczne, rutynowe i w praktyce niezbędne wydatki.

Z czegoś trzeba zrezygnować. Z badań wynika, że mniej wydajemy na alkohol i papierosy (ich udział w budżecie domowym spada z 6,3 proc. do 5,8). Mniej płacimy za łączność. Ale nieco więcej wydajemy na restauracje i hotele, choć to nadal ok. 5 proc. budżetów.

Plusy nie bogacą

Z Koszyka POLITYKI wynika, że żyje nam się gorzej, stać nas na dużo mniej niż jeszcze przed dwoma laty. Naszą tezę potwierdzają dane GUS – po raz pierwszy płace realne obniżyły się w 2022 r. o 2,1 proc. Czyli niewątpliwie pogarsza się sytuacja osób pracujących. Może jednak ogółowi Polaków nie żyje się gorzej, jest przecież coraz więcej transferów socjalnych: 500 plus, trzynastki i czternastki dla emerytów, 300 zł dla sołtysa itd.?

Żeby to sprawdzić, trzeba przyjrzeć się dochodowi rozporządzalnemu na osobę, do którego GUS wlicza nie tylko zarobki, ale także transfery socjalne, zapomogi i wszelkie inne świadczenia. I tu jednak czeka nas niespodzianka. W 2022 r. dochód rozporządzalny nominalnie wzrósł o 9,1 proc. Jego realna wartość jednak spadła, GUS wskaźnik całorocznej inflacji w ubiegłym roku wyliczył na 14,4 proc. Wynika z tego, że zarówno osobom pracującym, jak i beneficjentom zasiłków na dzieci czy dodatkowe świadczenia, niesłusznie zwane „kolejnymi emeryturami”, drożyzna zjada więcej, niż dodają hojne – wydawałoby się – zasiłki. Paweł Majtkowski, ekonomista z eToro, szacuje, że obecnie siła nabywcza 500 zł jest równa 342 zł w 2016 r.

Do Koszyka POLITYKI zawsze wrzucaliśmy też informację, jaką liczoną w metrach kwadratowych część nowego mieszkania w Warszawie można kupić za średnią pensję. Oczywiście w stolicy ceny są najwyższe, ale zarobki również, sądzić więc należy, że siła nabywcza mieszkańców mniejszych miast jest podobna. Niestety, ta pozycja również potwierdza nasze wnioski. Jeszcze przed dwoma laty (według rynekpierwotny.pl), średnie zarobki wystarczały na zakup 0,39 m kw. nowego mieszkania, po dwóch latach – 0,35 m. Realnie mieszkania wciąż drożeją. Widać to też w najnowszym badaniu „Polityczny portret młodych Polaków” dr. Adama Kądzieli z UW. Wynika z niego, że w 2019 r. z rodzicami ciągle jeszcze mieszkało 27 proc. dorosłych dzieci w wieku 18–30 lat. Teraz już 37 proc.! Nie stać ich nawet na wynajęcie pokoju ze współlokatorem.

Seniorom mimo trzynastek i czternastek w ostatnich latach wcale się nie poprawiło, młodym pogorszyło. Winnych rozkręcenia i utrzymywania wysokiej inflacji należy szukać nie tylko na Kremlu. Chociaż ogólne roczne wskaźniki inflacji statystycznie lekko spadają – w marcu do 16,1 proc. – to bynajmniej nie oznacza spadku cen! One nadal rosną. A spada – nasza siła nabywcza.

JOANNA SOLSKA
WSPÓŁPRACA MARZENA SAWICKA



Głupi pomysł

Zamiast pozwolić rozbudować zapchane lotnisko w Modlinie, rząd z pompą otwiera nowy **terminal Warszawa Radom**, 100 km od stolicy. I zachęca tanie linie do przeprowadzki. Bezskutecznie.

CEZARY KOWANDA

Codziennie przed godziną dwudziestą z największego paryskiego lotniska Charles'a de Gaulle'a startuje samolot Lot, który ląduje na Okęciu ok. 22.00. Jednak w czwartek, 27 kwietnia, Boeing narodowego przewoźnika zakończy swój rejs nie w Warszawie, ale w Radomiu. Będzie to pierwszy samolot rejsowy, który w ten sposób zainauguruje działalność Portu Lotniczego Warszawa Radom im. Bohaterów Radomskiego Czerwca 1976 r. To oficjalna nazwa inwestycji, która ma

udawać trzecie, obok Chopina i Modlina, lotnisko obsługujące stolicę.

Z biznesowego punktu widzenia przekierowanie od końca kwietnia trzy razy w tygodniu wieczornego rejsu z Paryża do Warszawy na lotnisko położone od niej tak daleko nie ma sensu. Przeciwnie, przewoźnik może stracić w ten sposób wielu klientów latających służbowo, którzy płacą немало za bilet, ale cenią swój czas. Trudno o lepszy dowód na to, że reaktywacja radomskiego lotniska jest przede wszystkim projektem politycznym, a nie biznesowym.

Port należący niegdyś do miasta zakończył swoją głęboko deficytową działalność w 2017 r. Miasto Radom za ok. 13 mln zł sprzedało rok później spółkę lotniskową należącemu do państwa PPL (Polskie Porty Lotnicze), które zarządza stołecznym portem Chopina i ma udziały w większości polskich lotnisk regionalnych. Jednak sytuacja w Radomiu jest wyjątkowa, bo tam PPL to jedyny właściciel, mający pełnię władzy. W ten sposób realizowane są marzenia radomskich działaczy PiS z Markiem Suskim na czele.

Teoretycznie Radom według PPL pomysłany jest jako port dla tanich linii, dla których brakuje miejsca w Modlinie i na lotnisku Chopina. Już na samym starcie praktyka okazuje się inna.

Lot na pomoc

Dwaj najważniejsi w Polsce prywatni przewoźnicy, o których zwykło się mówić „tanie linie”, na Radom patrzą niechętnie, choć wiedzą, że akurat tutaj mogliby liczyć na niskie opłaty. Skąd ten brak entuzjazmu? – *Na lotnisku Chopina Wizz Air ma dużą bazę, do swojej siatki połączeń dodaje tam co rusz kolejne i nie widzi powodu, żeby przенosić choćby część lotów do nowego portu. Ryanair dominuje w Modlinie, a dodatkowo zaczęła też od wiosny latać Chopina* – mówi Krzysztof Loga-Sowiński, redaktor portalu Pasażer.com. Aby gotowy port, zbudowany praktycznie od nowa, nie stał pusty, trzeba było wezwać na pomoc państwowy Lot.

Od końca kwietnia zaoferuje on połączenia do Paryża i Rzymu po trzy razy w tygodniu. I na razie to wszystko. Planowana od majówki trasa do Kopenhagi, na którą już sprzedawano bilety, została

usunięta z rozkładu. To zapewne z powodu nikłego zainteresowania klientów. Aby ich zachęcić, Lot stosuje dość dziwaczne metody. W stolicy reklamuje połączenia z nowego portu hasłem „Bliski Radom”. A na swojej stronie internetowej przez pewien czas zapewniał nawet, że to lotnisko „znajdujące się najbliżej Warszawy”.

Na nieco większy ruch reaktywowany port może liczyć od czerwca, gdy pojawią się połączenia wakacyjne, głównie czarterowe. Część biur podróży zaczęła już kilka miesięcy temu sprzedawać letnie wycieczki startujące z Radomia. To oferta skierowana głównie do mieszkańców Radomia, Kielc i okolicznych miejscowości, w mniejszym stopniu do warszawiaków. Zainteresowanie jest umiarkowane, o czym świadczą choćby korekty dokonane przez Itakę – największe polskie biuro podróży. Ograniczyła ona w kwietniu swoją radomską ofertę, usuwając z niej wyloty między innymi na Majorkę, Kretę i do Czarnogóry. O ile latem nowy-stary port liczy mimo wszystko na spory ruch, to już jesień i zima mogą być bardzo trudne. Na razie nie wiadomo,

czy połączenia Lotu do Paryża i Rzymu będą całoroczne. Natomiast wszystkie czartery skończą się we wrześniu lub październiku.

Blżej do Afryki

Władze lotniska szacują, że w tym roku skorzysta z niego między 100 a 200 tys. pasażerów. Przepustowość terminalu to przynajmniej milion podróży rocznie, docelowo nawet trzy miliony. Na radomskiej inwestycji PPL nie oszczędzał. Łącznie budowa lotniska pochłonęła prawie 800 mln zł, chociaż pierwotnie budżet opiewał na połowę tej kwoty. Trzeba też doliczyć wkład Radomia sięgający łącznie ponad 260 mln zł. Miasto musi przez 20 lat przelewać na konto PPL ponad 13 mln zł rocznie tylko za to, że pięć lat temu rządowa spółka zainwestowała w upadający port bez perspektyw. W ten sposób dochodzimy do poziomu miliarda złotych wydatków. W zamian otrzymujemy lotnisko, które na razie nie będzie wykorzystywało nawet połowy swoich możliwości, podczas gdy inny mazowiecki port pęka w szwach. To oddalony o 40 km od centrum Warszawy Modlin, obsługujący ►

REKLAMA

NIERUCHOMOŚCI Z POTENCJAŁEM

Likwidatorzy **FOBOS INVEST sp. z o.o.** w likwidacji z siedzibą w Sztumie, ul. Żeromskiego 6, 82-400 Sztum

ogłaszają:

ustny przetarg nieograniczony na sprzedaż następujących nieruchomości:

A – Komplex nieruchomości zabudowanych budynkami produkcyjno-magazynowymi umożliwiającymi wysokie składowanie, z zapleczem biurowo-socjalnym; ogrodzony, o łącznej powierzchni użytkowej **3.521,10 m²** usytuowany na działkach gruntu o łącznej powierzchni **10.206 m²** w miejscowości Sztum, ul. Żeromskiego 6;

cena wywoławcza wynosi **6.579.000 zł** (sześć milionów pięćset siedemdziesiąt dziewięć tysięcy złotych), kwota wadium wynosi **300.000 zł** (trzysta tysięcy złotych), postąpienie będzie wynosiło **100.000 zł** (sto tysięcy złotych); sprzedaż jest zwolniona z podatku VAT na podstawie art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy o podatku od towarów i usług w zakresie kwoty 6.484.000,- zł, natomiast w zakresie kwoty 95.000,- zł podlega opodatkowaniu stawką podstawową;

Informujemy, że sprzedający dopuszcza możliwość poddania opodatkowaniu podatkiem od towarów i usług sprzedaży całego kompleksu nieruchomości na podstawie art. 43 ust. 10 ustawy o podatku od towarów i usług.

B – Nieruchomość gruntowa niezabudowana o powierzchni gruntu **18.549 m²** usytuowana przy ul. Żeromskiego w Sztumie;

cena wywoławcza wynosi **1.417.000 zł** (jeden milion czterysta siedemnaście tysięcy złotych), kwota wadium wynosi **100.000 zł** (sto tysięcy złotych), postąpienie będzie wynosiło **50.000 zł** (pięćdziesiąt tysięcy złotych); sprzedaż podlega w całości opodatkowaniu stawką podstawową.

Część ustna przetargu odbędzie się w dniu **31 maja 2023 r.** w kancelarii notarialnej Piotra Lisa działającej pod adresem: 80-221 Gdańsk, ul. Romualda Traugutta 111

1) o godzinie 13:00 dla kompleksu nieruchomości zabudowanych,

2) o godzinie 14:00 dla nieruchomości gruntowej niezabudowanej.

Warunkiem udziału w przetargu jest wpłata wadium do dnia **29 maja 2023** roku oraz złożenie oświadczenia o zapoznaniu się i akceptacji regulaminu. Treść oświadczenia znajduje się w regulaminie, który wraz z dodatkowymi informacjami o przedmiocie przetargu znajduje się na stronie Fobos Invest sp. z o.o. w likwidacji pod linkiem: <https://fobosinvestwlikwidacji.com.pl/blog/przetargi>



Kontakt w sprawie przetargu:

jbogacz@fobosinvestwlikwidacji.com.pl, tel.: +48 504 165 934
wbuchalski@fobosinvestwlikwidacji.com.pl, tel.: +48 603 053 532

► trzy miliony pasażerów rocznie, który wydawał się naturalnym kandydatem do odciążenia portu Chopina i skupienia ruchu niskokosztowego oraz czarterowego.

Argumentów za rozwojem Modlina nie brakuje. Jego rozbudowa byłaby znacznie tańsza niż inwestycja radomska. Co więcej, mieszkańcom aglomeracji warszawskiej przyniosłaby większe korzyści. Z centrum stolicy dojazd pociągiem i wahadłowym autobusem do Modlina zajmuje około godziny. Ten czas można by jeszcze skrócić, gdyby wyremontować wreszcie kolejową bocznice prowadzącą pod sam terminal.

Podobna podróż do Radomia pociągiem i miejskim autobusem potrwa, w zależności od wyboru połączenia, od dwóch do trzech godzin. Samochodem przy braku korków dojazd z serca Warszawy do Modlina zajmuje 40–50 minut, natomiast w przypadku lotniska radomskiego trzeba będzie na podróż przeznaczyć przynajmniej półtorej godziny. Do tego okolice Modlina są słabo zaludnione, a w Radomiu port znajduje się przy osiedlu, więc liczba mieszkańców cierpiących z powodu hałasu będzie znacznie większa. Czy zatem pieniądze popłynęły na południe Mazowsza, bo stamtąd, jak przekonywał kiedyś Marek Suski, leci się krócej do Afryki, konkretnie to o sześć minut?

Podcinanie skrzydeł

Rzeczywiste wyjaśnienie okazuje się mniej zabawne. W Modlinie PPL jest tylko jednym z czterech udziałowców obok Agencji Mienia Wojskowego, samorządu województwa (obecnie koalicja KO-PSL) i gminy Nowy Dwór Mazowiecki. Od dawna w spółce lotniskowej trwa wojna między stroną rządową (PPL razem z Agencją Mienia Wojskowego) i samorządową. A skoro do podjęcia jakiegokolwiek decyzji potrzeba porozumienia wszystkich czterech akcjonariuszy, większe inwestycje w Modlinie są niemożliwe. – *Udało nam się wreszcie uzyskać zgodę udziałowców na udzielenie przez samorząd i przez PPL pożyczek lotnisku po 7,5 mln zł. Dzięki tym pieniądzom zmodernizujemy drogę kołowania i wymienimy oświetlenie na końcach drogi startowej. Bez tych prac lotnisku groziłoby zamknięcie. Niestety, na razie nie ma zgody PPL na rozbudowę terminalu i nowe stanowiska postojowe. Bez inwestycji lotnisko nie będzie się rozwijać* – podkreśla Marek Mieszalski, skarbnik województwa mazowieckiego.

Może się o tym przekonać każdy, kto odlatywał w ostatnich latach z Modlina.

Mały terminal staje się kosztownie zatłoczony, gdy tylko w krótkim odstępie ma startować kilka maszyn. Ryanair narzeka, że nie może dodawać nowych połączeń, chociaż pasażerów nie brakuje. Dla samorządowców sprawa jest oczywista. Rząd poprzez PPL blokuje rozwój Modlina, by ukarać opozycję, a równocześnie inwestuje ogromne pieniądze w Radom na zlecenie lokalnej koterii PiS.

– *Jedyna szansa dla Radomia to brak możliwości uruchamiania kolejnych połączeń zarówno z Modlina, jak i z Chopina* – przekonuje Krzysztof Loga-Sowiński. – *Wówczas linie lotnicze nie będą miały wyjścia. Jeśli zechcą obsługiwać stołeczny rynek, pozostanie im tylko port radomski. Ale na razie rezerwy są wciąż na Okęciu, o czym świadczą choćby nowe połączenia Ryanaira.*



Lotniczy poker

Spore nadzieje z reaktywacją portu wiąże samo miasto Radom. – *Liczymy, że będzie to dla nas impuls rozwojowy, zwłaszcza dla wschodniej części Radomia i okolicznych gmin. Przygotowujemy plany i tereny dla inwestorów. Może dzięki lotnisku szybciej uda się zbudować trasę ekspresową S12, która ma połączyć Radom z Lublinem i autostradą A1? Czekamy też na zwiększenie prędkości pociągów kursujących do Warszawy* – opowiada Radosław Witkowski, prezydent Radomia. Część obywateli dwustutysięcznego miasta wciąż czeka na nowy podział administracyjny, czyli województwo mazowieckie, bez Warszawy i okolic, za to z Radomiem jako stolicą. Lotnisko ma być zapowiedzią lepszych czasów.

Jednak samorząd nie będzie miał żadnego wpływu na zarządzanie nim. Może tylko przyglądać się lotniskowej wojnie pozycyjnej na Mazowszu, toczony także za pośrednictwem mediów. PPL zaprasza na swoich konferencjach Ryanaira

do Radomia i przekonuje go, że na lotnisku Chopina nie zapewni mu tak szybkiej obsługi maszyn, do jakiej przyzwyczajony jest irlandzki potentat. To tak, jakby właściciel sklepu w centrum miasta zniechęcał klienta do zakupów i kazał mu jechać do innego swojego punktu położonego na peryferiach.

Ryanair tymczasem zapewnia, że na Okęciu czuje się świetnie, a bilety sprzedaje bez najmniejszych problemów. Wyśmiewa za to Radom, który ekscentryczny szef linii Michael O’Leary nazwał jednym z najgłupszych pomysłów w historii Polski, a budowę lotniska porównał do działań komunistów z lat 50. poprzedniego stulecia.

Równocześnie Ryanair ostro negocjuje warunki nowej umowy z Modlinem. Poprzednia była bardzo korzystna dla Irlandczyków (płacą zaledwie 5 zł za każdego pasażera), za to modlińskie lotnisko wpędziła w kłopoty, bo wciąż przynosi ono straty. Ryanair liczy zapewne, że jego najnowsza ofensywa w porcie Chopina, która może odbierać pasażerów liniom LOT, skłoni PPL do zmiany taktyki. Jeśli rządowa spółka pozwoli wreszcie na rozbudowę Modlina, Ryanair skupi się na tym porcie i porzuci główne warszawskie lotnisko.

Łatwo się pogubić w tym lotniczym pokerze, w którym interesy pasażerów z pewnością nie leżą na pierwszym miejscu. Idea zmuszania mieszkańców stołecznej aglomeracji do korzystania z lotniska odległego o 100 km wydaje się absurdalna, ale takie są skutki, gdy polityka przeważa nad zdrowym rozsądkiem i ekonomicznym rachunkiem.

Ta układanka może zresztą wkrótce stać się jeszcze bardziej zagmatwana. PiS ostro przebiega do budowy CPK i obiecuje, że gigantyczne lotnisko między Łodzią a Warszawą zostanie otwarte w 2028 r. Ten termin jest nierealny, ale jeśli partia Jarosława Kaczyńskiego pozostałaby u władzy, CPK z pewnością będzie budowany.

Jeśli w latach 30. rzeczywiście CPK ruszy, natychmiast zamknięty zostanie port Chopina, żeby nie konkurował z molochem. Warszawiakom pozostanie zapchany Modlin, odległy Radom i nowy megaport, którego strategia biznesowa na razie jest nieznana. Być może w poszukiwaniu pasażerów, by wypełnić ogromny terminal, także CPK zacznie walczyć o tanie linie, a wówczas radomski port jeszcze bardziej straci na znaczeniu. Wygląda na to, że swoją przyszłość może budować wyłącznie na kłopotach innych.

CEZARY KOWANDA

80. rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Pobrano ze strony zajefajna.com

Ustawą we frankowiczów?

CHOCIAŻ KRĄŻĄ SPEKULACJE NA TEMAT SPECJALNEGO PODATKU, MAJĄCEGO ZNIECHĘCIĆ KREDYTOBIORCÓW DO WALKI SĄDOWEJ, NIE WARTO DAĆ SIĘ ZASTRASZYĆ.

TYM BARDZIEJ ŻE TAKI KONTROWERSYJNY POMYSŁ LANSUJĄ GŁÓWNIIE BANKI, A NIE POLITYCY.

Zgodnie z przewidywaniami opinia rzecznika generalnego Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, wydana 16 lutego, zachęcała kolejnych wahających się frankowiczów do pozwania swoich banków. Rzecznik uznał, że instytucjom finansowym w przypadku unieważnienia umowy kredytowej nie przysługuje tzw. odszkodowanie za korzystanie z kapitału. Mówiąc prościej, banki nie powinny kontrataковать i żądać pieniędzy od klientów, którym udało się przed sądami doprowadzić do unieważnienia kredytów hipotecznych. Opinia rzecznika nie musi być zgodna z wyrokiem Trybunału, na który musimy jeszcze poczekać kilka miesięcy. Zazwyczaj jednak TSUE kieruje się w swoich orzeczeniach takimi opiniami.

Czy zatem frankowicze nie mają się już czym martwić, skoro, jak podają kancelarie prowadzące ich sprawy, pozytywnym wyrokiem kończy się aż 98–99 proc. wszystkich postępowań? Od kilku miesięcy krąży pogłoski o specjalnej ustawie, nazwanej już potocznie antypozwową. Przez wiele lat politycy różnych partii nie chcieli wprowadzić żadnych konkretnych regulacji, które rozwiązałyby problem kredytów hipotecznych w obcych walutach, zawierających klauzule abuzywne (a zatem nielegalne). Dlaczego nagle parlament miałby zająć się tą sprawą? Na takie rozwiązanie naciskają banki i Komisja Nadzoru Finansowego. Coraz więcej unieważnianych kredytów hipotecznych to coraz wyższe straty banków. Chodzi zatem o to, żeby zniechęcić klientów do pozwów, za to zachęcić do zawierania ugód z bankami – mniej kosztownych dla frankowiczów,

ale też mniej kosztownych dla sektora finansowego.

Eventualna ustawa antypozwowa miała by wprowadzić specjalny podatek dla klientów, którym udało się przed sądem wywalczyć unieważnienie umowy. Wyliczano, by korzyść z takiego wyroku oraz oszczędności, jakie kredytobiorca miałby w przypadku zawarcia ugody z bankiem, zapewne według wytycznych KNF (traktowanie kredytu frankowego jako złotowego od samego jego początku). Następnie klient miałby zapłacić różnicę między tymi dwiema kwotami, aby przy padkiem „nie wzbogacił się” na wyroku. W praktyce chodziłoby o odstraszenie frankowiczów od drogi sądowej. – *Taka konstrukcja jest z pewnością nielegalna, bo narusza prawo podatkowe. Mielibyśmy do czynienia z sytuacją bezprecedensową – opodatkowaniem wyroków. To samo można byłoby potem zrobić ze wszelkimi innymi odszkodowaniami uzyskiwanymi przez klientów, na przykład komunikacyjnymi czy za utratę zdrowia* – ostrzega mec. Jędrzej Jachira, współnik w Kancelarii Sobota Jachira.

Na szczęście dla frankowiczów nie toczą się żadne konkretne prace nad takim projektem. Na pewno nic w tej kwestii

nie zmieni się do wyborów, a i po nich wydaje się mało prawdopodobne, by politycy zdecydowali się na tak skandaliczne naruszenie interesów konsumentów, byle tylko pomóc kilku bankom, które ponoszą największe straty z powodu przegrywanych seryjnie procesów. Być może za to powstanie inna ustawa, która ujednoliciłaby kwestię ugód. Według tych przepisów banki musiałyby oferować klientom propozycje przewalutowania kredytów walutowych na złotowe zgodnie z zasadami, które są jednakowe dla wszystkich. Dziś w tej kwestii panuje chaos. Taka ustawa byłaby jak najbardziej wskazana, pod warunkiem że to klient mógłby, tak jak obecnie, samodzielnie zdecydować, czy przyjmuje propozycję banku, czy też wybiera drogę sądową – znacznie dłuższą i bardziej skomplikowaną, ale za to mogącą przynieść nieporównanie większe korzyści.

Różnie liczba frankowiczów pozywających banki, ale równocześnie zwiększa się też liczba zawieranych ugód.

O czym należy pamiętać, skoro przecież klient w relacji z bankiem jest zawsze stroną znacznie słabszą?

Na pewno trzeba bardzo dokładnie przeanalizować propozycję instytucji finansowej. – *W ocenie rzecznika finansowego w ugodzie powinny znajdować się postanowienia odzwierciedlające cel, jaki przyświeca stronom je zawierającym, w tym oświadczenia o całkowitym zaspokojeniu roszczeń zarówno kredytobiorcy, jak i banku w związku z zawarciem w umowie klauzuli waloryzacyjnych i innych niedozwolonych postanowień. Kredytobiorca powinien przed podjęciem decyzji o zawarciu ugody uzyskać od kredytodawcy niezbędne kalkulacje opisujące konsekwencje ekonomiczne zawarcia ugody, w tym w szczególności wysokość wzajemnych należności, sposób ich rozliczenia, wysokość raty kredytowej po zawarciu ugody, jak i sposób ustalania jej wysokości* – mówi Maciej Sawa, rzecznik prasowy Biura Rzecznika Finansowego.

Podkreśla on, że w przypadku jakichkolwiek wątpliwości warto skorzystać z pomocy profesjonalnych pełnomocników. Sam rzecznik finansowy nie analizuje indywidualnych propozycji ugód, ale za to oferuje postępowanie pozasądowe, w ramach którego można spróbować rozwiązać spór z instytucją finansową. Na pewno w takich sprawach nie jest wskazany pośpiech, za to zalecana spokojna analiza. Zmienia się polityka samych banków, które są dzisiaj coraz bardziej skłonne do zawierania ugód, a do tego oferują porozumienia na korzystniejszych warunkach niż jeszcze kilka miesięcy temu. Jednak wciąż najbardziej opłacalne jest unieważnienie całej umowy przed sądem i to się z pewnością nie zmieni.

PIOTR CYMERMAN



© SHUTTERSTOCK

Złotówkowicze podążają drogą frankowiczów



Jędrzej Jachira, wspólnik w Kancelarii SOBOTA JACHIRA.

Podczas dyskusji o wygranych frankowiczów do niedawna głos w tej sprawie zabierali posiadacze kredytów w złotówkach. Wskazywali, że to niesprawiedliwe otrzymywać darmowy kredyt, skoro w pozostałych przypadkach do banków należy oddawać poza kapitałem wysokie opłaty odsetkowe. Dopiero po czasie okazało się, że nikt nie zrobił dla złotówkowiczów w ciągu ostatnich 10 lat tak wiele, jako wygrywający swoje sprawy z bankami frankowicze. Z jakiego powodu? Otóż sprawy kredytów w złotówkach do złudzenia swoimi zapisami przypominają toksyczne klauzule z umów frankowych. Można wskazać, że momentami są jeszcze bardziej nieprecyzyjne. A to dopiero początek.

WIBOR i franki jak dwa bratanki

W przypadku spraw frankowych, miesięcznie zapadają już setki, jeśli nie tysiące korzystnych wyroków w kraju. Wśród klientów kancelarii Sobota Jachira, działającej na rynku od ponad 7 lat, ponad 99% spraw kończy się wygraną. Dużą część z nich to sprawy zakończone prawnie i rozliczone z bankami. Głównym powodem wygranych nie jest, jak niegdyś wskazywali złotówkowicze, wzrost franka szwajcarskiego. Rzeczywistą przyczyną była nadmierna chciwość banków, czego wyrazem było uzależnienie wypłaty kredytu i kolejnych spłat od bankowych, a nie rynkowych kursów. Frank mógł kosztować w banku nawet kilka razy więcej, gdyby

tylko bank miał taką ochotę. W przypadku WIBORu okazało się, że jest dokładnie tak samo. To banki w rzeczywistości definiują jego wysokość, nie ponosząc żadnego ryzyka związanego z jego wysokością.

Pierwsze zawieszenie spłaty kredytu w PLN oraz opinia Rzecznika TSUE

Skutki nadeszły szybciej niż bankom się wydawało. W jednej ze spraw prowadzonych przez mec. dra Adama Sobotę doszło już do zawieszenia spłaty całego kredytu w złotówkach. Sąd podzielił przedstawione przez kancelarię stanowisko w przedmiocie abuzywności klauzuli WIBOR i wysokiego prawdopodobieństwa unieważnienia całej umowy. Identyczne decyzje zapadały już wcześniej w sprawach frankowych, dlatego ich uzyskiwanie w sprawach złotych staje się dużo łatwiejsze. W tym samym czasie, w jednej ze spraw przed TSUE Rzecznik Generalny tego Trybunału zadał ostateczny cios tym bankom, które straszyły pozwami o wynagrodzenie za korzystanie z kapitału. W jego opinii to całkowicie bezpodstawna konstrukcja, która już na bazie prawa UE jest wykluczona. Bankom nie należy się żadne wynagrodzenie jeśli umowa jest nieważna.

Rekordowe zyski banków w czasach kryzysu

Pomimo ogromnej już liczby wygranych, zwłaszcza frankowiczów, banki mają się jeszcze lepiej, niż parę lat temu, kiedy nie zapadała nawet połowa takich wyroków. Jak to możliwe, że tracąc już

setki milionów złotych, odnotowują wyłącznie lepsze zyski? Tego nie da się logicznie wytłumaczyć. Kiedy inni tracą, banki podwajają swoje zyski. To zaleta wyłącznie toksycznych kredytów złotówkowych, w których WIBOR potęguje te wartości. Archaiczna i nierynkowa stawka, oparta o ceny transakcji, których faktycznie nie sposób znaleźć i zweryfikować na rynku międzybankowym, chroni wyłącznie interes banków, nie zaś klienta. Polsce jest na szarym końcu listy krajów w UE, które posiadają tak niski odsetek kredytów opartych o stałe stopy. Przegrywamy m.in. z Czechami i Rumunią.

Sądy jako najbezpieczniejsze rozwiązanie problemu kredytowego

Kolejne kampanie rodzą nowe obietnice. Wcześniej obiecano, że uda rozwiązać się problem frankowiczów. Obecnie słychać o pomysłach na nową ustawę i usunięcie WIBORu w 2026 roku. Od tylu lat jednak wyłącznie w sądach zapadają prawomocne wyroki, które powodują masowe wykreślanie hipotek banków i końcowe rozliczenie na korzyść klientów. Trwający obecnie rok wyborczy jest dokładni taki sam, jak te poprzednie. Propozycje ugód banków również chronią przede wszystkim banki. Jeśli zatem faktycznie ma dojść do sprawiedliwego zakończenia toksycznego kredytu, jedyna i najbezpieczniejsza droga to sąd. W tym przypadku bowiem tych wątpliwości nie ma już od dłuższego czasu.



Jędrzej Jachira, wspólnik w Kancelarii Prawnej SOBOTA JACHIRA
ekspert w dziedzinie pomocy Frankowiczom i Złotówkowiczom
bezpłatna analiza umów w CHF i PLN: biuro@sobotajachira.pl, www.sobotajachira.pl/

Z Czasiw Jaru zostaje coraz mniej.
Można powiedzieć, że miasto
bachmucuje każdego dnia.



Ostatni taksówkarz z Bachmutu

PAWEŁ RESZKA

Z KONSTANTYNÓWKI I CZASIW JARU

Białe Lanos z napisem „Bachmut taxi” był ostatnim zwykłym autem na tej drodze. Wołodia ścigał się tu z pociskami. Wywoził z miasta żywych i martwych. Ale nawet on musiał powiedzieć pas.

Szturm poszedł nagle, nad ramię, we mgle. Żołnierze biegli rzadką tyralierą w kierunku prawego skrzydła ruskich okopów. Tamci dali się zaskoczyć, przerażeni wiszącymi w powietrzu dronami, które zrzuciły im na głowy małe bomby samoróbki. Bum. Wojak zaryty w błotnistej mazi wyskakiwał z okopu jak na sprężynie. Na ziemię opadało martwe ciało. Do tego plujące pociskami odłamkowymi haubice



© LECH MAZURCZYK

Wołodia w swoim Lanosie jeździł tam, gdzie inni się bali. Ludziom z piwnic woził chleb, gotówkę i zbierał ciała ich bliskich.

kpt. Cziczena, dyplomowanego oficera po lwowskiej szkole artyleryjskiej.

Nie było siły, Roscy musieli dać drapak. Ale było wiadomo, że zaraz wrócą.

Droga

Długość frontu wynosi okrągłe 1,5 tys. km. Aż dziwne, że niewielkie miasteczko Bachmut od tygodni było punktem centralnym tej wojny. Rosjanie wściekle przypuszczali szturm za szturmem. Ukraińcy bronili się wczepieni pazurami w każdą ulicę i dom. Wypychani coraz dalej na zachód. Trwali, choć tak naprawdę mogliby odstąpić. Już dawno za ich plecami, na wzgórzach, powstała kolejna solidna linia obrony.

Jedyna droga do Bachmutu wiodła przez Czasiw Jar. Kręta, wąska, tonęła w błocie. Rozjeżdżona gąsienicami, kołami wielkich ciężarówek. Jechało nią wszystko: broń, amunicja, ranni, zwłoki, towary.

Wśród tego zamętu przemykał biały Lanos. Wołodia obsługiwał Bachmut i okolice. Znał teren. Szybki, wesoły. Witął klientów metalicznym uśmiechem złotych zębów.

Wojna sprawiła, że jego zawodowy świat się kurczył. Najpierw z taksówkarskiej mapy zniknęły pozarte przez front Opytne, Pokrowskie i Soledar. Potem było coraz mniej kursów do wschodniej części miasta i do centrum.

Starzy klienci przenieśli się do piwnic. Powoli przestawali wychodzić na powierzchnię. Woleli posyłać Wołodię za sprawunkami – chlebem, wodą, mydłem. Kiedy w Bachmucie brakowało już sklepów albo towaru, taksówkarz gnał do sąsiedniego Czasiw Jaru. Zahaczał o bankomaty – ludzie prosili, by wybrał im trochę gotówki. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że Wołodia pojedzie tam, dokąd inni nie zechcą.

Szturm

Droga, którą jeździł Wołodia, stała się kluczem do opanowania miasta. Rosjanie robili wszystko, by się do niej dostać – wówczas mogliby domknąć pierścien okrążenia, odciąć obrońców od dostaw sprzętu i amunicji. Miasto musiałoby paść, w Moskwie mogliby nareszcie odtrąbić jakieś zwycięstwo. Dlatego walki o drogę były zacięte – szereg mikrowojen w okopach. Kompanie, drużyny, plutony walczyły o leżący obok pagórek, przeczeńnicę, kawałek pola, skraj lasu.

O to chodziło w porannym natarciu, gdy oddziały szturmowe batalionu Aidar dotarły do linii drzew i okopów przeciwnika. Rosjanie nie zbierają poległych, dlatego walka toczyła się w scenarii horroru. Nacierający biegli wśród gnijących ciał. Pluton, który pierwszy dobiegł do okopów przeciwnika, zanurzył się w trupim zapachu. Zdobyli kawałek gołej, pooranej pociskami pustyni. Odrzucili Rosjan o jakieś 60 metrów.

Ceną było czterech poległych. Dużo? Tak, jeśli wziąć pod uwagę, że wojna na pełną skalę trwa już ponad rok. Trzecia kompania batalionu Aidar w lutym 2022 r. liczyła 96 osób. Z tamtego składu zostało ledwie dziewięciu żołnierzy. Pozostali polegli albo odnieśli rany.

Właśnie odnaleziono ciało starszego szeregowego Andrija Lemieszki, lat 42. Sierżant Aleksiej ps. Sataj pojedzie do Czerkiesów na pogrzeb kolegi. – *Nienawidzę Donbasu* – mówi.

Kontratak

Pod Bachmutem straty Rosjan są znacznie większe – można powiedzieć, że wliczone w ich taktykę prowadzenia wojny. Naprzeciwko jednostek ukraińskich stoją wagnerowcy, najemnicy z prywatnej armii biznesmena Jewgenija Prigożina. Część to dobrze wyszkoleni i doświadczeni komandosi. Ale większość stanowią wyciągnięci z więzień skazańcy. Podpisali kontrakt z Grupą Wagnera w zamian za wolność i zarobek. Pod Bachmutem stali się mięsem armatnim.

Kiedy szturmowcy zdobyli okopy, rosyjskich dowódców opanowała wściekłość. Zwiadowcy z Aidaru podsłuchiwali i nagrywali komunikaty z radiostacji przeciwnika. W eterze kryptonimy dowódców – „Rostow1”, „Kompozytor”, „Multik” – krzyżowały się z groźbami i rozkazami natychmiastowego kontrnatarcia.

„Skończ z tą paniką. Masz ich gnać do przodu. Kto nie chce iść, tego rozstrzelać. Na miejscu! Odbiór!”. „Masz, kurwa, dowodzić. Podrywać ludzi do ataku. Rozstrzeliwać. Róbcie, co kurwa chcecie, ale trzeba zająć te pozycje. Czy to jasne?”. „Jak to nie chce iść?

W takim razie przetrzeźwił mu nogę. To mój rozkaz, jeśli w tej chwili nie pójdziesz naprzód, nie będzie zabijał wrogów, to umrze – suka – haniebna śmiercią. Wyzerujemy go” („wyzerować” – po rosyjsku *obnulić* – znaczący zabić).

Kapitan Cziczen oglądał kontrnatarcie dzięki obrazowi z dronów. Mógł więc korygować ogień swoich haubic. Teraz ogląda to, co zostało na polu walki: – *Trup, tu kolejny i jeszcze jeden. Nie mieli szans się przedrzeć. Musieli zginąć.*

W sumie naliczył ponad 60 ciał zabitych Rosjan. Ale nie ma pewności, które są „nowe”, a które leżały na polu walki od dawna.

Natarcia wagnerowców tak właśnie wyglądają. – *Biegną na nas. Nasza artyleria nakrywa ich pociskami, my ogniem z karabinów. Padają i już lecą następni. Nie mają wyjścia. Kto się chce wycofać, kula w łeb* – opowiada sierżant Grigorij Piwowarow ps. „Jewrija”, dowódca plutonu w batalionie Aidar.

Piwowarow mówi, że od zabijania Rosjan można oszaleć: – *Fala za falą. Po trupach. Ciągłe do przodu. Słyszałem, że tak wariowały załogi ciężkich karabinów maszynowych w czasie II wojny światowej. Zabijali wrogów setkami, potem pękali psychicznie.*

Życie

W samym mieście sytuacja robiła się coraz trudniejsza. Wołodia jednak ciągle jeździł, wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Poza tym był potrzebny. Przywoził starszkom emerytury z banku. Wywoził rodziny, które miały dość życia w piekle. Pracowicie upychał ich dobytek w bagażniku. Karmił nawet papugi, które zostały we wschodniej części miasta, w opuszczonym przez właścicieli mieszkaniu.

Gdy przestały działać zakłady pogrzebowe, pasażerowie znów przychodzili do Wołodii po prośbie. „Ciała w mieszkaniu. Trzeba by jakoś wywieźć. Do Czasiw Jaru albo Konstantynówki. Pochować po ludzku”. Taksówkarz kiwał smutno głową. Brał czarne, plastikowe worki i jechał. Za nakarmienie papugi liczył 500. Za wywiezienie zwłok 1000 hrywien (ponad 100 zł).

Ostatnim kursem za rzekę Bachmutkę, do wschodniej części miasta, gdzie trwała regularna wymiana ognia, pojechał właśnie po ciała. Nie chodziło o pieniądze. Nie miał serca odmówić. Nikt inny nie miał odwagi. Do zabrania były dwa trupy – starsi państwo, rodzice klienta. W Lanosie-karawanie brakowało miejsca. Taksówkarz prosił wówczas, by żywi z rodziny przysiedli z tyłu na workach. Delikatnie. Uda się. To niedaleko. Wyjeżdżali z miasta wśród ostrzałów.

Artiom, żołnierz 60. samodzielnej brygady piechoty, ranny pod Bachmutem: – *Tam nawet nie dało się podnieść głowy. Oprócz ostrzału artylerii ogień snajperów. Strzelano się na ślepo, wysuwając automat ponad okop. Wiązaliśmy automaty paskami, rzucano się rannemu, łapał i się go ciągnęło.*

Wschodnia część miasta została stracona kilka dni później. Ukraińska armia wycofała się za rzekę.

Czas

Na początku marca rzeka Bachmutka stała się linią frontu. Wołodia doszedł do wniosku, że to za wiele. Spakował rzeczy, wsiadł z żoną do białego Lanosa i wyjechał do Konstantynówki, gdzie na spółkę z innym małżeństwem wynajęli biedny domek na przedmieściach. Z kursów do Bachmutu jednak nie zrezygnował. Ludzie ciągle do niego dzwonili. Najczęściej z Czasiw Jaru, który leży ledwie 15 km od Bachmutu: „Pojedziesz, Wołodia?”.

Wołodia jechał, chociaż ostrzały były coraz gęstsze, a ulice usiane odłamkami. W Czasiw Jarze sprawy miały się coraz gorzej. To małe, 12-tys. miasteczko na czołówki gazet trafiło latem zeszłego roku, kiedy Rosjanie zbombardowali blok przy Piwdennej 7. Zginęło prawie 50 osób. Teraz ostrzały spowszedniały. ►

► Antonina Grigorijewna Siergiejewa, emerytka, mieszkająca przy ulicy Hłodomora, ubrana w fioletową czapkę, staje na baczność, gdy w powietrzu rozlega się świst pocisku: – *Jak pomnik. Nie ma już we mnie strachu!*

Z jej miasta zostaje coraz mniej. Można powiedzieć, że Czasiw Jar bachmucuje każdego dnia. Rosjanie trafili w szkołę, w dom kultury. Pociski rozerwały się przy miejskim stadionie Awangard. Antonina żyje z pomocy humanitarnej. Bez światła, gazu. Dom ogrzewa piecykiem na drewno, jak reszta sąsiadów.

W centrum prawie nie ma zwykłych samochodów. Zastąpiły je wojskowe auta z napędem na cztery koła i transportery opancerzone. Czasem któryś nie wyrobi się na zakręcie. Uderzy w barierki, przejdzie po koszach na śmieci albo powali drzewo. Wiadomo, wojna.

Luba patrzy na to wszystko przez szybę sklepu „U Romana”. To jedno z ostatnich miejsc, gdzie można zrobić zakupy, a nawet zjeść szaszłyki. Klientów jak na lekarstwo. Sklep – własny biznes, o którym marzyła latami, wkrótce trzeba będzie zamknąć. Odłamki posiekały już całą fasadę domu, w którym mieści się „Roman”. Z mieszkania na parterze wypadła biblioteka. Luba starannie układa książki na gzymsie, tak żeby nie zmokły. Radziecka „Młoda Gwardia” Aleksandra Fadiejewa przytula tomik wierszy ukraińskiej poetki Natalii Zabiły pt. „Nasza ojczyzna”.

Opodal (niecały kilometr, jeśli pójść skrótem przy stadionie) pomnik pisarza Maksima Gorkiego. Z pomalowanej na złoto postaci została tylko dolna połowa, w tym lewa dłoń trzymająca kapelus. Część górna jakby ktoś odciął żyłką. Podobno Gorki rozpadł się na dwie części, gdy w parku wybuchła rosyjska rakietka.

We wschodniej części miasta – tej najbliższej Bachmutu – zupełny dramat. W dzielnicy zwanej Kanał zostało ledwie kilkadziesiąt osób. Wołodia macha ręką: – *Tam jest jak w Bachmucie.*

Żadnych sklepów, aptek. Ludzie tylko w piwnicach. Na powierzchni wychodzą rzadko. Zbierają sok brzoszowy, bo nie wiadomo, jak długo wolontariusze będą w stanie dostarczać wodę. Apatyczni, pogodzeni z losem.

Wybuch.

– *Eee, to daleko.*

Odłamki.

– *Przecież poszły górą. Trzeba patrzeć na koty, one wiedzą najlepiej. Mają jakiś swój koci instykt – tłumaczą.*

Marija idzie do swojej piwnicy z butlą wody przywiezioną przez pracowników pomocy humanitarnej.

– *Wie pan – mówi – To jest bardzo ironiczne.*

– *Co konkretnie?*

– *Ja z tą wodą. Przecież całe życie przepracowałam w wodociągach. Stacja filtrów Bachmut!*

Szpital

Żelaza w powietrzu było tak dużo, że nie dało się przed nim uciec. Ranni z Bachmutu i Czasiw Jaru trafiali do szpitali w Kramatorsku, Słowiańsku, Drużkiwce albo najbliższej do Jurija Mysza-stego, ordynatora chirurgii w Konstantynówce. – *Wie pan, życie chirurga dzieli się na dwa etapy. Pierwszy, kiedy się wszystkiego boi. Drugi, kiedy nie boi się niczego. A ja mam już za sobą 35 lat praktyki – mówi.*

Po pracy doktor siedzi w internecie. Czyta opracowania na temat medycyny wojennej – Irak, Afganistan. Tam jest sporo o zaopatrywaniu ran spowodowanych przez odłamki. A to 90 proc. przypadków, które do niego trafiają.

– *Staram się podchodzić do tego chłodno. Nie brać do serca. Ale czasami jest trudno – wzdycha doktor.*

– *Kiedy najtrudniej?*

– *Gdy na stół trafia poranione odłamkami małe dziecko.*

Ciała cywili, którzy zginęli w ostrzałach, trafiają do kostnic – na obowiązkową sekcję zwłok. Wyniki ekspertyz będą miały znaczenie dowodowe – jeśli uda się postawić przed sądem ludzi odpowiedzialnych za ostrzeliwanie cywilnych obiektów.

W Drużkiwce i Konstantynówce sekcjami zajmuje się dr Jewhen Stepanenko. Już od studiów na akademii medycznej wiedział, kim chce być. Był przekonany, że lekarz sądowy to ktoś podobny do detektywa. Miał rację. Dziś potrafi – co jasne – ustalić czas i przyczynę nagłej śmierci. Wiele razy jego umiejętności, intuicja, wiedza pomogły wyprowadzić na prostą trudne śledztwo. Postawić przed sądem zbrodniarza. Wojna jednak zbanalizowała wszystko.

Oto ciało zapisane w rejestrze pod numerem 122. Przyszło do kostnicy w Konstantynówce 30 marca z Czasiw Jaru pod Bachmutem. Pokrwawiony sweter. Ubłocony czarny worek. Na worku ukraiński paszport. Dr Stepanenko odczytuje dane:

– *Siergiej K...ow. 62 lata. Tyle na razie o nim wiadomo.*

– *Przyczyna śmierci?*

– *Jeszcze nie robilem sekcji, ale wstępnie... – Stepanenko unosi zakrwawiony sweter. Patrzy na kawałek metalu wbity wprost w klatkę piersiową denata – ...wstępnie denat zginął od odłamka.*

Tak, jak prawie wszyscy, którzy trafiają do prosektoriów w Drużkiwce, Konstantynówce, Słowiańsku, Kramatorsku... Kiedy Rosjanie ostrzeliwiają blokowisko albo osiedle domków jednorodzinnych, przyjeżdża jednocześnie bardzo dużo ciał. Zalegają w chłodniach, na stołach, w końcu lądują i na podłogach. Wtedy w kostnicy robi się zator i mętlik.

W wojennym chaosie najważniejsze, by czegoś nie pomylić. Dlatego paszport z godłem Ukrainy, który należał do 62-letniego Siergieja, mieszkańca Czasiw Jaru, będzie na razie leżał na czarnym, ubłoconym worku. Tak bezpieczniej. Anonimowych zwłok i tak jest dość. Na przykład ciało numer 121 (leży obok) należy do kobiety przywiezionej z Bachmutu. I ją zabiły odłamki. Znaleziona na ulicy, bez dokumentów. Zapisana jako NN. Trzy ciała leżą, jedno na drugim, na podłodze pod ścianą. Są tam już od jakiegoś czasu. Także ofiary ostrzału. Czekają, ale nikt się nie zgłasza.

Ze wszystkich zwłok doktor Stepanenko pobiera próbki DNA. Owija w tkaninę. Kolejno umieszcza w słoikach z formaliną. Do każdej próbki doczepiona jest nitka. Na jej końcu: data i numer aktu zgonu. Tylko od początku roku kawałeczkami tkanek doktor zapełnił już trzy wielkie słoje.

Ostatni kurs

Wołodia już nie jeździ do Bachmutu – ani po żywych, ani po martwych. Ostatni raz był tam w połowie marca. Wywoził żywych – dwuosobową rodzinę: matkę i syna. Gdy już wyjeżdżał z miasta, ktoś pociągnął za nim serią z kałasznikowa. Dwie kule trafiły w białego Lanosa. Jedna niegroźnie, przebiła felgę. Druga przeszła przez bagażnik i tylne siedzenie. Nikt nie został ranny, ale Wołodia zdemontował z auta napis „Bachmut taxi” i oświadczył żonie, że więcej tam nie pojedzie. Żona przyjęła to ze spokojem.

Siedzimy przy stole w dużym pokoju domku na przedmieściach Konstantynówki. Niedzielny relaks. Koniak, czekoladki. Wołodia w dresach. Małżonka w szlafroku. W czasie wojny zajęła się wyszywaniem, żeby nie myśleć o tym, co dookoła. Do zajęcia mięza podchodziła od zawsze stoicko: – *Los każdego jest zapisany. Jak coś ma ci się stać, to się stanie. A jak nie, to nie.*

A Wołodia? Na razie chce jeździć do Czasiw Jaru, ale głównie po Konstantynówce i okolicach. Tu też codziennie coś, jakaś rakietka spada ludziom na głowy. Poniedziałek Słowiańsk, wtorek Drużkiwka, środa Konstantynówka, czwartek Kramatorsk. Ranni, zabici. Ludzie zaczynają się bać. Nie chcą wychodzić z domu. Wołodia będzie potrzebny.

PAWEŁ RESZKA



© HUGO BURMAND-POOL/GETTY IMAGES

Pomazaniec

MAREK OSTROWSKI

Już za tydzień **Karol III** zostanie nie tylko koronowany, ale też wyświęcony na głowę Kościoła anglikańskiego. Czy to znaczy, że rozwodnik z reputacją daleką od świętości będzie kimś w rodzaju papieża?

Ten spektakl rozegra się 6 maja w londyńskim Opactwie Westminster'skim. Obok parlamentu to drugie serce kraju, miejsce pochówku wybitnych Brytyjczyków, leżą tam m.in. Charles Dickens, Isaac Newton i Winston Churchill. W Krypcie RAF są też polskie orły i symbol dywizjonu 303. Samą uroczystość poprowadzi arcybiskup Canterbury, czyli najważniejsza – po monarsze – osoba Kościoła anglikańskiego. Karol III przyjmie komunię, a arcybiskup zada królowi pytania monarszej przysięgi – o przestrzeganie praw i zwyczajów królestwa oraz obronie Kościoła i wiary – namaści go olejem świętym i nałoży mu złotą koronę, wręczy też królewskie insygnia. Następnie arystokraci zamanifestują wierność królowi, klękając przed nim i składając ręce w jego dłonie.

Koronacja – pierwsza po 70 latach i jedyna o wymiarze religijnym w Europie – będzie jednak nie tylko pompatycznym widowiskiem. To także akt prawny, symbol brytyjskiej tożsamości oraz wytyczenie nowej hierarchii społecznej i towarzyskiej – w każdym razie w obrębie arystokracji o ciągle ogromnych wpływach i wielkim bogactwie. Karol III podobno chciał, by ceremonia odzwierciedlała współczesny obraz kraju i program przyszłości, ale to z założenia niemożliwe. Wprawdzie religia i Kościół anglikański dawno już zatraciły znaczenie, jakie nadaje im tradycja i litera prawa, ale oglądając koronację, na pewno tego nie dostrzeżemy.

Oto paradoks: koronacja będzie miała przede wszystkim charakter religijny. Król panuje *by the grace of God*, z łaski bożej. Jest bożym pomazańcem dosłownie, bo będzie namaszczonej olejami świętymi sprowadzonymi z Jerozolimy. Nosi tytuł obrońcy wiary, złoży też przysięgę wspierania Kościoła anglikańskiego. Tymczasem ostatni spis powszechny z grudnia 2021 r. przyniósł sensacyjną informację: nie tylko Kościół anglikański, ale w ogóle wszyscy chrześcijanie na Wyspach są już w mniejszości – stanowią 46 proc. mieszkańców kraju, który zamieszkują także duże społeczności muzułmanów i sikhów z Azji oraz zielonoświątkowców z Karaibów. Co czwarty Brytyjczyk deklaruje się jako ateista.

To jednak nie koniec paradoksów. Karol III wyznacza specjalne miejsce i tytuł królowej żonie, której nowo powołane damy dworu pochodzą z wyższych kręgów anglosaskich, to znaczy wyłącznie białych i protestanckich. A dwa największe miasta kraju – Londyn i Birmingham – zamieszkuje w większości ludność kolorowa ►

► i wyznań zgoła odmiennych. I – jak sugerują sondaże – ta sama niechrześcijańska lub ateistyczna większość aprobuje religijny, anglikański charakter koronacji. 57 proc. respondentów opowiedziało się za uroczystością chrześcijańską, 19 proc. za wielowyznaniową, w tym muzułmańską, a tylko 23 proc. za świecką.

Czy biskup musi wierzyć

O takim stanie rzeczy decyduje szczególny charakter Kościoła anglikańskiego, do którego teoretycznie należy ponad 85 mln wyznawców na całym świecie, głównie na Wyspach i w byłych koloniach brytyjskich. Teoretycznie, bo dawno nikt ich nie liczył – być może z obawy o to, czy sami czują się jeszcze wspólnotą, biorąc pod uwagę diametralnie różnice światopoglądowe anglikanów z Londynu i choćby z Ugandy. Już na początku lat 90. doszło do najpoważniejszego rozłamu, gdy w poszczególnych kongregacjach narodowych tego Kościoła dyskutowano o dopuszczeniu kobiet do kapłaństwa. Większość w Anglii była na „tak”. Ale tzw. reszta świata, szczególnie Afryka, się zbuntowała i wkrótce z tego powodu może dojść do formalnego rozwodu (Kościół Anglii dopuszcza je w wyjątkowych sytuacjach).

Zapewne temu tradycyjnemu rozdyktowaniu Kościoła Anglii można przypisać żart ze świetnego politycznego programu satyrycznego BBC „Yes, prime minister”. Przy nominacji biskupa doradca premiera, który ma tu decydujące zdanie – ale o tym jeszcze poniżej – zwraca uwagę, że kandydat nigdy nie wykazał znajomości zasad wiary, a Biblię traktuje jak zbiór mitów i legend. Politycy zaczynają więc rozważać, czy ksiądz w ogóle musi wierzyć w Boga. Odpowiedź: szeregowy ksiądz niekoniecznie, ale biskupowi to już naprawdę wierzyć w Boga wypada.

Nawiasem mówiąc, anglikańskim księżom, którzy byli przeciwni kapłaństwu kobiet – argumentowali, że trudno im nie uszanować tysiącletniej tradycji wyświęcania jedynie mężczyzn – papież Jan Paweł II zaoferował przyspieszoną ścieżkę przejścia do Kościoła rzymskokatolickiego. Pracowałem wtedy akurat w Anglii. Poprawiano mnie, kiedy wobec duchownych anglikańskich używałem terminu pastor. To są księża.

Przekonanie, że ksiądz może właściwie nie wierzyć, to oczywiście żart (choć Kościół anglikański z radością przyjmuje chrzest dziecka rodziców niewierzących). Żart ten jednak dobrze oddaje dwie cechy tego Kościoła. Z jednej strony jego elastyczność i pragmatyzm, z drugiej



© CHRISTOPHER FURLONG/GETTY IMAGES

Nowy Krzyż Walii, który ma być niesiony na czele procesji koronacyjnej Karola III w Opactwie Westminsterkim.

– demokratyczny proces podejmowania decyzji organizacyjnych, a nawet doktrynalnych. Jeszcze George Orwell twierdził, że Anglicy nie mają żadnych określonych wierzeń religijnych i tak było przez wieki. Kościół anglikański nie panował nad masą zwykłych Anglików, był jedynie domeną szlachty ziemskiej.

„Kościół anglikański – oceniał nie tak dawno biskup Oksfordu – nie wierzy w wykładanie jakiegos zbioru zasad. Woli raczej zostawiać ludziom przestrzeń i wolność. Wystarczy, że starasz się uczęszczać na nabożeństwa i przyjmować komunie. To dowodzi, że wierzysz”. Naturalną konsekwencją takiego myślenia jest fakt, że Kościół anglikański jawi się jako bardzo zróżnicowany, także w formach nabożeństw, zależnych w dużej mierze od pomysłowości proboszcza. Współżyją w nim mniej lub bardziej skłócone kierunki, tendencje, skrzydła czy – jak to określić – angłokatolicy, ewangelikanie i liberałowie. Mówi się też o Kościele wysokim i niskim.

„I co to za organizacja, która jest równie łatwo dostępna jak lokalny urząd pocztowy i nie wymaga praktycznie niczego od swoich członków?” – podkpiwał słynny pisarz i dziennikarz Jeremy Paxman w jednej ze swoich książek. Ale jednocześnie zaprzecza on, by Anglicy – ze swymi obrządkami i symbolami – byli skłonni do bigoterii. Po prostu wolą, by wyznawana przez nich religia „była, podobnie jak ich ubrania i samochody, czymś dyskretnym, rozsądnym i godnym zaufania, czymś, co jest pod ręką, kiedy się tego potrzebuje”.

Na przykład sprawa aborcji. O ile wśród anglikanów amerykańskich wywołuje gwałtowne protesty i incydenty, często z przemocą fizyczną, o tyle w Anglii, choć też jest moralnie potępiana przez Kościół, nikt nie chce robić wokół niej szumu.

Obrońca wiar

Jakie więc wyznanie w całym tym galimatiasie przypisać Karolowi III? Jeszcze, gdy był księciem Walii w latach 90., zapowiedział, że jako król wolałby tytuł obrońcy wiar (w liczbie mnogiej) niż obrońcy wiary. Widocznie przekonano go jednak, że to konstytucyjnie wykluczone. Z pewnością nie jest tak religijny jak jego matka Elżbieta, o czym świadczy choćby przyznanie się do zdrad małżeńskich i rozwód.

Gavin Ashenden, były biskup anglikański, dawny kapelan królowej Elżbiety (przeszedł do Kościoła rzymskokatolickiego), twierdził, że Karol grawitował ku duchowości w ogóle, w tym również islamskiej, a także religii grekokatolickiej, w której wychowywany był przeciw jego ojciec, książę Filip (schorowana matka Filipa była pod koniec życia zakonnicą, kierującą klasztorem szpitalniczym w Grecji).

Karol często zmieniał religijne zainteresowania. Ale jednocześnie Ashenden oceniał, że przyszły król prawdopodobnie jest świadom tego, że Church of England wymaga od swoich wiernych rzetelności nie wiele – uznaje choćby tylko dwa sakramenty: chrzest i eucharystię (Kościół rzymskokatolicki – siedem).

Być może z tego samego powodu nie ma w Kościele anglikańskim ani pasji, ani zacietrzewienia, ani nawet wielkich dramatów. Paxman zauważa, że większość angielskich pisarzy – jeśli chce napisać pasjonującą powieść, poruszającą jakiś problem moralny – musi szukać inspiracji w dramatycznych dogmatach katolicyzmu. Wcześniejsza niż w innych krajach europejskich angielska rewolucja – zarówno polityczna (1688–89), jak i przemysłowa – spowodowała, że Kościołowi anglikańskiemu łatwiej było się dostosować do odkryć naukowych, od Karola Darwina począwszy.

Z kolei przykładem demokracji jest decyzja o wyświęcaniu kobiet na księży. Ostatecznie podjęła ją – i to niewielką większością głosów – Synod Generalny Kościoła w głosowaniu jeszcze w 1992 r. Jednak wyświęcenie pierwszej kobiety na biskupa w 2015 r. (według nowych zasad językowych – biskupę?) wywołało sensację, a przy okazji odsłoniło ciekawy wizerunek nowych hierarchów Kościoła. Pani Libby Lane, dziś lord biskup Derby (znów niekonsekwencja, bo oficjalny

tytuł brzmiał lord, co dotychczas na pewno oznaczało tylko mężczyznę), kibicuje drużynie Manchester United i dobrze gra na saksofonie.

Anglikanie mają zupełnie inne niż w Kościele rzymskokatolickim podejście do seksualności człowieka. Czy dlatego, że nie ma celibatu? Rowan Williams, 104. arcybiskup Canterbury (2002–12), był wolennikiem większego otwarcia Kościoła na homoseksualistów, choć musiał się zmierzyć ze skandalem w 2003 r., kiedy pewien ksiądz, otwarcie żyjący z innym mężczyzną, miał być mianowany biskupem. Przez dłuższy też czas Kościół odmawiał błogosławieństwa cywilnym związkom jedнопłciowym; wielokrotnie o tym dyskutowano. Od lutego 2023 r. podjęto decyzję na „tak”. Nie ma już z tym problemu.

A rozwody? W latach 20. XVI w. odmowa papieża, by unieważnić małżeństwo króla Henryka VIII – miał sześć żon, w tym dwie kazał ściąć – była, przynajmniej formalnie, powodem zerwania z Rzymem, choć o temu królowi papież nadał historyczny tytuł obrońcy wiary. Sprzeciw Kościoła wobec małżeństwa z rozwódką Wallis Simpson był powodem abdykacji króla Edwarda VIII w 1936 r. A dziś? Sam król jest rozwodnikiem. Poza tym Kościół anglikański w wyjątkowych wypadkach dopuszcza ponowny ślub, nawet za życia rozwiedzonego małżonka.

Trochę katolicy

Czy to wszystko oznacza, że w Kościele anglikańskim wygasły emocje religijne? W dużej mierze tak. A przecież uznawano, że anglikanizm stanowił część tożsamości narodowej. Zwłaszcza że kraje, z którymi Anglia toczyła najwięcej wojen – Hiszpania i Francja – były katolickie. Przez długi czas katolicy byli na Wyspach prześladowani, ustawa z 1701 r. odsunęła ich od dziedziczenia tronu, a nawet zakazywała monarchom małżeństwa z katolikami. Zmieniono ją – ale tylko wobec małżonków – dopiero w 2013 r. Monarcha wciąż musi być jednak anglikaninem, jest przecież głową Kościoła anglikańskiego.

To zresztą był najmniejszy problem katolików w Anglii. Reformacja za króla Henryka VIII, który stał się głową Kościoła na miejsce papieża, pociągnęła za sobą prześladowania katolików pod surowym zarzutem zdrady stanu. Humanista, pisarz i kanclerz stanu Thomas More (1478–1535), który papieża się nie wyrzekł, został ścięty, a jego głowa przez miesiąc sterczała na moście Tower w Londynie; Rzym ogłosił go później męczennikiem i świętym.

Ruch antykatolicki nabrał ogromnych rozmiarów; katolików oskarżono i za słynny spiszek prochowy z 1605 r., i pożar Londynu w 1666 r. Te uprzedzenia wpłynęły też na literaturę; powieści opisywały lubieżnych księży, okrutne przeorysze i sadystycznych inkwizytorów, a sam Kościół katolicki określano mianem bezbożnej nierządnic. Co dzisiaj z tego zostało? Nie wiele albo zgoła nic. Church of England bardzo zbliżył się do Rzymu. Znalazłem cytaty jakiegoś teologa, który ocenił: „Jesteśmy trochę protestantami, a trochę katolikami”.

W Anglii nie ma rozdziału Kościoła od państwa, Church of England jest Kościołem państwowym, król jest jego głową, a 26 najważniejszych biskupów – w tym pięć kobiet – zasiada w wyższej izbie parlamentu, czyli Izbie Lordów. Ponieważ praktycznie wszystkie prerogatywy korony przeszły na szefa rządu, to premier teraz wybiera i mianuje biskupów. Czy monarcha ma jakiś wpływ na te nominacje? Nie wiadomo, bo obie strony tradycyjnie zachowują dyskrecję o swych cotygodniowych rozmowach. Czy inne wyznania cierpią z powodu przywilejów i oficjalnej pozycji Kościoła anglikańskiego? Słysz się głosy, że rozdział byłby lepszy, ale chyba mało kto zwraca na nie uwagę.

W każdym razie Kościół anglikański chyba za bardzo nikomu nie dokucza ani nie wadzi, skoro biskupów powołuje teraz premier Rishi Sunak, który przecież sam praktykuje hinduizm. Trzeba tu też zaznaczyć, że choć premier jest praktykującym hinduistą, to nie afiszuje się publicznie ze swą religijnością. Są fotografie, jak wraz z żoną w wieńcach z kwiatów odwiedza hinduistyczną świątynię z okazji święta upamiętniającego narodziny boga Kryszny, ale nikt na Wyspach nie robi z tego afery.

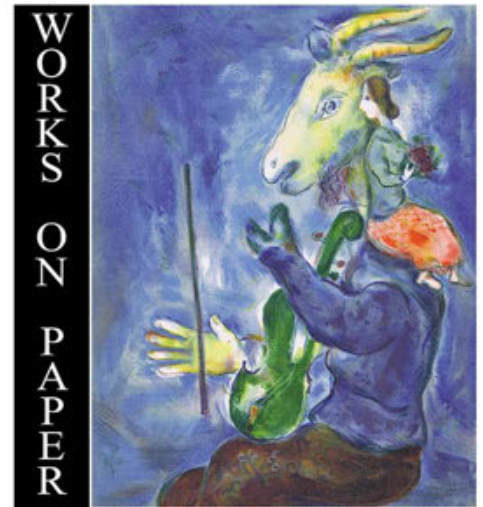
Jak długą więc drogę Anglia przeszła od czasów prześladowań religijnych XVII w.? Narodowy poeta William Blake w wielkim poemacie przywoływał legendę o tym, że sam Jezus w młodości odwiedził Anglię, stąpając po zielonych pagórkach kraju. Mówiono o Anglikach jako narodzie wybranym. Anglia miała nawet żywsze poetyckie i mitologiczne tradycje chrześcijańskie niż Francja, „najstarsza córka Kościoła”. Kolegia najslawniejszych uniwersytetów do dziś noszą imiona boże lub świętych, np. Jesus College w Oxfordzie czy Trinity College w Cambridge. Koronacja na kilka dni przywoła dawny czas i podniosły nastrój. Wielu wzruszy i podniesie na duchu. Anglia znów wielka.

MAREK OSTROWSKI



Alfred WIERUSZ-KOWALSKI
(1849 Suwałki - 1915 Monachium)
Zaloty

AUKCJA OBRAZU
28.04.2023
GODZ. 19:00
WARSZAWSKI DOM AUKCYJNY
UL. WILCZA 69
00-679 WARSZAWA



MARC CHAGALL

WYSTAWA PRAC
21.04 - 30.06.2023
WTOREK - SOBOTA
GODZ. 11:00 - 18:00
WARSZAWSKI DOM
AUKCYJNY
WARSZAWA,
UL. WILCZA 69

Iracka otchłań

20 lat po amerykańskim ataku na reżim Saddama Husajna coraz częściej zapominamy, że religijny fanatyzm działał wówczas nie tylko po stronie muzułmanów.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Wpatrując się w mury Babilonu, żołnierze czuli podziw i religijne uniesienie. Również potworne zmęczenie, kiedy po upalnym dniu wypełnionym walkami mogli spojrzeć nieco spokojniej na ciemniejącą twierdzę. To za tymi murami znajdowały się skarby początków

ludzkiej cywilizacji. Babilon zwany był przecież jej kolebką, ośrodkiem mocarstwa mezopotamskiego nad Eufратem, potężną warownią zbudowaną przez Nimroda, który „pierwszy panował w Babelu, Uruk i Akkadzie” (Ks. Rodzaju 10, 9–10), oraz króla Nabuchodonozora.

Pewien żołnierz z dumą opowiadał o liście od stęsknionej matki. Chwaliła

syna za to, że to właśnie jemu z całej rodziny udało się stanąć pod wysokimi na 20 m murami albo spojrzeć na stojącą w pobliżu złoto-niebieską bramę Isztar czy na świątynię boga Marduka, opiekuna miasta, no i zobaczyć słynny bazaltowy pomnik lwa pożerającego człowieka. Matka – jak relacjonował żołnierz – pytała go, czy nie mógłby poszukać owych słynnych na cały świat wiszących ogrodów. Przeczytała prorocтва Ezechiela i cieszyła się, że jej syn stąpa po tej samej ziemi, co święci mężowie.

Żołnierz miał na imię Jack, był porucznikiem amerykańskich służb medycznych, a historię listu od matki opowiadał niżej podpisanemu, który był wówczas oficerem polskiego kontyngentu wojskowego, wysłanego do Iraku w 2003 r. Porucznik Jack pełnił dość banalną misję – krążył po bazach koalicyjnych w Iraku i uzupełniał zapasy medyczne. W Camp Babilon, zwanym też Camp Alpha, nie znalazł niestety wiszących

Amerykańscy żołnierze przewracają pomnik Saddama Husajna, Bagdad 2003 r.



ogrodów, wieży Babel ani innych miejsc, które kazała mu odwiedzać mama.

Polacy, czyli Żydzi

Tam, gdzie archeolodzy domyślali się ich starożytnej lokalizacji, stała wojskowa stacja paliw lotniczych oraz magazyny amunicji. A wszystko to niszczało wśród betonowych zapór, chroniących przed odłamkami moździerz, którymi rebelianci sporadycznie ostrzeliwali Alphonse. Wozy bojowe jeździły po zabytkowych ulicach, a lądujące na pobliskim lądowisku śmigłowce Apache i Black Hawk wprawiały stare mury w wibracje. Babilon czasów interwencji amerykańskiej i polskiej nie przypominał już w ogóle obiektu światowego dziedzictwa kulturowego.

Nawet majestatyczne mury, tak podziwiane przez żołnierzy z Ameryki i Polski, były fałszywe. Obalony rok wcześniej dyktator Iraku Saddam Husajn kazał otoczyć nowym murem starożytne ruiny Babilonu. A na świeżych ceglach, wzorem starożytnych poprzedników, polecił umieścić swoje imię. Saddam – „Lew Iraku” – tkwił więc w murze obok imion „Lwa Babilonu” Nabuchodonozora albo króla Hammurabiego.

Zawodowi archeolodzy lamentowali, że nieumiejętnie postawione nowe obrowania zniszczyły zabytkowe mury i kompletnie nie oddawały obrazu starożytnej architektury. Były natomiast świadectwem pychy i manii wielkości Husajna. Kazał on zresztą w pobliżu usypać górę, a na jej szczycie zbudował własny marmurowy pałac, górujący nad wietrzącymi ruinami Babilonu. Po inwazji pałac zajęła jednostka amerykańskich radiowców, a wśród jego marmurów zaczęły się walać plastikowe butelki po napojach energetycznych i talie kart do pokera, na których zamiast figur widniały twarze poszukiwanych przez koalicję generałów Husajna.

Kiedy Amerykanów zastąpili w Alphonse Polacy, w pałacu na sztucznej górze samotnie zamieszkał pewien Irakijczyk, tłumacz wykształcony w Polsce. Jego rodzinę kilka lat wcześniej zabiły irackie służby specjalne. Tłumaczył rozmowy z miejscowymi konfidentami, słuchał śpiewu słowików, które namiętnie hodował, i przeklinał Saddama Husajna po polsku i arabsku. Zapewniał po cichu, że jak wróci do Polski po wojnie, to zostanie wreszcie chrześcijaninem.

Było to o tyle przewrotne, że ludność pobliskiego miasta Al-Hilla uważała kolejne zachodnie kontyngenty za chrześcijańską armię krzyżowców, która

ponownie najechała muzułmański Irak. Miejscowi inaczej traktowali tylko Polaków, nazywając ich Żydami – głównie z tego powodu, że w ramach poprawy wizerunku oficerowie od propagandy rozdawali im pamiątkowe albumy o polskich zabytkach. I były tam m.in. synagogi oraz macewy z krakowskiego Kazimierza. Kiedy polski wywiad zorientował się, że takie albumy nieszczególnie trafiają do „serc i umysłów” Irakijczyków, nakazał spalić cały ich zapas.

Podejrzenia, że Polacy są w istocie Żydami, nie przeszkadzały jednak szyickim rebeliantom, którzy chcieli zabijać głównie Amerykanów. Kiedy w kwietniu 2005 r. wybuchło szyickie powstanie w polskiej strefie okupacyjnej, kierowane przez młodocianego imama Muktaadę as-Sadra, któremu Husajn też zresztą zabił ojca, akurat umierał papież Jan Paweł II. Agonia głowy Kościoła robiła wrażenie nawet na islamistach, tym silniejsze, że pamiętali polskiego papieża jako przeciwnika interwencji w Iraku.

Usłyszałem wtedy od Sadrystów takie oto religijne wyznanie: „Dzięki Bushowi Amerykanie są bliżej piekła, ale dzięki papieżowi Polacy są bliżej nieba!”.

Lekcje i świadectwa

Takie spojrzenie na wojnę w Iraku z perspektywy religijnej jest wciąż rzadkie. Większość analiz i wspomnień, które przytaczano niedawno w związku z 20. rocznicą amerykańskiej inwazji na Irak, dotyczy albo lekcji wojskowych, albo losu weteranów. Sążniste raporty Kongresu USA czy parlamentu brytyjskiego (tzw. raport Chilcota) pokazywały błędy polityczne i wojskowe popełnione przez Amerykanów i ich sojuszników. Media amerykańskie ponownie wypełniły się krytyką administracji prezydenta George’a W. Busha.

Irak w pamięci weteranów i społeczeństw zachodnich stał się z kolei źródłem cierpienia psychicznego i późniejszych samobójstw żołnierzy, syndrom stresu bojowego (PTSD) jest w popularnym odbiorze właśnie syndromem irackim. Przy tym „świadectwa cierpienia” prawie nie dotyczą irackich ofiar. Kultura popularna, jeśli w ogóle podejmuje temat społecznych skutków wojny, opisuje i pokazuje niemal wyłącznie cierpienie żołnierzy z Ameryki lub Europy i ich rodzin. Irakijczycy są przeważnie anonimowym tłumem, indywidualnie sportretowani są tylko „dobrzy i wyrozumiali Arabowie”, pomagający lub wybaczący naszym chłopcom.

Żołnierzy z Zachodu zginęło w Iraku dokładnie 4809, jak skrupulatnie policzono. Ilu Irakijczyków? Nie wiadomo, szacunki medycznego czasopisma „The Lancet” wskazują nawet na 500 tys. Tę dysproporcję przykryto jednak chłostą polityczną, jaka spadła w ostatnich 20 latach na głównych autorów tamtej wojny: prezydenta Busha i brytyjskiego premiera Tony’ego Blaira.

Szczególnie złowrogą rolę przypisuje się jednak Paulowi Wolfowitzowi, zastępcy szefa Pentagonu Donalda Rumsfelda. To on po zamachach z 11 września 2001 r. za wszelką cenę próbował udowodnić, że Al-Kaida musiała skorzystać z pomocy Saddama Husajna. Nie do wyobrażenia było, że tak skomplikowaną operację mogła zaplanować i wykonać nieliczna grupa ludzi, siedząca w jakichś jaskiniach w Afganistanie. Ale przecież w administracji byli też ludzie rozsądni, jak szef dyplomacji Colin Powell, domagający się nieustannie od szefów wywiadu nowych dowodów na to, że Husajn produkuje broń masowego rażenia. Ale nawet i Powell ostatecznie uległ, niezdolny do przeciwstawienia się hysterii. ▶

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty - Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,
chroniczne zespoły bólowe
kręgosłupa i głowy, powikłania
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,
następstwa i powikłania urazów
układu kostnego, więzadeł i stawów,
migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

► A wywiad dostarczał dowodów, i to jakich! Jeśli zwiad lotniczy dostrzegł jakieś błyszczące rury w zagajniku przy domostwie irackiego wieśniaka, natychmiast widział w tym część instalacji do wzbogacania uranu. Zbombardować! Ciężarówka wyjeżdżała z dawno opuszczonej i zbadanej przez inspektorów ONZ fabryki chemicznej? To musiało być złowrogie „mobilne laboratorium biologiczne”. Dyplomata z ambasady Iraku w Australii chciał kupić urządzenie GPS? Oczywiście musiał planować zamachy bezpilotowca na Nowy Jork. I tak dalej.

Doniesienia wywiadu sprawiały, że atmosfera w Gabinetce Owalnym prezydenta Busha tężała od wyobrażeń nadchodzących kataklizmów, wywołanych przez ludzi Saddama Husajna. Sam prezydent pytał dramatycznie: „Jakiego jeszcze dowodu potrzebujecie? Dymiącej lufy pistoletu? Dostaniecie dym w postaci chmury grzyba atomowego!”.

Bitwa o dusze

Bush miał wielki talent do opisywania wydarzeń po 2001 r. w religijnych, często apokaliptycznych barwach. Sam przecież był głęboko wierzącym ewangelikaninem, „narodzonym na nowo” człowiekiem, który drogą wewnętrzną przemiany porzucił niewolę alkoholu i innych nałogów z lat młodości. Politykę zagraniczną USA często porównywał do realizacji Bożego planu: „Kiedy walczymy z siłami zła, Bóg walczy razem z nami”. Już pięć dni po zamachach z 11 września użył słowa „krucjata”, które natychmiast wzbudziło nieprzyjemne skojarzenia na Bliskim Wschodzie.

„Krucjatę” Bush przemianował później na „globalną wojnę z terrorem”, czyli sprawiedliwy konflikt ze złem przeciwko niewidzialnemu wrogowi, przejmującemu chytrze stery samolotów wbijających się w nowojorskie wieże. Użył tych iście apokaliptycznych fraz na opisanie akcji wojskowej, która w istocie powinna być zaledwie policyjną albo wywiadowczą robotą przeciwko fanatykom. Słowo „krucjata” użyte zostało przez niego bezwiednie, jako kalka językowa, jednak mużłmanie odebrali to jako zapowiedź powtórki masakry ich przodków sprzed dziewięćciu wieków.

Bush szybko zorientował się w błędzie i zapewniał, że nie chodzi mu o starcie z islamem jako takim, ale z małą grupką odszczepieńców i fanatyków. Podobne zapewnienia w liście zbiorowym „O co walczymy?” składali amerykańscy intelektualniści w kwietniu

2002 r., na czele z Francisem Fukuyamą i Samuelem Huntingtonem, dowodząc, że dżihadysty zabijają niewinnych w imię Boga, ale żołnierze zachodni zabijają za to dżihadystów w imię uniwersalnych wartości.

Dla Huntingtona wojna stała się okazją do potwierdzenia jego tezy o rzekomym „starciu cywilizacji” (dość przypomnieć, że przewidywał długi pokój między Rosją i Ukrainą, a jego mapa cywilizacji jest w istocie mapą podziałów rasowych). Fukuyama kilka lat wcześniej ogłosił swój „koniec historii” – czyż nie pobrzmiwa w tym „koniec czasów”? W Polsce Adam Michnik w 2003 r. w „Gazecie Wyborczej” na kilka tygodni przed wojną dowodził, że obalenie Husajna będzie w istocie powtórzeniem wysiłków jego samego i Václava Havla w walce z komunistycznymi totalitaryzmami.

Bush w Iraku, a rok wcześniej w Afganistanie, nie miał na myśli wojny religijnej ani nawet wojny w imię demokracji. Dla tego prezydenta, „wyzwolonego” z nałogów chrześcijaństwa, najważniejszą wartością była wolność osobista człowieka. Od przemocy, od dyktatury, ale to również wolność przekształcająca człowieka i uzyskana dzięki głębokiej wierze w Boga. To właśnie „wolność” Irakijczyków miała doprowadzić do przekształcenia całego Bliskiego Wschodu. Bush mówił po zamachach 11 września o tym, że Ameryka ma powinność „siania ziaren wiary w wolność i demokrację”.

Ten religijny język skrywał całkiem realistyczny i polityczny plan wyzwolenia Izraela od groźby wojny z Arabami, głównie z Irakiem Saddama Husajna, który już w czasie pierwszej wojny w zatoce w 1991 r. pokazał, że zdolny jest do bombardowania Jerozolimy raketami Scud.

Izrael w ewangelikańskiej mitologii konserwatywnych Amerykanów do dziś zajmuje miejsce szczególne, jako wzór Nowej Jerozolimy, w którą Ameryka miała się przekształcić. Również jako miejsce Ostatniej Bitwy dobra ze złem, Armagedonu, otwierającej nowe millennium.

Gen. William Boykin, zastępca szefa Pentagonu w 2003 r., w czasie publicznego odczytu mówił: „Ta bitwa, w której walczymy, jest bitwą o nasze dusze. Wrogiem jest Szatan, (...) który chce zniszczyć nas, armię chrześcijańską”. Republikanin John Hagee, związany z ruchem Chrześcijańskich Zjednoczonych dla Izraela, przyznawał, że polityka zagraniczna Busha jest „polityką zagraniczną Boga”, działającego poprzez prezydenta. Nawet kiedy w 2006 r. poparcie Amerykanów dla wojny spadło poniżej 40 proc., wciąż

ponad 60 proc. ewangelikanów uważało, że Stany Zjednoczone słusznie weszły do Iraku.

Powinność dżihadu

Politycy bliskowschodni przestrzegali, że przedstawianie wojny jako krucjaty zwróci miejscowe społeczności przeciwko amerykańskiemu interwentom. Ówczesny prezydent Egiptu Hosni Mubarak przewidywał, że zbliżająca się wojna wyprodukuje setkę Osamów bin Ladenów. Książę Saud Al-Faisal ostrzegł, że napaść na Irak doprowadzi do rozlania się wojny religijnej na cały region. Na słowo „krucjata” pojawiła się szybko odpowiedź uczonych mużłmańskich, nawet tych, którzy dzień po 11 września potępilli zamachy, a bin Ladena traktowali jako religijnego oszusta. Na przykład Mohammad Said Tantawi, wielki szejek uniwersytetu Al-Azhar w Kairze, mówił o „powinności islamskiej” do obrony przed Amerykanami.

Klerycy stosunkowo szybko po inwazji na Irak odświeżyli znaczenie dżihadu, wysiłku duchowego, ale i zarazem świętej wojny. Używano go zaledwie 10 lat wcześniej w Afganistanie na opisanie walki z bezbożnymi Sowietami, wówczas jednak w uszach dziennikarzy zachodnich brzmiał jak szlachetny zryw. Po inwazji Amerykanów dżihad – jako święta wojna przeciwko najeźdźcom – wiódł przez kolejne 10 lat żywot idei napędzającej do działania grupy terrorystyczne.

Ostatecznie to właśnie dżihad wyprodukował tzw. Państwo Islamskie, organizację również mającą apokaliptyczne cechy, obiecującą wybranym raj tu i teraz i odrzucającą cały świat. Tworzący je islamisci zanieśli swój terror do kolejnych stolic europejskich. W Londynie, Paryżu i Berlinie uprawiali go tak, jak czynili to wcześniej na ulicach Bagdadu i Al-Hilli – wysadzając się samobójczo w kawiarniach, na targowiskach i w tłumie pacjentów przed szpitalami.

Tyle tylko, że żołnierze z Zachodu wcześniej zanieśli wojnę na ulice Bagdadu, Al-Hilli i pobliskiego Babilonu. A jeszcze wcześniej terroryści zaatakowali Nowy Jork... I tak dalej, i tak dalej. Można tę historię przemocy podsumować zdaniem Fryderyka Nietzschego: „Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie”. W tej babilońskiej historii otchłań przygląda się sobie w lustrze.

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Autor jest analitykiem Polityki Insight, w latach 2004–10 pełnił służbę wojskową w Iraku i Afganistanie, dwukrotnie był tam awansowany. W Babilonie został majorem, w Kabulu pułkownikiem.

Pierwszy zabójca Ameryki

Fentanyl jest marzeniem każdego dilerka narkotykowego i zabójcą 70 tys. Amerykanów rocznie. A mógłby też wywołać wojnę światową.



Przed amerykańskim Kapitołem stanęły symboliczne groby osób, które straciły życie z powodu przedawkowania fentanylu. Instalacja artystyczna Trail of Truth ma zwrócić uwagę na przetaczający się przez USA kryzys opioidowy.

MARIUSZ ZAWADZKI

Co jest najczęstszą przyczyną nagłych nienaturalnych zgonów w Ameryce? W każdym normalnym kraju odpowiedź brzmiałaby: samochody. Wypadki drogowe są najczęstszą – po chorobach – przyczyną śmierci na naszej planecie. W USA ginie w nich ok. 40 tys. ludzi rocznie – znacznie powyżej średniej w krajach rozwiniętych. Ale wcale nie samochody są największymi zabójcami, bo też Ameryka nie jest normalnym krajem.

Co i raz pojawia się tam jakiś uzbrojony po zęby szaleniec, który nagle otwiera ogień do przypadkowych osób w szkole, kinie, na ulicy czy w centrum handlowym. Czyżby zatem rewolwery, karabiny i pistolety? Otóż też nie. One zabijają rocznie 45 tys. Amerykanów (z czego połowa to samobójcy). Zagrożenie śmiercią od kuli jest wprawdzie statystycznie 50 razy większe niż w Polsce, ale istnieje jeszcze większy zabójca niż broń palna. To fentanyl, środek znieczulający z grupy opioidów, rutynowo stosowany przez lekarzy na całym świecie. Znajomy anestezjolog z warszawskiego szpitala na Banacha wyjaśnia, że jest to sprawdzony i niezawodny specyfik – bodaj jedyny, który ów lekarz aplikował

operowanym pacjentom zarówno 30 lat temu, kiedy zaczynał pracę zaraz po studiach, jak i teraz. Ma też zastosowanie w chorobach nowotworowych – zwalcza ból u pacjentów, zwykle w formie plastra przyklejonego do skóry (wtedy fentanyl przenika do organizmu stopniowo).

Ten nieoceniony pomocnik lekarzy i pacjentów w Ameryce znalazł również inne zastosowanie: stał się największym przebojem w ofercie narkotykowych dilerów. I szybko awansował na pierwsze miejsce na liście zabójców. W zeszłym roku ponad 107 tys. Amerykanów zmarło po przedawkowaniu różnych substancji, z czego ponad 70 tys. po przedawkowaniu fentanylu. Lekarze i działacze społeczni mówią o „epidemii syntetycznych opioidów”. Zaczęła się ona mniej więcej w 2015 r. – wówczas fentanyl zabił 9 tys. Amerykanów. Od tamtego czasu statystyki rosną w zastraszającym tempie.

„46 mln Amerykanów nadużywa lekarstw, narkotyków lub innych substancji. To jest kryzys, który pogrąża cały nasz naród, przekracza wszelkie granice geograficzne, demograficzne i ekonomiczne i uderza we wszystkie warstwy społeczne” – mówił w lutym br. na posiedzeniu senackiej komisji ds. zagranicznych doktor Rahul Gupta, dyrektor ds. polityki narkotykowej w administracji Joe Bidena.

Sprawa stała na tej akurat komisji, ponieważ – jak zauważył jej szef, senator Bob Menendez – „rozwiązanie problemu wymaga działań wykraczających poza granice naszego kraju”.

„Wiemy, kto jest winien. Światowy łańcuch dostaw fentanylu został opanowany przez dwa meksykańskie kartele: Sinaloa i Jalisco Nueva Generación – mówiła na tej samej komisji Anne Milgram, szefowa amerykańskiego urzędu ds. kontroli leków (ang. Drug Enforcement Agency). – Te dwie organizacje są odpowiedzialne za znakomitą większość fentanylu trafiającego do Stanów Zjednoczonych. Ich pokonanie jest naszym najważniejszym zadaniem operacyjnym”.

Kilogram zabije pół miliona

Fentanyl jest spełnieniem marzeń handlarzy i wytwórców narkotyków. Do masowej produkcji heroiny, morfiny, kokainy czy marihuany potrzebne są hektary ziemi, na której uprawia się mak, kokę lub konopie. Trzeba chronić pole przed wścibskimi sąsiadami, konkurentami i złą pogodą. Trzeba płacić łapówki, żeby policja nie zainteresowała się nielegalną uprawą (albo wymordować czy przegnać policjantów, co nie w każdym kraju jest możliwe).

W przypadku fentanylu to wszystko okazuje się zbędne, bo jest on ▶

► substancją całkowicie syntetyczną. Można go wytwarzać nawet w prymitywnym laboratorium, np. w zapyziałej górskiej wiosce w stanie Sinaloa. Innym jego przymiotem jest potężna moc. Kilogram czystego fentanylu wystarczy, żeby wprawić w euforię kilka milionów ludzi. Dzięki temu przemysł i dystrybucja stały się dużo łatwiejsze. Dwie małe łyżeczki, czyli ok. 15 g fentanylu (taką ilość można ukryć prawie wszędzie!), mają taką samą moc i wystarczą na tyle samo pojedynczych działek, co kilogram heroiny. Niestety z tego właśnie powodu fentanyl tak często zabija. Dawka śmiertelna, która paraliżuje układ oddechowy i prowadzi do uduszenia, to ledwie 2–3 mg. Tyle waży kilkanaście ziarenek soli kuchennej. Potrzeba zaledwie jednego kilograma, żeby uśmiercić pół miliona ludzi.

Kilka lat temu, kiedy opioidowa epidemia w USA dopiero nabierała rozpędu, głównym dostawcą były Chiny. W kraju tym są dziesiątki tysięcy małych i dużych zakładów chemicznych, które mogą tanio i efektywnie produkować fentanyl. Był on wysyłany do Ameryki zwykłą pocztą – do lokalnych dystrybutorów lub nawet bezpośrednio do konsumentów. Przesyłki zawierały najczęściej czysty fentanyl w proszku, który już w USA mieszano z wypełniaczami lub dodawano do heroiny, żeby dawała większego „kopa” (heroina również jest białym proszkiem).

Amerykańska poczta państwowa USPS, z roku na rok powiększająca straty i zwalnijająca pracowników, nie była w stanie skontrolować wszystkich paczek. Oczywiście jakaś część przesyłek z fentanylem była przechwytywana, np. dzięki psom wyszkolonym w węszeniu narkotyków, ale nie miało to żadnego wpływu na opłacalność biznesu. Chińscy producenci dawali swoim amerykańskim odbiorcom gwarancję: jeśli towar nie dotarł, wysyłali go ponownie za darmo.

Sytuacja zmieniła się diametralnie w 2019 r., kiedy chiński rząd uregulował prawnie biznes fentanylowy. Od tamtej pory na produkcję i eksport potrzebne są licencje (całkowity zakaz nie miałby sensu, bo fentanyl jest potrzebny anesteziologom na całym świecie). Prywatne przesyłki do USA skończyły się niemal z dnia na dzień. Zaczął się za to, i trwa do dzisiaj, eksport składników fentanylu do Meksyku. Jest legalny, bo w Chinach nie potrzeba licencji na wytwarzanie i eksport związków chemicznych do produkcji fentanylu. Meksykańskie kartele mieszają więc i gotują chińskie „prefabrykaty”, a następnie przemycają fentanyl



Dwie łyżeczki fentanylu mają taką samą moc, co kilogram heroiny. Dawka śmiertelna, która paraliżuje układ oddechowy i prowadzi do uduszenia, to ledwie 2–3 mg. Tyle waży kilkanaście ziarenek soli kuchennej. Przedawkować bardzo łatwo.

do USA. Z ich perspektywy pojawienie się syntetycznych narkotyków – fentanylu i metamfetaminy – znacznie ułatwiło pracę, którą wykonywały od dziesięcioleci. „W samym tylko styczniu przechwyciliśmy na granicy ilość fentanylu, która wystarczyłaby do zabicia ponad 60 mln ludzi” – ogłosił miesiąc temu Raul Ortiz, szef amerykańskiej straży granicznej (ang. US Border Patrol). A ile nie przechwycono?

Tak się niefortunnie składa, że boom na chińsko-meksykański fentanyl zbiegł się w czasie z największym w historii USA napływem latynoskich imigrantów. Między wrześniem 2021 a wrześniem 2022 r. służby graniczne zatrzymały 2,8 mln ludzi, którzy nielegalnie przekroczyli granicę z Meksykiem. To o milion więcej niż ostatni rekord, ustanowiony w poprzednich 12 miesiącach. „Kartele z rozmysłem, metodycznie używają mas imigrantów jako żywych tarcz, żeby przytłoczyć i sparaliżować nasze służby graniczne – wyjaśnia Rodney Scott, poprzedni szef straży granicznej. – Kierują strumień ludzi na jeden odcinek granicy, a jednocześnie na drugim odcinku, którego w danym momencie nie jesteśmy już w stanie zabezpieczyć, przetrzucają fentanyl i imigrantów typu VIP, czyli takich, którzy płacą znacznie więcej niż reszta, żeby zapewnić sobie komfort przekraczania granicy”.

Ostatnia tabletki Prince’a

Konsumenci fentanylu często nie mają pojęcia, co zażywają, i na jakie narażają się ryzyko. Wynika to z faktu, że meksykańskie manufaktury produkują podróbki znanych w USA leków na receptę, takich jak Valium, Xanax, Oxycodone czy Adderall. Fałszywa pigułka wygląda identycznie jak prawdziwy lek, ale nie zawiera w sobie niczego poza fentanylem

i jakimś neutralnym wypełniaczem. Czy proporcje są odpowiednie, żeby wywołać euforię i na kilka godzin odpędzić lęki i złe myśli? Najczęściej tak. Ale zdarza się, że kucharzowi z Sinaloa sygnalizuje się o kilkanaście ziarenek czystego fentanylu za dużo. Wtedy pigułka przynosi zażywającemu już nie kilkugodzinny, tylko wieczny odpoczynek.

21 kwietnia 2016 r. taką właśnie fałszywą pigułkę, do której w procesie produkcyjnym sygnalizuje się trochę za dużo ziarenek, zażył Prince, słynny gwiazdor muzyki rozrywkowej. Do dzisiaj pozostaje on najbardziej znaną ofiarą śmiertelną fentanylu. Podobnego pecha jak Prince miały tysiące bezrobotnych i przeczołganych przez życie mieszkańców podupadających miasteczek na prowincji.

W statystykach zgonów od przedawkowania niezmiennie przewodzi Północna Wirginia, jeden z najbiedniejszych stanów Ameryki, który jeszcze kilka dekad temu świetnie prosperował dzięki kopalniom węgla. W XXI w., kiedy nadeszła globalizacja i światowe centrum produkcji przeniosło się ze Stanów Zjednoczonych do Azji, a wszyscy przestawiają się na panele słoneczne i wiatraki, Północna Wirginia pogrąża się w beznadziei i głośuje na Donalda Trumpa.

We wszystkich jednak 50 stanach umierają też narkomani z długim stażem. Paradoksalnie, doniesienia o zgonach po fentanylu ich nie odstrasza, tylko przyciągają. Na forach internetowych czy w rozmowach z dziennikarzami można znaleźć wypowiedzi w stylu: „Skoro można się przekreślić po kilkunastu ziarenek, to musi być naprawdę dobry towar! Muszę spróbować. Mnie przecież nic nie grozi, nie jestem nowicjuszem, biorę różne specyfiki od lat, mam doświadczenie i wiem, jak to robić”.

Jednakże opioidowa epidemia uderza nie tylko w biednych, zapomnianych i ludzi z marginesu. Umierają również młodzi z dużych miast, np. fani Adderallu, czyli leku na bazie amfetaminy, stosowanego w leczeniu ADHD. Używają go jako środka dopingującego, który zwiększa ich produktywność i kreatywność. Oni również, kiedy połykają podrobiony Adderall, stają się ofiarami pomyłek meksykańskich kucharzy. Lub własnych – kiedy mieszają na imprezie kilka specyfików naraz, nie wiedząc, że w każdym jest fentanyl.

Marines do Meksyku

W publicznej debacie o fentanyle pojawiają się radykalne opinie i postulaty. Na przykład, że rząd Chin potajemnie kontroluje produkcję i eksport „półfabrykatów” fentanyle do Meksyku, żeby niszczyć Amerykę. W tej optyce wojna z narkotykami staje się wojną hybrydową między dwoma największymi mocarstwami. Można być pewnym, że przed wyborami prezydenckimi w 2024 r. takie oskarżenia będą powtarzać się jak refren na wiecach Donalda Trumpa.

Dosyć często powtarza się też opinia, że meksykańskie kartele celowo, z premedytacją mordują tysiące Amerykanów – np. w ramach zemsty za ekstradycję El Chapo, szefa Sinaloa, z Meksyku do USA (w 2019 r. został skazany na dożywocie i siedzi w więzieniu w Kolorado). Dwa miesiące temu 21 stanowych prokuratorów generalnych z całej Ameryki w liście otwartym do prezydenta Bidena domagało się, żeby wpisać Sinaloa i Jalisco Nueva Generación na listę organizacji terrorystycznych. Skoro kartele

odpowiadają za śmierć setek tysięcy Amerykanów, są znacznie niebezpieczniejsze niż Al-Kaida, która zorganizowała zamachy 11 września 2001 r.

Komentatorzy w prawicowych mediach idą krok dalej i żądają, żeby wysłać do Meksyku *marines*, czyli żołnierzy piechoty morskiej, którzy zlikwidują fentanylowe manufaktury. Z pewnością nie zrobi tego meksykański rząd, który jest za słaby – albo po prostu nie chce. Dwa tygodnie temu prezydent Meksyku Andrés Manuel López Obrador stwierdził, że opioidowa epidemia w USA to skutek upadku instytucji rodziny. Jego zdaniem Amerykanie odurzają się i umierają, bo nie mają oparcia w najbliższych.

W tym powszechnym pomstowaniu na Chiny i Meksyk rzeczywistość brakuje uderzenia się we własną, amerykańską, pierś. Mało kto zwraca uwagę, że kartele zbroją się na potęgę w Stanach Zjednoczonych, gdzie można kupować broń bez żadnych ograniczeń i relatywnie tanio (ceny karabinów AR-15 zaczynają się od kilkuset dolarów). Wzdłuż granicy po stronie amerykańskiej jest prawie 7 tys. sklepów z bronią, czyli statystycznie jeden sklep co pół kilometra. Podstawieni obywatele USA kupują w nich karabiny, które następnie są przemycane i wykorzystywane do ochrony manufaktur fentanyle.

Amerykański rząd przyznał, że 70 proc. broni, którą meksykańskie wojsko i policja skonfiskowały kartelom w latach 2014–18, pochodziło z USA. W ostatnich 15 latach w Meksyku zostało zastrzelonych przynajmniej 300 tys. osób – jeśli zsumować morderstwa związane z narkotykami, starcia meksykańskiej armii i policji z kartelami oraz wojny karteli między sobą.

Przerażające Halloween

O tym, jak duży cień rzucił fentanyl na Amerykę i amerykańską psychę, świadczy ubiegłoroczne Halloween. Już w sierpniu 2022 r. pojawiły się w mediach doniesienia, że meksykańskie kartele wpuściły na rynek, jaskrawe pigułki z fentanylem – przypominające Skittles lub M&M's – żeby wciągnąć w nałóg albo nawet masowo mordować amerykańskie dzieci i nastolatki.

Sprawa wróciła tuż przed Halloween. Jak powszechnie wiadomo, najbardziej popularną tradycją halloweenową jest tzw. *trick-or-treating*. Dzieci z przedmieść biegają od sąsiada do sąsiada, stukają do drzwi i dostają słodycze. Pod koniec października w mediach zaczęły się pojawiać ostrzeżenia przed cukiereczkami nasączonymi fentanylem, okraszone zdjęciami kolorowych dropów. Rodzice byli przerażeni, wielu zapowiadało w mediach społecznościowych, że w tym roku ich dzieci mają zakaz zbierania słodyczy.

Co ciekawe, jeden z producentów fentanyle w Meksyku potwierdził, że produkuje kolorowe pigułki – ale nie po to, żeby kusić dzieci, tylko żeby chronić wszystkich amerykańskich klientów. W rozmowie z portalem Business Insider kucharz z manufaktury w Sinaloa wyjaśniał: „Postanowiliśmy kolorować pigułki fentanylem, żeby ludzie nie mylili ich z różnymi lekarstwami na receptę. Z tego samego powodu zaczęliśmy kolorować fentanyl w proszku, żeby dilerzy nie mogli go mieszać z heroiną, bo takie mieszanie jeszcze bardziej grozi przedawkowaniem”.

MARIUSZ ZAWADZKI

REKLAMA



 Polska Misja
Medyczna



By rodzić bezpiecznie.
Na całym świecie.

www.pmm.org.pl



TO PIERWSZY
Z NASZEGO NOWEGO
CYKLU ARTYKUŁÓW,
W KTÓRYM BĘDZIEMY SIĘ
PRZYGLĄDAĆ SKUTKOM
ROZWOJU SZTUCZNEJ
INTELIGENCJI.



Inteligencja pracująca

Sztuczna inteligencja skokowo podwyższy możliwości jednych, ale zdegraduje klasowo innych? Podniesie globalny PKB, ale kosztem milionów miejsc pracy? Nie musi tak być.

EDWIN BENDYK

G

oeffrey Hinton, kanadyjsko-brytyjski uczonec, to jeden z najważniejszych pionierów sztucznej inteligencji. W 2018 r. został uhonorowany Nagrodą im. Alana Turinga zwaną popularnie informatycznym Noblem. Znanie przyniosły mu badania nad systemami głębokiego uczenia się i komputerowymi sieciami neuronowymi, które stały się podstawą dla takich rozwiązań jak ChatGPT. Pracami nad tym systemem kierował zaś Ilya Sutskever, współzałożyciel i główny naukowiec firmy OpenAI, a przed laty uczeń i współpracownik Hintona. Obaj mają na koncie wiele osiągnięć, które otworzyły drogę do dzisiejszych sukcesów struktur określanych mianem sztucznej inteligencji.

Urodzony w 1947 r. Geoffrey Hinton nie ukrywa, że obecne tempo rozwoju prac nad SI go zaskoczyło. W wywiadzie udzielonym pod koniec marca kanadyjskiej telewizji CBS twierdzi, że doświadczamy rewolucji technologicznej ważniejszej niż upowszechnienie elektryczności, o znaczeniu być może tak wielkim, jak wynalazek koła. Maszyny zdolne do samoudoskonalania się i potencjalnie intelektualnym większym od ludzkiego przestały być jedynie wizją z science fiction. To zaś oznacza, że realne stać się może to, co ciągle jeszcze wydaje się nie do pomyślenia – eksterminacja gatunku ludzkiego.

Zanim jednak dojdzie do końca świata, zmierzyć się trzeba z końcem miesiąca i opłaceniem rachunków – mawiają aktywiści francuskiego ruchu protestu żółtych kamizelek. Jaki więc będzie wpływ rozwiązań podobnych do ChatGPT czy systemów do automatycznego tworzenia obrazów, jak MidJourney lub DALL-E 2, na gospodarkę i rynek pracy? Czy rzeczywiście rację ma Hinton mówiący o wielkim przełomie? A może jego prognozy są raczej projekcją osobistej fascynacji tematem i inżynierskiego przekonania, że to, co technicznie możliwe, nieuchronnie staje się rzeczywistością?

Czcza obietnica czy wyjście z impasu

Z tymi pytaniami zmierzyli się Joseph Briggs i Devesh Kodnani, ekonomiści banku Goldman Sachs. Pod koniec marca opublikowali analizę o możliwym wpływie sztucznej inteligencji na wzrost gospodarczy. Nie udzielają jednoznacznych odpowiedzi, zastrzegając, że ciągle zbyt mało wiadomo o tym, w jakim stopniu obietnice firm technologicznych zajmujących się sztuczną inteligencją staną się rzeczywistością. A będzie nią realny wpływ nowych rozwiązań technologicznych na produktywność pracy.

W tej chwili gospodarki Stanów Zjednoczonych, Unii Europejskiej, a nawet tak dynamicznych do niedawna Chin, są zagrożone w stagnacji. Mimo rosnących nakładów na badania i rozwój, systematycznej automatyzacji i wdrażania informatycznych systemów wspomagania zarządzania i organizacji

pracy, dynamika wzrostu produktywności spowolniła do poziomu najniższego od drugiej wojny światowej. Nowa fala automatyzacji związana z rozwiązaniami SI daje szansę na wyjście z impasu i zwiększenie dynamiki wzrostu produktywności pracy o 1,5 proc. rocznie w ciągu najbliższej dekady w samych tylko Stanach Zjednoczonych.

Podobne impulsy w innych gospodarkach przełożyć się mogą na dodatkowy wzrost światowego PKB aż o 7 proc. rocznie. To dużo, biorąc pod uwagę obecną mizериę – zgodnie z szacunkami Banku Światowego tempo wzrostu globalnego PKB ma spaść z 3,2 proc. w 2022 r. do 1,7 proc. w tym roku. Technologiczny impuls byłby mile widziany, jeśli jednak do niego dojdzie, pojawią się nie tylko korzyści. Briggs i Kodnani szacują, że nowa fala automatyzacji grozi likwidacją 300 mln miejsc pracy. W samych USA prawie dwie trzecie stanowisk zagrożonych jest częściową automatyzacją, a co czwarte – pełnym zastąpieniem przez sztuczną inteligencję.

Jednymi z pierwszych do eliminacji są pracownicy różnego typu telefonicznych centrów obsługi klienta. Już od kilku lat są zastępowani przez automatyczne chatboty, teraz wraz z radykalną poprawą jakości rozwiązań technicznych ten proces przyspieszy. Los telemarketerów jest godny współczucia, wpisuje się jednak w tradycyjne myślenie o przemianach na rynku pracy: najbardziej zagrożone są te stanowiska, które nie wymagają kreatywności i polegają na dużej powtarzalności zadań; kto jednak w młodości zainwestował w siebie więcej, ukończył lepsze studia i zatrudnił się w roli nauczyciela, akademika, doradcy psychologicznego, pracownika kreatywnego agencji reklamowej, mógł spać spokojnie, bez obawy o możliwość spłaty kredytu hipotecznego.

Szansy czy nowe formy wyzysku

Ta argumentacja straciła ważność równie szybko, jak szybko ChatGPT zyskał popularność – zdobywając w ciągu dwóch miesięcy ponad 100 mln użytkowników i odnotowując miesięcznie ponad miliard odwiedzin. Ekonomiści Ed Felten (University of Princeton), Manav Raj (University of Pennsylvania) i Robert Seamans (New York University) utworzyli listę najbardziej zagrożonych zawodów. W pierwszej dwudziestce zaraz po telemarketerach wskazują nauczycieli angielskiego i literatury oraz historii, prawa, filozofii, socjologii, politologii. W przypadku dwóch ostatnich mówią nie tylko o roli wykładowców akademickich, lecz o klasach zawodowych w całości. Wskazują też na ewentualną nieprzydatność w przyszłości doradców psychologicznych. Nie mają litości dla aktuariuszów, analityków budżetowych, pracowników działów zamówień, matematyków, epidemiologów, mediatorów, specjalistów od spraw pracowniczych. Jeśli rozciągnąć listę do setki, widmo eliminacji nie ominie też tłumaczy, psychiatrów, ekonomistów, dziennikarzy.

Podobne badania przeprowadzili ekonomiści współpracujący z firmą OpenAI. Doszli do analogicznych wniosków, ale wskazali generalną tendencję: im lepiej płatny zawód, tym większe zagrożenie przynajmniej częściowym zastąpieniem przez sztuczną inteligencję. Na pociechę wskazują zawody w tej chwili ►

► najbezpieczniejsze, to m.in. operator sprzętu rolnego, pomywacz, wulkanizator, murarz, rzeźnik, hydraulik. Mniej więcej te wszystkie profesje, które ujawniły się w trakcie pandemii jako niezbędne, czyli takie których nie można nie tylko zautomatyzować, lecz także świadczyć zdalnie.

W wersji najbardziej radykalnej SI po przełomie zasygnalizowanym pojawieniem się ChatGPT i podobnych rozwiązań może stać się ostatecznym egzekutorem klasy średniej, pozostawiając na rynku pracy tych, których zastąpić się nie da lub się zwyczajnie nie opłaci oraz zarządców i właścicieli kapitału czerpiących rentę ze wzrostu produktywności, a tym samym rosnącej stopy zysku. Eliminacja zawodów klasy średniej, nawet w najbardziej radykalnej wersji, nie będzie jednak natychmiastowa i nie musi być całościowa. Na pewno potrwa wiele lat i najprawdopodobniej przypominać będzie system, jaki wypracował Amazon.

Firma ta kojarzy się jako globalny hegemon handlu internetowego, a w istocie jest największym koncernem technologicznym, który w 2022 r. wydał na badania i rozwój 73 mld dol. Znaczna część tych pieniędzy poszła na rozwój sztucznej inteligencji i automatyzacji, której efektem nie jest jednak proste usuwanie pracowników z systemu dystrybucji towarów i obsługi klientów, tylko totalna wręcz kontrola efektywności każdego z nich, by uzyskać jak największy przychód z każdego wydanego dolara, ponosząc przy tym jak najniższe koszty pracy. To oczywiście tylko część przepisu na ekonomiczny sukces Amazona – systemy SI i przetwarzania olbrzymich ilości danych służą lepszemu zrozumieniu zachowań klientów, optymalizacji logistyki i rozwojowi usług dodatkowych, od marketingu przez usługi cyfrowe w chmurze, produkcję i dystrybucję filmów itp.

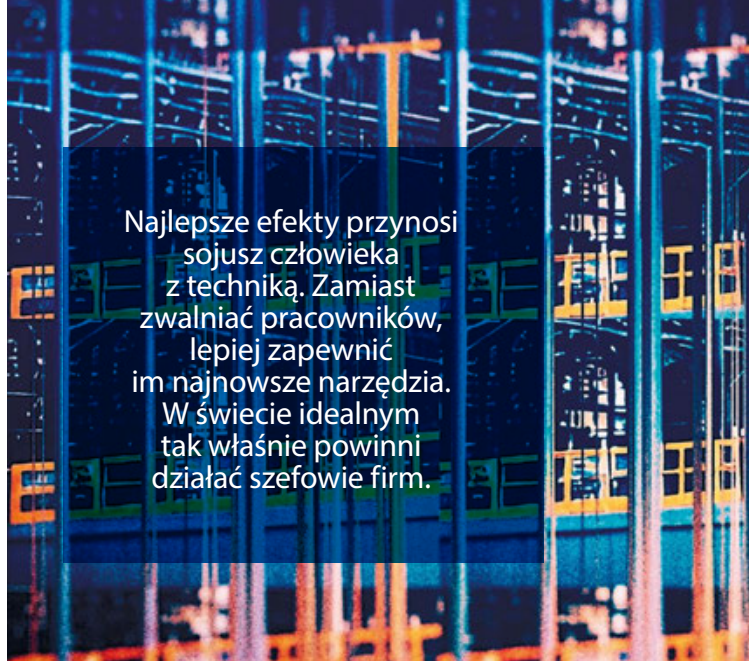
Systemy sztucznej inteligencji otwierają możliwość tworzenia podobnych struktur wyzysku pracowników świadczących pracę umysłową i kreatywną – ostrzega Daron Acemoglu, ekonomista z Massachusetts Institute of Technology. Chodzi zarówno o większą kontrolę efektywności pracy, jak i presję płacową. Czarne scenariusze nie muszą się jednak spełnić. Przyszłość gospodarki i związane z nią perspektywy zatrudnienia zależą od wielu czynników. Najważniejszy oczywiście to sama technologia. O ile – powtórzmy – Geoffrey Hinton i podobni mu entuzjaści postępu technicznego mają rację, że doświadczamy przełomu.

Kryzys kreatywności czy nowe możliwości

Kto próbował korzystać z ChatGPT, ma zapewne mieszane uczucia. System potrafi kłamać jak najęty, nawet jeśli zwraca mu się uwagę na fałszywe odpowiedzi. Czy tak miałby się zachowywać wirtualny nauczyciel historii, psychiatra lub doradca podatkowy? Twórcy ChatGPT nie przeczą, że bywa ekscentryczny, jakość odpowiedzi zależy jednak w dużej mierze od umiejętności posługiwania się ich technologią. Poza tym systemy oparte na wielkich modelach językowych bardzo szybko się rozwijają i uczą.

ChatGPT oparty jest na modelu GPT-3,5. Dostępny już model ChatGPT Plus oparty jest na znacznie bardziej zaawansowanym modelu GPT-4, co pokazują wyniki różnorodnych testów. I tak na egzaminie SAT (amerykański odpowiednik matury) na 800 możliwych punktów uzyskał 710 w kategorii czytanie i pisanie i 700 z matematyki. Łączny wynik – 1410 na 1600, podczas gdy średnia dla ludzi to 1060. GPT-4 radzi sobie też z innymi testami, m.in. miałby szansę zostać w USA licencjonowanym prawnikiem, zakwalifikować się do finału olimpiady biologicznej i przy odrobinie szczęścia zdać egzamin, który otwiera amerykańskim lekarzom drogę do rezydencji.

Czy nadszedł więc czas, by sprzątać biurko dla nowego superpracownika? Nie tak szybko. Kevin Jablonka i jego współpracownicy z École polytechnique fédérale de Lausanne wykorzystują



Najlepsze efekty przynosi sojusz człowieka z techniką. Zamiast zwalniać pracowników, lepiej zapewnić im najnowsze narzędzia. W świecie idealnym tak właśnie powinni działać szefowie firm.

sztuczną inteligencję do rozwiązywania problemów. W dotychczasowej praktyce wykorzystywali systemy przeznaczone dla chemików. Ich rozwój wymagał olbrzymiego wysiłku, efekty często pozostawiały wiele do życzenia. Zespół Jablonki postanowił sprawdzić, jak sobie poradzą nowe rozwiązania oparte na modelach językowych – takie jak ChatGPT – które nie „uczyły się” chemii, ale bazowały na olbrzymich zasobach tekstowych. Okazało się, że GPT-3, a więc mniej zaawansowany od GPT-4, radził sobie w wielu przypadkach o wiele lepiej niż specjalistyczne narzędzia.

Jablonka nie obawia się, że kolejne, jeszcze doskonalsze, wersje sztucznej inteligencji pozbawią go pracy. Jest jednak przekonany, że po udoskonaleniu pod kątem problemów chemicznych staną się narzędziem radykalnie zwiększającym efektywność pracy naukowej. Jej stawką jest opracowywanie nowych substancji, które mogą doprowadzić do przełomów w farmakologii, inżynierii materiałowej, katalizie. Podobne nadzieje mają biochemicy wykorzystujący systemy SI do przewidywania struktur i właściwości białek na podstawie tworzących je sekwencji aminokwasów. Szybko przybywa publikacji naukowych pokazujących wykorzystanie nowych narzędzi przez programistów, ekonomistów, projektantów wzorów przemysłowych.

Doskonałym przykładem jest Chad Nelson, artysta wizualny z San Francisco i twórca filmu animowanego „Crittterz”. To lekko absurdalna historia o dziwnych leśnych stworach tworzących całkowicie oryginalny ekosystem. Coś w rodzaju dokumentu przyrodniczego w stylu Davida Attenborough z komicznymi dialogami. Nelson wygenerował wszystkie postaci za pomocą systemu DALL-E 2 udostępnionego przez firmę OpenAI. Umożliwia ono tworzenie ilustracji na podstawie słownych instrukcji, np. „uroczy pasiasty potwór z małymi rogami wyglądający zza omszałego wzgórza w mglistym lesie, podświetlony” (to jedno z poleceń – tzw. promptów – Nelsona).

Nelson twierdzi, że uzyskanie podobnego efektu tradycyjnymi metodami tworzenia filmu animowanego zajęłoby pół roku. Kooperatywa z DALL-E 2 skróciła ten czas do około tygodnia. Artysta oddał SI tylko część zadań – scenariusz, scenopis i dialogi napisał samodzielnie, głosy podłożyli prawdziwi aktorzy, do ożywienia postaci wykorzystano metody cyfrowej animacji. Technika nie zastąpiła twórcy, zwiększyła jednak skokowo jego możliwości. Co ważniejsze, podobne efekty wzmocnienia ludzkiego potencjału intelektualnego za pomocą technicznych protez nie są zarezerwowane jedynie dla elitarnych zastosowań w nauce lub sztuce.



Shakked Noy i Whitney Zhang, studenci ekonomii w Massachusetts Institute of Technology, przeprowadzili badania sprawdzające wpływ ChatGPT na wykonywanie codziennych zadań pracowników działów marketingu i zatrudnienia. Ich praca w dużej mierze polega na opracowywaniu materiałów tekstowych. Okazało się, że najbardziej na sztucznej inteligencji skorzystali najmniej utalentowani pracownicy. Uzbrojeni w ChatGPT nie tylko działali szybciej, ale także przygotowywali dokumenty lepszej jakości. Z kolei ich koledzy słynący z wysokiej jakości pracy dzięki nowemu narzędziu znacznie zwiększyli jej szybkość. Średni wzrost produktywności dla całej grupy korzystającej ze sztucznej inteligencji osiągnął 37 proc., na dodatek zmniejszyła się różnica jakości pracy i produktywności między pracownikami dotychczas najmniej wydajnymi a najsprawniejszymi.

Władza maszyn czy władza ryneków

Widać wyraźnie, że sojusz człowieka z techniką przynosi najlepsze efekty – zamiast zwalniać pracowników, lepiej zapewnić im najnowsze narzędzia. Wspomniany już Daron Acemoğlu potwierdza, że w świecie idealnym tak właśnie powinni działać szefowie firm. W realnym, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, tak się jednak nie zachowują. Rynek – czyli inwestorzy z Wall Street – oczekuje, że w trosce o zyski akcjonariuszy trzeba niezmiernie racjonalizować koszty, a życzliwi doradcy i eksperci podpowiadają, że najskuteczniejsza do tego droga wiedzie przez redukcję zatrudnienia i zmniejszanie budżetu płac. Jeśli tylko rozwiązania oparte na SI pomogą zmniejszyć zatrudnienie lub zwiększyć wyzysk pracowników, to tak właśnie zostaną wykorzystane.

Acemoğlu nie ma złudzeń, bo od lat bada efekty komputeryzacji gospodarki i widzi, że nowe technologie zamiast służyć wyrównywaniu szans, przyczyniły się do wzrostu nierówności płacowych. To nie wina samych technologii. Problem w tym, że wykorzystanie możliwości postępu technicznego podporządkowane jest logice sektora finansowego, który zdominował współczesny kapitalizm. Ta logika polega na spekulacyjnym windowaniu zysków akcjonariuszy i – wbrew zapewnieniom apologetów wolnego rynku – nie musi prowadzić do poprawy jakości usług i gospodarczego rozwoju. Przeciwnie: tracą pracownicy i konsumenci, a w dłuższej perspektywie cała gospodarka.

Acemoğlu obawia się, że potencjał obecnego przełomu technologicznego zostanie zmarnowany, bo mechanizmy współczesnego kapitalizmu blokują możliwość dokonania skoku podobnego do tego, jaki towarzyszył elektryfikacji przemysłu. Wtedy

to Henry Ford, wprowadzając produkcję taśmową, miał świadomość, że masowa produkcja potrzebuje masowego odbiorcy – konsumenta. Dlatego zdecydował w 1914 r. o podniesieniu minimalnej dniówki z 2,40 do 5 dol. Zyskał stabilność zatrudnienia i jednocześnie radykalnie zwiększył siłę nabywczą pracowników, umożliwiając im aktywny udział w rynku. Acemoğlu puentuje swoją analizę gorzkimi słowami: „Ford rozumiał, że nie ma sensu masowa produkcja samochodów, jeśli mas nie stać na ich zakup. Natomiast dzisiejsi korporacyjni tytani wykorzystują nowe technologie w sposób, który zrujnuje naszą wspólną przyszłość”. Być może jakimś rozwiązaniem byłoby zastąpienie sztuczną inteligencją właśnie owych korporacyjnych tytanów?

Ucieczka do przodu

Uwagi Acemoğlu dotyczą nie tylko rynku pracy, ale także samej SI. Jej dalszy rozwój, podobnie jak ewentualne wdrożenia, nie będą zależały od inżynierów i naukowców rozwijających nowe systemy techniczne, tylko od tych samych ryneków finansowych. Tak jak nie interesują się one losem pracowników i ich siłą nabywczą, tak samo nie ma dla nich znaczenia postęp techniczny – o ile nie przekłada się na odpowiednio wysokie zwroty z inwestycji. A te – jak pokazuje analiza ekonomistów z Goldman Sachs – mogą być całkiem obiecujące.

Z tym że najważniejszy obecnie dla rozwoju nowych technologii cyfrowy sektor amerykańskiej gospodarki dostał zadyszki. Wspomniany Amazon, mimo rekordowych nakładów na badania i rozwój, nie zdołał zwiększyć obrotów w 2022 r. Został za to ukarany przez inwestorów, stając się pierwszą korporacją, która straciła bilion dolarów w giełdowej waloryzacji (dziś ciągle jest warta astronomiczną kwotę około biliona dolarów, w najlepszym czasie jej wartość sięgała 1,9 biliona). Niespełnione obietnice cudów, jakie miała przynieść sztuczna inteligencja, spowodowały, że w 2022 r. po raz pierwszy w ostatniej dekadzie globalne prywatne inwestycje na rozwój sztucznej inteligencji spadły aż o 26,7 proc., do 91,9 bln dol., informuje Artificial Intelligence Index Report 2023 przygotowany w Stanford University. Zmalała także liczba zajmujących się nią nowych firm.

W tym kontekście pospieszna premiera pod koniec ub.r. zarówno ChatGPT, jak i DALL-E 2 przez firmę OpenAI wspierana przez Microsoft wygląda nie tyle na przełom, ile próbę ucieczki do przodu, by odzyskać zainteresowanie inwestorów i ryneków finansowych. Ich zaufanie i cierpliwość w czasie wysokiej inflacji oraz wysokich stóp procentowych są mocno ograniczone, a oferta rozwiązań opartych na sztucznej inteligencji najnowszej generacji mimo imponującego potencjału jest ciągle bardzo niedojrzała i otacza ją wiele wątpliwości natury prawnej, regulacyjnej, etycznej, politycznej.

Trzeba rozstrzygnąć takie kwestie, jak odpowiedzialność za decyzje podejmowane przez systemy SI w roli „kierowców” autonomicznych pojazdów czy systemów diagnostycznych. Trwa gorąca debata o możliwości wykorzystania inteligentnych autonomicznych automatów na polu walki. Twórców zajmują kwestie ochrony praw autorskich w dobie SI. Coraz większym problemem jest „deep fake” – możliwość tworzenia fotograficznych i filmowych montaży-fałszywek z postaciami polityków lub innych znanych osób. To wszystko wywołuje oczekiwania, by rozwój SI poddać większej kontroli, czy wręcz go spowolnić. Pod koniec marca Future of Life Institute opublikował list otwarty wzywający do ogłoszenia moratorium na rozwój systemów potężniejszych niż GTP-4. Podpisało się pod nim prawie 30 tys. osób, wśród nich prominentni przedstawiciele świata techniki. Głośno zapowiadana rewolucja sztucznej inteligencji ciągle ma bardzo wirtualny charakter.

EDWIN BENDYK



Dżuma stworzenia

Europejczycy nie byli odważniejsi, twardsi czy bardziej żądni przygód niż inni ludzie. Do podboju świata pchnęła ich zaraza – mówi James Belich z University of Oxford, autor książki „The World the Plague Made”.



Przybycie Cortesa na wybrzeża Meksyku w 1519 r. Obraz anonimowego malarza hiszpańskiego.

TOMASZ TARGAŃSKI: – Dlaczego to właśnie Europejczycy zdominowali świat?

JAMES BELICH: – Jestem Nowozelandczykiem i zawsze wydawało mi się zastanawiające, że biali osadnicy przybyli pół świata i stoczyli kilka krwawych wojen z Maorysami, aby móc tutaj żyć. Dlaczego byli to właśnie Europejczycy, a nie Chińczycy lub Hindusi? Nie dawałem wiary obiegowym wyjaśnieniom tego fenomenu. Ani dawniej popularnemu, słusznie odesłanemu do lamusa, pogładowi o moralnej bądź cywilizacyjnej „wyższości” Europejczyków, ani

dzisiejszemu – raczej technokratycznemu i mówiącemu o „instytucjach”. Postanowiłem poszukać czegoś bardziej namacalnego, historycznego i sprawdzalnego. Zacząłem przyglądać się Czarnej Śmierci i wszystkim dalekosiędnym zmianom, jakie przyniosła. I uznałem ją za najbardziej prawdopodobną „wielką zmienną” – wydarzenie, które nie tyle tłumaczy przyczyny hegemonii Europy, ile jest największym brakującym elementem układanki.

To raczej kontrowersyjna teza.

Czarna Śmierć dotknęła całą zachodnią Eurazję – od połowy XIV w.

przetoczyło się przez nią kilkanaście fal dżumy. Najnowsze badania norweskiego uczonego Olego Benedictowa pokazują, że śmiertelność była wyższa niż dotychczas sądzono: zmarła mniej więcej połowa populacji. W tych bardziej szczęśliwych regionach „tylko” jedna trzecia.

Śmierć milionów była tragedią o niewyobrażalnych wprost rozmiarach, ale dla tych, którzy przeżyli, oznaczała podwojenie wszystkich zasobów. W niedokapitalizowanych dotąd gospodarkach pojawiły się nadwyżki gotówki i zwiększone zapotrzebowanie na artykuły luksusowe – jak cukier, przyprawy, futra



oraz niewolników. Liczba ludzi uczestniczących w rynku zwiększyła się w liczbach bezwzględnych, pomimo krwawego żniwa zebranego przez dżumę. Ów nagły nienasycony popyt wywołał pierwszą falę europejskiej ekspansji.

Wielkie Księstwo Moskiewskie rozpoczyna podbój dalekiej północy, by zdobyć futra. Portugalia opanowuje Ceutę na wybrzeżu Afryki Północnej, a zaraz potem wspólnie z Hiszpanią rzuca się na Wyspy Kanaryjskie, by zdobyć niewolników i uprawiać tam trzcinę cukrową. Państwa położone na skrajnych końcach zachodniej Eurazji mniej więcej w tym samym czasie zachowują się podobnie. Moim zdaniem wszystko to wiąże się z epidemią Czarnej Śmierci.

W jaki sposób doszedł pan do przedstawionych w książce wniosków?

Badania rozpocząłem prawie dwaście lat temu – bez przyjętej tezy. Szukałem nieoczywistych sprzężeń

i korelacji. Stawiałem hipotezy, a następnie je testowałem.

Jedną z zalet historii globalnej jest to, że można przeanalizować dany fenomen zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Mamy zatem śmiertelnie niebezpieczną epidemię dżumy. Tymczasem w samym środku tej hekatombi część Europy podejmuje ryzyko ekspansji, co samo w sobie rodzi pytania. Dlaczego akurat wtedy? Jeszcze bardziej intrygujący jest fakt, że jest to ekspansja udana. Zauważmy, że najpoważniejszą wcześniejszą próbę opanowania terenów poza Europą podjęto podczas wypraw krzyżowych na Bliskim Wschodzie. I mimo wielkiego nakładu sił oraz środków zakończyła się ona klęską.

Co zdecydowało o powodzeniu XV-wiecznych podbojów? Technologia zrodzona za sprawą epidemii. Dżuma zadziałała bowiem jak szybkożar – niedobór ludzi zmuszał do szukania sposobów na oszczędzanie ludzkiej pracy. Dlatego wymagające wiosłarzy galery zastąpiono trzymasztowymi karakami, a później galeonami. Dlatego upowszechniała się broń palna – wyszkolenie muszkietera zajmowało o wiele mniej czasu niż w przypadku łucznika, nie mówiąc już o rycerzu.

Postepidemiczna rzeczywistość nie tylko dostarczyła Europejczykom motywu do zamorskiej ekspansji. Dała im również środki. To właśnie nowoczesne okręty i broń palna zdecydowały o powodzeniu w pierwszej fazie podboju.

Ale czy okręty oceaniczne i broń palną można uznać za skutek Czarnej Śmierci? Obie technologie zrodziły się przecież poza Europą i były wykorzystywane przez inne państwa, np. Chiny, już wcześniej?

To prawda, ale tu decydującą zmianą była presja środowiskowa wytworzona przez dżumę. Udoskonaliała ona wspomniane technologie, wyostrzyła je. Nie zapewniły one Europejczykom przewagi przytłaczającej, tylko na tyle dużą, by stworzyć umocniony przyczółek na obcym wybrzeżu i zacząć pozyskiwać surowce. Chińczycy jako pierwsi zorientowali się, na czym polega wyższość europejskich okrętów, kiedy starli się z Portugalczykami ok. 1511 r. W ich relacjach galeony są wychwalane nie tylko za siłę ognia, ale również za uniwersalność: radziły sobie one na każdych wodach i w każdych warunkach.

Moją hipotezę można sprawdzić, patrząc na podbój państwa Azteków przez Cortesa. Hiszpanie podjęli dwie próby inwazji: w 1519 i w 1520 r. Pierwsza zakończyła się katastrofą – wtedy

Cortes nie miał ze sobą dość broni palnej. Za drugim razem zabrał więcej arkebuzów oraz – co ważniejsze – na terytorium Azteków panowała już wtedy zaraza ospy. Dopiero połączenie dwóch czynników – lepszego uzbrojenia i choroby zakaźnej – pozwoliło Europejczykom zdobyć punkt zaczepienia na wrogim terenie. Nie było co prawda przepisem na budowę rozległego lądowego imperium, ale wystarczyło do utrzymania wybrzeża i wysysania soków życiowych z ciała ofiary.

Wspomniał pan, że epidemia podwoiła ilość dóbr na głowę mieszkańca. Czy dla niższych warstw był to złoty okres?

Trudno nazwać złotym okresem czas, kiedy umiera połowa mieszkańców twojej wioski lub miasteczka. Ale mimo wszystko, ci którzy przeżyli, znaleźli się w świecie, gdzie było dwa razy więcej zwierząt, narzędzi, ziemi i domów czekających na zajęcie. To była prawdziwa rewolucja. Wieśniacy wreszcie mieli pieniądze, by kupować dobra na rynku. A one – poprzednio niedostępne – były nagle na wyciągnięcie ręki. Na przykład na chłopskich stołach zagościło mięso. Mamy świadectwa, że dla szlachty było to złamanie pewnego tabu. Konsumpcja mięsa stanowiła istotny wyróżnik statusu klas wyższych. W efekcie nawyki żywnościowe rycerstwa również się zmieniły: na ich stołach coraz częściej lądowały łabędzie, czaple lub pawie. Raczej nie ze względu na wyjątkowe walory smakowe, ale właśnie z uwagi na ekskluzywny charakter.

Okres dobrobytu nie trwał jednak długo: od połowy XIV w. do początku XV. I był oczywiście względny. Dla wielu społeczności poprawa ograniczała się po prostu do faktu, że nie głodowały. Ale i tak ten czas zapisał się dobrze w pamięci zbiorowej. Także z powodu faktu, że ponieważ praca ludzkich rąk była bardzo cenna, chłopci przenosili się w miejsca, gdzie były wyższe płace. A mobilność społeczna wiązała się z wolnością. Stąd ludowy dwuwiersz powtarzany podczas różnych chłopskich powstań: „Gdy Ewa przędła, Adam ziemię rył, Kto wtedy jaśniepanem był?”

Można by oczekiwać, że w obliczu takiej tragedii nastąpi załamanie systemu społecznego, atrofia więzi międzyludzkich, dekadencja.

Takie społeczności również się zdarzały. Były regiony, gdzie populacja nie wróciła do stanu sprzed uderzenia dżumy przez trzysta lat. I takie, które nie doświadczyły wzrostu. Historycy ►

► szacują, że do końca XIV w. PKB Anglii skurczyło się o 35 proc., w przypadku Italii było to 40 proc. Można zapytać: gdzie ten dobrobyt? Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że populacja tych krajów zmniejszyła się o połowę, zobaczymy, że realny dochód na głowę mieszkańca zwiększył się. Mimo wszystko ludzie nie zaprzestali obsiewać pól i zbierać pło-
nów. Po przejściu fali epidemii nastę-
pował wzrost demograficzny, ale po kil-
kunastu, kilkudziesięciu latach dżuma
znów atakowała i wszystko wracało
do punktu wyjścia.

Pana zdaniem za sprawą Czarnej Śmierci uformowały się „kultura załogi” oraz „ludzi jednorazowego użytku”. Co oznaczają te terminy?

Jedną z konsekwencji epidemii było ograniczenie obszarów, na których uprawiano zboża. Dotyczy to całej Europy – od Galicji w północnej Hiszpanii, przez Gaskonię, Walię, na Szwajcarii i regionach alpejskich kończąc. Tereny gdzie produktywność i tak była niska, stopnio-
wo zmieniały profil działalności i zaczęły specjalizować się np. w hodowli albo pro-
dukcji mlecznej. Nowe zajęcia wymagały mniejszego nakładu siły roboczej niż uprawa ziemi. W dużej mierze mogły się nimi również zajmować kobiety.

W efekcie część męskiej populacji musiała szukać sobie innego zajęcia. I to wła-
śnie oni stanowili trzon załóg statków wielorybicznych oraz galeonów. Spośród nich rekrutowali się żołnierze najemni, konkwistadorzy Cortesa i towarzysze Vasco da Gamy. Umieeli posługiwać się bronią, byli skorzy do przemocy, zazna-
jomieni z niebezpieczeństwem i gotowi na podjęcie dużego ryzyka. I częścią była „ludźmi jednorazowego użytku”.

Gotowość, z jaką kolejne pokolenia Europejczyków rzucały się w nieznanne, ryzykując życie, wydaje się jednak nieracjonalna.

Wydarzenia o takiej skali, jak Czarna Śmierć generują różnego rodzaju para-
doksy. Zadaniem historyka jest szukać w nich racjonalnego jądra, nie zaś utrwa-
lać szkodliwe mity. Takich jak ten, że Eu-
ropejczycy zdominowali świat, bo byli
bardziej odważni, twardsi, żądni przy-
gód i ciekawi świata. Tymczasem źródła sukcesu zamorskich ekspedycji tkwiły
raczej w „nadprodukcji” ludzi obezna-
nych z bronią, wykorzenionych – w po-
łączeniu z niezwykle mobilnością no-
woczesnych statków. Oba fenomeny były
pośrednimi skutkami Czarnej Śmierci.

Niezwykle trudno wypowiadać się
o motywacjach ludzi żyjących pięćset
lat temu, ale podejrzewam, że dżuma



James Belich (ur. 1956) – historyk, autor wielu książek na temat brytyjskiego osadnictwa na świecie oraz rewizjonistycznych interpretacji dziejów Nowej Zelandii. Do niedawna kierował Centrum Historii Globalnej Uniwersytetu Oksfordzkiego. Jego najnowsza książka, „The World the Plague Made: The Black Death and the Rise of Europe” („Świat, który stworzyła zaraza: czarna śmierć i powstanie Europy”), ukazała się nakładem Princeton University Press (2022).

stworzyła też warunki, w których zamor-
ska ekspedycja w nieznane mogła wyda-
wać się racjonalna z psychologicznego
punktu widzenia. Ludzie XV czy XVI w.
żyli w ciągłej niepewności, od jednej
fali epidemii do następnej. Śmierć była
loterią. Można było na nią czekać, albo
wziąć sprawy w swoje ręce i zaciągnąć
się na statek. To przynajmniej dawało
nadzieję wzbogacenia się oraz poczucie
kontroli nad swoim losem.

Moim zdaniem nie bez znaczenia był
również fakt, że po czterdziestu dniach
na morzu ryzyko dżumy zniknęło. W tym
czasie umierały wszystkie szczury
i pchły, które przenosiły pałeczki dżu-
my, a także zakażeni ludzie. Wysiadając
na ląd po drugiej stronie oceanu, miałeś
zatem pewność, że nie umrzesz na dżu-
mie. Czy tego rodzaju kalkulacje odgry-
wały jakąś rolę? Być może. Przyznaję,
że to tylko spekulacja, ale może warto
wziąć ją pod uwagę.

Stawiając mocne tezy, trzeba odróżniać korelację od przyczynowości. Jak nie wpaść we własne sidła i uniknąć upatrywania Czarnej Śmierci jako przyczyny każdej przewagi Zachodu?

Nie twierdzą, że dżuma odpowiada
za wszystko. Stawiam po prostu tezę,
że wcześniejsze wyjaśnienia dominacji
Europy nie brały pod uwagę jej skutków.
Starałem się koncentrować na zadawa-
niu właściwych pytań i z szacunkiem
pochodzić do odpowiedzi. Kilka moich
założeń się nie sprawdziło, do czego się
przyznaję. Jestem również sceptyczny
wobec popularnych dziś krzykliwych
tez o tym, jak bawełna, sól albo dorsz
„stworzyły” nowożytny świat. A jednak

przypadek Czarnej Śmierci jest wyjąt-
kowy. Jeśli szukamy czynnika, który
w zasadniczy sposób wpłynął na dzieje
świata, to jest to mocny kandydat.

Z jakiego powodu światotwórczy charakter Czarnej Śmierci był do tej pory raczej ignorowany, a w najlepszym razie uznawano, że jej pozytywne skutki ograniczały się do wzrostu płac i były krótkookresowe?

W pewnym sensie wydaje mi się to zro-
zumiałe, bo trudno doszukiwać się ja-
snych stron w wydarzeniu tak strasz-
nym. Głębsza przyczyna polega za-
ś na tym, że wciąż nie możemy przyjąć
do wiadomości, iż czynniki egzogenne
mają istotny wpływ na nasze życie. Wy-
obrażenie o ludzkiej sprawczości jako
jedyniej sile napędzającej koła historii
jest bardzo mocne. Tymczasem natura
ingeruje w bieg dziejów, posyłając nam
od czasu do czasu „podkręcone piłki”,
takie jak Czarna Śmierć.

Wszystko to wzbogaca naszą wiedzę
na temat mechanizmów rządzących
światem. W XXI w. wiemy już, że ludzie
potrafią wpływać na ekosystem całej pla-
nety. Historię globalną kształtują zatem
trzy wielkie determinanty: zamierzona
działalność człowieka, działalność nie-
zamierzona i „wielkie zmienne”, czyli jed-
nostkowe, nieprzewidziane wydarzenia.

Już we wstępie do książki zastrzegł pan sobie prawo do popełnienia „użytecznych omyłek”. To dość odważne stwierdzenie. Historycy raczej niechętnie przyznają, że mogą się mylić. Pytanie, czy historię jako naukę można uprawiać bez stawiania hipotez, sprawdzania różnych teorii, snucia domysłów?

Moim zdaniem nie można, ale wielu
uważa inaczej. Czy tego chcemy, czy nie,
to co przetrwało do dziś – w szczegól-
ności źródła pisane – to zaledwie mały
wycinek dawnej rzeczywistości. Na do-
datek nie są one bezstronne – samoistnie
uprzywilejowują intelektualne bądź po-
lityczne elity, przez co najczęściej unika
się w nich stawiania określonych pytań.
Swoim studentom w Oksfordzie powta-
rzam więc, że aby zrozumieć przeszłość,
muszą wypełniać luki w naszej wiedzy
domniemaniami. Zanurkować w ot-
chłań spekulacji, akceptując jednocze-
śnie ryzyko bycia w błędzie.

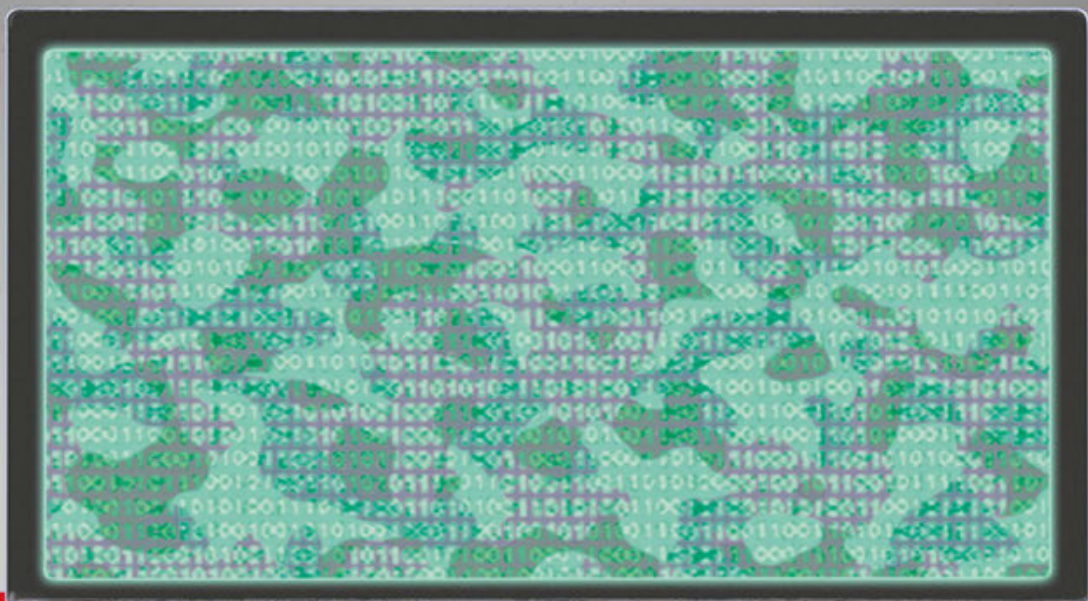
Naszym zadaniem jako badaczy nie
jest odrzucanie hipotez i przypuszczeń,
lecz ich doprecyzowywanie, rygory-
styczne porównywanie i odrzucanie
tych, które uznamy za gorsze. Tylko w ten
sposób mamy szansę na rozwój nauki.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

I wojna bitowa

Rosja toczy przeciw Ukrainie niewypowiedzianą cyberwojnę dłużej, niż w Donbasie grzmią działa. I nie jest w stanie jej wygrać.

OLAF SZEWCZYK



Czym zajmuje się nasza firma IT? Dbamy o bezpieczeństwo danych naszych klientów, opracowujemy aplikacje VR i świetnie się bawimy” – mówi lektor w reklamie moskiewskiego NTC Wulkan, która równie dobrze mogłaby promować jakiś startup z Doliny Krzemowej. Roześmiani młodzi ludzie na żaglówkach, sceny z siłowni. Tę rekrutacyjną propagandę domyka motto: „Chcemy uczynić świat lepszym”. Nie do końca trafia jednak w punkt. Jak wynika z tysięcy stron tajnych dokumentów z lat 2016–21, przekazanych zachodnim mediom i analitykom przez obuzzonego sygnalistę,

Wulkan był współodpowiedzialny za liczne akty cyberterroru wymierzone we „wrogów ojczyzny”. Założona w 2010 r. przez kapitana Antona Markowa i majora Aleksandra Irzawskiego, absolwentów akademii wojskowej w Petersburgu, firma była na usługi siłowników z FSB oraz formacji wywiadowczych GRU (wojsko) i SWR (sz służba zagraniczna).

Po paru miesiącach studiowania przekazanych dokumentów analitycy Paper Trail Media – startupu śledczego z Monachium współpracującego z „Der Spiegel”, a także ponad pół setki dziennikarzy z jedenastu kluczowych światowych mediów (m.in. „Washington Post”, „Guardian” i „Le Monde”) zyskali pewność, że są to materiały oryginalne. I że trafili na informacyjną ►

► żyłę złota: wgląd w metody prowadzenia cyberwojny przez Rosję. Aby jednak zrozumieć, skąd wziął się Wulkan, cofnijmy się do roku 2004.

Wulkan wypuszcza Węża...

W listopadzie, po sfałszowaniu wyborów prezydenckich przez prorosyjskiego kandydata Wiktora Janukowycza, w Ukrainie doszło do masowych protestów, które przeszły do historii jako pomarańczowa rewolucja. Okupując kijowski Majdan z żądaniem ustąpienia uzurpatora na rzecz triumfującego w sondażach kandydata opozycji Wiktora Juszczuki, obywatele Ukrainy opowiedzieli się za zmianą politycznego kursu państwa na proeuropejski. Dla zszokowanego obrotem spraw Putina była to niedopuszczalna zdrada i – jak z perspektywy czasu wiemy – casus belli.

Już w 2005 r. Rosja użyła przeciw Ukrainie oraz innym „wrogom” (w tym USA) swej pierwszej groźnej cyberbroni: wirusa typu trojan, rozpoznanego do dziś w formie licznych mutacji i znanego pod nazwami Wąż, Uroburos lub Turla. Był to atak groźny i udany, bo długo niezauważony. Wirus latami zbierał dane, wyszukiwał niestrzeżone furtki z myślą o przyszłych inwazjach, nieustannie ewoluował. Do 2010 r. został wykryty 32 razy w Ukrainie, 11 razy w Litwie, po kilka razy w paru innych krajach, m.in. w tak ważnych w strukturach NATO Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Włoszech.

Uważa się, że złośliwy program szpiegowski określany jako Agent.BTZ, który w 2008 r. zaatakował Departament Obrony USA, był jedną z wczesnych wersji Uroburosa. I to Uroburos najprawdopodobniej umożliwił Rosji wielką operację szpiegowską wymierzoną głównie w kraje Europy Wschodniej i byłe republiki radzieckie, znaną dziś jako Czerwony Październik. W jej wyniku pod naporem tego agresywnego kodu pękły zapory licznych zaatakowanych sieci komputerowych wysokiej rangi celów dyplomatycznych, wojskowych i ośrodków nuklearnych. Operację wykryto dopiero w 2013 r.

U progu drugiej dekady XXI w. Rosja – najpewniej już planując agresję na Ukrainę, do której miało dojść w 2014 r., i zachęcona sukcesami Węża – zaczęła intensywnie inwestować w cyberzbrojenia. Powstały w 2010 r. Wulkan, oficjalnie obsługujący jedynie przedsiębiorstwa cywilne, jak Aeroflot czy Sberbank, niemal natychmiast zaczął dostawać zlecenia od rosyjskiej rozвідki. Firma nie tylko tworzyła na zlecenie cyberbronie. Szkoliła specjalistów, którzy później przeprowadzali ataki na obiekty

infrastruktury Ukrainy i innych krajów; prowadzili wojnę informacyjną, próbując wpływać na opinię publiczną i w efekcie wyniki wyborów; zyskiwali kompetencje do kontrolowania wydzielonych obszarów internetu, na przykład w celu wyłuskiwania opozycjonistów w Rosji lub tłumienia buntów w zarodku.

...i infekuje umysły

Z dokumentów wynika, że Wulkan wspierał m.in. niestawną grupę hakerską Sandworm, znaną też jako jednostka 74455. To najgroźniejsi cyberżołnierze Kremla. Wyjątkowo cyniczni, pozbawieni skrupułów i skuteczni. To właśnie programiści Sandworma pozbawili ogrzewania i prądu setki tysięcy Ukraińców zimą 2015 r., a także wyłączyli sieć komputerową dużego szpitala w Pensylwanii. To Sandworm próbował wpływać na wybory prezydenta Ukrainy w 2014 r. i Francji w 2017 r., które, wbrew staraniom agresorów, wygrał Emmanuel Macron, a nie kandydaci jawnie prorosyjscy.

Niestety, sukcesem okazała się ingerencja w wybory w USA. Należy bowiem przyjąć, że gdyby nie jednostka 74455, która skutecznie storpedowała kampanię Hillary Clinton w 2016 r., wywołując tzw. aferę mailową i manipulując opinią publiczną Donald Trump nie zostałby prezydentem. Ameryka bardzo na tym wyborze straciła, a Rosja zyskała. To za kadencji Trumpa USA zmniejszyły zaangażowanie w pomoc Ukrainie i wycofały wojska z północnej Syrii, co zapewniło Kremlowi pełną swobodę w niszczeniu tego kraju. Choćby tylko z tego powodu powołanie zespołu Sandworm należy uznać za najlepszą militarną inwestycję w historii Rosji po rozpadzie ZSRR.

Jednostka 74455 ma też na koncie zakłócanie ceremonii otwarcia olimpiady zimowej w Pjongczangu w Korei Południowej oraz zaatakowanie Ukrainy niszczycielskim programem NotPetya. Najpierw przebił się przez zabezpieczenia niezliczonych sieci komputerowych instytucji rządowych i prywatnych, paraliżował szpitale, banki i lotniska. A w końcu w niekontrolowany sposób wymknął się w szeroki świat, przenikając do kilkudziesięciu krajów, co ostatecznie przyniosło straty szacowane na 10 mld dol.

Było to możliwe, bo Wulkan wyposażył Sandworm w program pozwalający przeczesywać internet w poszukiwaniu w murze zabezpieczeń uchylonych furtek, dzięki którym można dostać się do środka systemu i przejąć nad nim kontrolę. Lub po prostu skasować ważne dane, co było – i jest – jedną z ulubionych taktyk

cyfrowych korsarzy pracujących dla GRU. Na przechwyconej liście celów uznanych przez Wulkan za szczególnie obiecujące znalazła się m.in. szwajcarska elektrownia atomowa Mühleberg koło Berna.

Wulkan stworzył ponadto narzędzie szkoleniowe pomagające cyberagentom w przeprowadzaniu ataków na kluczowe obiekty infrastruktury. A także program pozwalający infekować opinię publiczną, dzięki wykorzystaniu wielu fałszywych kont w mediach społecznościowych o na pierwszy rzut oka wiarygodnej tożsamości, niejednokrotnie budowanych latami. Jednym z najciekawszych wniosków, które można wyciągnąć z przekazanych przez sygnalistę dokumentów, jest konstatacja, że Rosja uważa dezinformację za co najmniej równie ważną jak ataki na infrastrukturę. I że prawdopodobnie wciąż związane z tym zagrożenia nie są w pełni dostrzegane.

Wiele ataków programami niszczącymi miało na celu osłabienie wiary ukraińskiego społeczeństwa w swoich przywódców, wywołanie paniki oraz zduszenie chęci do stawiania oporu. Dokładnie z tych samych założeń wychodzi dziś Rosja, bombardując rakietami obiekty cywilne, w tym domy mieszkalne, szkoły i szpitale. Atakuje Ukrainę cyberbronią nieprzerwanie od niemal dwóch dekad, ale w tej operacji można wyróżnić różne fazy.

Putin się dziwi

Najgroźniejsza była reakcja po ostatecznej zmianie kursu przez Kijów w 2014, zakończona kulminacją w 2017 r., jaką był masowy atak na całe państwo i jego struktury z użyciem NotPetya. Później nasilenie skutecznych ataków osłabło, co być może z jednej strony ma związek z coraz skuteczniejszą obroną ze strony Ukrainy, a z drugiej – być może z faktem, że Rosjanie skupili się na przygotowaniach do totalnego cyberuderzenia mającego wesprzeć planowaną przez Putina inwazję.

Przygotowali się dobrze, ale tylko na jeden mocny cios, najwyraźniej podążając za powszechnym złudzeniem, że po trzech dniach będzie po wszystkim i rosyjskie flagi załopoczą nad Złotą Bramą. Gdy rosyjskie czołgi we wczesnych godzinach rannych 24 lutego 2022 r. łamały szlabany na przejściach granicznych, ukraińskie wojska nie miały już możliwości komunikowania się przez satelitę KA-SAT firmy Viasat. Hakerzy GRU zaatakowali specjalnie na tę okazję napisanym kodem AcidRain naziemną infrastrukturę, przejmując i niszcząc modemy. Wiktor Żora, zastępca szefa Państwowej Służby Łączności Specjalnej i Ochrony Informacji

Ukrainy (SSSCIP), dwa tygodnie później przyznał, że była to dla ukraińskich sił zbrojnych ogromna strata, dowództwo utraciło bowiem kontakt z licznymi oddziałami. Viasat świadczył usługi dużej części Europy, reperkusje ataku dosięgły zatem wielu krajów, od Polski po Francję. Skutki tego aktu cyberagresji były odczuwalne długo. Jeszcze miesiąc później Niemcy walczyły o przywrócenie działania dwóch tysięcy turbin wiatrowych.

Przebieg wojny zaskoczył nie tylko Putina, ale i jego cybersłużby. Kolejne ataki na Ukrainę – jak ocenia Wiktor Żora – sprawiały wrażenie chaotycznych i niezaplanowanych. Widać było, że w pracę rosyjskich programistów wkradł się pośpiech. Wrogiej kod, kiedyś czytelowany, coraz częściej wydawał się pisany niechlujnie. Coraz częściej też Rosjanie korzystali z gotowych narzędzi powszechnie

I sami wymierzają bolesne dla Rosji ciosy. Przechwytyjąc rozmowy telefoniczne żołnierzy, likwidują precyzyjnymi uderzeniami raket punkty koncentracji wojska i sprzętu. Przejmują kontrolę nad telebimami, transmisjami telewizyjnymi i radiowymi w samej Rosji, przekazując mieszkańcom prawdę o wojnie. Potrafią sprawić, że wyświetlacz na stacji benzynowej pod Moskwą poinformuje cyrylicą tankującego, że „PUTIN TO CH...J”.

Ukraińcy inspirują

Błędem byłoby jednak zakładać, że Ukraina w tej cyberwojnie zawdzięcza niemal wszystko zachodnim partnerom. Dzięki wysokiemu poziomowi edukacji w zakresie nauk ścisłych, zwłaszcza matematyki, kraj od dawna słynie z wybitnych programistów. To właśnie tam tworzone są popularne w całym świecie gry wideo z serii „S.T.A.L.K.E.R.”, „Metro”,

Ukrainy. Używają swej najsukuczniejszej amunicji: dezinformacji i propagandy. Najwyraźniej z sukcesami, skoro w kilku kluczowych dla NATO i europejskich struktur bezpieczeństwa krajach, jak choćby w Niemczech, można zauważyć narastające nastroje prorosyjskie.

Wciąż dochodzi do klasycznych aktów cybersabotażu. Według raportów Microsoftu w pierwszych miesiącach inwazji kontrolowani przez Rosję hakerzy zaangażowali się w „strategiczne szpiegostwo” przeciwko rządowi, think-tankom, firmom i grupom pomocowym w ponad czterdziestu krajach wspierających Kijów. Głównym celem ataków były USA, drugim w kolejności – Polska. Obecnie jesteśmy szturmowani kilkaset razy dziennie. Prawdopodobnie głównie przez prokremlofskich hakywistów, a nie profesjonalne cybersłużby, skuteczność tych prób jest bowiem mierna. Za bodaj najgłośniejszy ostatnio



Za wiele rosyjskich ataków odpowiadają dziś hakerzy z pospolitego ruszenia, których możliwości są ograniczone. Ukraina zaś od dawna słynie z wybitnych programistów.

dostępnych w sieci. I przeprowadzali dalekie od finezji typowo siłowe ataki typu DDoS. Polegające na przeciążeniu systemu komputerowego lawiną połączeń absorbujących jego zasoby, aż do paraliżu. Ataków tych było i jest wciąż bardzo dużo, ale są mniej skuteczne niż dawne akcje cyberkomanda Sandworm. A i Sandworm napotyka już w Ukrainie poważny opór. Atak sprzed roku, który 8 kwietnia miał sparaliżować złośliwym kodem Industroyer2 sieć energetyczną kraju, został niemal w całości odparty.

Tę cyberwojnę Rosja zaczyna przegrywać. Za wiele z jej ataków odpowiadają dziś hakerzy z pospolitego ruszenia, których możliwości są ograniczone. Z kolei Ukrainie pomagają potężni sojusznicy, dysponujący najnowocześniejszą technologią w zakresie ochrony danych, w tym USA, Wielka Brytania i Kanada. Wsparcie oferują też firmy prywatne, jak Cisco, Google, Microsoft czy Oracle. Ukraińcy są w stanie zapobiegać rosyjskim próbom infekowania telefonów urzędników złośliwym kodem szpiegowskim, likwidować farmy botów, namierzać szpiegów na podstawie analizy ich aktywności w sieci oraz korzystania z telefonu.

„Sherlock Holmes” czy „Cossacs”. Gdy niemiecka ministra spraw zagranicznych Annalena Baerbock przyjechała we wrześniu do Kijowa, odwiedziła m.in. ukraiński urząd ds. cyberbezpieczeństwa. Wprowadzono ją do sali pełnej osób o już eksperckim poziomie wiedzy, w wieku od 16 do 22 lat. Jak wtedy przyznała, powinno to być inspiracją także dla jej kraju, „aby wykazać więcej odwagi w myśleniu poza utartymi schematami”.

W momencie wybuchu wojny w 44-milionowej Ukrainie było ok. 200 tys. programistów. Według firmy Daxx z Amsterdamu, zajmującej się outsourcingiem usług komputerowych, aż 20 proc. firm z listy Fortune 500 zawierającej największe amerykańskie przedsiębiorstwa ma zespoły programistyczne pracujące dla nich zdalnie z Ukrainy. Taka cyberarmia to potężna siła, zwłaszcza gdy napędza ją gniew i wola przetrwania. Wielu z tych specjalistów wspomogło swymi umiejętnościami ojczyznę w ramach wolontariatu.

Według Służby Łączności Specjalnej i Ochrony Informacji Ukrainy, Rosji już na wiele w tej cyberwojnie nie stać. Co nie znaczy, że przestała być groźna. Podległe Kremlowi jednostki skoncentrowały się na atakowaniu sojuszników

cyberatak, na należące do Grupy Azoty zakłady Police, odpowiada największa obecnie rosyjska grupa hakerów Killnet.

Analitycy przesadzają

Takich formacji jak Killnet jest w Rosji coraz więcej, żadna jednak nie ma na koncie sukcesów na tyle znaczących, by wpłynąć na przebieg wojny lub zniechęcić do wspierania Ukrainy. Bardziej boleśnie wydają się uderzać hakywiści proukraińscy. Niedawno grupa Twelve Organization na dwa dni sparaliżowała rosyjskie służby celne, które zmuszone były wrócić do kartki i ołówka. Efektem były problemy z rejestracją ładunków i ogromne kolejkę na wszystkich posterunkach celnych.

Wojna cyfrowa Rosji przeciw Ukrainie trwa już co najmniej osiemnaście lat. I mimo że w cyberatakach Kreml osiągał zdecydowanie większe sukcesy niż w tradycyjnych starciach, stało się jasne, że sztabowi analitycy powinni zweryfikować swe prognozy. Nie sprawdziła się teza, że w wojnach XXI w. najgroźniejsi będą programiści, a najpotężniejszą amunicją kod. W walce o wolną Ukrainę wciąż najważniejsze są czołgi, artyleria, samoloty, a przede wszystkim ludzie i ich wola oporu.

OLAF SZEWCZYK

MARTA ALICJA TRZECIAK

Wilk psu wilkiem

Kurom czy świniom wystarczy kilka pokoleń bez kontaktu z człowiekiem, by powrócić do prakorzeni. A domowym czworonogom? Na przykład tym z Czarnobyli?

Udomowione zwierzęta były przez człowieka świadomie selekcyjonowane. Zaingerowano nie tylko w ich zachowanie, ale też budowę ciała, fizjologię, genetykę. Co by się stało, gdyby ten proces odwrócić? Czy pies odizolowany od człowieka stanie się znowu „wilkiem” (cudzysłów, ponieważ pies nie pochodzi od wilka; raczej on i wilk mają wspólnego przodka)? Czy okaże się samowystarczalnym, unikającym ludzi zwierzęciem? Odpowiedź jest bardziej złożona, niż mogłoby się wydawać. Sugerują to m.in. obserwacje poczynione w okolicy Czarnobyli.

Powrót silnego ogona

Po wybuchu elektrowni jądrowej w 1986 r. z zagrożonej skażeniem okolicy ewakuowano tysiące osób. Pozostawiły one prawie wszystko, również zwierzęta domowe. Niedługo później wokół terenów najbardziej dotkniętych skutkami katastrofy wyznaczono tzw. strefę wykluczenia, o powierzchni ok. 2,6 tys. km kw. Na tym ogromnym terenie od ponad trzech dekad żyją setki psów – odizolowane od świata i pozostawione samym sobie.

Można by się spodziewać, że wiedzie się im świetnie, bo od wybuchu elektrowni ich populacja wcale nie zmalała, lecz wzrosła. Trudno ustalić, ile dokładnie zwierząt było w strefie, kiedy ją zamknięto. Szacuje się jednak, że uniknęły schwymania lub uśmiercenia, które miały być elementem minimalizowania zagrożenia radiacyjnego, udało się co najmniej kilkudziesięciu. Obecnie na zamkniętym terenie żyje ok. 800–900 osobników.

Czy wyglądają jak wilki? Zdecydowanie nie. Ale ich anatomia uległa zmianie. Nie są tak zróżnicowane, jak zaraz po katastrofie. Nie ma tu labradorów, owczarków niemieckich, bokserów czy rottweilerów (a na podstawie analizy ich genomów wiemy, że pochodzą od tych ras). Są mieszańce o dość jednorodnym pokroju.

Proporcje ich ciał nie są takie jak u wilka, ale są też dalekie od deformacji występujących u współczesnych czystych ras. Na przykład linia kręgosłupa jest prosta, a nie obniżona jak u owczarka niemieckiego, więc zwierzę porusza się sprawnie i bez widocznego wysiłku. Łapy znajdują się w optymalnym dla mechaniki ruchu położeniu: pod tułowiem, a nie jak u buldogów: po bokach ciała. Kufa (pysek, nos,

twarżoczaszka) jest prawidłowo wykształcona, co umożliwia sprawne oddychanie, a nie spłaszczona jak u ras brachycefalicznych (buldożki, mopsy itp.). Uszy wprawdzie nie stoją jak u wilka, są klapnięte, ale że mają raczej nieduże rozmiary, nie nastroczają problemów zdrowotnych typowych dla ras długouchych (np. częste infekcje, urazy). Głowa jest proporcjonalna do reszty ciała, co ułatwia poród. Inaczej niż u ras, w których porody często muszą odbywać się przez cesarskie cięcie, ponieważ czaszki szczeniąt są niewspółmiernie duże względem kanału rodowego samicy (np. buldożki francuskie, mastify). Również ogony czarnobylijskich psów są dobrze wykształcone (nie jak u buldogów czy mopsów), co usprawnia bieg, koordynację w ruchu i komunikację między osobnikami.

Z artykułu w „Current Biology” wynika, że genomy populacji z czarnobylijskiej strefy wykluczenia istotnie różnią się od tych, które nie zostały odcięte od świata. Nie ustalono jeszcze, na czym dokładnie polega to zróżnicowanie, bo nie analizowano poszczególnych genów. Wykonano jedynie sumaryczne zestawienie genomów i porównano je. Pomimo tak wczesnego etapu ustaleń autorzy pracy uważają, że różnice mogą przynajmniej częściowo wynikać z przystosowań do zwiększonego promieniowania. Ale wyjaśnienie może być też znacznie prostsze.

Pamięć o pieszcotach

Same różnice w genotypie u populacji całkowicie odizolowanej od otoczenia nie są niczym niezwykłym. Równie dobrze można sobie wyobrazić, że psy wywieziono na wyspę pośrodku oceanu – z czasem zaczęłyby się różnić od kuzynów z kontynentu. Owszem, populacja czarnobylijskich psów przetrwała pomimo początkowego dużego napromieniowania. Ale to nie musi oznaczać, że ich biologiczna strategia polegała na wykształceniu większej wytrzymałości na radiację. Z danych



przytaczanych przez Clean Futures Fund – organizację humanitarną zajmującą się m.in. wsparciem ludzi i zwierząt po wypadkach przemysłowych – wynika, że średnia długość życia psów ze strefy wykluczenia to 1–3 lata. Z relacji świadków wynika, że psy są w dobrej kondycji, ale nie widuje się osobników starych, za to wiele jest szczeniąt. To wskazuje, że kluczem do sukcesu tej populacji był niekontrolowany, intensywny rozród. Dane dotyczące stabilności tej grupy zdają się to potwierdzać. Psów znacząco przybywa wiosną i latem, ale bardzo wiele jesienią i zimą ginie.

A co stało się z wzorcami zachowań czarnobylskich psów? Czy powróciły do lasów i przestały się na regularne polowania na zwierzyne jak wilki? Nie. Nadal znajdują schronienie w budynkach wybudowanych przez ludzi, żywiąc się resztkami ludzkiego pożywienia lub karmą dostarczoną im przez turystów i pracowników organizacji Clean Futures Fund.

Co więcej, wciąż zachowują się jak typowe psy: widząc człowieka, kładą po sobie uszy, obniżają głowę, merdają ogonem, tarzają się na grzbiecie, oczekują pieszczot i uwagi. To pokazuje ponad wszelką wątpliwość, że domestykacja, która trwała kilkanaście tysięcy lat, nie dokonała jedynie kilku pomniejszych zmian w genotypie przodka psa. Stworzyła nowy gatunek, który, jak żaden inny, jest nastawiony na współpracę z ludźmi. Ale czy to znaczy, że zwierzęcia nie da się „oddomowić”? Wszystko wskazuje na to, że się da. Pod warunkiem że to zwierzę nie jest psem.

Wydaje się, że przodkowie psów byli wyjątkiem w świecie przyrody, który zupełnym przypadkiem od samego początku posiadał zestaw cech działających jak „pakiet startowy do domestykacji”. Aby to wyjaśnić, trzeba najpierw odróżnić proces udomawiania (ang. *domesticated*) od procesu oswojania (ang. *feral*).

Na przykład szop trzymany jako zwierzę domowe, delfin skaczący przez obręcz albo wrona wychowana od pisklęcia przez człowieka to zwierzęta oswojone. U tych gatunków barierą powrotu do stanu naturalnego jest głównie socjalizacja z człowiekiem. Jeśli nowe pokolenie zostanie „przyuczone do dzikości”, powróci do niej bez większych problemów. Aby gatunek mógł zostać udomowiony, musi od początku posiadać zestaw cech, które do niej predysponują.

Pierwszą jest zdolność do intensywnego rozrodu. Ludzie rozpoczynający proces domestykacji nie mogli sobie pozwolić na trudy, które dziś są udziałem opiekunów pand trzymany w niewoli. Zwierzęta to była inwestycja, która musiała się

szybko zwracać. Dlatego kury, króliki czy psy – które z łatwością się rozmnażają i dają liczne mioty – są świetnym materiałem na udomowione zwierzę, a np. słonie (ciąże co 4 lata, tylko 1 potomek na ciążę) – nie.

Drugi warunek konieczny to czas osiągnięcia dojrzałości płciowej. Co z tego, że samica żółwia zielonego może jednorazowo złożyć 200 jaj, skoro na jej pierwsze potomstwo trzeba czekać ok. 30 lat? Żaden z naszych przodków nie zdecydowałby się na takie długoterminowe przedsięwzięcie.

Trzecia sprawa to socjalność. Zwierzęta, które naturalnie żyją w stadzie, łatwiej zaadaptują się do życia w ścisłości i z większą gotowością przyjdzie im zaakceptowanie człowieka jako przewodnika. Z tego powodu przodek krów był dobrym materiałem na udomowione zwierzę, a np. samotniczy i terytorialny niedźwiedź – nie.

Ten zresztą posiadał jeszcze jedną ważną cechę utrudniającą udomowienie: niezbyt układny temperament. Ta kwestia przyczyniła się także do tego, że udomowiliśmy np. konie, które zwykle chętnie współpracują, a zebry pozostały dzikie, ponieważ nie zważają na zasady ustanowione przez człowieka.

Jest wreszcie ostatnia ważna zmienna: dieta. Te zwierzęta, które „żyły się same” (roślinożercy, koty), oraz te mogące znieść żywienie bazujące na resztkach z posiłku człowieka (pies, świnia), dobrze rokowały. Tygrys czy puma – nie.

Wspomnienie dzikości

Do udomowienia wystarczy, by spełniona była większość tych warunków. Na przykład kura nie jest szczególnie socjalna względem człowieka, ale jest wystarczająco układna, stadna, szybko rośnie i intensywnie się rozmnaża. To właśnie z tego powodu „oddomowienie” kur zachodzi dość szybko. Mieszkańcy Hawajów mają obecnie spory problem ze zdziczałymi populacjami kur, które upodobiły się do swoich dzikich przodków pod względem zachowania i anatomii. Są bardziej agresywne (zwłaszcza samce), smuklejsze, szybsze. Część osobników ma nogi szare, a nie typowo dla kur udomowionych żółte. Uczni uważają, że taki kolor kończyn mieli ich przodkowie. Zdaje się więc, że „dzikie” geny decydujące o pokroju i fizjologii zostały w procesie domestykacji wyciszone, ale nie znikły. Teraz ponownie się aktywowały i dają zwierzętom przewagę.

Analogiczne zmiany zaszły u zdziczałych świń, których populacja ma się świetnie w północnych rejonach

amerykańskiego stanu Nowy Jork. Zwierzęta te są potomkami uciekinierek – typowych zwierząt hodowlanych: jasnych, przysadzistych, pozbawionych szczytyny, wyposażonych w krótki ryj, kłapnięte uszy i zakręcony ogon. Wystarczyło kilka pokoleń, by zdziczałe świnię stały się smukłe, ciemne i owłosione. Ich uszy znowu są stojące, jak u przodków, ryje długie i wydadne, a ogony proste i zakończono-pędzelkiem.

Takich przykładów jest więcej i wszystkie łączy jedno: po powrocie do dzicy zwierzęta albo unikają kontaktu z człowiekiem, albo przynajmniej nie dążą do niego. Wyjątkiem są psy. Ale prawdziwym kluczem do zrozumienia ich inności jest eksperyment przeprowadzony na lisach.

Doskonałość pary

W 1959 r. radziecki genetyk Dmitrij Bielajew rozpoczął proces udomawiania lisów, chcąc odtworzyć warunki, które – jak sądził – towarzyszyły domestykacji psów. Chciał zobaczyć, czy u tych ssaków zajdą takie same zmiany jak u ich psowatych kuzynów. W tym celu krzyżował ze sobą tylko te osobniki, które nie wykazywały agresji wobec człowieka. Eksperyment trwa i dostarcza interesujących rezultatów. Współcześni potomkowie lisów krzyżowanych przez Bielajewa są oswojone: można je pogłaskać, a nawet mogą wyjść na spacer na smyczy. Ale ich zachowanie nie przypomina psów. Dają się dotknąć, lecz same nie dążą do kontaktu z człowiekiem. Dają sobie założyć szelki, ale nie chodzą przy nodze. Interesuje je przede wszystkim otoczenie, na twarz człowieka i jego reakcje nie zwracają niemal żadnej uwagi.

Lisy nie są zwierzętami stadnymi, psy – owszem. Ale to za mało powiedziane. W przeciwieństwie do wielu innych żyjących w stadach gatunków, wykazują tzw. hipersocjalność, czyli bardzo intensywną dążność do kontaktu: przede wszystkim z człowiekiem i innymi psami, ale bywa, że również z innymi zwierzętami, które należą do „stada”. Możliwe nawet, że hipersocjalność wyprzedziła socjalizację z człowiekiem.

Jeśli tak było, to my i psy dobrze się dobraliśmy: też jesteśmy hipersocjalni i to nie tylko w odniesieniu do przedstawicieli własnego gatunku. Spontanicznie dokarmiamy i oswajamy napotkane zwierzęta, nawet wtedy, gdy nie mamy wobec nich żadnych praktycznych planów. Robimy to, aby nawiązać z nimi relację. A raz zbudowana relacja nie zrywa się tak łatwo. Z pewnością nie u psów. Te z Czarnobyli nawet po kilkudziesięciu latach nadal czekają, aż ją ponownie nawiążemy. ■



Neobarokowe terminy
Széchenyi w Budapeszcie.

JĘDRZEJ WINIECKI

Jedziemy do wód

Ludzkość jest dziś rekordowo zestresowana, smutna i poirytowana. Branża turystyczna podpowiada receptę: relaksacyjny wyjazd do wód, by skołatanе nerwy i zboląle ciała moczyć w gorących źródłach. A przed nami długi weekend.

Polakom przez dziesięciolecia kontakt z ciepłą wodą wypływającą spod ziemi kojarzył się przede wszystkim z doświadczeniem sanatorium, tajemniczo brzmiącą balneologią i wannami z borowiną. Bardziej dla starszych, wymagających leczenia czy rehabilitacji. Podobnie w Europie; we Francji już chwilę po wojnie rząd zadekretował, że każdy obywatel, bez względu na status społeczny, ma prawo do kuracji termicznej, o ile wymaga tego stan jego zdrowia. Co roku francuskie państwo dotuje taką kurację dla ponad 600 tys. pacjentów. Równolegle w innych krajach, a w Polsce znacznie później, bo dopiero w ostatnich dekadach, zaczęto wykorzystywać wody termalne jako czystą atrakcję, dostępną od ręki dla wszystkich, bez skierowań lekarskich.

© JULIE MAYFENG/SHUTTERSTOCK

Stąd wysyp term rozrywkowych, powstających u nas na przełomie wieków na fali mody na aquaparki. Samorządowcy zdali sobie sprawę, jaki potencjał drzemie w geotermii, zwłaszcza w połączeniu z dotacjami płynącymi z funduszy europejskich. Efekty bywały rozmaite. Gdy przed dekadą POLITYKA tworzyła ranking absurdów budowanych z udziałem unijnych pieniędzy, miejsce siódme zajęły termy z Lidzbarka Warmińskiego. Kluczowym mankamentem okazała się temperatura wody, osiągająca 21 st. C, na tyle niewiele, że trzeba ją dodatkowo podgrzewać, co znacząco podniosło koszty utrzymania obiektu.

Zimne ciepłe wody

Perypetie Term Warmińskich nie zniechęcają innych, którym na polskich nizinach – z geotermalnego punktu widzenia niezbyt hojnych – marzy się organizacja ciepłych kąpielni. Ojciec Tadeusz Rydzik, weteran projektów geotermalnych, niedawno ogłosił powrót do idei budowy Term Toruńskich. Od kilkunastu lat ich wizja jako kolejnego dzieła przyległego do sanktuarium Radia Maryja, przewiduje spa i aquapark w nadwiślańskim Porcie Drzewnym, składający się z zespołu basenów z 24-metrową wieżą mieszczącą zjeżdżalnię; hotel i zaplecze do leczenia solanką o temp. 64 st. C. Zdatnej, co potwierdzają stosowne badania, m.in. do walki z chorobami skóry.

Realizacja zbliżyłaby toruńskich redemptorystów do przedsięwzięcia o profilu podobnym do Term Maltańskich, działających w Poznaniu. Bardziej przeznaczaniem niż skalą, bo ośrodek stojący na brzegu śródmiejskiego jeziora Malta szczyci się statusem największego wodnego ośrodka sportowo-rekreacyjnego w Polsce i drugiego tak dużego w Europie. W kraju większym aquaparkiem jest jedynie mazowieckie Suntago, choć ono nie prowadzi działalności sportowej.

Maltańskie termy czerpią wodę z głębokości 1306 m. – *Ma ciekawe właściwości balneologiczne* – mówi prezes Term Maltańskich Jerzy Krężlewski. – *Dla niektórych minusem jest jej barwa, czasem padają skargi, że w pozostałych basenach woda jest przejrzysta, a tu brązowawa i jeszcze zostawia zacieki na ścianach.* Ale, objaśnia prezes Krężlewski, im więcej osadów, tym lepiej dla kąpiących, bo to oznaka obecności substancji leczniczych: – *Przychodzą osoby z poważnymi problemami z łuszczycą. Twierdzą, że po pobycie u nas lepiej się czują. A że nie jest to choroba zakaźna, więc nie ma żadnego ryzyka dla innych uczestników zabawy.*

Poznański ciepły basen jest dodatkiem do pół hektara pozostałych, jak mówi branża, „niecek”. Termalność wody daje ośrodkowi magnetycznie brzmiącą nazwę, ale mineralizacja niesie wyzwania. Wymaga osobnej instalacji, bo bez trudu zatyka standardowe filtry i urządzenia służące do tłoczenia.

Z tego samego rozległego pokładu, leżącego pod Poznaniem i okolicą, korzystają także termy w pobliskim Tarnowie Podgórnym. Woda osiąga 34 st. C. i jak przyznaje prezes Krężlewski, mogłaby być cieplejsza. Do uzyskania wyższej temperatury potrzebny byłby jednak nowy, znacznie głębszy odwiert. Tu koszty rosną z każdym kolejnym metrem.

Uruchomiony dopiero co, z polityczną pompą, najgłębszy na świecie odwiert geotermalny w podhalańskiej gm. Szaflary ma sięgnąć aż 7 km w głąb ziemi i według umowy z wykonawcą kosztować będzie 107 mln zł. Szaflarska studnia wiercona jest z myślą o energetyce, plan zakłada dotarcie do pokładu szacowanego na temperaturę ponad 140 st. C.

Geologia sprawia, że w Polsce to właśnie na Podhalu działalność kąpielowa w termach jest najbardziej opłacalna. Decyduje wysoka temperatura wody, np. ta w termach Bania w Białce Tatrzańskiej pochodzi z głębokości 2500 m, gdzie osiąga 78 st., ►

Najnowsze FORUM już w sprzedaży!

• NIEMCY ZNÓW W KATYNIU • NARKOTYKI TWARDE, ALE LEGALNE

Istnieje od 1965

FORUM

NASTĘPNE 5 MAJA PIĄTEK WYDANIE

NAJCIĘKAWSZE HISTORIE ŚWIATA

nr 9 (21.04.-4.05.2023)
Cena 12,99 zł brutto (z VAT)

TikTok

TAJNA BRON
CHINCYŻKÓW?



EMMANUEL MACRON Skończy jak Ludwik XVI?	ERA GUCCIFERA Haker z Siedmiogrodu	NIGERIA BEZ GOTÓWKI Banknoty na wagę złota
MICZENNIK TRUMP Będzie wreszcie zemstą	ROGER WATERS Jest Antysemita?	KOTY I LUDZIE Kto jest większym mrukiem
TANIE LATANIE Jumbo jet Elona Muska	BALTYCKIE PRZEDMURZE Nie strzelają, wypychają	BAKTERIE WALCZĄCE General Zaraza

W NUMERZE:

- Powrót kłamstw o Katyniu
- Dziewiczy lot Elona Muska
- Szaman wśród hakerów
- Ciemna strona Pink Floyd
- Opowieści starego Bagdadu
- Marny zakład karny
- Fentanyl – to już epidemia!
- Gra w kotka i... człowieka
- Co zbiera Ai Weiwei
- Tajne laboratoria śmierci

▶ zanim trafi do basenów, jest wykorzystywana m.in. do ogrzewania, także okolicznych budynków. O kilka stopni cieplejsza woda jest w Chochołowie.

Operatorzy term starają się nęcić nie tylko amatorów kąpeli, ale też akwterapii. Oprócz temperatury rolę grają więc minerały czy pierwiastki obecne w roztworze, a ciepło ułatwiać ma ich przyjmowanie przez organizm. Poszczególne źródła miewają odmienne właściwości wspierające – jak twierdzą lekarze balneolodzy – proces leczenia w różnych chorobach, schorzeniach i przypadłościach, regulują też metabolizm i gospodarkę hormonalną, mineralizują kości, zapobiegają próchnicy, pomagają pozbyć się bólów stawów i mięśni, a podobno nawet – rzucić palenie!

Miasto na gorącej wodzie

Obecnie termy na całym świecie przeżywają renesans. Zresztą nie pierwszy. Archeolodzy zebrali dowody, że na kilku kontynentach, także w Ameryce, ludzie korzystali z ciepłych źródeł bijących na powierzchnię od wielu tysięcy lat. Pewnie miejsca te były łączone z obecnością sił wyższych i otaczane kultem. Umiejętnie zagospodarowywali je Rzymianie, w podbijanych stronach przerabiali na publicznie dostępne łaźnie. Miejsca te są znane do dziś. To choćby zjawiskowe miasto Bath (co oznacza właśnie „łaźnię”) z południowej Anglii czy – znajdujący się po drugiej stronie imperium – obecny Budapeszt, nazywany światowym centrum kąpeli termalnych.

– *Jesteśmy jedyną stolicą na świecie z tak dużą liczbą działających historycznych łaźni* – nie kryje dumy Szilvia Czinege, dyrektor marketingu z Budapest Spas, firmy administrującej budapeszteńskimi łaźniami. Pierwsze otwarto już w czasach

Mieszkańcy pojawiają się liczniej poza sezonem turystycznym, także w celach zdrowotnych, zresztą w mieście funkcjonuje szereg mniejszych łaźni i ciepłych basenów, znanych głównie lokalnie.

Termy pracują na globalną rozpoznawalność miasta, w licznych zestawieniach najlepszych ośrodków termalnych na świecie te budapeszteńskie zazwyczaj znajdują się w pierwszej dziesiątce lub jej pobliżu. Co ma swoje konsekwencje. Tylko Széchenyi w zeszłym roku odwiedziło ponad milion osób.

Ponad 70 proc. obszaru Węgier leży na złożach gorących wód, które użytkowane są w ponad dwustu termach, także w uzdrowiskach, w tym m.in. w dobrze znanym w Polsce Hajdúszoboszló. Cechą węgierskich wód jest silna mineralizacja i wysoka temperatura, np. Széchenyi zasilane są źródłem o temperaturze 78 st. Do basenów kierowana jest woda znacznie chłodniejsza, a nadmiar ciepła wykorzystywany jest do grzania pomieszczeń sąsiedniego ogrodu zoologicznego, mieszającego się w historycznych murach.

Na historię i blichtr, też zakorzeniony w dziedzictwie monarchii austro-węgierskiej, stawiają czeskie miasta z uzdrowiskowego trójkąta: Karlowe Wary oraz Mariańskie i Franciszkowe Łaźnie. Na tradycji nie poprzestały termy niemieckie, oprócz pałaców kąpielowych, np. w Baden-Baden, działa szereg ośrodków i aquaparków, także odtwarzających warunki wspaniałych tropikalnych.

Niczego nie muszą udawać na Islandii, gdzie zanurza się w mało zobowiązujących okolicznościach i przeważnie bez zadania. Wulkaniczna geologia obdarzyła północnoatlantycką wyspę gorącymi wodami. Gdzie spojrzeć, zachwyca się jeden z przewodników po Islandii, urzekają widoki poprzerywane pióropuszcami pary. Są termalne kąpieliska, które powstały przypadkiem, gdy źródło odkryto np. podczas kopania tunelu drogowego albo w basenie zorganizowanym przy elektrowni geotermalnej. Kraina Lodu i Ognia ma przewagę krajobrazów, z niektórych ciepłych basenów można patrzeć na wieloryby odwiedzające fiordy albo zimową porą gapić się w niebo rozświetlone zorzą polarną.

Małpie przyjemności

Zgola inna atmosfera panuje w japońskich gorących źródłach. Tamtejsze tzw. onseny egzekwują niemal klasyczne rygorystyczne towarzyszące kąpeli, powszechnie zabrania się np. wstępu osobom z tatuażami. Wiele z nich przez wieki leżało na zapleczeniach zajazdów dla podróżnych, są takie, które śrubują rekordy nieprzerwanej działalności, najstarszy robi to od 1318 lat. Często ich cechą jest umiejętne wtopienie w naturę, obecność skał, drzew i drewnianych elementów. Z onsenami nierozdzielnie związany jest też ikoniczny obraz zanurzonego w nim makaka japońskiego. Emblematyczne zdjęcie gatunku to właśnie małpia głowa w zimowej scenarii, wystająca z wody w obłoczku malowniczej pary.

Można odnieść wrażenie, że makaki zażywały kąpeli od zawsze i po to, by się ogrzać. Wiadomo jednak, że po raz pierwszy zaobserwowano, że pewna samica wchodzi do zbudowanego przez człowieka ciepłego basenu dopiero w 1963 r. Rzeczywistą motywację małp niedawno zweryfikowali badacze z uniwersytetu w Kioto. Z analizy krwi i poziomu niektórych hormonów wynikało, że małpom chodziło o to samo, co ludziom: obniżenie stresu, zwłaszcza tego, który automatycznie podnosił się w najzimniejszym okresie roku. Ciekawa jest obserwacja, że osobniki stojące wyżej w hierarchii stada moczyły się w ciepłe najdłużej.

JĘDRZEJ WINIECKI



Strefa Relax w parku wodnym Suntago pod Mszczonowem, 60 km od Warszawy.

rzymskich. W średniowieczu, w okresie wypraw krzyżowych w pobliżu łaźni budowano szpitale, gdzie zdrowie reperowali poturbowani w walkach żołnierze. Nowe łaźniane style przyszły wraz z trwającą półtora wieku niewolą turecką. Było na czym budować, w Budapeszcie ujęcia ma 118 gorących źródeł. Wreszcie na początku XX w. zbudowano szczególnie rozpoznawalne termy, w tym neobarokowe Széchenyi, utrzymane w duchu art nouveau przy hotelu Gellérta, popularnością cieszą się także Lukács i Rudas, obie z turecką tradycją sięgającą XVI w. Trzy najważniejsze – Széchenyi, Gellért i Rudas – są okupowane przez turystów, 90 proc. ich użytkowników to przyjezdni.

Źródła relaksu

Wyjazd w góry – bądź do górzystego kraju, takiego jak **Austria** – nie musi oznaczać rezygnacji z pływania. A ciepła pora roku wcale nie wyklucza korzystania z gorących źródeł i z ich pozytywnego wpływu na samopoczucie i zdrowie fizyczne.



©TVB Pitztal

WAustrii funkcjonuje prawie czterdzieścina ośrodków zwanych w języku niemieckim *Therme*, z ciepłymi, ogólnodostępnymi, publicznymi basenami, zasilanymi wodą gruntową z własnego źródła, o temperaturze powyżej 20 st. C. Najczęściej współwystępują z typowymi basenami rekreacyjnymi lub sportowymi, także o wymiarach olimpijskich, centrami spa, salami do fitnessu, hotelami, restauracjami, saunami i towarzyszącymi im basenami z wodą zimną. Taka konfiguracja pozwala w ciągu kilku godzin, całego dnia lub jeszcze dłuższego pobytu wymoczyć się w wodzie termalnej dla zdrowia i relaksu, popływać w wodzie zwykłej dla formy lub przyjemności, wypocić się w saunie i natychmiast schłodzić w wodzie mającej kilkanaście stopni. A jeszcze wziąć masaż lub poćwiczyć, wyciszyć się w zakątkach zarezerwowanych na odpoczynek i wreszcie coś zjeść. Szereg ośrodków ma też zjeżdżalnie i wodne place zabaw dla najmłodszych. I wiele, to austriacka specjalność, pozwala leżeć w zewnętrznym basenie i podziwiać romantyczną dzikość górskich pejzaży, co możliwe jest także zimą.

Tak jak w tyrolskim **Aqua Dome** spod Innsbrucka, hotelu spa będącym połączeniem futurystycznej formy wtopionej w krajobraz Alp Ötztalskich. Wśród okolicznych szczytów, ośnieżonych również latem, ośrodek położony w dolinie rzeki Ötztal wygląda jak latarnia morska lub stacja narciarska z filmów o Jamesie Bondzie. Tutejsze gorące źródła, o temp. 34 st., wykorzystywane są od setek lat. Każdego dnia do tuzina basenów – pod dachem i na zewnątrz oraz do specjalnych zewnętrznych mis, sprawiających wrażenie, że lewitują nad taflą – trafiają dziesiątki tysięcy litrów podgrzanej pod ziemią wody o różnych

właściwościach. Podobnymi widokami może pochwalić się **Alpentherme Gastein** spod Salzburga, szczycące się tym, że oferuje całkowicie naturalną wodą termalną.

Rogner Bad Blumau – jeden z dziewięciu ośrodków termalnych w kraju związkowego Styria – zaprojektował znany artysta wizualny, Friedensreicha Hundertwassera, który w wyjątkowy sposób połączył naturę z bajkową architekturą i trawiastymi dachami udostępnionymi do chodzenia. Termy zasila bogata w minerały słona woda, wydobywana z głębokości 2843 m, gdzie osiąga temperaturę aż 104 st. Na powierzchni schładzana jest do 36 st. Z kolei historyczne termy w podwiedeńskim miasteczku **Bad Vöslau**, to propozycja dla miłośników tradycji. Dwa baseny pozabawione są atrakcji w rodzaju sztucznej fali, a ich woda ledwo przekracza 20 st., więc pluskanie wiąże się raczej z ochłodą w letnie dni (otwarte od wiosny do jesieni). Plusem jest położenie w parku i kameralna atmosfera. Natomiast **Therme Wien**, to największy w kraju park wodnej rozrywki, z dostępem do źródeł siarkowych. Z centrum Wiednia można do niego dotrzeć transportem publicznym w kwadrans.

Austriackie termy stosują hydroterapię według instrukcji spisanych przez Sebastiana Kneippa, XIX-wiecznego księdza katolickiego, nazywanego „wodnym doktorem”, a dziś „papieżem wellness”. Opracował holistyczny program leczniczy, oparty m.in. na zdrowotnych właściwościach wody, zrównoważonej diecie, ruchu fizycznym, ziołolecznictwie i równowadze wewnętrznej. Kuracje obejmują ponad sto technik, których celem jest pobudzenie krążenia i samoregeneracja organizmu. ■

Więcej informacji o urlopie w Austrii na www.austria.info

© AQUA DOME Tirol Therme Längenfeld



© TV Thermen- & Vulkanland / Harald Eisenberger



Wybór na wiele lat

DOBÓR OKIEN TO ZADANIE TRUDNE, PRZY KTÓRYM WARTO ZASIĘGNAĆ PORADY FACHOWCÓW. TYM BARDZIEJ ŻE NA RYNKU POJAWIA SIĘ WIELE NOWOŚCI POZWALAJĄCYCH ŁĄCZYĆ IMPONUJĄCE EFEKTY WIZUALNE Z DOBRĄ IZOLACYJNOŚCIĄ.

Wraz ze wzrostem wydatków na ogrzewanie większą uwagę musimy poświęcić oknom. Wybór odpowiedniego produktu ma ogromny wpływ na komfort mieszkania i wysokość rachunków. Tym bardziej jeśli nowe okna będą nam potem służyć przez następne 20–30 lat. Moda na duże przeszklenia dodatkowo zwiększyła rolę okien w domach, ale też wzrósł ich wpływ na bilans energetyczny całego budynku. To bowiem przez duże okna możemy tracić więcej ciepła zimą, za to latem wnętrze jest bardziej zagrożone nadmiernym nagrzewaniem. Na szczęście razem ze zwiększaniem się średniej powierzchni okna następuje też istotny postęp technologiczny. Dzięki niemu nieustannie poprawiają się parametry energetyczne, czyli mówiąc prościej: okna działają lepiej niż kiedyś jako izolator

między wnętrzem a otoczeniem. W ten sposób zmniejsza się ubytek ciepła zimą, gdy temperatura w domu jest zdecydowanie wyższa niż na zewnątrz, za to latem możemy ograniczyć wpływ intensywnego promieniowania słonecznego i zmniejszyć potrzebę używania klimatyzacji.

Wybierając okna, warto porównywać oferty różnych producentów i zwracać uwagę na innowacyjne rozwiązania. Bieczny jest kontakt z dobrym doradcą, bo przecież jako klienci rzadko dysponujemy wystarczającą wiedzą. – *W OKNOPLAST najwyższa jakość oznacza nie tylko produkty „szyte na miarę”, które są skrojone idealnie pod potrzeby klientów. To także eksperci prowadzący klienta przez cały proces zakupu, od wyboru produktu, przez dofinansowania w ramach programu Czyste Powietrze 2023. Nasi fachowcy w rzetelny i zrozumiały sposób*

odpowiedzą na pytania, wyjaśnią wszystkie zagadnienia i zadbają o to, by klienci czuli satysfakcję. Nowe okna wybieramy raz, góra dwa razy w życiu, to bardzo ważna decyzja, dlatego warto zaufać blisko trzydziestoletniemu doświadczeniu OKNOPLAST – mówi Tomasz Radecki, dyrektor handlowy Grupy OKNOPLAST.

NOWOŚCI POD LUPĄ

Jednym z ciekawych produktów są drewniano-aluminiowe okna pionowe. Drewno to materiał ponadczasowy, a odpowiednio zabezpieczony może służyć przez wiele lat. Profile okien wykonane z drewna tworzą klasyczny i naturalny klimat wnętrz. Z zewnątrz są one skutecznie chronione przez aluminiową okładzinę, która stanowi solidne i stylowe wykończenie produktu. Profile drewniane i aluminiowe dostępne są

w wielu kolorach, co pozwala na nadanie każdemu pionowemu przeszkleniu indywidualnego charakteru. Dzięki innowacyjnemu i trwałemu połączeniu drewna z zewnętrzną aluminiową okładziną okna nie wymagają renowacji, a użyte do ich produkcji materiały są najwyższej jakości. Cechuje je wysoka odporność na ekstremalne warunki atmosferyczne, co pozwala na długoletnie użytkowanie.

Technologia łączenia drewna z aluminium sprawia, że konstrukcja takich okien zapewnia unikalną trwałość i sztywność, dlatego można wykonać je nawet w bardzo dużych rozmiarach. W ofercie są dostępne drzwi tarasowe, które osiągają 12 m szerokości i 2,8 m wysokości. Są to drzwi wielkopowierzchniowe o konstrukcji podnoszone-przesuwnej, które mimo swoich gabarytów okazują się niezwykle komfortowe w użytkowaniu,

FAKRO®

INNOVIEW



OKNA, KTÓRE ZMIENIAJĄ DOM

OKNA INNOVIEW POWSTAŁY Z POŁĄCZENIA DREWNA I ALUMINIUM. KOMPOZYCJI, KTÓRA ZMIENIA DOM I TWORZY WNĘTRZA OTWARTE NA OTACZAJĄCY NAS ŚWIAT. BO ŚWIAT WIDZIANY PRZEZ ZACHWYCAJĄCE OKNA INNOVIEW MOŻE BYĆ TAKŻE... ZACHWYCAJĄCY.



www.innoview.pl



a dzięki dużym przeszkleniom wpuszczają do wnętrza sporo naturalnego światła.

Innym interesującym rozwiązaniem są okna aluminiowe. Profile wykonane z tego materiału wyróżniają się spośród innych materiałów trwałością i większą sztywnością, dzięki czemu pozwalają na tworzenie dużych konstrukcji. Dzięki wąskim profilom aluminiowym można powiększyć powierzchnię szyb i tym samym dodatkowo zwiększyć ilość światła w pomieszczeniach oraz otworzyć przestrzeń mieszkalną na otaczający świat. Właściwości stopów aluminium, takie jak wytrzymałość, lekkość i plastyczność, pozwalają na realizację wyjątkowo odważnych projektów. Do tego okna, drzwi i fasady aluminiowe dostępne są w pełnej gamie kolorystycznej, łącznie z barwą drewnopodobną, imitacją betonu i struktury płyt kamiennych.

A jakie są najnowsze trendy? – *W tym roku prym będą wiodły okna i drzwi o wąskich profilach, czy na przykład okna przesuwne oraz podnoszono-przesuwne, które pozwalają jeszcze szerzej otworzyć się na otaczający nas krajobraz i zatrzeć granicę między progiem domu a ogrodem. Duże przeszklenia okienne wykonane z trwałych materiałów, jak aluminium, są i w dalszym ciągu będą w głównym kręgu zainteresowań inwestorów. Zależy im nie tylko na ich trwałości, ale także dobrych parametrach termoizolacyjnych, czyli rozwiązaniach mających wpływ na obniżenie rachunków za ogrzewanie – mówi Michał Marcinowski, dyrektor Rozwoju Systemów Budowlanych w Aluprof SA.*

Właśnie kwestia energooszczędności pozostaje w centrum uwagi zarówno producentów, jak i kupujących. Warto wybierać pakiety

szybowe, które pozwolą zatrzymać jak najwięcej ciepła wewnątrz domu. Okna pionowe, zwłaszcza o dużych rozmiarach, są narzędziem pasywnego nagrzewania wnętrza w słoneczne zimowe dni. Pomieszczenia znajdujące się od stron południowej lub południowo-zachodniej mają bardzo dobrą ekspozycję na słońce. Zmniejsza to zapotrzebowanie na ogrzewanie budynku podczas chłodnych dni. Z drugiej strony duże przeszklenia w domu oznaczają też duże nagrzewanie wnętrza.

Budując dom, warto zatem pomyśleć o osłonach zewnętrznych, które skutecznie mogą ograniczyć to niekorzystne zjawisko. Są to na przykład markizy zewnętrzne, które zamontowane na oknach fasadowych podnoszą komfort przebywania w budynku podczas upalnych dni. Markizy absorbują promienie słoneczne już przed szybą i emitują ciepło na zewnątrz, chroniąc w ten sposób przed nadmiernym nagrzewaniem pomieszczeń, a jednocześnie zapewniając widok na zewnątrz. Markiza ogranicza zużycie energii, gdyż zastępuje urządzenia klimatyzacyjne. Co więcej, rozwinięta w czasie chłodnych nocy chroni wnętrze przed stratami ciepła, poprawiając współczynnik przenikania ciepła okna aż do 16 proc. W ten sposób obniżamy rachunki za ogrzewanie.

Ważnym uzupełnieniem stolarki okiennej są drzwi wejściowe i bramy garażowe. Wszystkie te elementy powinny współgrać ze sobą zarówno pod względem użytkowym, jak i wizualnym. Warto rozważyć ich zakup od jednego producenta – wówczas będą utrzymane w tej samej stylistyce i barwach. – *Wybierając bramę garażową, koncentrujemy się przede wszystkim na jej kolorze, ponieważ chcemy, aby pasowała do pozostałych elementów stolarki pionowej (okien czy drzwi). Mniejszą uwagę przykładamy do przetłoczenia i struktury użytych w płaszczu bramy paneli. W nowoczesnym budownictwie bardzo*

popularne są panele gładkie bez przetłoczeń, co niewątpliwie wygląda pięknie na dużych powierzchniach. Natomiast dla osób praktycznych polecana jest struktura woodgrain, na której mniej widoczne są różnego rodzaju uszkodzenia wynikające z codziennego użytkowania jak wgniecenia czy zarysowania – mówi Arkadiusz Gurba, menedżer produktu w firmie FAKRO.

Przed zakupem bramy sprawdzmy, jaki wymiar mają przestrzenie konieczne do montażu bramy segmentowej wewnątrz garażu oraz czy zakupiona brama zmieści się tam ze wszystkimi swoimi elementami. To szczególnie ważne, ponieważ dla garaży na przykład z niskim nadprożem, wynoszącym ok. 10 cm, możemy umieścić sprężyny na końcu prowadnic poziomych, a nie nad samą bramą, co znacznie zmniejszy wymogi montażowe. Inną niezmiernie istotną kwestią jest sprawdzenie parametrów cieplnych bramy. Powinna ona, podobnie jak okna czy drzwi, w jak najmniejszym stopniu przyczyniać się do wychładzania pomieszczeń.

REMONT ZE WSPARCIEM

Wymiana stolarki okiennej może być bardzo poważnym wydatkiem. Na szczęście istnieje możliwość uzyskania dofinansowania w ramach programu Czyste Powietrze 3.0. Nie wszyscy o tym wiedzą, bo program ten kojarzy się przede wszystkim z wymianą starych, szkodliwych dla środowiska pieców na nowsze i bardziej ekologiczne metody ogrzewania. Jednak w rzeczywistości Czyste Powietrze jest bardzo kompleksową formą wsparcia. Można połączyć wymianę okien, drzwi zewnętrznych i bram garażowych z inwestycjami grzewczymi i termomodernizacyjnymi, jak i przeprowadzić remont w bardziej ograniczonym zakresie.

Najpierw trzeba zwrócić uwagę na to, jakie dofinansowanie będzie przysługiwać właścicielowi domu. W ramach

Ekspert radzi

Augustyn Ziolo, doradca techniczny Związku Polskich Okien i Drzwi.

Dobierając okna, należy zwrócić uwagę na trzy podstawowe aspekty: ich lokalizację i orientację względem stron świata, izolacyjność termiczną oraz uszczelnienia połączeń okien z elewacją. Orientacja okien ma szczególne znaczenie przy wykorzystaniu w konstrukcjach wielkogabarytowych, zorientowanych na stronę południową lub południowo-zachodnią. Należy dokonać odpowiedniego doboru oszklenia pod względem parametrów szyb, aby nie doprowadzić w okresie dużego nasłonecznienia do przegrzewania budynku.

Izolacyjność termiczna zależy od konstrukcji ramowej okien i parametru Uf (współczynnik przenikania ciepła dla ramy okiennej), ale przede wszystkim od udziału szyby w całkowitej powierzchni okna. Dzisiejszym standardem jest oszklenie dwukomorowe o parametrze izolacyjności Ug wynoszącym 0,5 W/(m²*K). Prawidłowy montaż oraz odpowiednie uszczelnienie to najważniejsze elementy pozwalające zachować parametry techniczne okien. Obecny standard tzw. ciepłego montażu (inaczej mówiąc, montażu trójwarstwowego) ma szczególne znaczenie dla ograniczenia strat w strefie połączenia okien z murem.

Właściwy montaż zapewnia kompleksowe uszczelnienie warstwy izolacyjnej w złączu okiennym zarówno od strony zewnętrznej, jak i wewnętrznej budynku, co w rezultacie zabezpiecza przed powstawaniem mostków termicznych i stratami energii. Dobrze dobrane nowoczesne okna, zwłaszcza w budownictwie energooszczędnym o wysokiej izolacyjności termicznej, gwarantują nie tylko utrzymanie temperatury wewnętrznej na stałym poziomie, ale także zapewniają komfort cieplny naszych pomieszczeń.

PERSONALIZACJA

CERTYFIKOWANA JAKOŚĆ

GWARANCJA

WSPARCIE



Czystego Powietrza wyróżniono trzy poziomy wsparcia. Na największe mogą liczyć osoby, w przypadku których miesięczny dochód na jednego członka gospodarstwa domowego nie przekracza 1090 zł (przy gospodarstwach wieloosobowych) lub 1526 zł (dotyczy gospodarstw jednoosobowych). W takiej sytuacji można odzyskać nawet 100 proc. poniesionych kosztów (z wyjątkiem podatku VAT) na zakup i montaż stolarki okiennej czy drzwiowej. Drugi poziom wsparcia obejmuje gospodarstwa z dochodem miesięcznym na osobę do 1894 zł (wieloosobowe) lub do 2651 zł (jednoosobowe). Wówczas przysługuje zwrot do 70 proc. wydatków. Wreszcie trzecia kategoria programu dotyczy właścicieli lub współwłaścicieli domów, których roczne dochody nie przekraczają 135 tys. zł. W takiej sy-

a najmniejsze obejmuje tych, którzy nie wymieniają źródła ogrzewania. Jednak nawet w takim przypadku można liczyć na refundację sporych kwot. Dokładne poziomy wsparcia zostały zamieszczone na stronie internetowej <https://czyste-powietrze.gov.pl/czyste-powietrze/>.

Wymieniając okna i drzwi na nowe, osoby pragnące skorzystać z programu Czyste Powietrze 3.0 powinny dokładnie sprawdzić ich parametry. Chodzi bowiem o to, żeby inwestycja przyniosła konkretne korzyści w postaci znacznej poprawy bilansu energetycznego budynku. Aby ubiegać się o zwrot części czy całości poniesionych kosztów (w zależności od przysługującego poziomu wsparcia), trzeba zdecydować się w przypadku okien pionowych (fasadowych) na produkty, w przypadku których współczynnik przenikania



tuacji wsparcie może wynieść do 40 proc. kosztów wymiany stolarki okiennej i drzwiowej. Zawsze chodzi o kwotę netto, bo zwrot podatku VAT w ramach Czystego Powietrza nie przysługuje.

W przypadku każdej inwestycji obowiązują górne limity wsparcia, obejmujące wszystkie wydatki. Są one uzależnione zarówno od sytuacji finansowej właścicieli, jak i zakresu modernizacji. Największe wsparcie dotyczy osób zamieniających piece węglowe na pompy ciepła, nieco niższe jest dla tych, którzy wybierają na przykład nowe piece gazowe zamiast „kopciuchów”,

ciepła U wynosi nie więcej niż $0,9 \text{ W}/(\text{m}^2 \cdot \text{K})$. Dla okien dachowych ten parametr został określony na maksymalnie $1,1 \text{ W}/(\text{m}^2 \cdot \text{K})$. Chodzi o współczynnik oznaczany na produkcie symbolem U_w , wskazujący na izolacyjność termiczną całego okna. Nie należy go mylić ze wskaźnikiem dotyczącym tylko ramy (U_f) albo samego pakietu szybowego (U_g). Nowe drzwi zewnętrzne muszą charakteryzować się współczynnikiem przenikania ciepła U na poziomie maksymalnie $1,3 \text{ W}/(\text{m}^2 \cdot \text{K})$. Taki sam wymóg dotyczy bramy garażowej, gdy garaż znajduje się w bryle budynku.

Ekspert radzi

Wojciech Belka, specjalista ds. efektywności energetycznej w Krajowej Agencji Poszanowania Energii

Stolarka okienna stanowi najłabszy element termicznej obudowy budynku. W zależności od jego standardu energetycznego odpowiada za ok. 15–30 proc. strat ciepła. Z drugiej jednak strony w znaczny sposób wpływa na odczuwanie komfortu termicznego w pomieszczeniach. Jednym z podstawowych dylematów inwestorów jest wybór między pakietami dwu- i trzyszybowymi. W budynkach o najwyższej efektywności energetycznej polecane są te drugie. Dodatkowe oszklenie nie tylko znacznie poprawia izolacyjność cieplną, ale również pomaga spełnić tzw. kryterium komfortu, o którym w Polsce niewiele się mówi. W budynkach energooszczędnych zdecydowanie warto postawić również na ciepłe ramki dystansowe, które wpływają na obniżenie parametru Ψ_g . Według obowiązujących przepisów techniczno-budowlanych połączenia m.in. okien z ościeżami należy projektować i wykonywać pod kątem osiągnięcia ich całkowitej szczelności na przenikanie powietrza. Często słyszymy o znaczeniu tzw. ciepłego montażu, chociaż powinno się odróżnić ciepły i szczelny montaż. Biorąc pod uwagę straty ciepła, stolarkę zdecydowanie należy osadzać w warstwie izolacji termicznej (ciepły montaż), chociaż nie zawsze może mieć to swoje uzasadnienie ekonomiczne. Jeśli chodzi o stosowanie odpowiednich taśm na połączeniu ościeżnicy z ościeżem (szczelny montaż), to do ich wykonywania obligują w tym momencie wspomniane przepisy. Należy jednak równocześnie pamiętać o zapewnieniu odpowiedniego strumienia powietrza wentylacyjnego w przypadku wentylacji grawitacyjnej lub wywiewnej.

Ostatnią cechą, na którą należy zwrócić uwagę, jest szczelność okien. Obecnie większość dostępnych na rynku modeli znajduje się w najwyższej, czwartej klasie przepuszczalności powietrza. Okna przypisane do tej klasy mogą jednak znacznie się różnić pod tym względem. Warto dopytać dostawcę o wartość tzw. przepuszczalności odniesienia Q_{100S} wyrażonej w jednostce $\text{m}^3/(\text{h} \cdot \text{m}^2)$. Nie powinien zasłaniać się niewiedzą, ponieważ parametr ten musiał zostać zbadany, aby przypisać okno do odpowiedniej klasy.

Poza programem Czyste Powietrze wciąż istnieje też ulga termomodernizacyjna. Przysługuje ona podatnikowi, który jest właścicielem lub współwłaścicielem domu jednorodzinnego. Polega na odliczeniu od podstawy obliczenia podatku wydatków poniesionych na termomodernizację. W tej kategorii mieści się również wymiana stolarki okiennej i drzwiowej. Maksymalnie można odliczyć 53 tys. zł na osobę. Jeśli zatem budynek ma dwóch właścicieli, każdemu z nich przysługuje odrębna pula (łącznie aż 106 tys. zł). Odliczenia należy dokonać za rok podatkowy,

w którym poniesiono wydatki. Jeśli jednak kwota odliczenia jest większa niż dochód podatnika, jej pozostała suma podlega też odliczeniu w kolejnych latach (maksymalnie sześciu). Co ważne, ulgę termomodernizacyjną można łączyć z programem Czyste Powietrze, zwracając tylko uwagę na istotny szczegół. Nie wolno odliczyć wydatków, które zostały już zwrócone dzięki dotacji z Czystego Powietrza. Można za to odliczać tę część własnych nakładów na termomodernizację, której w ramach programu Czyste Powietrze nie udało się odzyskać.

CEZARY KOWANDA

**ALUPROF – TWÓJ DOM
Z WIDOKIEM NA PRZYSZŁOŚĆ**

- OKNA • DRZWI • OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE
- PERGOLE Z **ALUMINIUM**



Góra też musi oddychać

ODPOWIEDNIE POKRYCIE DACHOWE MA ZABEZPIECZYĆ BUDYNEK I NADAĆ MU SPÓJNY CHARAKTER, ALE NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ O WŁAŚCIWEJ WENTYLACJI I EFEKTYWNYM SYSTEMIE RYNNOWYM.



© MP

Dach to jeden z najważniejszych, ale równocześnie najbardziej wrażliwych elementów domu. Dokonując wyboru pokrycia dachowego, trzeba kierować się zarówno własnymi upodobaniami (efekt wizualny może być oszałamiający, ale również rozczarowujący), jak i parametrami technicznymi. Jednak ważne jest także to, czego nie widać. Dach musi być odporny nie tylko na czynniki atmosferyczne, ale też mechaniczne. Ponadto powinien zatrzymać jak najwięcej ciepła wewnątrz domu i równocześnie odprowadzać wilgoć. Ważne jest zatem nie tylko pokrycie dachowe, ale również odpowiednia wentylacja. To element mniej spektakularny, lecz niezmiernie istotny podczas wieloletniej eksploatacji.

Dach składa się nie tylko z pokrycia i więźby. Niezbędne są również warstwy

paroizolacyjna, termoizolacyjna i paroszczelna. Nawet najlepszej jakości materiały budowlane nie zapewnią trwałości, szczelności i bezpieczeństwa, jeśli przepływ powietrza, dzięki któremu usuwany jest nadmiar wilgoci, zostanie zakłócony. Gdy na przykład wełna mineralna (materiał najczęściej stosowany do ocieplenia dachu) zostaje zawilgocona, traci ona swoje właściwości. Wówczas dom zdecydowanie szybciej oddaje cenne ciepło, a zatem mocno rosną i tak przecież bardzo wysokie rachunki za ogrzewanie.

Dzisiaj każdy inwestor pamięta o odpowiedniej izolacji domu – to jeden z najważniejszych parametrów budynków. Rzadziej myślimy o właściwej wentylacji dachu, chociaż jest ona równie istotna. Nie chodzi oczywiście o to, żeby powietrze w sposób niekontrolowany dostawało się pod pokrycie dachowe. Odpowiednio dobrany

system wentylacyjny ma za zadanie chronić dom przed przeciekaniem i zawilgoceniem ścian, a także zniszczeniem warstwy ocieplenia budynku. Musi więc odprowadzać parę wodną, zanim ta zacznie się wykraplać. Z tego powodu między blachodachówką a membraną wstępnego krycia należy pozostawić szczeliny wentylacyjne. Ich wloty powinny znajdować się w okapie, a wyloty w kalenicy i na narożach dachu.

Aby pod pokrycie dachowe nie dostały się na przykład owady, ptaki czy gryzonie, w okapie montuje się grzebienie okapowe. Natomiast w kalenicy i narożach montowane są taśmy wentylacyjne, które uszczelniają styk połączeń, chroniąc warstwę dachu przed śniegiem, deszczem, kurzem czy pyłem. Zarówno grzebienie okapowe, jak i taśmy wentylacyjne umożliwiają przepływ powietrza oraz odprowadzenie

wilgoci. Wentylację dachu wspomaga startowa łąta wentylacyjna, która ułatwia również montaż blachodachówki.

Na każdym dachu powinny znaleźć się wywietrzniki połaciowe lub dachówki wentylacyjne, w zależności od rodzaju pokrycia. Najlepiej elementy te kupować razem z pokryciem dachowym, bo wówczas mamy gwarancję, że będą dopasowane do wybranego modelu blachodachówki czy dachówki. Na przykład firma Blachy Pruszyński oferuje wywietrzniki połaciowy do blachodachówek Szafir i Rubin Plus. To system uszczelek i elementów dociskowych z tworzywa sztucznego, do montażu którego wystarczy wywiercić wyłącznie jeden otwór. Jego wykonanie ułatwi wycinak o specjalnie przygotowanej średnicy. Wsparciem dla dekarzy jest także, znajdujący się w zestawie, szablon do wyznaczenia dokładnego miejsca montażu.

**BLACHY
PRUSZYŃSKI**



TIGRA

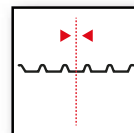
NA PIERWSZYM PLANIE TWOJEJ BUDOWY

**50
LAT**

nawet do 50 lat
gwarancji*



dostępna
w 5-ciu powłokach



symetryczny
montaż

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ NA:

www.pruszynski.com.pl

* na warunkach określonych w gwarancji Pruszyński Sp. z o.o.

Wywietrzniki połaciowe montuje się najczęściej w okolicach okien dachowych, kominów, koszy czy lukarn. Dzięki dużemu wyborowi kolorystyki można dopasować je tak, aby wtapiały się wizualnie w połac dachową.

MODA NA BLACHODACHÓWKĘ

A jaki materiał wybrać na pokrycie dachu? Bardzo popularnym i trwałym rozwiązaniem jest blachodachówka. Kiedyś wybierana z konieczności, a dziś często po dokładnej analizie i porównaniu z alternatywnymi rozwiązaniami. Jakie są zalety takiego dachu? Dwumodułowe arkusze stalowe o identycznych wymiarach i przetłoczeniach to doskonałe rozwiązanie na dachy domów jednorodzinnych. Nieduże panele są łatwe w montażu, lekkie (dzięki czemu prace przebiegają sprawniej) oraz ekonomiczne, co ogranicza masę odpadów. Dostarczane są na plac budowy w niedużych paczkach, co ułatwia składowanie. „Panelówki” najczęściej są dostępne od ręki, co przyspiesza prace konstrukcyjne. Nie będzie również problemu z doku-pieniem dodatkowych paneli, a także z oddaniem nadwyżki. Arkuszy nie trzeba przycinać – wystarczy podłożyć moduł pod już ułożony element.

Wygląd to oczywiście nie wszystko. Ważne, aby dach był trwały i nie sprawiał problemów przynajmniej przez dwadzieścia lat. Dlatego dokonując zakupu pokrycia ze stali, warto sprawdzić, w jakiej hucie zaopatruje się producent w kręgi. Renomowane firmy zapewniają bezpieczną gwarancję na materiał, która poparta jest licznymi deklaracjami i atestami. Pamiętajmy, aby sprawdzić grubość rdzenia stalowego – powinien mieć minimum 0,5 mm. Równie ważny w tym wypadku jest rodzaj powłoki ochronnej. Wybór najczęściej będzie pomiędzy dwoma rodzajami lakieru – poliesterowym i poliuretanowym. Powłoka ochronna zapewnia odporność na korozję i chroni przed odbarwieniami



spowodowanymi promienowaniem ultrafioletowym. Blachodachówki są wodoodporne, a więc nie nasiąkają wodą, przez co nie stają się cięższe podczas deszczu. Natomiast gładka powierzchnia ułatwia zsuwanie się śniegu z dachu.

Ciekawym produktem jest nowość w ofercie Galeco – blachodachówka modułowa RIGA, która została zaprojektowana tak, aby jej montaż był prosty i intuicyjny. – *Jako lider rynku systemów rynnowych poszliśmy o krok dalej, poszerzając ofertę Galeco o segment pokryć dachowych. Blachodachówka Galeco RIGA jest przede wszystkim odpowiedzią na zapotrzebowanie klientów na modne i trwałe stalowe pokrycia dachowe stworzone z myślą o środowisku. Składnikiem powłoki organicznej materiału jest naturalny szwedzki olej rzepakowy, którym zastąpiono substancje ropopochodne. W najbliższych miesiącach ofertę Galeco wzbogacą kolejne nowości w segmencie stalowych pokryć dachowych – mówi Magdalena Buryło, kierownik Działu Marketingu Galeco.*

Profil Galeco RIGA umożliwia montaż arkuszy od góry do dołu i od dołu do góry. Symetryczny kształt profilu panelu gwarantuje optymalne wykorzystanie każdego z arkuszy, zwłaszcza przy tzw. dachach kopertowych. Specjalne zagłębienia montażowe

umieszczone w czołowej części profilu stabilnie pozycjonują arkusze względem siebie i ułatwiają odpowiednie usadowienie wkrętów zakładkowych. Modułowa forma blachodachówki ułatwia proces zarówno logistyczny, jak i montażowy. Dzięki kompaktowym wymiarom arkusze można łatwo i bez ryzyka uszkodzeń wносить na dach oraz szybko i sprawnie montować.

ELEGANCKIE RYNNY

Pamiętając o odpowiednim pokryciu dachowym i sprawnej wentylacji dachu, nie można też zapomnieć o właściwym odprowadzaniu wody. To szczególnie ważne, gdy mamy do czynienia z coraz poważniejszymi i zapewne trwałymi zmianami klimatycznymi. Wzrost średniej temperatury powiązany jest z bardziej nierównomiernym rozłożeniem opadów. Przybywa okresów suszy, ale równocześnie rośnie ryzyko deszczu nawalnych, gdy w krótkim czasie – zwłaszcza podczas gorącego lata – spada bardzo duża ilość wody. Niestety, takie zjawiska prawdopodobnie będą się nasilać i mogą występować wszędzie, więc trzeba je wziąć pod uwagę przy budowie domów na obszarze całej Polski.

System rynnowy powinien być jednak nie tylko wydajny,

ale też estetycznie dopasowany do reszty budynku. Wielu inwestorów wybiera dzisiaj projekty domów wpisujących się w trend minimalizmu, opartych na prostych, geometrycznych formach. Dzięki temu nie tylko otrzymujemy bryłę spójną, ale także minimalizujemy straty energii cieplnej. Przy takich projektach ciekawym rozwiązaniem mogą okazać się rynny kwadratowe. Uchodzą one za bardzo nowoczesne i innowacyjne, a przy tym świetnie odprowadzają wodę opadową. Zdaniem specjalistów nie ma większej różnicy w efektywności pomiędzy rynnami półokrągłymi i kwadratowymi.

Rynny o przekroju kwadratowym najlepiej będą wyglądać na dachu o prostym kształcie, na przykład dwuspadowym, na którym położono dachówkę płaską, blachodachówkę płaską lub panel dachowy na rąbek. Te pokrycia tworzą prosty, geometryczny wzór na dachu, który idealnie podkreśli jeszcze system rynnowy o prostych kątach. W trosce o zachowanie spójności warto wybrać system stolarki okiennieo-drzwiowej o równie prostym designie oraz kolorze z tej samej palety co pokrycie dachowe.

A na jakie barwy warto się zdecydować? Poprzednie dekady pełne były bardzo różnych kolorów, co możemy obserwować, podróżując po naszym kraju. Jednak wiele śmiałych projektów raczej nie przetrwało próby czasu i dzisiaj wzbudzają dość mieszane odczucia. Po latach eksperymentowania i często dość krzykliwych rozwiązań Polacy pragną teraz przede wszystkim stonowanej elegancji, kojącej dla oczu i duszy. Nowoczesność w budownictwie mieszkaniowym symbolizują na dachu różne odcienie czerni, szarości i grafitu. Korrespondują one z elewacjami będącymi kombinacją szarości, bieli i beżu. Skoro dach ma przetrwać wiele lat, nie może się starzeć szybko ani pod względem technicznym, ani wizualnym.

CEZARY KOWANDA



| Blachodachówka modułowa



Ekologia i troska
o środowisko



Nowoczesność
i elegancja



Prosty i wygodny
montaż



Łatwość transportu
i magazynowania



Prąd z ładnego dachu

FOTOWOLTAIKA ZYSKUJE SZYBKO NA ZNACZENIU, ALE NIEKTÓRZY MAJĄ WĄTPLIWOŚCI ZARÓWNO ESTETYCZNE, JAK I TECHNICZNE. ROZWIĄC JE MOŻE NOWA TECHNOLOGIA DACHÓW SOLARNYCH, NA KTÓRYCH PANELE ZOSTAŁY ŚCIŚLE ZINTEGROWANE Z RESZTĄ KONSTRUKCJI.

Szybko rosnące ceny energii elektrycznej skłaniają do poszukiwania alternatywnych źródeł prądu. To główny powód ogromnego sukcesu fotowoltaiki na polskim rynku. Wiele osób zainstalowało specjalne panele, aby obniżyć wysokość swoich rachunków. Dodatkową zachętą okazują się kolejne edycje programu Mój Prąd, dzięki któremu można uzyskać dofinansowanie do takiej inwestycji. Jednak nie wszyscy właściciele domów

zdecydowali się dotąd na instalacje fotowoltaiczne. Bariere nie są przy tym najczęściej koszty, ale inne obiekcje.

Niektórzy mają wątpliwości związane z estetyką, bo panele w istotny sposób zmieniają wygląd bryły budynku. Może ona stracić swoją pierwotną formę i spójną kolorystykę. Problemem jest zwłaszcza różnica w barwie między dachówką a panelami. Do tego pokrywają one zazwyczaj tylko część dachu, koncentrując się głów-

nie i południowo-zachodniej, co zapewnia największą produkcję prądu. Inni właściciele obawiają się samego procesu instalacji, czyli pracy ekipy montującej panele. Zadają sobie różne pytania: czy nie dojdzie do uszkodzenia dachu, czy nie pojawią się problemy techniczne, czy cały proces przebiegnie poprawnie? I najważniejsze: kto będzie musiał zapłacić za ewentualne szkody?

Takie dylematy trudno lekceważyć. To dlatego niektóre firmy proponują rozwiązanie zwane potocznie dachem solarnym albo dachem zintegrowanym. Składa się on z części aktywnej wykonanej z paneli oraz z części pasywnej, która nie będzie produkować prądu. Jednak obie te części są do siebie bardzo podobne wizualnie, a w efekcie cały dach wygląda tak, jakby był wykonany z tego samego materiału. – *Pod szklanymi panelami kryje się unikalna aluminiowa konstrukcja wsporcza, której zadaniem jest stabilne mocowanie paneli oraz zapewnienie równej dla całej połaci dachu, dziesięciocentymetrowej dylatacji. Pod nią paroprzepuszczalność i wodoszczelność dachu solarnego zapewnia specjalna membrana o bardzo wysokich właściwościach starzeniowych, czyli o wysokiej wytrzymałości na wysokie temperatury przez cały okres użytkowania dachu. Panel fotowoltaiczny w dachu solarnym zapewnia moc 370Wp, a jego parametry zostały dostosowane do stałej pracy w integracji z poszyciem dachowym. System MyRoof – od konstrukcji wsporczej, przez obróbki dekarские i izolacje, po dobór najwyższej klasy osprzętu elektrycznego – są naszą autorską koncepcją – mówi Wojciech Kruczkowski, Product Manager MyRoof, marki*

należącej do firmy mdm NT, producenta dachów solarnych z Bielska-Białej.

Dzięki takiemu rozwiązaniu panele fotowoltaiczne idealnie komponują się z resztą dachu. Nie ma również potrzeby instalowania usztywniającej ramy z aluminium nad pokryciem dachowym, co burzy spójność budynku. Trudno przecenić efekt wizualny. Gładka powierzchnia całego dachu działa jak lustro, w którym widać odbijające się niebo, słońce czy obłoki. W zależności od potrzeb można modyfikować liczbę aktywnych elementów dachu – im będzie ich więcej, tym bardziej wzrośnie moc instalacji fotowoltaicznej.

Na tym zresztą nie koniec korzyści. Dzięki integracji funkcji dachowej z fotowoltaiczną nie dochodzi do dodatkowego obciążania więźby dachowej. To powinno rozwiązać wątpliwości osób, które obawiają się uszkodzenia konstrukcji dachu pod wpływem ciężaru paneli fotowoltaicznych. Znika również potrzeba dodatkowego montażu. Jedna ekipa instaluje aktywne i pasywne elementy dachu, ściśle ze sobą powiązane. Skoro wszystkie materiały dostarcza ta sama firma, proces montażu przebiega dużo szybciej i łatwiej. Całość okablowania zostaje w sposób estetyczny umieszczona pod pokryciem. Nie trzeba naruszać już istniejących kanałów wentylacyjnych i szybów kominowych. – *Na ogół standardowe systemy fotowoltaiczne wymagają położenia dachu, a dopiero potem paneli fotowoltaicznych przez specjalne ekipy monterów. Jeśli coś się popsuje czy rozszczelni, pojawiają się pytania, kto powinien podjąć się serwisowania, nie mówiąc już o ewentualnych rozszereżeniach finansowych. W przypadku*



MY ROOF

DACHY SOLARNE



NIESKOŃCZONE
ŹRÓDŁO ENERGII

3 W 1 →

SOLIDNY DACH

PONADczasowy DESIGN

WŁASNA ELEKTROWNIA

SOLROOF montaż zintegrowanego dachu fotowoltaicznego przeprowadzają dekarze, a później cały system sprawdza odpowiedni instalator – mówi Paweł Musiał, Deputy Chief Sales Officer BP2, producenta dachów fotowoltaicznych SOLROOF.

NOWY LUB WYREMONTOWANY

Trzeba oczywiście pamiętać, że zintegrowany dach solarny jest rozwiązaniem pomyślanym przede wszystkim dla dwóch grup klientów. Jedną to ci, którzy dopiero budują dom i chcą równocześnie skorzystać z dobrodziejstw fotowoltaiki. Druga grupa to osoby planujące remont generalny starszej nieruchomości. Wówczas wymianę dachu można połączyć z wyposażeniem go w instalację fotowoltaiczną. Kto zaś ma dach w dobrym stanie i chce po prostu stać się prosumentem (samemu zacząć produkować energię elektryczną), ten powinien zdecydować się na tradycyjne rozwiązanie, czyli panele montowane dodatkowo na specjalnej ramie.

A jak ustalić najlepsze proporcje między aktywną i pasywną częścią dachu, czyli – mówiąc inaczej – określić moc instalacji fotowoltaicznej? – *Na początku każdy musi sobie uświadomić, jaki jest cel jego inwestycji. Czy ma*

być to zapewnienie jak najwyższej rentowności? Czy też chcemy dołożyć drobną cegiełkę do transformacji polskiej energetyki? A może cel jest najbardziej ambitny z możliwych, czyli uzyskanie pełnej samowystarczalności energetycznej? Ten ostatni cel w Polskich warunkach jest relatywnie trudny i drogi do uzyskania, więc skupmy się przede wszystkim na optymalizacji inwestycji – radzi Krzysztof Kalinowski, główny ekonomista Instytutu Energetyki Odnawialnej.

Obecnie obowiązujący system rozliczeń dla nowych prosumentów (tzw. net billing) zachęca przede wszystkim do konsumpcji jak największej części wyprodukowanej energii we własnym gospodarstwie domowym, a nie przekazywania jej do sieci, traktowanej do niedawna (niesłusznie zresztą) jako tani magazyn energii. Aby jak najlepiej dobrać wielkość instalacji, trzeba odpowiedzieć na kilka pytań. Ile wynosi roczne zużycie energii elektrycznej w gospodarstwie domowym? Jaki jest rozkład tego zużycia w ciągu doby i czy możemy go nieco zmienić, na przykład podgrzewając wodę w czasie, gdy produkcja prądu z fotowoltaiki jest najwyższa, a konsumpcja niska, bo dom stoi pusty? Czy używamy bądź planujemy zainstalować pompę ciepła lub kupić samochód elektryczny (to zdecydowanie zwiększy

nasze potrzeby energetyczne)? Jakie jest umiejscowienie nieruchomości względem stron świata oraz jakie nachylenie ma część dachu przeznaczona pod budowę instalacji?

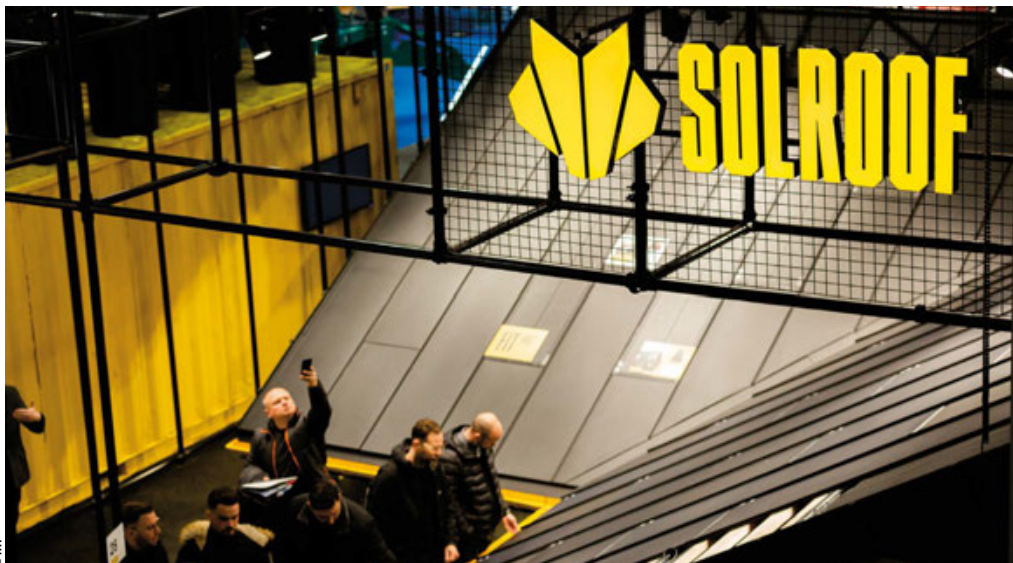
Istotne są też nasze możliwości finansowe, czyli środki, jakie możemy przeznaczyć na fotowoltaikę bez zbytniego obciążania budżetu domowego. Pamiętajmy, że panele to nie gadżet, ale przede wszystkim sposób na obniżenie rachunków za prąd. – *Za górną granicę rozsądnej wielkości instalacji należy uznać produkującą tyle energii rocznie, ile planujemy zużywać w początkowym okresie jej eksploatacji. Produktowność instalacji PV będzie się różnić w zależności od miejsca i jej ulokowania względem stron świata, ale dla uproszczenia możemy założyć, że 1 kW instalacji w ciągu roku pozwoli wytworzyć 1000 kWh energii elektrycznej. W przypadku doboru instalacji produkującej w cyklu rocznym mniej więcej tyle, ile gospodarstwo domowe zużywa, jedynie ok. 30 proc. energii skonsurowane zostałoby na miejscu, zaś reszta zostałaby sprzedana do sieci. Przy zmniejszeniu instalacji o połowę, a innych czynnikach niezmiennych, stopień autokonsumpcji wzrósłby już do ok. 60 proc.* – wyjaśnia Krzysztof Kalinowski, ekspert Instytutu Energetyki Odnawialnej.

PIENIĄDZE CZEKAJĄ

Niezmiennie możemy liczyć na dofinansowanie inwestycji w fotowoltaikę, także w przypadku wyboru dachu zintegrowanego z panelami. W kwietniu ruszyła kolejna, piąta już edycja programu Mój Prąd. Kiedyś koncentrował się on głównie na instalacjach fotowoltaicznych, dzisiaj jest dużo bardziej kompleksowy (obejmuje także pompy ciepła i magazyny energii), jednak wciąż najczęściej osób składających wnioski chce wykorzystać dofinansowanie na zakup i montaż paneli. Zgodnie z wytycznymi Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej maksymalna wysokość dopłaty w przypadku zakupu tylko paneli fotowoltaicznych to 6 tys. zł (lecz nie więcej niż 50 proc. kosztów inwestycji). Kwota ta rośnie aż do 16 tys. zł, gdy równocześnie zainwestujemy w magazyn energii. Odrębne 3 tys. zł są dostępne na dofinansowanie systemu zarządzania energią, a 5 tys. zł na magazyn ciepła.

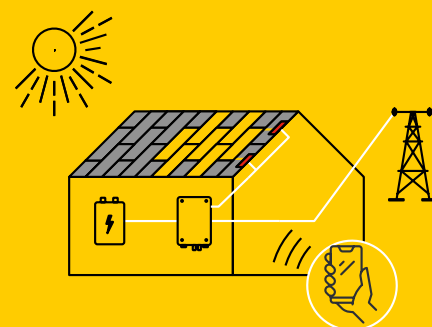
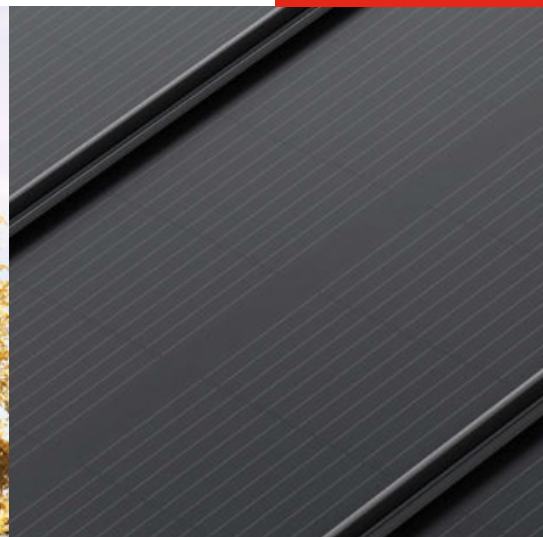
Właśnie magazyn energii czy ciepła to rozwiązania, którymi warto uzupełnić szczególnie instalacje fotowoltaiczne o większej mocy. Jest tak przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, warto jak największą część produkowanej energii zużywać na własne potrzeby, zamiast najpierw oddawać ją do sieci, a potem pobierać w ramach rozliczeń z operatorem. Po drugie, popularność przydomowych instalacji ma coraz częstszy skutek uboczny w postaci ich odłączania od sieci w porze największego nasłonecznienia, czyli najbardziej intensywnej produkcji zielonej energii. To sytuacja awaryjna, mająca stabilizować pracę systemu energetycznego zwłaszcza w miejscach, gdzie sieci nie zostały dotąd zmodernizowane. Kto dysponuje własnym magazynem, ten nie musi się martwić takimi obowiązkowymi wyłączeniami instalacji. Zielony prąd tak łatwo nie zostanie u niego zablokowany.

CEZARY KOWANDA



ZINTEGROWANY DACH FOTOWOLTAICZNY

POWERED BY



Zeskanuj kod lub dowiedz się więcej na www.solroof.eu



CO TO JEST SOLROOF?

Modułowy zintegrowany dach fotowoltaiczny SOLROOF to nowa jakość, która oferuje architektom nieograniczone możliwości projektowe, dekarzom łatwą i szybką instalację, a inwestorowi wyjątkowy efekt wizualny, wydajność i bezpieczeństwo użytkowania. Uzyskujemy to poprzez zastosowanie jednego produktu, jednego montażu, jednej gwarancji oraz jednego serwisu.



Atrakcyjny wygląd



Spójność formy



Jeden system



Maksymalna wydajność



Jedna gwarancja

THE POWER OF ROOFS



Pompy ciepła – ogrzewanie przyszłości

POMPY CIEPŁA SPRAWDZAJĄ SIĘ SZCZEGÓLNIIE DOBRZE W PRZYPADKU BUDYNKÓW, KTÓRE SAME WYTWARZAJĄ ENERGIĘ ELEKTRYCZNĄ, ALE NIE TYLKO. URZĄDZENIA TE STOPNIOWO PRZEJMUJĄ SEKTOR OGRZEWANIA BUDYNKÓW, ZARÓWNO NOWYCH, JAK I MODERNIZOWANYCH.



© MP (2)

Przyszłość zielonego ogrzewnictwa rozgrywa się już teraz. Według danych Europejskiego Stowarzyszenia Pomp Ciepła (EHPA), zebranych z 16 rynków europejskich*, w 2022 r. sprzedano rekordową dotychczas liczbę prawie 3 mln pomp ciepła. Przełożyło się to na wzrost sprzedaży tych urządzeń w Europie o prawie 38 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Jak informuje Port PC, także w Polsce miniony rok na rynku pomp ciepła był bardzo intensywny – w stosunku do 2021 r.

odnotowano 130-proc. wzrost sprzedaży tych urządzeń na potrzeby zaopatrzenia w ciepło budynku. Oznacza to, że niemal co trzecie urządzenie sprzedane w Polsce do ogrzewania budynków było pompą ciepła! Zainteresowanie urządzeniami bazującymi na odnawialnych źródłach energii (OZE) w kolejnych latach wciąż będzie utrzymywało się na wysokim poziomie. Wojna za naszą wschodnią granicą przyspieszyła to co nieuniknione – transformację energetyczną Europy i dekarbonizację

ogrzewnictwa. W tych procesach ogromną rolę przypisuje się właśnie pompom ciepła. Zostały one uznane za kluczowe rozwiązanie dekarbonizacyjne w ogrzewaniu budynków w głównych strategiach Europejskiego Zielonego Ładu, czyli w unijnym pakiecie inicjatyw dotyczących integracji sektora energetycznego i sektorowej strategii budynkowej, tzw. Fali Renowacji. Trwająca transformacja energetyczna bazująca na OZE i wysokoefektywnych pompach ciepła w połączeniu ze zwiększeniem efektywności energetycznej budynków

przyniesie korzyści na wielu polach. Zapewni bezpieczeństwo energetyczne odbiorcom, redukcję emisji zanieczyszczeń i poprawę jakości powietrza. Przyczyni się także do poprawy komfortu użytkowego mieszkańców budynków i przyniesie realne oszczędności na kosztach ich utrzymania.

DLA KOGO POMPY CIEPŁA?

Pompy ciepła zapewniają ekologiczne, ekonomiczne i bezobsługowe ogrzewanie pomieszczeń oraz



Galmet
energia odnawialna



PREMIERA

NAJNOWSZA GENERACJA

POWIETRZNYCH POMP CIEPŁA DO NOWYCH I MODERNIZOWANYCH BUDYNKÓW

» AIRMAX³ 5-14GT

Airmax³ - najnowsza generacja powietrznych pomp ciepła do nowych i modernizowanych budynków. Nowy Airmax³ łączy zaawansowaną technologię i wyjątkową wydajność z ponadczasowym designem i klasyczną formą. Airmax 3. generacji to ekologia, wydajność oraz komfort na niespotykanym dotąd poziomie zarówno w zakresie ogrzewania jak i chłodzenia budynku.

 **Produkujemy w Polsce**

www.galmet.com.pl

przygotowywanie ciepłej wody użytkowej zarówno w przypadku nowo powstających, jak i modernizowanych budynków. Nowe budynki, dzięki ograniczonemu przepisami zapotrzebowaniu na ciepło oraz możliwości bezproblemowego zastosowania niskotemperaturowych instalacji grzewczych, stanowią dobrą bazę dla efektywnej pracy pomp ciepła, zapewniającej niskie koszty ogrzewania. W przypadku modernizowanych budynków kluczem do tego jest kompleksowość działań – ograniczenie strat ciepła poprzez termomodernizację oraz odpowiedni dobór pompy ciepła. Dostępne na rynku rozwiązania pozwalają zrealizować modernizację systemu grzewczego z pompą ciepła bez konieczności przechodzenia na ogrzewanie podłogowe. Dzięki temperaturze na zasilaniu do +70°C pompy przeznaczone do modernizacji mogą współpracować z istniejącymi grzejnikami, co znacznie usprawnia przebieg prac modernizacyjnych i pozwala zredukować związane z tym koszty.

Technologia pomp ciepła jest kluczowa dla niezależnienia się od paliw kopalnych nie tylko w budynkach jednorodzinnych. Ograniczenie zapotrzebowania na energię i przejście na OZE jest

konieczne także w przypadku budynków wielorodzinnych i obiektów przemysłowych, gdzie również istnieje znaczny potencjał zmian.

POMPA CIEPŁA Z FOTOWOLTAIKĄ

Optymalizację kosztów ogrzewania, ograniczenie zużycia paliw kopalnych oraz bezpieczeństwo energetyczne umożliwia również zastosowanie układów hybrydowych, czyli łączących w jednym systemie różne dostępne technologie. Jednym z takich układów jest współpraca pompy ciepła z instalacją fotowoltaiczną (PV). Rozwiązanie to jest opłacalne zarówno ze względów ekologicznych, jak i finansowych. Dzięki zasilaniu pompy ciepła energią wytworzoną z promieniowania słonecznego pracuje ona w 100 proc. ekologicznie. Instalacja hybrydowa pozwala również zredukować koszty zakupu energii elektrycznej z sieci oraz koszty ogrzewania. Co ważne, energia wyprodukowana przez fotowoltaikę może zasilać pompę ciepła nie tylko w sezonie grzewczym, ale również poza nim. Wykorzystywana na potrzeby chłodzenia pomieszczeń latem, realizowanego przez pompę ciepła, pozwala znacznie ograniczyć wydatki ponoszone na ten cel.

Układ hybrydowy z PV w sezonie grzewczym

Marcin Ponarski, Akademia VISSMANN – wykładowca

Pompy ciepła, mimo że są wysokosprawnymi urządzeniami wykorzystującymi jako źródło ciepła darmową energię zawartą w otoczeniu, do swojej pracy potrzebują energii elektrycznej. Z tego względu opłacalne jest uzupełnienie układu o instalację fotowoltaiczną, która dostarcza darmowej energii do zasilania pompy ciepła. Obecny system dopłat do energii elektrycznej nie jest wprawdzie tak korzystny jak ten oferowany jeszcze na początku zeszłego roku, mimo to instalacja PV nadal może znacząco obniżyć koszty zakupu energii elektrycznej od operatora. Aby zagwarantować najwyższy współczynnik wykorzystania energii elektrycznej wytworzonej przez instalację PV na potrzeby własne, zaleca się zastosowanie układu magazynującego. Taki układ przechowa nadprodukcję prądu w ciągu dnia, by oddać ją nam nocą, gdy zapotrzebowanie pompy ciepła na energię elektryczną w ciągu doby jest największe.

Dzięki pozyskiwanej za darmo energii z instalacji PV pompa ciepła może również zapewnić w tym czasie praktycznie bezkosztowe ogrzewanie wody użytkowej.

WSPARCIE FINANSOWE

Do wzrostu zainteresowania bezemisyjnymi systemami, do których zaliczają się pompy ciepła oraz instalacje fotowoltaiczne, przyczyniają się m.in. programy wsparcia, dzięki którym rozwiązania te znajdują się w zasięgu finansowym praktycznie każdego konsumenta. Ważnym programem, oferującym dofinansowanie do zakupu i montażu pomp ciepła na poziomie do 30 proc. lub do 45 proc. kosztów kwalifikowanych (dla osób fizycznych posiadających kartę dużej rodziny) w nowych budynkach jednorodzinnych o zwiększonym standardzie energetycznym (czyli o wskaźniku energii pierwotnej nieodnawialnej EP<55 kWh/(m² rok)), jest program Moje Ciepło.

Właściciele i współwłaściciele istniejących budynków, którzy planują wymianę tzw. kopcucha na pompę ciepła (a także termomodernizację domu oraz m.in. montaż instalacji fotowoltaicznej), mogą skorzystać z programu

dofinansowania Czyste Powietrze. Oferuje on dotacje nawet do 135 tys. zł (najwyższy poziom dofinansowania przy kompleksowej termomodernizacji). Poziom dofinansowania uzależniony jest od wysokości dochodów beneficjenta.

Właściciele mieszkań w budynkach wielorodzinnych planujący wymianę starego kotła na pompę ciepła mogą ubiegać się o dofinansowanie nawet do 37,5 tys. zł na lokal z programu Ciepłe Mieszkanie. Jest on skierowany do gmin, ale jego odbiorcami końcowymi są osoby fizyczne. Wysokość dotacji – podobnie jak w programie Czyste Powietrze, jest uzależniona od dochodów wnioskodawcy.

Decydując się na urządzenie grzewcze bazujące na OZE oraz instalację PV, można ubiegać się o dofinansowanie również z programu Mój Prąd 5.0. Obok fotowoltaiki oraz magazynów energii i ciepła oraz HEMS/EMS od tego roku współfinansuje on również pompy ciepła i kolektory słoneczne c.w.u. Dofinansowanie na pompy ciepła w programie Mój Prąd 5.0 będzie mogło wynieść nawet do 28,5 tys. zł.

BEATA AUGUSTOWSKA

* Austria, Belgia, Czechy, Dania, Finlandia, Francja, Hiszpania, Holandia, Niemcy, Norwegia, Polska, Portugalia, Słowenia, Szwajcaria, Wielka Brytania, Włochy.

Kiedy sprawdzi się pompa ciepła?

Mirosław Lewicki, kierownik Działu Marketingu GALMET

Pompa ciepła może być zainstalowana w każdym budynku. Zarówno w domu jednorodzinnym, dużym obiekcie użyteczności publicznej, jak i przemysłowym. Kluczowe dla kosztów zakupu, montażu oraz użytkowania pompy ciepła jest zadbanie o odpowiednią termomodernizację budynku, której celem powinno być ograniczenie strat ciepła do minimum. Sytuacja jest prostsza w przypadku nowo budowanych budynków, gdzie przepisy narzucają ich energooszczędność. W starszych budynkach zmniejszenie strat ciepła uzyskamy dzięki termomodernizacji. Składa się na nią m.in. ocieplenie ścian zewnętrznych, stropu i dachu, wymiana stolarki okiennej i drzwiowej, modyfikacja instalacji grzewczej. Im mniejsze straty ciepła, a tym samym mniejsze zapotrzebowanie na ciepło, tym mniejszej mocy, a więc i tańszej, pompy ciepła będziemy potrzebować do ogrzania danego budynku. Mniejsze zapotrzebowanie na ciepło oznacza też realnie niższe koszty ogrzewania.

Wystarczy zainstalować

innovacyjna
cicha
niezawodna

R32
LOW GWP



Ekologiczny
czynnik
chłodniczy R32

Nowa generacja pomp ciepła powietrze-woda Vitocal typu Split

Pompy ciepła nowej generacji Vitocal przystosowane są do maksymalnego wykorzystania energii elektrycznej pochodzącej z instalacji fotowoltaicznej. Nowa pompa ciepła Vitocal 200-S typu Split szczególnie polecana jest do nowych, energooszczędnych budynków. Innowacyjny układ hydrauliczny Hydro AutoControl zapewnia szybki i łatwy montaż. Wyjątkowo ciche jednostki zewnętrzne przekonują atrakcyjnym wzornictwem.

Odkryj przyszłość pomp ciepła z Vitocal 200-S:
viessmann.pl/vitocal

VIESSMANN



for our climate



Portret rodziny Sieniawskich. Mężczyźni w żupanach i kontuszach, kobiety w sukniach o kroju zachodnim, obraz z pocz. XVIII w.

W kontuszu i bez pludrów

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: – **Pani książka „Czas żupanów, czas czechmanów” to lektura obowiązkowa dla kostiumologów i podręcznik dla rekonstruktorów. Bo chociaż strój polski znany jest nieźle z ikonografii i tekstów, pani badania w kryptach zrewidowały pewne rzeczy.**

MAŁGORZATA GRUPA: – Dzięki nim wiemy, że ewolucja stroju nie była tak uporządkowana jak przedstawiają to historycy sztuki. Weźmy taką stójkę przy szyi w żupanach – według kostiumologów do połowy XVII w. była wysoka, a potem zastąpiła ją niska. Tymczasem my w krypcie kościoła św. Trójcy w Byszewie natrafiliśmy na żupan z drugiej połowy XVIII w., który ma mocno rozchyloną ośmiocentymetrową stójkę.

Może zmarły był staromodny albo odziedziczył stroje po przodkach?

Dziedziczenie to jedno, umiejętności, przyzwyczajenia i otwartość na nowości krawców – to drugie. Trzeba też brać pod uwagę nawracające mody, dlatego najlepiej będzie, jeśli przyjmiemy, że wysokość stójek przy żupanach była po prostu zmienna.

O tym, jak ubierali się obywatele I Rzeczypospolitej za życia i po śmierci, opowiada dr hab. Małgorzata Grupa.

Odkryliśmy też wyraźną dominację żupanów w XVII w. oraz wzrost popularności czechmanów w XVIII w. Zmiana wiązała się z rosnącym zapotrzebowaniem na tańszy ubiór. Zdobiące żupany guzy często wysadzano drogimi kamieniami. Z moich obliczeń wynika, że te 18 do 32 guzików stanowiło nawet połowę wartości stroju. W czechmanie zapięcia – czyli haftki lub knefle wykonane ze sznurka jedwabnego – były ukryte, co znacznie obniżało koszt stroju. Co więcej, jego krój miał tę zaletę, że poję zapinano na ramieniu, dzięki czemu podczas dosiadania konia czy walki przód się nie rozrywał, co często zdarzało się w żupanach – przy gwałtowniejszych ruchach gubiono cenne guziki. Zmiana ta nie była do wyłapania w tekstach, ponieważ w testamentach dla jednego i drugiego stroju używano nazwy żupan.

Podczas gdy my nosiliśmy kontusze, żupany i czechmany, na Zachodzie królowały atlasowe pludry i zdobione koronkami wamsy.

W średniowieczu wszyscy w Europie nosili pod pancerzami długie tuniki przewiązane pasem. Na Zachodzie w XV w. zaczęto



Władysław Waza w wamsie, XVII w.



Guzy ozdobne.

Żupan Stanisława Żółkiewskiego, przełom XVI i XVII w.



Pas kontuszowy z manufaktury radziwiłłowskiej, przełom XVIII i XIX w.



Janusz Radziwiłł w żupanie, XVII w.

je skracać, aż powstał wams, krótki kaftan z charakterystyczną baskinką opadającą na biodra. Do niego wkładano szerokie spodnie do kolan, zwane pludrami, oraz opinające łydkę jedwabne pończochy. Męskie nogi były zazwyczaj wygięte w pałąk od jazdy końskiej i powszechnie dotykającej zamożnych krzywicy, ale i tak umięśnioną łydkę ceniono sobie wyżej niż przystojną gębę.

Czy tych krzywizn nie maskowała cholewka?

Jeśli była wysoka, to trochę tak, ale w końcu XVI w. weszły półbuty i trzewiki zdobione klamrami wysadzonymi kamieniami szlachetnymi i jedwabnymi wstążkami. W przeszłości wszystkie nowinki modowe, czyli wszelkie koronki czy hafty, najpierw trafiły do mody męskiej, zanim zagościły w strojach damskich. Tym samym zmiany w stroju panów były znacznie częstsze. A zatem pludry były raz szersze, raz węższe, dłuższe lub krótsze, do tego odpowiednio buty na obcasach.

Według jednych obcas miał sprawić, żeby podeszwa buta nie ślizgała się w strzemienu. Według drugich miał po prostu dodać wzrostu. Które wytłumaczenie jest poprawne?

To drugie – chodziło o to, by się lepiej prezentować, tym bardziej że obcasy pojawiają się w męskim ubiorze dworskim. Wykonywano je najczęściej z drewna i obciągano skórą. Od XVII w. obcasy malowano na czerwono, co było znakiem wysokiego statusu, ►



Portrety szlacheckie. Od lewej: Stanisław Krasieński w żupanie i okryciu z futra bez rękawów, Mikołaj Woroniecki w żupanie z kwiecistego adamaszku i okryciu podbitym czarnym futrem, Piotr Krasuski z jasnym czechmanie i odzieniu wierzchnim stylizowanym na kontusz.

Słowniczek

Czechman – strój z przodu dwudzielny, z krytym zapięciem. Część przednia z pętelkami była poszerzona niewidocznymi trójkątami, zapinanymi najczęściej pod spodem prawej części odzieży na guzik lub haftkę. Zazwyczaj zapięcie było w okolicach przeciwnego ramienia, co pozwalało na utrzymanie ciężkiego fragmentu odzieży na miejscu.

Delia – męska szata z szerokimi rękawami, z przodu dwudzielna, często podbita futrem, modna w XVI w. i pierwszej połowie XVII w. Noszona normalnie lub narzucona na ramiona z kołnierzem, czasami

opadająca do połowy pleców, oraz zapięciem na guzy lub pętlice.

Kontusz – symbol polskiego stroju aż po XX w. – to wierzchni kaftan z krojem pleców przechodzącym od linii stanu w długi prostokąt poszerzający się ku dołowi, do którego doszywano kłoszowo skrojone boki lub trójkątne kliny. Rękawy zazwyczaj rozcięte od pachy do łokcia, zwisały luźno lub zarzucano je na plecy. Często podbite futrami kontusze zapinano do pasa na guziki szmuklerskie.

Pasy kontuszowe – długie (często powyżej 4 m) wzorzyste tkaniny jedwabne, półjedwabne, lite i półlite ze szlacczkami, obramieniami i doszywaną frędzlą. Wzornictwo uzależnione od miejsca i warsztatu.

W Polsce zaczęto je produkować od lat 40. XVIII w. (m.in. Stanisławów, Słuck, Grodno, Kobyłka, Kraków, Gdańsk).

Pasamon – gładkie lub wzorzyste wyroby włókiennicze z jedwabiu, wełny, lnu lub konopi.

Żupan – noszono go samodzielnie jako strój wierzchni lub pod kontuszem. Szyto go z wełny, lnu i jedwabiu. Góra była dopasowana, a od pasa rozkłoszowana. Rękawy u góry szerokie, od łokcia zwężające się do mankietów. Kołnierz był różnej wysokości – od małej, zaokrąglonej stójki do rozchylającego się kołnierza. Przód zapinano na małe guziki.

Na podstawie „Czas żupanów, czas czechmanów”.

► więc miał je podczas koronacji Ludwik XIV, a u nas nosił August II Mocny. W butach z czerwonymi obcasami i wysokimi cholewami pochowano opatki w klasztorze w Szprotawie. Zapewne dlatego, że kobiety te pochodziły z zamożnych rodzin, a w klasztorze panował ziąb, ale gdybym nie znalazła ich na szkieletach kobiet, w życiu nie pomyślałabym, że to damskie obuwie.

Buty z cholewami to ważny element stroju polskiego, którego wzorce pochodzą ze wschodu. Czy jest on bezpośrednim eksportem z Turcji czy przybył do nas via Węgry?

Często trudno wskazać pierwotne źródło danego rozwiązania krawieckiego. Szamerunki, układy bogatych pasamonów i ozdobnych guzów wydają się pomysłem węgierskim, ale nosili je też sułtani tureccy. Musimy pamiętać, że ogromną rolę w podpatrywaniu pomysłów modynych odegrało spotkanie się rycerzy służących w różnych armiach. Z tym że nam zdecydowanie bardziej spodobają się kroje wschodnie, co doprowadziło do tego, że w XVI w. doszło do pewnej standaryzacji stroju polskiego. Później w czasach wojen ze Szwecją nienawiść do ubioru zachodniego była tak wielka, że polscy żołnierze w okolicy Gniewu w 1635 r. pobili Krzyckiego, dworzanina i pokojowca króla Władysława IV,

za to, że był ubrany w wams i pludry.

To kiedy pojawiła się u nas większa przychylność dla strojów zachodnich?

W XVIII w., gdy na tronie zasiadali Wettynowie. Ale nadal jeśli jakiś magnat zostawał hetmanem, to wciskał się w żupan i kontusz, bo wojsko polskie nie słuchałoby rozkazów przywódcy w stroju à la Ludwik XIV. Choć ubiór zależał też od sytuacji, dlatego mieszczanie, a zwłaszcza dyplomaci ubierali się na modłę zachodnią, gdy jechali na dwory zachodnie, a wkładali kontusze, podróżując po Rzeczpospolitej. W takich przypadkach strój miał polityczne znaczenie.

Kto szył żupany i kontusze?

Krawcy niemieccy, którzy szyli stroje zachodnie i polskie, albo polscy, którzy mieli zakaz szycia strojów zachodnich. Ci ostatni długo walczyli o wyłączność na szycie żupanów, ale pech chciał, że dostali je, gdy zaczęły wychodzić z mody. Można też było zamówić kontusz czy żupan u „partacza”, czyli rzemieślnika niezrzeszonego w żadnym z cechów krawieckich. Wielu z nich było świetnych w swoim fachu, ale nie znamy żadnego z nazwiska.

Znane były za to pasy kontuszowe ze Słucka.

Wspaniałe tekstylne pasy odegrały ważną rolę w przemianie stroju polskiego. W XVII w. dominowały kwieciste kontusze, do których zakładano pasy jednobarwne. Ale w początkach XVIII w. weszły wielokolorowe kwieciste pasy perskie i tureckie, a te wymusiły monochromatyczny strój, na którym znacznie lepiej się prezentowały. Pasy nie mogły przeszkadzać w dosiadanu konia czy szermierce, więc na pewno nie były zbyt szerokie czy składane wielokrotnie. Potwierdzają to źródła archeologiczne. Wszystkie znalezione w grobach pasy były przycięte w ramach oszczędności do 10–13 cm i złożone na dwa, choć należy pamiętać, że odzież grobowa różniła się od tej noszonej za życia.

Co najlepiej zachowało się w kryptach?

Zdecydowanie jedwabie, co sprawia, że znamy tylko część ubioru grobowego, bo reszta wykonana była z wełny i lnu. W kryptach kościoła NMP w Szczuczynie dzięki doskonałej wentylacji zachowały się wszystkie rodzaje tkanin i na tej podstawie możemy powiedzieć, że stroje z jedwabiu stanowiły ok. 30 proc. odzieży, a w zimie jeszcze mniej.

Czyżby zmarłych w ziemie chowano w wełnie, aby nie zmarzli w drodze do nieba?

Najwyraźniej, bo na głowach mają czasami po dwie czapki – szlafmycę i ocieplaną z aksamitu lub adamaszku. Do tego ciepłe buty, są okutani w podbijane watoliną kontusze i dodatkowo jeszcze wkładano im lniane spodnie, podczas gdy zmarłych latem chowano w lekkich kontuszach z dwiema lnianymi koszulami pod spodem. Co ciekawe, czasami chowani byli tylko w koszulach, identycznych dla obu płci i podobnie zdobionych, więc tylko na podstawie stroju czasami trudno byłoby stwierdzić czy w danej trumnie leży mężczyzna czy kobieta.

Czy kobiety chowano też w sukniach?

Też, ale na 80 męskich strojów mamy zaledwie 13 sukienek. Krój sukien nie zmieniał się od końca renesansu do XVIII w. Każda suknia składała się z przylegającej góry i szerokiego dołu, różnice są tylko w szczegółach – np. ostatnio znaleziona suknia Anny Wejher z Mortęskich (zm. po 1605 r.) w Pucku ma wysoki kołnierz i usztywnione mankiety w stylu Elżbiety I. W XVII w. moralisci utyskiwali, że kobiety chodzą prawie nago, bo mają tak duże dekolty, ale tych akurat w odzieży grobowej nie ma. Przykładem jest grób księżnej Zofii Lubomirskiej z Opalińskich w Końskowoli. Na nagrobku widzimy piękność w sukni z dekoltem opadającym na ramiona, a w trumnie leży garbuska, a więc wszystkim, co nosiła, musiało mieć specjalny krój. Poza tym zmarłym kobietom nie wkładano gorsetów ani halek, bo te ostatnie po prostu nie zmieściłyby się w trumnach. Mężczyzn nigdy nie chowano w zbrojach, chociaż na portretach i nagrobkach tak zazwyczaj ich przedstawiano. Bardzo ważnym odkryciem w kryptach w Szczuczynie jest lniana bielizna – szlafmyce, koszule i przylegające gacie. W baroku higiena polegała na zmienianiu bielizny, a ponieważ z testamentów wiemy, że taki Branicki czy Potocki mieli po 90 i więcej koszul, to jak na ówczesne standardy można ich nazwać czyściochami.

Która z przebadanych przez panią krypt była najważniejsza?

Właśnie Szczuczyn, w którym zachowało się pod prezbiterium ok. 60 kompletnych strojów z XVIII i XIX w. Jakość tekstyliów w innych kryptach była znacznie gorsza, przy czym były to niemal same jedwabie. Najstarsze nadające się do pełnej rekonstrukcji stroje archeologiczne to wspomniana suknia Anny Wejher z Pucka oraz żupan i delia jej zmarłego w 1598 r. męża Ernesta. Wszystkie wcześniejsze tkaniny to maleńkie strzępki.

Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak były one drogie i pożądane. Do czasów wypraw krzyżowych wstążeczka z jedwabiu kosztowała tyle, co żelazny hełm, kolczuga i miecz z opasaniem. U nas nie było jedwabnictwa, ale produkowali śmy len i wełnę. Jakiej były jakości?

Różnej. Znamy nazwy przynajmniej 40 rodzajów lnu, których jakość zależała od tego, jak były obrabiane włókna. Niektóre z nich są tak delikatne, że można je pomylić z jedwabiem. Z wełną jest inna historia – podczas wędrówek ludów w V–VII w. kolejne przechodzące przez Europę grupy łupieżców zjadały najlepsze owce, pozostały te z kiepskim runem. Długo hodowano więc na terenach ziem polskich prymitywne gatunki tych zwierząt, a merynosy czy szetlandy trafiły do Rzeczypospolitej dopiero w końcu XVII w. Z drugiej strony od średniowiecza eksport wełny na Zachód był masowy i z analiz wynika, że niektóre tkaniny wykonane na Zachodzie są z naszej wełny. Na tkaninach i nowinkach modowych robiło się ogromne biznesy, dlatego sami władcy interesowali się sukiennictwem i jedwabnictwem albo otwierali przynoszące ogromne zyski zakłady produkujące koronki.

O tym, jak cenne były materiały, świadczą składające się głównie z tekstyliów posagi czy testamenty, w których potopnym zapisywane są koszule, ręczniki, obrusy czy żupany. Poza tym tkaniny były stale naprawiane, łatane, skracane i ponownie używane.

W przeszłości świat był oparty na second handach, co dotyczyło nie tylko tkanin, ale też metalu czy skóry. Dlatego skup starych ciuchów, gałganów i łachmanów istniał od zawsze. Gdy masowo zaczęto wytwarzać papier, którego produkcja opierała się na starych szmatach, wprowadzono wręcz edykty zabraniające ich wywożenia z kraju. Ludzie byli w przeszłości znacznie bardziej praktyczni, niż nam się dziś wydaje.

Mamy skłonność do takiego myślenia, że rozwój technologiczny przynosi korzyści i udogodnienia. A jak było w przypadku produkcji ubiorów?

Na odwrót. Można powiedzieć, że maszyna do szycia jest winna, że mamy kiepskie ubrania, bo szycie ręczne było bardziej precyzyjne. Proces spadania jakości strojów zaczął się już wcześniej wraz z pojawieniem się pierwszych manufaktur, w których bardziej opłacało się produkować masową tandetę, a nie wysokojakościową odzież na rozmiar. Wprowadzenie nowych technologii sprawiło, że stroje stały się nudne, niezdobione, źle uszyte. Książd Longin Żarnowiecki pod koniec XIX w. napisał, że hafciarstwo kościelne zamarło przynajmniej na 150 lat, choć benedyktyнки żarnowieckie i wiele innych klasztorów żeńskich utrzymywało się z haftowania szat liturgicznych i haftów świeckich. Dziś, gdy pytam zakonnice, czy umieją haftować, są zdziwione i oburzone, a to była podstawa ich egzystencji w renesansie i baroku.

A pani haftuje rekonstruowane przez siebie suknie?

Oczywiście, choć daleko mi do mistrzyń z przeszłości. Dzięki temu, że sama szyłam kopie, zrozumiałam, jak praktyczne były dawne rozwiązania. Na przykład kobiety nosiły wiele halek dlatego, że spódnica, która miała na dole nawet 6 m w obwodzie, była strasznie ciężka, a liczne halki rozkładały ciężar grubej tkaniny tak, że nie obciążała kręgosłupa i bez problemu można w niej było chodzić cały dzień, a wieczorem jeszcze tańczyć na balach.

Ale chyba nie obroni pani gorsetu.

Dlaczego? Wszystko jest kwestią jego uszycia i zabezpieczenia kantów. W replice sukni z XVI w. mam gorset z szeroką halką tak wygodny, że bez problemu prowadzę w niej samochód.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



Dr hab. Małgorzata Grupa z Uniwersytetu

im. Mikołaja Kopernika w Toruniu jest archeologką, konserwatorką i badaczką historycznych tekstyliów.

Zajmuje się rekonstrukcją strojów polskich. Jej najnowsza książka „Czas żupanów, czas czechmanów” powstała na podstawie badań w ponad 30 kryptach.

Nagrody Historyczne **POLITYKI** od 1959

NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI 2023 ZA ROK 2022

Poniżej prezentujemy nominacje w kategoriach: Pamiątniki i Źródła. Za tydzień zapraszamy do zapoznania się z nominacjami za Prace naukowe, Prace popularnonaukowe oraz Debiuty. Laureatów Nagród Historycznych za rok 2022 ogłosimy w numerze POLITYKI ukazującym się 17 maja w kioskach i na polityka.pl/nagrodyhistoryczne.

KATEGORIA **PAMIĘTNIKI, RELACJE, WSPOMNIENIA**

Szulim Keselman,
Wspomnienia ocalonego.
Wołyń 1941–1944,
pod redakcją
Katarzyny Pawlak-Weiss,

Institut Pamięci Narodowej,
Wrocław–Warszawa 2022



Porządnie opracowane i edytowane wspomnienia Szulima Keselmana, który od czerwca 1941 r. do kwietnia 1944 r. – a więc w okresie, gdy na Wołyniu trwała planowana i realizowana przez Niemców eksterminacja Żydów – próbował jakoś przeżyć. Udało mu się dzięki pomocy miejscowych Polaków i Ukraińców. Ta dramatyczna i heroiczna epopeja jest zarazem świadectwem zbrodni, która uderzała w bliskich bohatera opowieści, w sąsiadów, w ogóle w całą społeczność żydowską. Relacji tego typu i tej wagi z terenów Wołynia dotąd właściwie nie znaliśmy.

Jest ona także świadectwem złożonych relacji w trójkącie żydowsko-ukraińsko-polskim, który tworzył niezwykle kolorowy (w różnych barwach i odcieniach) świat, a który odszedł w przeszłość i już nie wróci. A istniał i trwał przez wiele pokoleń, wpisał się w dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej. Opowieść Szulima Keselmana gęsta jest od faktów, zdarzeń, realiów „wędrówki ku ocaleniu” i oczywiście też zrozumiałych emocji. To ważna książka.

WIESŁAW WŁADYKA

Stanisław Ossowski,
Dzienniki (t. I 1905–1939,
t. II 1939–1949, t. III 1949–1963),
opracowała Róża Sułek,

Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2022

„Brak wolności słowa stwarza idealne warunki dla głoszenia oficjalnych mitów społecznych” – zapisał w dzienniku kilka dni po śmierci Józefa Stalina Stanisław Ossowski, najwybitniejszy obok Floriana Znanieckiego polski socjolog. Zapiski zaczął prowadzić w 1905 r.,

zakończył niedługo przed śmiercią w 1963 r. Był socjologiem totalnym, niezadowolonym poszukiwaczem obcych krajów i wrażeń. Gdy w kwietniu 1940 r. we Lwowie wszystkich ogarnęła panika przed sowieckimi wywózkami, on z zaciekawieniem oglądał mapę ZSRR. Z zainteresowaniem wsłuchiwał się w głos opinii publicznej – także w krążące plotki, np. te z wiosny 1963 r. o oddaniu przez Polskę Niemcom Szczecina i części Śląska.

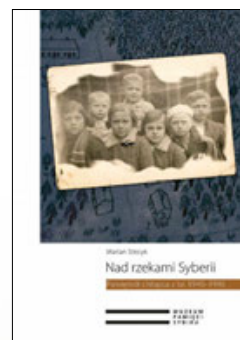
Mnie ujęła jego muzyczna wrażliwość, chodzenie, gdy tylko było to możliwe, na koncerty Bacha czy Prokofiewa. Całość opracowała edytorsko Róża Sułek, należą jej się brawa na stojąco.

MARCIN ZAREMBA



Marian Stecyk,
Nad rzekami Syberii.
Pamiętnik chłopca
z lat 1940–1946.
Krasnojarski Kraj,
redakcja i opracowanie
naukowe Sylwia Szarejko
i Marcin Zwolski,

Muzeum Pamięci Sybiru,
Białystok 2022



Armia Czerwona wkroczyła na wschodnie terytorium Rzeczypospolitej 17 września 1939 r. Już 10 lutego 1940 r. nastąpiła pierwsza deportacja obywateli polskich na Sybir. Do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, a więc do 21 czerwca 1941 r., takich fal deportacji było cztery. Szacuje się, że wywieziono w sumie ok. 370 tys. obywateli polskich. Wspomnień i relacji deportowanych zebrało

się już sporo. Dawniej przodował w tej inicjatywie Wrocław, dzisiaj pałeczkę przejmuje Białystok. Zrozumiałe: tutaj od 2021 r. udostępnione zostało publiczności Muzeum Pamięci Sybiru, które już kilka lat wcześniej rozpoczęło prace przygotowawcze, w tym naukowo-wydawnicze. Pod patronatem tego muzeum ukazały się wspomnienia Mariana Stecyka. Był synem gajowego z okolicy Brodów, liczył sobie 11 lat, gdy w pierwszej deportacji, która objęła przede wszystkim wojskowych i służbę leśną, wywieziony został wraz z rodziną w Krasnojarskie, nad Jenisej i jego dopływy. Czym w szczególności wyróżnia się opowieść Mariana Stecyka? Powiedziałbym: naiwnością narracji. W sensie najbardziej

pozytywnym. Piszący po latach autor zachował w relacji świeże i wrażliwe spojrzenie dziecka. Zdziwienia i odkrywania nowego świata. Przede wszystkim przyrody. Cierpienia i walkę o przetrwanie rodziny Stecyków, jak również innych zesłańców (a także autochtonów) można znakomicie wydedukować poprzez zdziwienia dziecka. „Tamten świat całym obrazem miałem w pamięci i taki we mnie pozostał”.

Zadziwiające, że jest to relacja pozbawiona nienawiści. A każdy dobry uczynek czy to sąsiada, czy pobratymca, czy tubylca zostaje z wdzięcznością odnotowany. Smutna książka – a przecież pogodna.

MARIAN TURSKI

KATEGORIA ŹRÓDŁA

„Osłabić tendencje emigracyjne”. Komitet Wojewódzki PZPR w Katowicach wobec wyjazdów do RFN w latach 1970–1980. Wybór źródeł, pod redakcją Bogusława Tracza,

Instytut Pamięi Narodowej,
Katowice–Warszawa 2022



Ten starannie opracowany i poprzedzony obszernym wstępem tom przedstawia 121 różnorodnych dokumentów dotyczących emigracji ponad 100 tys. ludzi. Znajdziemy w nim decyzje i sprawozdania z różnych szczebli aparatu partyjnego i milicji, odpisy listów czy niezwykle ciekawe notatki z rozmów z potencjalnymi emigrantami. Jest to nie tylko wzorowo przygotowane narzędzie dla badaczy i studentów historii Śląska i PRL, historii migracji i kwestii tożsamości narodowej czy historii rządów komunistycznych.

Wybrane dokumenty mówią również wiele o najróżniejszych aspektach życia w PRL i sposobach sprawowania władzy przez PZPR. Każdy, kto po nie sięgnie, dowie się wiele nowego o omawianym regionie, kraju i epoce. Np. pomimo antagonizmu między PZPR a Kościołem katolickim w sprawie wyjazdów na zlaicyzowany Zachód sekretarze PZPR i duchowni okazywali się całkiem zgodni.

DARIUSZ STOLA

Aurelia Wyleżyńska,
Kroniki wojenne.
T. 1: 1939–1942;
T. 2: 1943–1944,
pod redakcją
Grażyny Pawlak
i Marcina Urynowicza,

Państwowy Instytut
Wydawniczy, Warszawa 2022



Zachowane w rozproszonych fragmentach dzienniki Aurelii Wyleżyńskiej, pisarki i publicystki, przez lata znane były tylko specjalistom. W 2022 r. dzięki staraniom i ogromnej pracy edytorskiej Grażyny Pawlak i Marcina Urynowicza to wyjątkowe źródło wiedzy o okupacyjnej codzienności wreszcie trafiło do szerokiej publiczności. Ocalone przez siostrę autorki unikatowe dzienniki to zapis stanu ducha polskiej inteligencji i jednocześnie reportaż z okupowanego miasta, obserwowanego krytycznym okiem wyzwolonej inteligentki.

„Kroniki wojenne” to setki zapisków z okupowanej Warszawy. Aurelia notowała je podczas rytualnych spacerów najpierw na skrawkach papieru i serwetkach, następnie pracowicie przepisywała razem z siostrą, w ukryciu, na kartkach z powodu wady wzroku krzywo wsuwanych do maszyny do pisania. Dwa tysiące stron maszynopisu. Dwa tomy kroniki okupacji i Zagłady, bez której zapewne nie powstałoby już żadna analiza na temat stolicy czasów wojny i Holokaustu.

BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA

Nominowało Jury w składzie: dr hab. **BARBARA KLICH-KLUCZEWSKA**, prof. dr hab. **DARIUSZ STOLA**, dr hab. **BOŻENA SZAYNOK**, red. **MARIAN TURSKI**, prof. dr hab. **WIESŁAW WŁADYKA**, dr hab. **MARCIN ZAREMBA**.

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są:

zaKS
sprzyjamy wyobraźni

Dantex

ABUR
Systemy automatyki



w telewizji

Influencerka z Tricity 3/6

#BringBackAlice, reż. Dawid Nickel, 6 odc., HBO Max

Pod angielskim tytułem kryje się rodzime wydanie amerykańskich serialowych teen dram w wersji posh, z dziećmi z bogatych domów, z elitarnym prywatnym liceum,

drużyną koszykarską, czirliderkami, lokalną królową – influencerką – w centrum oraz hurtowymi ilościami tajemnic, dramatów, makijażu, używek i emotek. Ale też serialowy odpowiednik bijących

rekordy popularności polskich powieści z gatunku YA, *young adult*, których autorki też lubią angielskie tytuły i opartą na zgranych schematach akcją osadzoną w uniwersum bogactwa rodem z współczesnej „Dynastii”. Scenarzyści Marcin Kubawski, Miłosz Sakowski i Brytyjczyk Caleb Ranson oraz reżyser Dawid Nickel, który niedawno zachwyił młodzieżowym „Ostatnim komersem”, fundują widzom HBO Max profesjonalnie nakręcony w Trójmieście, pięciogodzinny wideoklip złożony z kadrów o instagramowej urodzie, kalejdoskop drogich ubrań, gadżetów i designu, modnych miejsc i zajęć. Okraszany videoblogowymi nagraniami głównej bohaterki, zaczynającymi się zwrotem „Drogie osoby” i zawierającymi złote myśli. Fabuła – kręcąca się wokół tajemniczego zniknięcia 17-letniej influencerki Alicji Stec (**Helena Englert**) podczas „top secret project” imprezy z przyjaciółmi na statku, jej równie niespodziewanego pojawienia rok później z amnezją, dziwnego zachowania jej przyjaciół oraz śledztwa prowadzonego przez Tomka (Sebastian Dela), brata dziewczyny zaginionej tego samego dnia, co Alicja, ale pozbawionej aury bogactwa i celebryctwa – jest odbiciem innych fabuł, a bohaterowie – rysowanymi grubą kreską typami. Młoda część obsady odnajduje się w tej grze kliszami i kiczem z odcinka na odcinek coraz lepiej, ich bohaterowie zyskują życie, starsza, obsadzona w epizodycznych rolach rodziców, psychoterapeutki czy policjantki nie dostaje tej szansy, ale też wydaje się w tej konwencji kompletnie zagubiona. Czy podobnie pokoleniowo uwarunkowany będzie odbiór „#BringBackAlice”?

ANETA KYZIOŁ

na ekranie

Gorzka lekcja 4/6

Braty, reż. Marcin Filipowicz, prod. Polska 2022, 82 min

Ambitny debiut pełnometrażowy Marcina Filipowicza ujawnia talent młodego reżysera do portretowania minimalistycznymi środkami bezradności pokolenia zoomerów, dzieciaków wychowywanych w przemocowych domach, pozbawionych autorytetów, zmuszonych do rozpoczynania dorosłego życia na podstawie doświadczenia wniesionego z gier komputerowych i filmów sensacyjnych. Gdzieś na obrzeżach miast życie rodzinne siedemnastoletniego idealisty i początkującego deskorolkowca oraz jego starszego brata, niespełnionego koszykarza, rozpada się po śmierci matki. Przyciśnięci przez los, pozbawieni oparcia w ojcu uciekającym przed odpowiedzialnością w narkotyki, muszą stawić czoła problemom, które całkowicie ich przerastają. „Braty” są opowieścią o przyspieszonym dojrzewaniu, trudnych wyborach, zawiedzionych relacjach, słowem: gorzkiej lekcji, jaką przedwcześnie otrzymuje się od życia. To film o straconych szansach, ale i nadziei noszącej znamiona



spychającego w otchłań tragizmu, z wiarygodnymi kreacjami odważnie sobie poczynających aktorów: **Huberta Miłkowskiego**, **Marty Stalmierskiej**, **Sebastiana Deli**. Gdyby nie zbyt czytelne nawiązania do „Paranoid Park” Gusa van Santa czy wczesnego Scorsese’go, „Braty” zasługiwałyby na jeszcze większy podziw.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



na scenie

Skazani na sukces 4/6

We Will Rock You, reż. Wojciech Kępczyński, Teatr Muzyczny Roma w Warszawie

Od londyńskiej premiery „We Will Rock You” z piosenkami Queen – przyjętego wtedy gorąco przez publiczność, lecz chłodno przez krytykę – minęło ponad 20 lat. Historia totalitarnego świata rządzonego przez korporację

Globalsoft, formatującą ludzi za pośrednictwem sieci i spychającą do katakumb zwolenników wolności i rock’n’rolla, jednocześnie się zestarzała (bo osłabiony na początku wieku rock wrócił i ma się dobrze) i stała bardziej aktualna (bo metafora w dużym stopniu się

spełniła). Szczęśliwie w opowieść o Galileo (**Maciej Dybowski**) – powstałą z ewidentnej inspiracji „Matrixem” i płytą „2112” Rush – Ben Elton wpisał sporo dystansu. To procentuje w polskiej wersji. Dzięki zgrabnemu tłumaczeniu Michała Wojnarowskiego, z odniesieniami do polskich szlagierów, rzecz okazuje się podskórną satyrą na kulturę rock’n’rolla – wielką i głośną, lecz opartą na pustych hasłach. Przeboje Queen, w których więcej dobrej zabawy niż poważnych sensów, są tu idealnym materiałem. Polska wersja błyszczy dowcipem – czasem lekko dziaderskim – wzbudza sympatię rolami kempowych czarnych charakterów (Małgorzaty Chruściel jako Killer Queen i Łukasza Zagrobelnego jako Khashoggiego), ale przede wszystkim pozwala wybrzmieć muzyce. To pełen nostalgii koncert przepakowanych w musicalową formułę przebojów. I jako taki jest u nas skazany na sukces – o ile widownia kupi ryzykowny zabieg tłumaczenia samych piosenek. Zrealizowany bez udziwnień, lecz jeśli dla gier słownych język polski jest środowiskiem idealnym, to dla piosenkowego rytmu bywa brutalny i pełen zasadzek.

BARTEK CHACIŃSKI

na scenie

W pianie słów 3/6

Jarosław Murawski, **966 czyli zmierzch bogów**, reż. Marcin Liber, Teatr im. A. Fredry w Gnieźnie

Spektakl Jarosława Murawskiego i Marcina Libera nie jest długi, a jednak zmieściło się w nim kilka opowieści. Niestety żadna z nich nie wybrzmiewa do końca, a twórcy gubią się w intencjach. W przedpremierowych zapowiedziach na pierwszy plan wybijał się wątek edukacyjny – nie znamy słowiańskiej mitologii, więc twórcy w Gnieźnie, gdzie przyjętym przez Mieszka I chrztem ją zabilismy, nam ją opowiedzą. I czynią to – dosłownie – w pierwszej części spektaklu. W drugiej jednak okazuje się, że nie do końca wiadomo po co, bo pogaństwo jest podobne do chrześcijaństwa, w centrum też stoi męski bóg, system jest patriarchalny i hierarchiczny, a mrzonki o Wielkiej Lechii są równie niebezpieczne, co o Polsce Chrystusie narodów. Mieszko I, zmieniając wiarę, najbardziej żałuje konieczności zamiany wielożeństwa na małżeństwo z brodatą i wyniosłą Dobrawą (Wojciech Siedlecki). Kabaletowych żartów jest więcej: poddani księcia negocjują 13. i 14. emeryturę, a chrystianizujący Polan przebiegły biskup Jordan (Roland Nowak) nosi adidasy Jordany. Targu o dusze Polan dobija z bogiem Welesem (**Michał Karczewski**), który staje się Szatanem,



a efektem jest polski pogański katolicyzm, z ledwo skrywanym kultem bałwanów. W finale na zalanej pianą scenie w miejscu Peruna czy Swarozycza wznosi się świebodziński Chrystus, tyle że nadmuchiwany i kłaniający się w pas. Kontrapunktem dla religijnych dywagacji mógłby być monolog Jaśkowej (Joanna Żurawska), w którym tłumaczy, że każdy z nas ma własną mitologię codzienności, nie gorszą od tych oficjalnych, i stopkiatki z życia, które mógłby powiesić, jak święte obrazki, nad łóżkiem. Jednak nie w zalewie piany słów i obrazów. AK

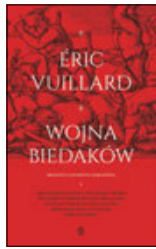
w telewizji

Od Buñuela do Almodóvara

Cykl kina hiszpańskiego, platforma streamingowa Arte.tv



Na nowo odkrywana lub nie dość znana klasyka to zawsze łakomy kąsek nie tylko dla filmoznawców. Tym bardziej nie warto przegapić starannie wyselekcjonowanej serii ośmiu arcydzieł kina hiszpańskiego z nagrodzoną Złotą Palmą w Cannes, „Viridianą” Luisa Buñuela teraz dostępną za darmo w internecie. Film przez 16 lat był zakazany w Hiszpanii, a dyrektor kinematografii, który w 1961 r. odbierał tę nagrodę, musiał się za karę udać na przedwczesną emeryturę. Nie mniej ciekawą propozycją wydaje się „Witaj nam, Mr. Marshall” Luisa Garcíi Berlangi, najpopularniejsza hiszpańska komedia wszech czasów z akcją osadzoną w Villar del Río, małym miasteczku na północy, gdzie pomimo ubóstwa całego regionu mieszkańcy w oczekiwaniu na delegację z USA podejmują wiele działań, by zrobić na gościach jak najlepsze wrażenie. W ramach cyklu można też obejrzeć m.in. dramat Juana Antonia Bardema „Niewinni”, „Duch roju” Victora Erice’a oraz zwiariowany feministyczny debiut Pedro Almodóvara „Pepi, Luci, Bom i inne dziewczyny z dzielnicy”. JW

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Bunt zwykłego człowieka 5/6

Éric Vuillard, **Wojna biedaków**, przeł. Katarzyna Marczevska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 95

Tomasz Müntzer, bohater „Walki biedaków” Érica Vuillarda (laureata Nagrody Goncourtów za „Porządek dnia”), był ewangelicznym teologiem z początku XVI w., który przeciwstawiał się reformatorskim koncepcjom Marcina Lutra. Uważał, że choć doprowadziły one do uwolnienia od katolickich dogmatów, to miały charakter jedynie przyczynkarski. Müntzer poszedł o krok dalej, stając się samozwańczym prorokiem zubożałych chłopów. Jego żarliwe przemowy – wychodzące od radykalnych odczytań biblijnych – trafiły wśród parobków na podatny grunt, wzbudzając w chłopstwie rebelianckie nastroje. Uczony egzegeta stał się ludowym trybunem i propagatorem idei równości. Efektem jego działalności stała się tytułowa wojna biedaków,



największa antyfeudalna rebelia chłopska w dziejach Niemiec. Wojna biedaków została krwawo stłumiona równie szybko, jak wybuchła. Książka Vuillarda doskonale oddaje charakter tej rebelii – jest króciutka, ale pełna emocji. Jej ton jest zapalczywy niczym mowy Müntzera i wściekły jak wzbierająca chłopska furia. No i w genialny sposób syntetyzuje problem. Vuillard przygląda się, jak reformatorskie ruchy nałożyły się na oddolne niezadowolenie społeczne, co zaowocowało krwawą rebelią. Trudno sklasyfikować tę książkę – czy to powieść historyczna? Może wręcz poemat chłopski? Przede wszystkim jest to opowieść o narastającym gniewie zwykłych ludzi. Niezwykle uniwersalna, a przez to jakże współczesna.

MACIEJ ROBERT



Jeszcze mroczniej 4/6

Robert Małecki, **Urwisko**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 456

Maria Herman i Olgierd Borewicz, ksywka Zero Siedem, wciąż badają niewyjaśnione sprawy sprzed lat. W drugim tomie najnowszego cyklu Roberta Małeckiego zawirowania służbowe i prywatne tworzą zresztą ciasny splot, bohaterowie wyciszają w pracy myśli o własnych kłopotach i nałogach. Choć okrucieństwo, z którym się mierzą na służbie,

raczej nie przynosi ukojenia i nie przysparza wielkiej wiary w ludzkość. W kryminalną zagadkę znów, tak jak w „Wiatrołomach”, uwikłane jest dziecko. Poprzednim razem Herman z Borewiczem szukali przyczyn zaginięcia dwulatka, tu jest jeszcze mroczniej – zamknięta w aucie mała Zuzia umiera z przegrzania w najgorętszy dzień roku. Matka Monika Chudzińska zapomniała o dziecku i pognęła do pracy. A przynajmniej taki scenariusz wydarzeń figuruje w aktach. Chudzińska, strauumatyzowana, uznana za winną nieumyślnego spowodowania śmierci córki, wkrótce zapada się pod ziemię. Policja podejrzewa samobójstwo i zamyka sprawę. Herman i Borewicz próbują ustalić, co zdarzyło się naprawdę. Sprawa jest nurtująca i nieoczywista. Małecki porusza czułe struny z rozmysłem, ale i z taktem. Tworzy zarazem interesujący mit słynnej bydgoskiej komórki Archiwum X. Wadzi tylko nadmiar detali, które jako didaskalia w hipotetycznym serialowym scenariuszu sprawdzałyby się nieźle, ale czytelnik może się bez nich obyć.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Między Mickiewiczem a Malewiczem 3/6

Anda Rottenberg, **Rozrzut**, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2023, s. 560

Rzeczywiście, rozrzut jest duży. Nowa książka Andy Rottenberg to zbiór tekstów pisanych w ciągu ostatnich 30 lat w bardzo różnych okolicznościach. Kuratorskie eksplikacje z katalogów wystaw sąsiadują tu z prasowymi felietonami, szersze krytyczno-artystyczne diagnozy z kilkunastozdaniowymi notatkami. Wydany ponad dekadę temu „Przeciąg” skonstruowano z podobnej materii, lecz całość miała precyzyjniej ustawiony temat: tam otrzymaliśmy portret sztuki polskiej lat 80. XX w., tym ciekawszy, że Rottenberg w opisywanych przez siebie zdarzeniach uczestniczyła na prawach ważnego gracza, wręcz rozgrywającego, ale i niezależnego obserwatora, jeszcze bez istotniejszych instytucjonalnych zobowiązań. Parę tekstów z tamtej antologii – np. „Polski barok” – powinien znać każdy, kto chce kompetentnie mówić o rodzimej sztuce w okolicach stanu wojennego. Co powinniśmy zapamiętać z „Rozrzutu”? Chyba nie tak wiele. W natłoku wątków trudno odnaleźć myśli przewodnią. Na pewno na szacunek zasługują fragmenty, z których wyłania się coś na kształt nieortodoksyjnej wizji historii sztuki nowoczesnej w Europie Środkowej i Wschodniej. Systematycznie powraca temat sztuki jako symptomu czy sposobu na przepracowanie historycznej traumy. Intryguje esej rekonstruujący związki awangardy ze środkowo-europejską ezoteryką (co łączy Mickiewicza z Malewiczem?). Szkoda, że tom nie został – choćby kosztem mniej ważnych tekstów – uzupełniony o porządniejszą dokumentację głównych projektów kuratorskich Rottenberg z lat 90. oraz dwutysięcznych. A to przecież w ramach tych wystaw autorka najwyraźniej manifestowała, co i jak myśli o sztuce.

TOMASZ PLATA

w galerii

Sen o szczęściu 4/6

A rzeki popłyną syropem z daktyli

– wystawa Ani Grzymały, Galeria Promocyjna, Warszawa, do 10 czerwca

Chcecie bajki, oto bajka... – zdaje się zachęcać artystka. Ale nie wiedzie widza w fantastyczne krainy zamieszkałe przez smoki, księżniczki, gadające kwiaty. To świat zaskakująco bliski naszemu, gdzie realizm ursynowskich blokowisk i ich mieszkańców splata się z jakąś oniryczną opowieścią o świecie wymarzonem. Albowiem to, co bajki zazwyczaj kończy, czyli zdanie „i żyli długo i szczęśliwie”, dla Grzymały jest punktem wyjścia do rozważań, czym by to szczęście miało właściwie być? Miejscem, gdzie ONR-owiec zgodnie zajada lody z drag queen, biznesmeni uważnie wstuchują się w opinie dzieci, papież podejmuje dyskurs ze zwierzętami, policjant potrafi przyznać się do błędu, a nienawiść daje się wygrzebać z głowy jak małe ziarenka zaplątane we włosach? W jej



Anna Grzymała „Ziarenka nienawiści”, 2022 r.

malarstwie groteska harmonijnie przenika się z symboliką, a nad bajkowością krainy płynącej syropem z daktyli niepokojąco wisi (choć nie jest pokazywany) świat rzek płynących śniętymi rybami. Grzymała jest bodaj najbardziej konsekwentną malarką młodego pokolenia, która poprzez sztukę nie chce opowiadać o swoich emocjonalnych problemach, ale o świecie, który ją bezpośrednio otacza. Pod pędzel bierze

sprawy poważne: globalizację, wrogość, kapitalizm, meandry polityki i sprawowania władzy, konflikty, by następnie rozbijać je metaforą i bajkowością. Swoją sztuką nie chce jednak zastępować publicystyki, ale pokazać, że płótno malarskie może być równie ważnym, choć bardzo specyficznym, miejscem służącym braniu się z rzeczywistością za bary.

PIOTR SARZYŃSKI

Trzy osoby, trzy płyty 5/6

{oh!} Trio, **Marchand, Suites**, Aparté Music

Paru jest francuskich kompozytorów barokowych o nazwisku Marchand, m.in. Louis Marchand, którego suity klawesynowe nagrała parę lat temu dla firmy DUX Ewa Mrowca. Tu mamy muzykę innego Marchanda – Josepha, który żył w latach 1673–1747 i pracował jako skrzypek królewskich kapeli. Był postacią zupełnie zapomnianą – jak się okazuje, bardzo niesłusznie. Martyna Pastuszka odnalazła ten repertuar, buszując na stronie internetowej Bibliothèque Nationale de France, i tak jej się to znalezisko spodobało, że postanowiła z kolegami ze swojej {oh!} Orkiestry, klawesynistką Anną i gambistą Krzysztofem Firlusami, nagrać komplet suit – po raz pierwszy w historii. Jest tych utworów w sumie siedem, więc zajęły trzy płyty. Słuchanie „Marchand, Suites” jest ogromną przyjemnością nie tylko ze względu na jakość muzyki, ale też na zauważalną radość muzykowania całej trójki artystów i znakomite ich partnerstwo – jako trio występują od pięciu lat, a znają się od piątnastu.

DOROTA SZWARCMAN



na płycie

W cieniu wojny 5/6

Nanga, **Sport, wojna i miłość**, Mystic

Pod dwóch latach mamy kolejną płytę Nangi, chyba jeszcze lepszą niż pierwsza, skądinąd bardzo udana „Cisza w bloku”. Na nowym albumie każda zamieszczona piosenka jest jednocześnie słowno-muzycznym komentarzem do bieżącej rzeczywistości i wyrazem osobistych emocji – przeważnie depresyjnych, niekiedy melancholijnych. Niebawym wyjątkiem od nastroju pełzającej apokalipsy jest melodyjny przebój z reggae’ową „przycinką” – „Piosenka o miłych rzeczach”. Magda Dubrawska po raz kolejny pokazała, że jest nie tylko przykuwającą uwagę wokalistką, ale przede wszystkim znakomitą autorką tekstów. Pomysł, by piosenki traktowały o różnych sprawach i stanach emocjonalnych, ale by całość podszyta była wyczuwalnym nastrojem niepokoju – naprawdę mistrzowski. No i te słowne zabawy („złoto to złoto”), erudycyjne odniesienia do literatury i popkultury. Oto prawdziwie godna podziwu artystyczna reakcja na to, co się dzieje – na wojnę, wywołane nią lęki, na cyniczną politykę i bezradność.

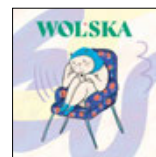
MIROSLAW PEĆZAK



Dziewczyna z sąsiedztwa 4/6

Wolska, **Wolska**, QI City

Kilka piosenek z tego albumu słuchacze mogą już znać, bo pojawiały się już na platformach streamingowych, a cała płyta robi świetne wrażenie. Jest debiutem 22-letniej artystki, aczkolwiek trudno by szukać na niej choćby śladu jakiejś właściwej debiutantom nieporadności czy niepewności. Wolska ma ujmujący, dziewczęcy głos, sama komponuje i pisze teksty. Teksty traktują zasadniczo o życiu codziennym rozpiętym między internetowymi komunikatorami a obserwacją tzw. miejsc publicznych, chociaż dominuje perspektywa prywatna, właściwie nawet intymna. Weźmy choćby piosenkę „Dziewczyna z sąsiedztwa”, gdzie nostalgiczno-miłosny temat inkrustują takie motywy jak „netflixowy sen” czy „Simsów nowa wersja”. Jako autorka tekstów Wolska umie zachować dystans do tematu, inteligentnie posługuje się ironią, co powoduje, że zarówno ona, jak i bohaterki jej piosenek są dalekie od stereotypu „dziewczyny z sąsiedztwa”. Do tego dochodzi warstwa muzyczna. Piękne melodie, a połączenie instrumentów akustycznych z elektroniką godne uznania. MP



Akt aktualnie

Sztuka zaczęła się od aktu. W XX w. niemal zniknął, wyparty przez emancypacyjną sztukę ciała, by ostatnio wracać w osobliwej odsłonie, która jest w malarstwie czymś na kształt disco polo w muzyce.



Agata Słowak, „Pusta dziewczyna”, 2022 r.
Laureatka Paszportu POLITYKI portretuje
w aktach zazwyczaj samą siebie.

S

formułowanie „zaczęła się” nie jest bezpodstawne, by wspomnieć choćby niczym nieokryte kształty paleolitycznych, liczących sobie ponad 20 tys. lat wizerunków „Wenus” z Willendorfu, Lespugue, Laus-sel czy Dolních Věstonic. Później bywało różnie, a kolejne epoki to ściągały, to znów puszczały cugle wyobraźni i swobody artystycznej. Od antyku po renesans zdecydowanie górę brał model aktu heroicznego, którego bohaterem pozostawał – z reguły nienagannie umięśniony – mężczyzna. A później zaczęła się powolna zmiana proporcji, począwszy od „Narodzin Wenus” Botticellego i obrazu „Gabrielle d’Estrées i jedna z jej siostr” ze Szkoły Fontainebleau. Heroizm ustąpił uległości i podtekstem erotycznym, a posługując się współczesną terminologią: postępującemu uprzedmiotowieniu modelki.

Od frywolnych modelek Bouchera i Fragonarda, przez atletyczne Rubensa, po secesyjne klimaty Klimta i prymitywizujące Modiglianego. Kwintesencją tej maskulinistycznie postrzeganej fali damskiej nagości stała się „Łaźnia turecka” Ingesa z 1862 r.: tłum odalisek w haremie, uległych, wdzięczących się, pokazanych jak wystawiona na sprzedaż zwierzyna. Ale prawdziwie ważne dla historii aktu okazało się namalowane rok później „Śniadanie na trawie” Maneta. Mimo że artysta korzystał z inspiracji sztuką Giorgione’a i Rafaela, nie uniknął zarzutów o obsceniczność i ataków ze strony krytyków, a sam cesarz uznał pracę za nieprzyzwoitą. Faktycznie, przełamywała tabu, a zestawienie nienagannie ubranych mężczyzn z ich roznegliżowanymi partnerkami mogło szokować. Tym bardziej że Manet nie zastosował żadnych „środków znieczulających”, jak umieszczenie scenki w mitologicznych lub antycznych dekoracjach czy choćby sugerowanie, że owe modelki to prostytutki, co tłumaczyłoby brak wstydu. U niego to zwykłe paryżanki, które parę godzin wcześniej mogliśmy spotkać na osiedlowym targu warzywnym.

Manetowi nie przyszło do głowy, by ubrać kobiety, a rozebrać mężczyzn; tkwi w wielowiekowej, samczej wizji świata. Ale powoli ruszyła emancypacyjna maszyna. Na początku – w stronę estetycznej rozprawy z aktem jako wizerunkiem powabnym, podszytym erotyką, uległym. I dobrze przysłużyli się tu ekspresjonści (choćby Egon Schiele, Mueller, Kirchner), Duchamp („Akt schodzący po schodach”), a nawet tak przesiąknięty kulturą macho Picasso („Panny z Avignon”). I choć w XX w. chęć malarzy do zajmowania się aktem wyraźnie malała, od czasu do czasu pojawiali się twórcy, którzy potrafili udowodnić, że utrwalanie na płótnie nagich ciał ciągle jeszcze może wносить do sztuki coś nowego i intrygującego. Jak choćby Lucien Freud, Francis Bacon czy wiele lat później Jenny Saville.

W Polsce akt zawsze miał „pod górkę”. Wszechobecna Maryja Królowa Polski oraz nieustanna patriotyczno-narodowa boleść zdecydowanie nie sprzyjały malowaniu nagich ciał. I jeśli już chciano przemycić gołe pośladki, to niemal wyłącznie kobiece (akt męski dopuszczalny był jako ćwiczenia akademickie) i obowiązkowo w niewspółczesnej scenografii, która by usprawiedliwiała owo zrzucanie z modelki fatałaszków. I tak Henryk Siemiradzki umieszczał nagość w mitologiczno-starożytnym sosie narracyjnym, Franciszek Żmurko wykręcał się Orientem, Adam Styka – Beduinami, zaś Jacek Malczewski – złożoną mieszanką mitów i legend. A jeśli już któryś z twórców decydował się na śmielszą wizję, to kończyło się niewesoło, jak w przypadku

„Szału uniesień” Podkowińskiego, pociętego nożem przez samego malarza. Ciekawe, że często dopiero na emigracji artyści nabierali śmiałości w portretowaniu nagich ciał, czego najlepszymi przykładami są Mojżesz Kisling czy Zygmunt Menkes.

Zaledwie kilka aktów weszło do kanonu polskiej sztuki. Na pewno nawiązująca do Quattrocenta „Primavera” Bolesława Cybisa, perwersyjne grafiki Brunona Schulza, wspomniany Podkowiński. Ale od końca XIX do połowy XX w. mieliśmy praktycznie tylko jednego dobrego malarza, który z aktu uczynił z czasem leitmotiw swojej twórczości: Wojciecha Weissa. Niestety, intrygujące z początku obrazy (w tym ciekawe akty chłopców) z czasem traciły ów niezwykły i tak widoczny w innych jego dziełach malarski geniusz. Nagość stawała się nijaka, czasami wręcz sztuczna, bez psychologii, bez treści, bez emocji.

Po drugiej wojnie światowej był Jerzy Nowosielski – wyciszony, skupiony, subtelny, skoncentrowany na utrwalaniu kobiet delikatnych i szczupłych, o twarzach jak maski, i Franciszek Starowieyski – żywiołowy, dynamiczny, zapatrzony w barokowe konwencje. Obaj stworzyli własne, bardzo odległe od siebie światy malarskie, które jednak łączyło jedno – staroświeckie traktowanie ciała kobiety jako przedmiotu adoracji, podziwu, fascynacji. Z kolei kobiece spojrzenie na nagie ciało to metaforyczna, na granicy figuratywności malarska wersja Teresy Pagowskiej i symboliczno-mistyczna Marii Wollenberg-Kluzy.

Druga połowa XX w. to nie był dla klasycznego aktu dobry czas. Najpierw zdemolowany estetycznie, z czasem coraz silniej i skuteczniej wypierany też przez sztukę konceptualną i krytyczną przez narracje feministyczne i równościowe, a przede wszystkim przez termin „sztuka ciała”. Niejako symboliczną dla tego potężnego nurtu była praca z 1989 r. Amerykanki Barbary Kruger „Twoje ciało to pole walki”. W Polsce, o ile malowanie aktów zawsze szło artystom niemrawo, o tyle manifestowanie poglądów za pomocą zazwyczaj własnego i zazwyczaj nagiego ciała wychodziło im całkiem dobrze. Jeszcze w PRL przecierały szlaki Ewa Partum i Natalia LL. Zaś w latach 90. dołączyła silna grupa artystek związanych ze sztuką krytyczną. Na liderkę wyrosła Katarzyna Kozyra, która wokół cielesności, nagości i identyfikacji płciowej krążyła w kolejnych pracach: „Olimpia”, „Łaźnia”, „Łaźnia męska”, „Więzy krwi”, „Chłopcy”, „Święto wiosny”. Bezkompromisowo wkroczyła do sztuki Alicja Żebrowska pracą „Narodziny Barbie”. Śmielej w obrazowanie cielesności włączyli się też artyści, by wspomnieć choćby Pawła Althamera, Artura Żmijewskiego, a przede wszystkim Zbigniewa Libere.

Dziś sztuka krytyczna i konceptualna osłabły, oddając nieco pole bardziej tradycyjnemu postrzeganiu ciała. Akt powrócił w polskim malarstwie ostatnich dekad, choć w dwóch biegunowo różnych wcieleniach. Po pierwsze, w kolejnych próbach ambitnego opowiadania poprzez własną nagość o rzeczach ważnych. Szczególnie dwie artystki przydały mu nowoczesnych znaczeń, kontekstów, sensów. Po pierwsze Agata Bogacka, która dwie dekady temu wyraźnie zaistniała w polskim malarstwie aktami-autoportretami – intrygującym zapisem jej osobistego życia emocjonalnego, towarzyskiego, erotycznego. Ale poprzez osobiste doświadczenia były także opowieścią o jej pokoleniu, jego traumach, nadziejach, relacjach ze światem. To malarstwo ekshibicjonistyczne, intymne, momentami bardzo dosadne.

Drugą artystką, która odświeżyła formułę aktu, jest nasza ostatnia laureatka Paszportu POLITYKI Agata Słowak. I ona portretuje w aktach zazwyczaj samą siebie. I przemycza treści osobiste, ►



Iwona Wierkowska-Rogowska „Figle migne”, 2023 r.
Poniżej: Joanna Sarapata „Akt”, 2021 r.

► doświadczenia udanych i nieudanych związków, uniesień i rozczarowań. Staje się też głosem pokolenia, opowiadając o przemocowości, nierównościach społecznych itp. W swych pracach chętnie sięga po konwencje malarskie przeszłych epok, od renesansu, przez barok, po klasycyzm, częściej od Bogackiej stosuje metaforę, bogatą symbolikę i subtelną narrację.

Po drugiej stronie artystycznej barykady mamy prawdziwy wysyp aktów artystycznie korzystających wprawdzie z nowoczesnych środków malarskiego wyrazu, ale ideowo tkwiących w przeszłych epokach, których jedynym celem jest cieszyć oko odbiorcy. Dziś w niemal każdym sklepie z obrazami (obawiałbym się użyć terminu galeria sztuki) oraz na każdej aukcji młodego i umiarkowanego młodego malarstwa wybierać można spośród licznych propozycji, głównie kobiecych aktów.

Artystką, która otworzyła ową estetyczną puszkę Pandory, była Joanna Sarapata. Mniej więcej dwie dekady temu, po dłuższym pobycie we Francji, powróciła do Polski i dzięki umiejętnej autopromocji i legendzie światowych sukcesów szybko stała się artystką-celebrytką, a jej akty stały się *must have* rodzimych elit. Nagle okazało się, że nagość na ścianie jest w dobrym tonie, bo skoro jej dzieła zdobią apartamenty Madonny czy Stinga, to jest to wzór do naśladowania.

Szacuję, że w Polsce jest kilkudziesięciu artystów koncentrujących się wyłącznie na malowaniu aktów. A kolejna ich spora grupa maluje je na zmianę z innymi chodliwymi motywami: pejzażami, martwymi naturami czy scenkami z gatunku realizmu magicznego. Liderzy to m.in. Adam Wątor, Sandra Arabska, Iwona Wierkowska-Rogowska. W myśl zasady „dla każdego coś miłego” ta rynkowa oferta penetruje każdą



estetyczną niszę. Są więc obrazy utrzymane w konwencji realizmu, surrealizmu, impresjonizmu, ekspresjonizmu, fowizmu, a nawet kubizmu. Nagość często przyjmuje stylistyczną twarz Klimta, Modiglianego, Picassa, Chagalla, ale też Botticellogo czy Toulouse-Lautreca. Oczywiście króluje akt leżący, ale bywają stojące, kucające, kłęczące, a nawet lewitujące seksownie w powietrzu. Naturalnym środowiskiem jest bliżej nieokreślone łóżko, często z aksamitną pościelą, ale od czego twórcza wyobraźnia; piękne nagości występują w towarzystwie zwierząt (ulubione to konie, choć bywają też, jak u Barbary Musiał-Tomaszewskiej, byki), w morskich falach, na łąkach, wyglądając przez okno itd. Stereotyp goni stereotyp, estetyczna wata cukrowa pokrywa płótna grubym nalotem.

Przeglądając obfitą produkcję malarskich aktów, obok tej różnorodności zauważyć też można kilka charakterystycznych cech wspólnych. W sumie sporo mówią one o polskich gustach, kulturowo-obyczajowych kontekstach, historycznych zaszczytach. Oto sześć najważniejszych, które poczynając artysta powinien wziąć sobie do serca, by w akcie osiągnąć rynkowy sukces:

1. Jeżeli akt, to kobiecy. Akty męskie pojawiają się incydentalnie i co najwyżej na obrazach przedstawiających splecioną w miłosnym uścisku parę. Pary jednopłciowe wykluczone.

2. Unikamy czegokolwiek, co można by uznać za perwersyjne. Żadnych podejrzeń o masturbację, żadnego voyeuryzmu, akcentów sado-maso. Narządy płciowe przysłonięte lub pokazane bez szczegółów anatomicznych. Powtórka z „Pochodzenia świata” Courbeta nie wchodzi w grę.

3. Ciało winno być nienagane, jakby skopionane z „Playboya”. Wąska talia, duże, zgrabne piersi, krągłe biodra, burza włosów, pełne, lekko rozchyłone usta, przymknięte oczy. Dziewczyny dojrzewające, ale i kobiety choćby w średnim wieku, to tabu.

4. Najbardziej pożądane stany emocjonalne bohaterek obrazów to: rozkosz, uniesienie, mistyczne fantazje, pożądanie. Niezbędna jest odpowiednia dawka erotyzmu i zmysłowości, ale też szczypta tajemnicy lub sentymentalizmu.

5. Wskazane są barwy żywe i śmiałe ich zestawienia, które obrazom dodają dynamiki, witalności, ekspresji. W ogóle powinno być raczej optymistycznie.

6. Dobrze jest zadbać o odpowiednio sugestywny tytuł. Oto kilka podpowiedzi zaczerpniętych od doświadczonych w tej materii artystek i artystów: „Nostalgia anioła”, „Ta, która kradnie księżyc”, „Nieoczywiste spojrzenie”, „W poszukiwaniu raję”.

Różnica między dobrą a złą martwą naturą lub pejzażem tkwi głównie w malarskim warsztacie. Różnica między dobrym a złym aktem – w idei, która towarzyszy pracy. Akt namalowany perfekcyjnie, ale głębiej lub płycej podsyty pruderią i chęcią przypodobania się odbiorcy, nigdy nie trafi do kategorii malarstwa, a co najwyżej do kategorii dekoracja. Pytanie, czy dziś, gdy golizna tak spowszedniała, jest jeszcze w ogóle w sztuce miejsce dla aktów, które wnosząby coś nowego i o czymś ważnym mówiły? To przestrzeń nieporównywalnie mniejsza od tej, którą mieli dostępni artyści w XIX w., choć prawdziwy talent i tam się wciśnie.

PIOTR SARZYŃSKI

Kultura w windykacji to nie tylko odzyskiwanie długów z ludzką twarzą



Rozmawiamy z Piotrem Krupą, prezesem zarządu KRUK S.A.

Jeszcze kilkanaście lat temu odzyskiwanie zadłużenia kojarzyło się – niesłusznie – z działaniami na pograniczu prawa. Profesjonalne firmy z branży zarządzania wierzytelnościami takie, jak KRUK pokazują, że zaległe zobowiązania można odzyskiwać etycznie, zgodnie z normami prawa. Okazuje się, że jest to ściśle powiązane m.in. z wartościami, kulturą organizacyjną i strategią działania takiej firmy.

W zasadzie można byłoby powiedzieć, że KRUK już na samym początku był mocno związany z kulturą, bo wszystko zaczęło się od pisania książek. Nazwa firmy została...

Tak, wspólnie z moim ówczesnym współnikiem założyliśmy biuro doradcze, które na zlecenie większych kancelarii prawnych przygotowywało najróżniejsze pisma procesowe, ugody, opinie prawne, apelacje, kasacje itd. Taki prawniczy outsourcing. Były to wczesne lata 90-te, czyli czas rozkwitu tzw. zakładów pracy chronionej. Przepisy ich dotyczące, które wtedy weszły w życie, generowały wiele pytań. Wielu prawników nie bardzo chciało się tym zajmować, więc my chętnie zgłębiliśmy ten temat. Po kilku miesiącach zebraliśmy całkiem sporo materiału i uznaliśmy, że warto na jego podstawie napisać książkę. W 1998 r. z myślą o kolejnych publikacjach utworzyliśmy wydawnictwo, które nazwaliśmy KRUK. Tak chcieliśmy nawiązać do tzw. „białych kruków”.

Nazwa została, ale dziś KRUK zajmuje się inną działalnością...

Zdecydowaliśmy się na nowy profil działalności. Wpłynęły na to rozmowy z jednym z klientów, który potrzebował wsparcia właśnie w zakresie windykacji. Opracowaliśmy model działania. Sprawdził się. Mimo tego, że wtedy powszechnie odzyskiwanie długów niesłusznie kojarzyło się z działaniami na pograniczu prawa, postanowiliśmy się przebranżowić i zmienić postrzeganie windykacji. Przeprowadziliśmy w 1998 r. badanie społeczne, które pokazało nam, że ludzie

chcą spłacać swoje długi, ale nie mają od razu całej kwoty, aby to zrobić. Wtedy stworzyliśmy tzw. strategię prougodową, polegającą na rozkładaniu zadłużenia na raty dopasowane indywidualnie do każdego klienta. Byliśmy pionierem tego rozwiązania. Co ważne, wszystko to w oparciu o wartości – przede wszystkim szacunek do drugiego człowieka. Z naszego 25-letniego doświadczenia wynika, że zadłużenie często jest kwestią różnych losowych zdarzeń, dlatego wszystko, co robimy, opiera się o normy społeczne, prawne i etykę. Warto podkreślić, że te wartości są fundamentem naszej działalności w każdym kraju, w którym działamy, czyli w Polsce, Rumunii, Czechach, Słowacji, Włoszech, Hiszpanii.

Jak te wartości wiążą się z kulturą?

Wartości takie jak szacunek, współpraca, odpowiedzialność, otwartość na rozwój czy proste rozwiązania pozwoliły nam zbudować kulturę organizacyjną, która w bardzo naturalny sposób uwzględnia kwestie równości, różnorodności. Coraz głośniej mówi się o parytetach w firmach. Od lat powtarzam, że KRUK jest kobietą, bo ponad 60% osób zatrudnionych w naszej organizacji to panie. Co ważne również 60% stanowisk menadżerskich w Grupie KRUK zajmują kobiety. Takie podejście do biznesu i model pracy bardzo dobrze się sprawdza i nieskromnie powiem, że także się opłaca. A nasze podejście do działania zgodnego z najlepszymi standardami zauważają także inni – w tym roku otrzymaliśmy bardzo prestiżowe dla nas wyróżnienie Lidera Etyki 2022.

Poza kulturą organizacyjną dla KRUKa liczy się również po prostu... kultura. Dlaczego?

Zgadza się. Kultura często niesie ze sobą ważne przekazy dotyczące współczesnego świata. Edukuje, inspiruje do spojrzenia na świat z różnych perspektyw, a także dociera do szerokiego grona odbiorców. Działania te są nam bardzo bliskie. Od lat edukujemy w zakresie finansów, pokazujemy różne perspektywy dotyczące moralności płatniczej, wagi działania takich firm, jak nasza w obrocie gospodarczym. Mówi się, że przez zabawę, sztukę lepiej przekazuje się wiedzę. Dlatego chcemy wspierać taką działalność, bo w naszej ocenie pozwala ona zmieniać świat na lepszy. ■

ŁUKASZ NAJDER

Muzeum nieľudzkości

Wydana wreszcie po polsku książka „Już nie żyjesz” Svena Lindqvista prowadzi nas przez labirynt historii wojny, rasizmu, pychy i kolonializmu niczym przez swoiste Muzeum Europy.

To w Wieluniu zaczęła się druga wojna światowa. Atak na Wojskową Składnicę Tranzytową na Westerplatte nastąpił wprawdzie nieco wcześniej, ale od godziny rozpoczęcia obu tych ataków istotniejsza jest ich odmienna natura. Cel szturmów niemieckich oddziałów, jak i ostrzału z pancernika „Schleswig-Holstein” stanowił jednak obiekt wojskowy, w dodatku – ufortyfikowany, obsadzony regularnym polskim wojskiem. Wieluń zaś był bezbronnym kilkunastotysięcznym miastem. Właśnie tam, między świtem a wczesnym popołudniem 1 września 1939 r., wojna pokazała swoje nowe, by nie powiedzieć, nowoczesne, prawdziwe i apokaliptyczne oblicze.

Zbombardowanie Wielunia oznaczało zrównanie cywila z żołnierzem, okopów, bunkrów czy koszar z kamienicą, szkołą i kościołem. Co więcej, nie oszczędzono w Wieluniu nawet szpitala. Zrzucano bomby na boisko szkolne i bursę. Obrócono w ruinę starówkę. Niemieckie samoloty ostrzeliwały ponadto miasto i jego mieszkańców z broni pokładowej. Oczywiście nieprzypadkowo rozpoczęto nalot w porze snu. Agresorom chodziło bowiem nie tylko o niszczenie i zabijanie, ale również o sterroryzowanie tych, których zabić się nie udało, wywołanie chaosu, sianie przerażenia. Plan się

powiódł. W opublikowanej w 1962 r. pracy Barbary Bojarskiej zatytułowanej „Zniszczenie miasta Wielunia w dniu 1 września 1939 r.”, w której historyczka zamieściła relacje świadków tej zbrodni, można przeczytać: „(...) rozszalało się piekło. Rynek i otaczające go budynki przedstawiały straszny widok. Domy płonęły. Wszystkie gmachy publiczne były w gruzach. Wszystko uciekało z tego piekła”.

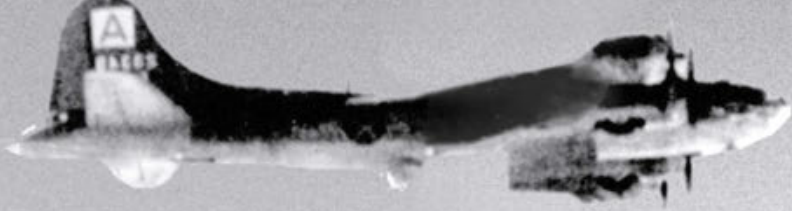
Testowane w koloniach

Wieluń to początek wojny bezwzględnej i totalnej, takiej, w której używa się najnowszej techniki wojskowej i nowatorskich strategii, by unicestwić jak najwięcej wrogów, a przez wroga rozumie się każdego, bez względu na płeć, wiek i potencjał bojowy, oraz wszystko, co go w sensie materialnym otacza. W tym krwawym rzemiośle „cywilizowany świat” wprawiał się w swoich koloniach, gdzie za pomocą kul, ognia, gazu, egzekucji i bomb poskramiał rdzenną ludność i podbijał jej terytoria. Trwająca kilka godzin wieluńska orgia sadyzmu i destrukcji była poniekąd powtórzeniem bestialskich praktyk kolonizatorów w krajach Azji, Ameryki Południowej i Afryki, a zarazem wstępem do równie brutalnych poczynań na obszarze bez mała całej Europy.

Sprzęgnięcie najróżniejszych teorii o wyższości jednych ras i nacji nad

innymi – zapóźnionymi, „niebezpiecznymi”, budzącymi wstręt i politowanie, uznanymi za zbędne – z wyraźną przewagą w uzbrojeniu, żądzą ekspansji i „argumentowaną” koniecznością przejęcia cudzych ziem i złożeń doprowadziło ostatecznie do przekonania, że wobec „podludzi”, „barbarzyńców” czy „dzikich” nie trzeba zachowywać żadnych norm i praw. „Hitler rozpoczął drugą wojnę światową niczym niesprovokowanym atakiem na Polskę. W jego oczach Polacy znajdowali się poza obrębem europejskiej wspólnoty wartości. »Polska powinna być traktowana jak kolonia«, powiedział”.

Powyższy cytat pochodzi z „Już nie żyjesz. Historia bombardowań”, fascynującej książki eseistyczno-historycznej Svena Lindqvista (w przekł. Ewy Wojciechowskiej), w której autor podjął się trudu zrekonstruowania źródeł europejsko- amerykańskiej przemocy, ze szczególnym uwzględnieniem ataków z powietrza, rozwoju broni rakietowej, prac nad bombą atomową, niespożytej energii wkładanej w wynalezienie i produkcję najbardziej wydajnych urządzeń do zabijania.



Ten niezwykle płodny szwedzki dziennikarz i historyk literatury, który zmarł w 2019 r., znany był dotąd w Polsce jedynie z dwóch książek. Obie są bardzo udanym połączeniem eseju i reportażu, a za temat mają historię ludobójstwa w koloniach w XIX i XX w. oraz mroczne współczesne dziedzictwo tego proceduru. W „Wytępić całe to bydło” Lindqvist docieka, jakie jest pochodzenie słynnej Conradowskiej kwestii „Exterminate all the brutes”, dzięki czemu poznajemy zbrodniczą rzeczywistość kolonializmu w Afryce. Książką tą inspirował się Raoul Peck, haitański filmowiec, podczas realizacji dla HBO czteroodcinkowego serialu dokumentalnego pod tym samym tytułem. Natomiast „Terra nullius. Podróż przez ziemię niczyją” to opowieść o australijskich bezdrożach i dziejach systemowych, okrutnych prześladowań Aborygenów.

Fantazje o zniszczeniu

Forma „Już nie żyjesz” jest nader oryginalna i stanowi stymulującą odmianę względem naszych przyzwyczajęń czytelniczych. Zamiast lektury linearnej, choć i taka nie jest przecież wykluczona, Lindqvist proponuje rozwiązywanie rodem z literatury kombinatorycznej grupy OuLiPo czy Cortazarowskiej „Gry w klasy”. Książka została podzielona na 400 części – niektóre są jednopakietowe, inne mają objętość strony bądź dwóch – które za radą autora da się ułożyć aż w 22 ścieżki narracyjne w rodzaju: „Co wolno w czasie wojny”, „Bombardowanie dzikusów”, „Hamburg, Auschwitz, Drezno”. Można też m.in. prześledzić proces decyzyjny, który poprzedzał wielki nalot na Tokio w marcu 1945 r., w którym prawdopodobnie zginęło więcej osób niż w Hiroszimie czy Nagasaki, zmienne koleje wojny w Korei, przesiąknięte hipokryzją i doraźną interesownością zabiegi wokół zapisów prawa międzynarodowego, dzięki którym to machinacjom wojownicze mocarstwa „legalizowały” swoje działania

militarne – bądź też sabotowały uznanie ich za nielegalne – rojenia o superbroni, eskalację zimnowojennego wyścigu zbrojeń, lub wyjaśnić zagadkę, czemu wokół tragedii marokańskiego Szafszawanu panowała cisza, a wokół tragedii hiszpańskiej Guerniki – szum.

Ta wielość możliwości jest atrakcyjna poznawczo i pożyteczna. Mimo że Lindqvist nazywa swoją książkę labiryntem i widzi zaletę w gubieniu się w jej korytarzach-opowieściach, to równie dobrze ów odautorski klucz można potraktować jako kierunki zwiedzania lub ścieżki tematyczne w muzeum. Byłoby to więc muzeum rasizmu, pychy, kolonializmu i wojny. Byłoby to Muzeum Europy.

Lindqvist ukazuje w „Już nie żyjesz”, jak szkodliwe teoryjki i stereotypy przenikały do społeczeństwa i ukorzeniały w jego przedstawicielach silne przekonanie o ciągłym i rychłym zagrożeniu ze strony a to Azjatów, a to klas niższych, a to „czarnoskórych bandytów” czy Słowian. Wbrew pozorom za ówczesne nasycanie serc i głów rasistowskimi uprzedzeniami nie odpowiadali wyłącznie politycy, intelektualści-demagodzy, zerujące na uproszczeniu i sensacji gazety, czy sfanatyzowani przywódcy religijni. Lindqvist niczym archeolog-bibliofil odgrzebuje zapomniane powieści, głównie angielskie i amerykańskie, ale również francuskie, wszelkiej maści – sensacyjne, dystopijne, obyczajowe – by unocznąć, co było jednym z tła okrutnych wojen, „interwencji” i napaści XX w.

„Fantazje Haya, Odella, Waterloo, Servissa, Cole’a, Shiela, Londona oraz wielu innych pisarzy końca XIX wieku, krążące wokół mordowania całych narodów i ras, były już gotowe i cierpliwie czekały na pojawienie się pierwszego samolotu. Marzenie o tym, by móc rozwiązywać problemy poprzez masowe zabijanie z powietrza, pojawiło się na długo przed tym, nim na ziemię spadła pierwsza bomba zrzucona z nieba”.

Te na pozór „niepoważne” historyjki układają się w ogromną bibliotekę zapowiedzianej katastrofy. To zatruta studnia, z której pito latami, niemilkące radio

propagandowe, rozproszona, nieformalna instytucja odpowiedzialna za normalizowanie przemocy, przedstawianie masowej zagłady w kostiumie rozrywki bądź „naukowych” rozważań, dehumanizowanie Innego, gloryfikowanie wojny jako sposobu dbania o własne interesy narodowe, obsesyjne fantazjowanie o wszechpotężnych napowietrznych statkach, dokonujących spustoszeń w szeregach nieprzyjaciół.

Niebezpieczny wyścig

Pierwsze samoloty były nie tylko cudami techniki i symbolami podniebnych rycerstwa, ale – jak się szybko okazało – szalenie wydajnymi narzędziami w arsenale mocarstw kolonialnych. Po co organizować karkołomne ekspedycje karne, wznosić reduty, snuć kosztowną biurokratyczną sieć urzędników i służb, zaganiać własnych żołnierzy do walk na pustyni czy w dżungli, skoro dzięki dosłownie kilku maszynom wyposażonym w bomby można kontrolować rozległe przestrzenie, wymierzać „karę”, niszczyć siedliska i bazy wrogów? „Pilot w roli policjanta, bomba w roli pałki – myśl tę wcześniej (w 1910 roku) rozwinął brytyjski dziennikarz R.P. Hearne w książce »Airships in Peace and War« (»Statki powietrzne w czasie wojny i pokoju«)”.

Nie rozumiano albo nie chciano zrozumieć, jakie konsekwencje przyniesie nowy rodzaj prowadzenia wojen i zasadniczo, jaka będzie scheda bezkarnych zbrodni kolonialnych. „Jednym z tych, którzy najwcześniej zadali to pytanie, był angielski prawnik i pisarz James Anson Farrer. W swym zaliczanym do klasyki dziele zatytułowanym »Military Manners and Customs« (»Zasady i zwyczaje wojenne«), wydanym w 1885 r., stwierdził, że konflikty zbrojne między ludźmi znajdującymi się na różnym poziomie cywilizacyjnym bardziej »barbaryzują ucywilizowanych, niż cywilizują barbarzyńców«”. Co gorsza, „Zdaniem Farrera wojny kolonialne przyzwyczyły europejskich wojskowych i polityków do postrzegania każdej wojny jako ekspedycji karnej wymierzonej w rebeliantów i bandytów. Nauczyli się ▶

► oni postrzegać nieprzyjaciela jako przestępcę i domagać się od niego bezwzględnej kapitulacji na poniżających warunkach, co przydawało wojnie dodatkowej goryczy i niepotrzebnie ją przedłużało. Ich zwyczajem stało się palenie miast i wsi”.

Lindqvist nie objawia się w tej książce jako technofob, który ludzi (siebie i nas), że przed wynalezieniem karabinu maszynowego, samolotu i dalekosiężnej artylerii wojny przypominały turnieje sportowe rozgrywane w duchu fair play. Unaocznia tylko, w jak niebezpiecznym wyścigu brałiśmy – i bierzemy dalej – udział. W ciągu niespełna pół wieku ludzkość przeszła od granatów i bomb ciskanych ręcznie

w kolejce do komór gazowych stali Anglicy, Francuzi i Amerykanie, a nie Żydzi, Romowie i Słowianie, to czy i wtedy alianci mieliby opory przed bombardowaniem zaplecza logistycznego ośrodków zagłady? Dlaczego nie zaproponowano Hitlerowi ultimatum – wstrzymania dewastujących niemieckie miasta nalotów w zamian za wstrzymanie masowego mordowania w obozach koncentracyjnych? Wreszcie: po co właściwie bombardowano Tokio i Drezno oraz inne skupiska ludności cywilnej w Niemczech i Japonii, gdy wojna była już definitywnie wygrana? Czy Niemcy i Japończycy stali się wtedy „dzikusami” i „barbarzyńcami”

(przełt. Małgorzata Łukasiewicz): „(...) wszystkie te aspekty, które Kluge przedstawia z punktu widzenia organizatorów, pokazują, że plany zniszczenia, mobilizujące takie *quantum* inteligencji, kapitału i siły roboczej, ostatecznie, pod naciskiem zakumulowanego potencjału m u s i a ł y się zrealizować”. Da się więc chyba ostrożnie założyć, że chęć odpłaty nazistowskiemu Niemcom i próba sparaliżowania ich zdolności wytwórczych to nie jedyne powody alianckiej ofensywy lotniczej. Kolejnym byłaby mordercza logika wojny materiałowej, trudna do zatrzymania maszyneria gigantycznego przemysłu wojennego, niewypowiedziana wprost, przemożna presja zgromadzonego uzbrojenia. „Osiemdziesiąt procent wszystkich bomb lotniczych wykorzystanych podczas drugiej wojny światowej spadło na ziemię w ostatnich dziesięciu miesiącach przed jej zakończeniem” – dopowiada Lindqvist. A Arkadiusz Żychliński, tłumacz „Nalotu na Halberstadt 8 kwietnia 1945”, przytacza w postłowie znamienne słowa Kurta Vonneguta, który jako jeniec amerykański przeżył hekatombę Drezna: „Dramat Auschwitz opowiadał o nieludzkości człowieka wobec człowieka. Dramat nalotu lotniczego na ludność cywilną (...) mówi o nieludzkości wielu ludzkich wynalazków wobec człowieka”.

W obliczu wojny w Ukrainie ta znakomita książka Svena Lindqvista, choć wydana w oryginale blisko ćwierć wieku temu, nabiera złowrogiej aktualności. Znowu bowiem jedno z mocarstw traktuje inny, mniejszy i słabszy kraj jako obszar, do którego może sobie rościć najróżniejsze prawa; bez mała własną kolonię, a po drugie – jako przesterżnię, gdzie może używać dowolnej broni, wymierzonej także w cywilów i obiekty cywilne, by osiągnąć tam swoje cele militarne, propagandowe i polityczne. Dzięki „Już nie żyjesz” łatwiej zrozumiemy płynną i zaskakującą rzeczywistość tego konfliktu, w którym wykorzystywane są zarówno rakiety dalekiego zasięgu, jak i niewielkie drony z podwieszonym granatem. A przecież „pierwsza bomba zrzucona z samolotu spadła na oazę w pobliżu Trypolisu 1 listopada 1911 roku. (...) Owego wyczynu dokonał pułkownik Giulio Gavotti [wówczas porucznik – red.]. Wychylił się z kabiny zwinnego niczym ważka jednopłatowca i cisnął bombę – duński granat ręczny marki Haasen – na północnoafrykańską oazę Tagiura nieopodal Trypolisu”. Wojna więc jakby jednocześnie bez końca się unowocześniała i potworniała – i wracała do własnej przeszłości.

ŁUKASZ NAJDER



Zbombardowany Hamburg, 1945 r.

z kabin dość kuriozalnych machin latających pod niebem Libii i Bałkanów do nalotów dywanowych z udziałem setek monstrualnych bombowców zdolnych w godzinę zniszczyć odległą metropolię, rakiet V-2 i bomb atomowych, które spaliły do cna Hiroszimę i Nagasaki. Później było jeszcze gorzej, aż po osiągnięciu granicy paradoksu i niebezpiecznego absurdu, czyli wytworzenie takiej liczby bomb i nośników bomb, że za ich sprawą można było w ekspresowym tempie zgładzić niemal całe życie na Ziemi.

Spadają, bo są

„Już nie żyjesz” to również seria wielu niewygodnych pytań. Na przykład: czy gdyby podczas drugiej wojny światowej

wprost z niegdyś kolonii, których można zabijać do woli, bez konsekwencji?

Jakie racje strategiczne i moralne – to już moje dopowiedzenia – stały za zrzuconiem bomb na miasteczko Halberstadt? O czym przejmująco i po mistrzowsku napisał Alexander Kluge w książce „Nalot na Halberstadt 8 kwietnia 1945”. Tytułowe miejsce zostało omal starte z powierzchni ziemi tylko dlatego, że zaklasyfikowano je jako „cel zapasowy”, na wypadek gdyby, i tak właśnie się stało, cel główny osnuwała mgła bądź zachmurzenie. Bomby uznawano za wartościowe i drogie, więc nie wypadało się ich pozbyć gdzieś na polu. Musiały na coś spaść, skoro były! Doskonale ujął to W.G. Sebald w swojej „Wojnie powietrznej i literaturze”

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Są wyniki badania popularności dziennikarzy telewizyjnych. Na pierwszym miejscu Piotr Kraśko, dalej Anita Werner i Bogdan Rymanowski. Gwiazdy TVP, Danuta Holeccka razem z Krzysztofem Ziemcem, na ósmym miejscu. Razem. Nierozłączni jak polityka i kłamstwo.

No i mamy nowego Kukiza. Raper Adam O.S.T.R. Ostrowski wystąpił w „Wiadomościach” TVP z lustracją współpracowników TVN. Biorę to za komplement. Początkujący Judasz wkłada w pocałunek dużo szczerzego uczucia.

W podkaście Onetu Misiek Koterski został zapytany o zdarzenia, których nie ma w jego biografii. Na przykład o to, że wynajęty taksówkarz z rachunkiem na 7 tys. zł do dziś nie wie, gdzie on jest. Dlatego warto brać Ubera. Ich kierowcy też nie wiedzą, gdzie są.

Serwis Jastrząb Post umiłował do końca Conana Kaźmierskiego: „Conan ma złote zęby. Conan na ślubie. Conan obwieńczony złotem. Conan u dentysty. Conan zgasił złośliwego fana. Conan na basenie. Conan był chory. Conan para się magią”. Był kiedyś taki film „Conan Barbarzyńca”. Też historia dramatyczna.

Michał Wójcik, wiceprezes Solidarnej Polski, zademonstrował w TVP Info swój talent, wykonując utwór Krzysztofa Krawczyka pt. „Parostatek”. Proroczy wybór. Znajac poglądy jego partii, to może być wkrótce dominujący środek transportu.

„Żudziejewicz i Jeschke ochrzcili córkę. Jest fotorelacja. Róża rozczuliła internautów – Jak aniołek”. Tyle media. Nie wiem, kim jest Żudziejewicz i Jeschke, i współczuję pani Róży. Chrzest jak wiadomo uwalnia nas od grzechu pierworodnego, obdarza łaską i zapewnia wyższe zasięgi.

Zmiany w serialu TVP „Komisarz Alex”. W postać nowego komisarza, który jest opiekunem tytułowego owczarka niemieckiego, wcieli się Jacek Knap. To już piąty aktor w tej roli. Poprzedni odeszli, bo nie chcieli pracować z Niemcem.

Jest nowy sondaż: co Polacy myślą o Kukizie – do niedawna Kukizie'15, a teraz Kukizie 4,3 miliona. Na pytanie, czy Paweł jest wierny swoim słowom, prawie 80 proc. odpowiedziało, że nie. 80 proc. Paweł powinien się ucieszyć. On lubi duże liczby.

Serwis WP Jastrząb Post tkwi w swoim świecie, w którym jeszcze nie zdarzyło się oświecenie. Tym razem ogłaszają: „Mandaryna ma na koncie wielkie sukcesy, a co myśli o Blance?”. Przeraziło mnie to i trzymało „every night, every night”.



Selekcjoner naszej kadry pojawił się wreszcie w Polsce i od razu wybrał się na stadion Pogoni Siedlce, aby obserwować mecz reprezentacji Polski do lat 17. To są tacy piłkarze, którzy jeszcze chętniej trafiają do bramki niż do sklepów.

Prowadzący „Pytanie na śniadanie” w TVP Łukasz Nowicki kupił wraz z małżonką mieszkanie w Albanii. Rozumiem. Podczas wypoczynku chce mieć wokół siebie warunki zbliżone do tych na Woronicza.

Na antenie TV Republika pojawił się program kulinarny „Smaki Lasu”, promujący serwis Lasów Państwowych z przepisami i produktami żywnościowymi. Gospodarzem jest Karol Kus, lider polsko-ukraińskiej grupy Taraka. Znajac Lasy Państwowe, to wkrótce go wytną.

Alicja Resich-Modlińska zaczęła prowadzić podkasty w portalu Interia. Profesjonalny podobno serwis Wirtualnemedia.pl napisał, że Alicja była autorką pierwszego talk-show w Polsce. Znałem Irenę Dziedzic i Mariusza Szczygła. Oboje potrafili dużo wybaczać ignorantom.

HBO Max ruszył z serialem dla młodzieży pt. „#BringBackAlice” z Heleną Engler w roli głównej. Ciekawy eksperyment. Takie „Dziewczyny z Dubaju” bez Dubaju. Całość przypomina mi starą prawdę, że młodość, która szumi w głowie później, nazywamy nadciśnieniem.

Rozdano Węże 2023 za najgorsze filmy roku. Triumfował Patryk Vega i jego „Niewidzialna wojna” – 7 nagród z 13 nominacji. Cieszę się, że doczekaliśmy się reżysera konsekwentnie najlepszego w byciu najgorszym.

Ukazała się książka „Tomasz Lis na żywo”. Trochę spowiedź, trochę zemsta. Zacytuję fragment: „Bolesna przeciętność. Mentalność wiejskiego proboszcza. Ograniczone horyzonty”. Kto to taki? Możecie się pomylić o dwa numery na Krakowskim Przedmieściu.

Człowiek, który z nieumiejętności śpiewania zrobił sztukę, czyli **Michał Wiśniewski**, zostanie ojcem po raz szósty. I pomyśleć, że Chopin umarł bezdzietny.

Rany założycielskie

Film czy sztuka są ochronną rękawicą, która pozwala dotknąć czegoś bardzo bolesnego – mówi **Kuba Mikurda**, reżyser filmu „Solaris Mon Amour”, inspirowanego powieścią Stanisława Lema.



© DARIUSZ KULEZA

Kuba Mikurda (ur. w 1981 r.) – reżyser, scenarzysta, filmoznawca, historyk filmu. Współautor książek poświęconych twórczości Gya Maddina, Terry'ego Gilliana, braci Quay oraz historii surrealizmu filmowego. Jego dokumenty „Love Express. Przypadek Waleriana Borowczyka” (2018 r.) oraz „Ucieczka na Srebrny Glob” (2021 r.) otrzymały nagrody Nos Chopina dla najlepszego filmu o sztuce i muzyce na festiwalu Millennium Docs Against Gravity. „Solaris Mon Amour” będzie mieć światową premierę 12 maja na tegorocznej edycji tego festiwalu.

JAKUB DEMIAŃCZUK: – **Czy rozmawiając o „Solaris Mon Amour”, możemy też rozmawiać o sprawach prywatnych?**
KUBA MIKURDA: – Myślę, że tak. To taki film.

Pytam, bo seans przypomniał mi, że lemowskie „Solaris” to w znacznej mierze opowieść o żałobie, bezradności wobec uczuć.

„Solaris” to oczywiście bardzo gęsta powieść. Dużo tematów, dużo wątków. Potężne, archetypiczne obrazy – kosmos, planeta, ocean. To wszystko odrobinę

przesłania ten wymiar emocjonalny, relację między mężczyzną a kobietą. A w zasadzie między mężczyzną a zmaterializowanym wspomnieniem kobiety, jego zmarłej partnerki. Lem okazuje się tutaj wnikliwym psychologiem. Bardzo precyzyjnie opisuje cały splot emocji związanych z żałobą – tęsknotę, bezradność, poczucie winy, to jak wspomnienie utraconej osoby jest jednocześnie czymś, co przyciąga i odpycha, czymś kojącym i przesładowczym zarazem. „Solaris” to niezwykle studium pamięci posttraumatycznej,

jedno z najlepszych, jakie zdarzyło mi się czytać. Jedną z inspiracji dla „Solaris Mon Amour” były książki Agnieszki Gajewskiej: „Zagłada i gwiazdy” oraz „Stanisław Lem. Wypędzony z Wysokiego Zamku”. Autorka stawia w nich mocną psychoanalityczną tezę, że Lem, który nigdy nie chciał mówić o tym, co przeżył w trakcie wojny, konsekwentnie kodował swoje doświadczenia w książkach, przekształcał je w literaturę.

Wojenna trauma wraca u niego w najmniej spodziewanych miejscach – jako robot, który obsesyjnie powtarza ostatnie słowa ofiar katastrofy w „Terminusie”, jako stos trupów w komorze statku kosmicznego w „Niezwyrodnym”. Pomyślałem, że to świetny klucz do „Solaris”. Lem zaczyna ją pisać w 1959 r. Z tej perspektywy wojna skończyła się przed chwilą. To lata Szkoły Polskiej – Andrzej Wajda właśnie zrobił „Popiół i diament”, gdzie Maciek Chełmiński pyta Andrzeja: „Pamiętasz, pamiętasz?”. We Francji Alain Resnais kręci „Hiroshima Mon Amour”, w którym dwoje kochanków próbuje znaleźć słowa na wyrażenie swoich wojennych doświadczeń. „Wydaje się, jakbym coś zapomniała, jakbym dużo zapomniała” – mówi bohaterka „Solaris”. Mówi o sobie – ale czy tylko?

Lem się chował za literaturą i żadna z adaptacji jego prozy – poza „Szpitalem Przemienienia” – nie odwoływała się do jego wojennych przeżyć. Ukrył się do tego stopnia, że do niedawna pewnie większość czytelników nie zdawała sobie sprawy, że pochodził z żydowskiej rodziny.

I jak wiele jego bliskich osób zginęło. Wiadomo, że wojenna historia Lwowa była wyjątkowo burzliwa. Zresztą ciekawe, że dla Lema, tak jak dla Andrzeja Żuławskiego – choć przecież byli w różnym wieku – te doświadczenia lwowskie były fundamentem twórczości. Jakimś rodzajem rany założycielskiej.

Dla ciebie praca nad „Solaris Mon Amour” też była sposobem na poradzenie sobie z żałobą? Czy śmierć twojej partnerki Jagody Murczyńskiej wpłynęła na ostateczny kształt filmu? Bo pracę nad nim zacząłeś przecież znacznie wcześniej.

Tak, Jagoda podsuwała mi zresztą inspiracje, jak nieoficjalna japońska adaptacja „Solaris” Ryusuke Hamaguchiego, reżysera „Drive My Car”. Co ciekawe, tak jak w wypadku moich dwóch poprzednich filmów punkt wyjścia był znacznie bardziej zachowawczy – planowałem coś bardziej filmoznawczego czy, powiedzmy, intelektualnego. Ale w toku pracy musiałem wyjść ze swojej strefy komfortu i zmierzyć się ze skrajnie trudnymi emocjami.

Początkowo myślałem przede wszystkim o Lemie, wojnie, wyparciu itd. Dlatego w pierwszej wersji usunąłem w ogóle wątek kobiety i mężczyzny. Miałem wrażenie, że zanadto skupia na sobie uwagę. Oczywiście z wielu względów była to błędna decyzja. Nic się nie składało. Narrację filmu w dużej mierze opieraliśmy na fragmentach pierwszych radiowych adaptacji „Solaris” z 1962 i 1970 r., zrealizowanych przez Józefa Grotowskiego. I w tych audycjach wątek kobiety i mężczyzny jest bardzo mocno obecny.

Dopiero po pół roku zdałem sobie sprawę, co faktycznie robię. I jak niesłychanym zbiegiem okoliczności jest to, że powieść, którą się zajmuję, ma bardzo wyraźny wątek związany z osobistą żałobą, ze śmiercią partnerki głównego bohatera. Od momentu, w którym pozwoliłem sobie pójść w tym kierunku, cały film ułożył się w zasadzie sam. I oczywiście był dla mnie jakimś rodzajem pomocy, przetworzenia bardzo świeżego doświadczenia związanego z bólem i stratą w formę filmową. W filmie pojawia się obraz, który był dla mnie bardzo ważny: ujęcie grubej gumowej rękawicy kosmonauty, który podnosi coś z powierzchni planety, przedmioty związane prawdopodobnie z kobietą,

bo są tam lusterko i szminka. Może zabrzmieć to bardzo podniośle, ale dla mnie film czy sztuka w ogóle są właśnie czymś takim, ochronną rękawicą, która pozwala dotknąć czegoś bardzo bolesnego.

Ta scena jest chyba równie symboliczna dla wątku Zagłady, o którym wspominaleś?

To było dla mnie jedno z najtrudniejszych pytań: w jaki sposób mój film może w ogóle dotknąć tego wątku? Okazało się, że Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi, z której materiałów korzystałem, wyprodukowała również film Andrzeja Brzozowskiego „Archeologia”, pokazujący prace archeologiczne w Brzezince. Kolejnym zbiegiem okoliczności okazało się to, że był to pierwszy film, z którego ja, jeszcze jako dziecko, dowiedziałem się o Zagładzie. Oglądałem go w Telewizji Edukacyjnej i pamiętam, że zrobił na mnie wstrząsające wrażenie, choć nie do końca rozumiałem, o czym tak naprawdę jest. Nie zakładałem, że widzowie „Solaris Mon Amour” muszą rozpoznawać te fragmenty – film, mam nadzieję, czyta się bez żadnego przygotowania, ale mam wrażenie, że ta dodatkowa wiedza wprowadza do filmu znacznie szerszy, historyczny kontekst.

Od samego początku planowałeś, że zmontujesz „Solaris Mon Amour” z archiwaliów Wytwórnii Filmów Oświatowych?

Po raz pierwszy sięgnąłem do archiwów WFO, gdy przygotowywałem dokument o Andrzeju Żuławskim i zobaczyłem fragmenty filmów edukacyjnych o kosmosie kręcone w latach 60. I to są materiały niezwykle. Dokumentują ówczesną technologię, technologie, której musiał przysiąść się Lem – te wszystkie wzmacniacze lampowe, przekładnie, zegary. Jestem ogromnym fanem science fiction i pomyślałem: co by było, gdyby ktoś w latach 60. zrobił w Polsce film SF z prawdziwego zdarzenia, korzystając właśnie z tej technologii, kostiumów, rekwizytów. A potem był Rok Lemowski i pomyślałem, że to świetna okazja, żeby sięgnąć do tych materiałów. Może zmontować je z wypowiedziami Lema, może z jakimiś wypowiedziami na temat retrofuturyzmu itd. Aż w końcu przyszło mi do głowy, żeby spróbować z tych materiałów, które powstały z zupełnie inną intencją i w innym kontekście, zbudować opowieść mającą fabularny przebieg i nawiązującą do „Solaris”. Wspólnie z literaturoznawczynią Karoliną Felberg zrobiliśmy analizę ▶

REKLAMA

Elżbieta Cherezińska opowiada Małgorzacie I. Niemczyńskiej o zbiegach okoliczności, których nie wymyśliłby żaden pisarz

Cenzura zawsze istniała.

O literaturze dla dzieci pełnej skreśleń i ugrzecnień opowiada **Katarzyna Gliwińska**

Jak to jest być kotem? **Tomasz Ulanowski** opisuje świat niemal dokładnie tak, jak go odbierają zwierzęta

Tylko u nas!

Cały rozdział długo wyczekiwanego nowej powieści **Hanyi Yanagihary „Do raju”**

Już w sprzedaży



Zamów magazyn z darmową dostawą na:
Prenumerata24.pl

Więcej na:
Wyborcza.pl/ksiazki

► powieści pod kątem faktur, substancji, kolorów i rejestrów leksykalnych, za pomocą których Lem opisuje planetę Solaris.

Bardzo ciekawe, że w „Solaris” głównym antagonistą jest rodzaj abstrakcyjnego bytu, po którym język i bohaterów, i samego pisarza się ślizga. Te opisy są siłą rzeczy poetyckie. Wyjęte z kontekstu przypominają metafory Tymoteusza Karpowicza, jednego z najbardziej radykalnych, awangardowych twórców, jakich miała polska poezja. Lem pisze na przykład o „lawinach porodów”, „mięsistym deszczu”, „momentalnych maszynach”. Jak sobie to wyobrazić? Okazało się, że te rejestry są dość zamknięte – anatomia, architektura, mikrobiologia, różne stany skupienia substancji. I to był nasz klucz w przeglądaniu archiwum WFO.

Nie chcieliśmy robić własnej wersji Solaris, lecz odtworzyć ją z dokładnością takich obrazów, jakich używał Lem. Stąd ujęcia tkanki mózgowej, cząsteczek krwi, mikroorganizmów. Pamiętajmy, że Lem był z wykształcenia lekarzem i coś z tego lekarskiego spojrzenia pojawia się w jego języku. Dodatkowo w powieści „Solaris” są bardzo długie fragmenty poświęcone rozwojowi solarystyki jako nauki, która ewoluje od takiego nieco naiwnego optymizmu po kompletny sceptycyzm poznawczy. Pomyślałem, że skoro Lem tak obszernie cytuje fragmenty literatury solarystycznej, to my, robiąc film, powinniśmy znaleźć tego audiowizualny ekwiwalent. I filmy WFO znakomicie się do tego nadały – przecież gdzieś w tle misji wytwórni było przekonanie, że kamera filmowa jest sposobem na to, żeby rzeczywistość wyjaśnić, uproszczyć, pokazać: w skali mikro i w skali makro.

Były w historii kina takie projekty, które układały archiwalne zdjęcia w rodzaj fabularnej narracji – jak „Powstanie warszawskie” Jana Komasy czy „I pozostaną młodzi” Petera Jacksona. One jednak pozostawały przy tym zapisem dokumentalnym. „Solaris Mon Amour” nie jest ani fabułą, ani dokumentem. Nowy gatunek?

Od dłuższego czasu zajmuję się filmami *found footage* i zawsze szukałem w nich dwóch rzeczy: po pierwsze, śmiało odejścia od wyjściowego kontekstu, po drugie – dramaturgii, opowiadania, historii. Tymczasem większość filmów *found footage*, które widziałem, była dość zachowawcza, jakby przyklejona do swojego archiwum. Bardzo lubię na przykład „The Green Fog” Guya Maddina, który jest rodzajem *found footage*’owego remake’u „Zawrotu głowy” Alfreda Hitchcocka. Maddin sięgnął po materiały filmowe

i telewizyjne przypominające ujęcia z Hitchcocka i zbudował alternatywną wersję tej fabuły. Ciekawym przykładem jest też film Györgya Pálfiiego „Panie, panowie: Ostatnie cięcie”, klasyczna historia miłosna, ale zmontowana z fragmentów ponad 400 różnych filmów.

Ten film przekonał mnie, że nie potrzebujemy jednego konkretnego bohatera ekranowego, żeby w pełni zaangażować się w film – twarze, głosy, miejsca się zmieniają, ale w naszych głowach to ciągle ta sama postać. Bardzo chciałem, żeby narracja w „Solaris Mon Amour” miała się tak do narracji w realistycznym kinie, jak malarstwo abstrakcyjne ma się do sztuki figuratywnej. Są pewne elementy, które rozpoznajemy, natomiast to my, odbiorcy, łączymy te kropki, uzupełniamy luki i w abstrakcyjnej kompozycji widzimy kształt, twarz, pejzaż.

„Czasem wystarczy coś rozmontować, obrócić do góry nogami, żeby spojrzeć na to w zupełnie nowy sposób”.

To mówił Terry Gilliam w książce o jego twórczości, którą redagowałeś.

Dla mnie, dla Laury Paweli, która montowała film, i dla Marcina Lenarczyka, który odpowiadał za ścieżkę dźwiękową, ogromną przyjemnością było szukanie w tych materiałach czegoś abstrakcyjnego, obrazów, które byłyby ciekawe ze względu na swoją kompozycję, dynamikę, formę. Oprócz wspomnianych zdjęć anatomicznych czy mikrobiologicznych mamy w filmie np. fascynujące prześwietlenia rur wyjęte z jakiegoś nudnego dokumentu o radiografii metali, mamy produkcję leków, mamy optyczny zapis dźwięku. To było niesamowite ćwiczenie z „patrznięcia z ukosa”, szukanie czystej przyjemności wizualnej.

Na swoim Facebooku wrzuciłeś w pewnym momencie wykonane przez sztuczną inteligencję ilustracje: jak wyglądały Zbyszek Cybulski w ekranizacji „Solaris”.

Oczywiście w ciemnych okularach w kosmosie. To również było takie ćwiczenie z wyobraźni. Co by było gdyby... Przez chwilę miałem taki pomysł, żeby to Cybulski był twarzą głównego bohatera, żeby wmontować w te dokumentalne kadry ujęcia z „Popiołu i diamentu” czy „Salta”: jakieś urywki dialogów, które pasowałyby do opowieści o wspomnieniach i pamięci. Zrezygnowałem z tego, bo to zaburzałoby pierwotną koncepcję filmu.

Akcja twojego filmu toczy się w 1961 r., gdy wyszła powieść Lema. Czy był to również sposób na uniknięcie dialogu z adaptacją Andrieja Tarkowskiego?

Ja z Tarkowskim? To jak wyjść na ring z Rockym. Nie, nie myślałem o adaptacjach filmowych „Solaris” ani o Tarkowskim, ani o Soderberghu. Chyba bym nie śmiał. Skupiłem się wyłącznie na powieści. Wywołałeś te inspiracje filmowe, więc przyznam się do dwóch, choć zdaje sobie sprawę, że to ryzykowne, bo obaj są gigantami – Alain Resnais i Chris Marker z jego „La Jetée”. Ale pracując nad tym filmem, zdałem sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy: jako dziecko zaczytywałem się książką Andrzeja Kołodyńskiego „Filmy fantastyczno-naukowe” z 1972 r. I czytałem streszczenia tych filmów jak jakieś bajki. Pomijałem wszelkie kwestie produkcyjne, ale fascynowały mnie opowieści o japońskich potworach niszczących miasta, podróżyach na Księżyc. Nasiąkałem tym, jak miałem sześć, siedem lat. I tam były czarno-białe zdjęcia głównie z filmów z lat 60. I gdy teraz kartkowałem tę książkę, uświadomiłem sobie, że tamta fascynacja była jednym z motorów „Solaris Mon Amour”. Żeby wrócić do takiego miejsca, takich faktur, twarzy, fryzur, ubrań, kontrastów, kadrowania...

Te zdjęcia, jak w wielu książkach z lat 70., były na dodatek fatalnie wydrukowane. Ja też czytałem ten leksykon czy „Seans z wampirem”, a potem łapałem się, że na ekranie to jednak wygląda inaczej.

Tak, te obrazy nieraz zapisywały się w pamięci mocniej niż same filmy. Były ilustracją naszych wyobrażeń, fantazji na temat tych filmów.

Stanisław Lem nie lubił adaptacji swoich książek. Zastanawiałeś się, co powiedziałby o twoim filmie?

Myślę, że nie byłby zadowolony. On był pisarzem, nie pracował w medium obrazu, nie wiem, na ile język kina, montażu był w ogóle dla niego interesujący. Myślę, że z definicji powiedziałby, że to są jakieś bzdury. Ale to także szersza kwestia: dlaczego Lem nie był w Polsce częściej ekranizowany? Taki znany i popularny pisarz? Przecież jego książki to często gotowe pomysły na film, jak „Niezwyrodniony” czy „Powrót z gwiazd”. W swoim czasie była próba napisania scenariusza „Powrotu z gwiazd” w zespole filmowym Aleksandra Forda. Ten scenariusz istnieje, ale do realizacji nigdy nie doszło. Wydaje mi się, że to jest przede wszystkim kwestia tego, że ten gatunek w latach 60. i 70. był w Polskim kinie wciąż traktowany jako coś niepoważnego. Wyjątkiem jest oczywiście „Na srebrnym globie” Żuławskiego, ale wiemy, jak to się skończyło.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN

Playlista Liszta

Muzyka poważna znowu jest modna – pokazują zarówno dane z serwisów streamingowych, jak i decyzje branżowych tuzów. A ten nieoczekiwany renesans o dziwo napędzają młode pokolenia.

MARIUSZ HERMA

Czy chcesz powiedzieć, że muzyka klasyczna jest nudna?! – pyta w tytule zamieszczonej w serwisie YouTube playlisty użytkownik o pseudonimie „nobody”, czyli „nikt”. Jego (lub jej) zestaw zaczyna się walcem z „Maskarady” Chaczaturiana, dalej są „Sonata z diabelskim trylem” Tartinięgo, lato z „Czterech pór roku” Vivaldiego, finał uwertury „Rok 1812” Czajkowskiego, Etiuda Rewolucyjna Chopina i trzecia część Sonaty Księżycowej Beethovena. Z Ravela jest nie „Bolero”, lecz „Scarbo”. Zestawienie kończy Toccata i fuga d-moll

Bacha. W sumie 14 utworów, godzina słuchania. Liczba wyświetleń playlisty: 7,2 mln w ciągu roku od publikacji. Jest też 5 tys. komentarzy. „Jeśli ktoś mówi, że muzyka klasyczna jest kiepska, naprawdę nie dał jej szansy. Tyle tu świetnych kawałków” – zauważa jakaś słuchaczka, jej wpis polubiło 8 tys. osób. „Gdy uczę się przy klasyce, zawsze czuję się taka mądra. Ale zaraz potem zaczynam udawać dyrygentkę albo tancerkę i zapominam o nauce” – wyznaje ktoś inny, zbierając 4 tys. lajków.

– *Ania mówi, że na tę playlistę trafiła przypadkiem* – opowiada znajoma kompozytorka, której nastoletnia córka niespodziewanie zaczęła ostatnio słuchać klasyki właśnie dzięki tej playliście. YouTube

podsunął jej to zestawienie gdzieś między odcinkami anime i lekcjami rysunku. Autor playlisty przygotował więcej zestawów z klasyką: „Playlistę do nocnej nauki” z Pachelbelem, Chopinem i Satiem (4,6 mln odsłon) oraz kolekcję przydatną, gdy „musisz dokończyć zadanie domowe w ciągu godziny” z Mozartem i Mendelssohmem (3,9 mln). Popularnością cieszy się też „Playlista do czytania po zmroku” z Debussym, Lisztem i znów Chopinem (3,6 mln). Inne zestawy, które mają milionowe zasięgi, to: „Jak to jest nie spać o czwartej nad ranem”; „Jesteś astronautą w kosmosie poznającym rzeczy, których ludzkość nigdy nie pozna”; „Najadłeś się halucynogennych grzybów w erze ▶

► wikingów”. Ale są też praktyczne wersje, np. „Gdy masz doła”, która ma 2 mln odsłonek. W sumie playlisty tego jednego kuratora wyświetlono prawie 80 mln razy tylko w ciągu ostatniego roku.

Podobnych propozycji na YouTube jest mnóstwo: „Muzyka klasyczna NIE JEST nudna” (4,4 mln odsłonek); „Wzruszająca muzyka orkiestralna” (9 mln); „Muzyka do deadline’u” (2,4 mln); „Cztery godziny Chopina do nauki, koncentracji i relaksu” (10 mln); wreszcie dosadne „The Best of Chopin” (aż 33 mln). Fanów mają również zestawy dla tych, którzy chcieliby docenić ciemną stronę swej natury, jak „Klasyka dla czarnych charakterów” (2,8 mln) czy „Ta playlista sprawi, że poczujesz się jak XIX-wieczny łotr”. Te ostatnie otwierają „Jeziro łabędzie” Czajkowskiego, „Dance Macabre” Saint-Saënsa i „Lacrimosa” Mozarta, a zamyka „Dies Irae” Verdiego.

Poważna bez powagi

Żarty z powagi? Nic podobnego. Te mniej lub bardziej humorystyczne opisy pozwalają od razu zorientować się, komu i w jakich okolicznościach ich zawartość może się spodobać, a przede wszystkim: jak dana muzyka wpłynie na słuchających. Wybór utworów często zależy od tego, w jakim nastroju jesteśmy lub w jaki chcemy się uprawić. Ale to wymaga wcześniejszej znajomości danego rodzaju muzyki. Nawet dla pobieżnego zorientowania się w klasycznym katalogu potrzeba miesięcy lub wręcz lat słuchania, to tuziny „obowiązkowych” utworów wielu znanych kompozytorów, często enigmatyczne są ich tytuły, z numerami i tonacjami, wreszcie niezliczone są ich wykonania. Playlisty o chwytliwych nazwach akcentujących nastrojów czy praktyczne zastosowanie pozwalają te bariery przeskoczyć. Zresztą podobne trendy od lat widać także w muzyce niepartyturowej, która w dużej mierze porzuciła tradycyjne podziały na rock, pop czy elektronikę. Zamiast tego wśród czołowych playlist na Spotify mamy „Piosenki do śpiewania w aucie” czy „pod prysznicem”, są „Poprawiacze nastroju”, „Bity do relaksu/nauki” i lista zatytułowana „Wycisk na siłowni”. Albo pogodne „Miłego dnia!”. I właśnie pójsi tym tropem przypisuje się po części nieoczekiwany boom na klasykę.

Agencja YouGov opublikowała w ubiegłym roku dość sensacyjny sondaż dotyczący preferencji muzycznych Brytyjczyków i Amerykanów. Ci pierwsi wśród swoich ulubionych gatunków najczęściej wymieniali pop, a później rock z przyległościami. Ci drudzy również, ale w odwrotnej kolejności. Trzecie w obu krajach było R&B, a tuż za nim klasyka. Sympatie

do muzyki poważnej deklarowała jedna czwarta pytanym, czym znacząco wyprzedziła alternatywę, elektronikę i muzykę taneczną czy country. A nawet hip-hop, choć ten dominujący w obu krajach styl wielu słuchaczy zapewne dopisało do popu.

Za wynikami tego sondażu poszły kolejne doniesienia o rosnącej modzie na klasykę. A to badanie zamówione przez londyńską Royal Philharmonic Orchestra przed Bożym Narodzeniem, w którym osoby do 25. roku życia znacznie częściej niż te w wieku ich rodziców deklarowały zamiar słuchania w święta muzyki orkiestrowej (74 do 46 proc.). Szwedzki dystrybutor muzyki Epidemic Sound ogłosił zaś, że zainteresowanie jego klasycznym katalogiem w serwisie YouTube w ciągu roku wzrosło aż o 90 proc. Przypisywał to youtuberom, którzy chętniej wykorzystują powagę w swoich własnych produkcjach. „Klasyka ma wyjątkową zdolność do poruszania emocjonalnych strun. Internetowi twórcy zaczynają zdawać sobie z tego sprawę” – komentował szef Epidemic Sound.

Nawet na TikToku filmiki oznaczone hasztagiem #classictok zebrały już ponad 66 mln wyświetleń. Rzeszą młodych fanów mogą się tam pochwalić 27-letnia skrzypaczka Esther Abrami (383 tys. obserwujących, plus niewiele mniej na Instagramie), 39-letni operowy baryton Babatunde Akinboboye (920 tys.) czy 34-letni pianista Matteo De Grandis (190 tys.). Poza stosunkowo młodym wiekiem łączy ich to, że muzykę poważną od tej powagi uwalniają: żartują z niej i w lekki sposób ją tłumaczą, swoje filmiki często nagrywają w domach podczas prób, siadając do instrumentu w codziennych ciuchach.

Pianista Brandon Lambert zgromadził 136 tys. obserwujących i 3,1 mln polubień pod filmikami za sprawą serii „Zabawne piosenki”, prezentując humorystyczne wariacje na temat „Dla Elizy” Beethovena czy „Czarodziejskiego fletu” Mozarta. Kanadyjski pianista Tony Ann, którego tylko na TikToku śledzą aż dwa miliony osób, postawił na interakcję ze słuchaczami i codziennym otoczeniem. W ramach akcji „Zagraj to słowo” wypisał na swojej klawiaturze litery alfabetu, by improwizować neoklasyczne utwory na podstawie słów, które podrzucali mu internauci. Lubi też wychodzić ze swoim przenośnym pianinem elektrycznym na ulice lub choćby swój balkon – jego największym hitem na YouTube jest utwór zbudowany ad hoc do rytmu alarmu stojącego pod oknem samochodu.

Takimi metodami wykonawcy zdobywają w sieci zasięgi większe, niż pozwalała tradycyjne koncertowanie. I to wśród młodych słuchaczy, jakoby najbardziej

opornych na klasykę, którzy z kolei nabywają o niej innego wyobrażenia niż to spotykane w filharmoniach czy nawet podczas transmisji Konkursu Chopinowskiego. I są bardziej skłonni może jeszcze nie wybrać się na koncert, ale przynajmniej sprawdzić ciekawie zatytułowaną playlistę na YouTube.

Starzy znajomi

Potencjał sieci po długich oporach doceniają nawet „tradycyjni” filharmoniczni wykonawcy, którzy wcześniej czas dzielili głównie między sale koncertowe a studia nagraniowe. – *W pandemii nawet najbardziej „oporni” zrozumieli, że bez cyfrowej komunikacji ograniczają swoje szanse na dotarcie do sporej części słuchaczy* – potwierdza Piotr Rzeczycki, dyrektor działu muzyki klasycznej i jazzu w Universal Music Polska. – *Uświadomili sobie też, że ta komunikacja nie musi być prostacka, może być merytoryczna, a zarazem ukazująca artystę od bardziej ludzkiej strony* – dodaje. Podczas lockdownu wszyscy zostali na długie tygodnie zamknięci w domach, a wykonawcy – wręcz na długie miesiące, gdy na pełne otwarcie sal koncertowych i powrót do międzynarodowych tournée przyszło im czekać ponad rok. – *Początkowo korzystali z tego dodatkowego czasu, by ćwiczyć w domu i przygotowywać się do powrotu na estrady, ale później brak kontaktu z publicznością stał się przygnębiający, niektórzy otwarcie to przyznawali* – wspomina Rzeczycki. W końcu założyli lub odkurzyli profile w mediach społecznościowych i uruchomili internetowe kamery. W ten sposób muzyka klasyczna wyszła z filharmonii i przez cyfrowe łącza weszła do domów, gdzie słuchacze nie musieli przejmować się np. strojem.

Pandemia na całym świecie zamknęła też szkoły, często na parę semestrów. Odnotały to sklepy z instrumentami, bo szczególnie młodzi przy wsparciu rodziców szukali zajęć, które nie wymagają wychodzenia z domu. Organizowano internetowe orkiestry (i chóry), gdy amatorskie nagrania setek internautów łączono we wspólne globalne wykonania. Zdaniem wielu komentatorów te wykonawcze doświadczenia pogłębiły zainteresowanie muzyką, które przynajmniej część neofitów doprowadziło do klasyki, lub chociaż do muzyki filmowej – często wybieranej do pierwszych instrumentalnych ćwiczeń. A przy okazji przyzwyczajało miliony par uszu do brzmień symfonicznych. Podobny efekt przyniósł boom na seriale i gry wideo. Ich ścieżki dźwiękowe często powierza się orkiestrom, ewentualnie ich cyfrowym naśladowcom. Zagorzali gracze i nałogowi

ogładcze seriali mimochodem spędzają więc z takimi brzmieniami nawet kilka godzin dziennie, szlagiery Brahmsa lub Góreckiego ich specjalnie nie zaskoczą, a Debussy i Pärt wydadzą się wręcz starymi znajomymi. Sam ciężar pandemii też sprawił, że wiele osób poszukiwanie kojącej, instrumentalnej muzyki – i tę potrzebę wiele klasycznych evergreenów znakomicie zaspokaja. Aczkolwiek przypomnijmy też domowy koncert pianistki Hani Rani z pierwszego lockdownu transmitowany na Facebooku, który mimo marnej jakości dźwięku obejrzało prawie 50 tys. rodaków.

Ten boom na klasykę potwierdzają decyzje fonograficznych tuzów. Najnowszą jest udostępniona właśnie aplikacja Apple Music Classical. Oferuje ona subskrybentom serwisu Apple Music, czyli głównego konkurenta Spotify, możliwość obcowania z klasyką. Konkretnie 5 mln utworów składających się na 115 tys. dzieł napisanych przez ponad 20 tys. kompozytorów. W odpowiedniej wizualnej oprawie, z wyszukiwaniem utworów podpartym rekomendacjami kuratorów, wysoką jakością dźwięku i biografiami kompozytorów. Apple nie oferuje osobnego dostępu do tej aplikacji, uznając, że słuchaczy nie ma obecnie sensu segregować na poważnych i pozostałych. Kilka miesięcy wcześniej prestiżowa wytwórnia Deutsche Grammophon, świętująca w tym roku 125-lecie istnienia, uruchomiła serwis streamingowy Stage+. Jak tłumaczyła, na przestrzeni ostatnich dwóch lat odnotowała „znaczący wzrost zainteresowania internetowymi transmisjami koncertów i oper”.

Na pandemiczne trendy nałożyła się rozpoczęta już wcześniej zmiana nastawienia wytwórni i wykonawców do opowiadania

o muzyce klasycznej. Jak zauważyła Rzeczniczka, podstawowym bytem zamiast trwającego godzinę koncertu stał się krótszy utwór – część występu, miniatura. Często także przekomponowana, jak w przypadku Maxa Richtera. Niemiecko-brytyjski kompozytor zasłynął materiałem, w którym przetwarzał „Cztery pory roku” Vivaldiego, zapętając różne jego fragmenty i warstwy. Album podbił klasyczne listy sprzedaży, na samym YouTube odsłuchano go setki tysięcy razy, jego fragmenty pojawiły się w serialach „The Crown”, „Pozostawieni” i kilku innych.

Obraz bez zmartwień

– *My też widzimy, że zainteresowanie klasyką rośnie i przekłada się na frekwencję na naszych koncertach. Przy czym młodzi preferują bardziej współczesny repertuar* – mówi Ludek Brezina, rzecznik Filharmonii Czeskiej. Dekadę temu próbowała ona przekonać młodszą publiczność kampanią o tym, że muzyka poważna „nie musi być tak ważna jak se zdá” – nie musi być aż tak poważna, jak się wydaje. Tego typu akcje później ponawiała, współpracuje też z 250 szkołami. – *Ale to media społecznościowe pomogły dotrzeć z muzyką klasyczną do szerszej publiczności, uczynić ją bardziej przystępną* – przyznaje Brezina. O odmładzającej się publiczności mówił też niedawno szef nowojorskiej Metropolitan Opera. „Średnia wieku osób kupujących pojedyncze bilety to obecnie 45 lat, znacznie mniej niż dawniej” – dziwił się. Skądinąd Met już na samym początku pandemii udostępniło za darmo retransmisje swoich spektakli, które wcześniej wyświetlano w kinach. I to też mogło oswoić z jej ofertą młodszą publiczność.

– *Jednej satysfakcjonującej odpowiedzi na pytanie, skąd wziął się cały ten klasyczny fenomen, wciąż nie znaleźliśmy* – mówi rzecznik Filharmonii Czeskiej. – *Ale wierzymy, że w szybko zmieniającym się, niestabilnym świecie ludzie szukają trwałych wartości, które reprezentuje muzyka klasyczna. No i pomagają rozładować stres* – dodaje. To ostatnie widać było już w ankiecie, którą serwis streamingowy Deezer przeprowadził prawie dziesięć lat temu w największych europejskich krajach. Aż trzy czwarte osób słuchających klasyki deklarowało, że robi to ze względu na jej kojące właściwości, a co piątej pomaga ona się skupić. Zarazem aż 90 proc. przyznawało, że słuchało klasyki częściej, gdyby znalazło przewodnika po jej przepastnych katalogach – na przykład kuratora playlist z dobrym wyczuciem potrzeb słuchaczy, no i z poczuciem humoru.

Pytam znajomą dyrygentkę, dlaczego jej nastoletnia córka w ogóle zainteresowała się podsuniętą przez YouTube playlistą z klasyką: – *Ania mówi, że kliknęła, bo był chwytliwy tytuł i grafika. Swoją hitową playlistę „Czy chcesz powiedzieć, że muzyka klasyczna jest nudna?!” anonimowy kurator ozdobił zbliżeniem na przerażone oczy uciętej „Głowy Meduzy” z obrazu Caravaggia. Nowa dwugodzinna kolekcja klasyki tego samego autora za okładkę ma już przypisywany Tycjanowi szwajcarski krajobraz z początku XVI w., a zawartością i tytułem wychodzi naprzeciw wspomnianej potrzebie kojenia emocji: „Playlista dla oderwania się od zmartwień”.* W ciągu miesiąca z tej propozycji skorzystało 300 tys. osób.

MARIUSZ HERMA

REKLAMA

PRZEZ 22 LATA WSPARLIŚMY 362 NAUKOWCÓW KWOTĄ PONAD 6 MLN 875 TYS. ZŁ.

23
NAGRODY NAUKOWE
POLITYKI

JESTEŚ MŁODYM AMBITNYM NAUKOWCEM?
PROWADZISZ NIEBANALNE, WAŻNE SPOŁĘCZNIE PROJEKTY BADAWCZE?

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Czekamy do 14 czerwca!

Partnerzy
Nagród Naukowych
POLITYKI 2023

za:ks
sprzyjamy wyobraźni

Dr Irena Eris



FUNDACJA ONKOLOGII
DOSWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ
Onkologia-Fork.org

Patron
medialny



Czajka, trop i trup

Zapomnijcie o okrutnych zbrodniach i psychopatycznych mordercach. Nadeszły czasy *cosy crime*. W Polsce w tym nurcie świetnie sobie radzi Katarzyna Gacek, autorka cyklu powieści o Agencji Detektywistycznej Czajka.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Czasy takie, że kryminał pomaga się oderwać od złych wiadomości. Niekoniecznie ten najbardziej krwawy. W trudnych momentach zawsze sprawdzała się Agatha Christie, jej powieści bardzo dobrze się sprzedawały w czasie drugiej wojny światowej. A teraz od kilku lat jesteśmy świadkami renesansu powieści detektywistycznej i dostajemy nowe ekranizacje Christie Kennetha Branagha, seriale takie jak „Zbrodnie po sąsiedzku” czy „Patrz, jak kręca” (oba na Disney+). Potrzebujemy oddechu i humoru, nic dziwnego, że globalnym trendem na rynku książki jest od kilku lat *cosy crime*. „Pożegnajcie domestic noir i odłóżcie powieści z dziewczyną w tytule” – pisał „Guardian”, nawiązując do modnych ostatnio nurtów.

Starsze panie na tropie

W Polsce ten rynek się rozrasta. Przybywa zwłaszcza komedii kryminalnych, bo żywa jest u nas tradycja nie tylko Agathy Christie, ale i Joanny Chmielewskiej. Te książki poznacie po tytułach: „Do zakopania jeden trup” Iwony Banach, „Dywan z wkładką” Marty Kisiel, „Teściowie w tarapatkach” Alka Rogozińskiego, „Gdzie są moje zwłoki?” Małgorzaty Starosty albo „Miłość, szkielet i spaghetti” Marty Obuch. Sprawy próbują rozwikłać dość nietypowi detektywi, jak w książce Anny Fryczkowskiej „Starsza pani wnika”, w której mamy fajtłapowatego Jarcia i jego babcię oraz szerokie grono jej koleżanek. Babcia postanawia pomóc wnukowi, który wymyślił sobie, że będzie detektywem. I starsze panie są bardzo skuteczne.

Detektywami są dziś często kobiety, tak jak w cyklu Małgorzaty Starosty, którego bohaterką jest rozwiedziona restauratorka Agata Śródka. Starosta jest jedną z bardziej płodnych autorek komedii, a jej książka „Kto zabił mamusię?” powstała we współpracy z czytelnikami – co miesiąc publikowała w internecie odcinek, a czytelnicy sugerowali rozwiązania. Zaczyna się to tak, że pewnego dnia policjant puka do drzwi i oznajmia, że teściowa nie żyje, ale teściowa stoi obok bohaterki. Dodajmy, że bohaterką jest pisarka Małgorzata Starosta (jak Joanna Chmielewska z książek Joanny Chmielewskiej).

Pisarki bywają i detektywkami, i ofiarami. Miejscem zbrodni może się stać wydawnictwo, a redaktor bywa zawodem wysokiego ryzyka, jak w powieści „Nagle trup” Marty Kisiel. Zwłoki redaktora znaleziono w toalecie wydawnictwa JaMas, a najbardziej niezadowolona z tego faktu była autorka bestsellera, nad którym redaktor pracował. „Mało co tak psuje



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

kobiecie premierę jak męski trup na sedesie”. Zagadki rozwiązują zazwyczaj amatorki, kobiety po przejściach, które wpadają w coraz to nowe tarapaty. Autorki komedii kryminalnych chętnie przyznają się do nazwy *cosy crimes*, tak jak Starosta, która zobaczyła, że czytelnicy są zmęczeni kryminałami epatującymi przemocą i makabrą, więc chciała ich zabawić.

Dedukcja, nie przemoc

Jednak *cosy crime* nie musi śmieszyć na każdej stronie. Czasem to męczące. Czym się wyróżniają powieści z tego nurtu, oprócz hołdu dla Christie? Generalnie więcej powinno być dedukcji niż przemocy. Ważniejsze są okoliczności zbrodni, a nie jej szczegółowy opis, akcja rozgrywa się gdzieś na prowincji, mordercy bywają dość zwyczajni i tropią ich amatorzy. Tak jest w dwóch powieściach „Pies ogrodnika” i „Gra pozorów” (wyd. Znak) Katarzyny Gacek, autorki, która gra dziś w Polsce w tym gatunku pierwsze skrzypce. Jej dwie części cyklu o Agencji Detektywistycznej Czajka zgrabnie mylą tropy, są niestereotypowe i ciekawie portretują kobiety.

Taka scena: bohaterka zajeżdża pod szkołę syna i orientuje się, że odpadła jej rura wydechowa. Co robi? Idzie do pań w świetlicy z pytaniem, czy mogą jej pomóc. Dały jej, co miały, więc przywiązała rurę różową włóczką i tak pojechała dalej. To nie jest historia z powieści, ale z życia pisarki Katarzyny Gacek, którą opowiedziała w podkaście „Jak się starzec bez godności” Ewy Winnickiej i Magdaleny Grzebałkowskiej. Ale mogłaby się znaleźć w książce, bo jej bohaterki Gaja, Matylda i Klara z Agencji Czajka mają podobne kłopoty i ciągle coś im się nie udaje. Gacek przez pewien czas była felietonistką lokalnej prasy i raz na miesiąc pisała o tym, co jej się nie udało: czasem sernik, czasem nawożenie trawnika. Nie lubiła pisać, te felietony wynikały z konieczności życiowej. Brakowało jej wiary w siebie – owszem z koleżanką napisały komedię kryminalną „Zabójczy spadek uczuć”, ale na samodzielny start odważyła się późno. „Osiem lat zajęło mi napisanie własnej książki, bo nie wierzyłam w siebie. Pisarstwo zaczęłam w wieku podeszłym, miałam 40 lat i to był dobry pomysł, żeby poczuć się młodą, bo debiutantka brzmi źle i ma potencjał” – mówi Gacek w podkaście.

Jej debiutem był kryminał „W jak morderstwo”. Od tego czasu sporo się wydarzyło: była scenarzystką przy programie „Sędzia Anna Maria Wesołowska” i przy filmach „Niebieskie drzwi” oraz „Czarny młyn”. Teraz zaczęła cykl powieści o detektywkach z Agencji Czajka

w podwarszawskim Milanówku. Powieści pokazują lokalną społeczność, która nie chce oglądać się na Warszawę, ma swoje problemy i ambicje.

A skąd się wzięły detektywki w Milanówku? Gaja odziedziczyła tam dom po rodzicach, jej sąsiadką jest Matylda, urzędniczka, która lubi wszystkich karmić i do której można wpaść na pizzę. Zaczęło się od obserwowania ptaków. Gaja, zapalona obserwatorka, pewnego dnia wypatrzyła lornetką swojego męża, który w samochodzie wysyłał esemesa zakończonego rządkiem czerwonych serduszek. Ucieszyła się, że tak o nią dba po kilkunastu latach małżeństwa. Ale żaden taki esemes do niej nie przyszedł. Zorientowała się, że był wysłany do kogoś innego. Od tego momentu lornetka na ptaki zaczęła Gai służyć w innym celu.

„Matylda kompletnie już nie wiedziała, jak zareagować. – Boże, kochana... I co teraz będzie? Co ty teraz zrobisz? – szepnęła słabym głosem. – Zniszczę go – odpowiedziała Gaja spokojnie”.

Odejdzie męża to nie koniec świata, tylko początek nowej drogi zawodowej.

Zmyśla, kręci, naciąga

„Na informację o zdradzie męża można zareagować różnie. Można dostać hysterii lub popaść w otępienie, można teatralnie zemdleć lub udawać, że nic się nie stało. Natomiast Gaja zareagowała wkurwem. Straszny, kosmiczny wkurwem”. I z tej złości założyła agencję detektywistyczną, żeby pomagać kobietom i mścić się w ich imieniu. Ale agencja dostaje inne zlecenia – zaczyna zajmować się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych i szuka sprawców morderstw. Bohaterki nie radzą sobie zbyt dobrze, co chwila trafiają na ślepe uliczki. Gaja w swoim czerwonym wielkim samochodzie wygląda groteskowo, śledząc podejrzanych. Nie raz i nie dwa zostają zdemaskowane, jak Klara w restauracji brata zaginionej pisarki Moniki Banach. Klara, trzecia detektywka, jest zresztą postacią barwną. Była modelka, wie, że robi na mężczyznach piorunujące wrażenie, zwłaszcza na swoim motorze, więc wykorzystuje to w pracy. Ma jeszcze jedną cechę – zmyśla, kręci, naciąga. Gaja, szefowa agencji, kilka razy nabrała się, a potem zaakceptowała fakt, że słowom Klary nie zawsze można wierzyć: „Jedną z zalet Klary, którą wykorzystywała w tej pracy beztrudno i szczerze, była niebywała pewność siebie, dzięki której każde kłamstwo przychodziło jej w tak naturalny sposób, że nikomu nawet by przez myśl nie przeszło, że to, co słyszy, z prawdą ma niewiele wspólnego”.

Wszystkie trzy dziewczyny są postaciami z krwi i kości, a nie przerysowanymi bohaterkami, jak to czasem bywa w komediach. Matylda lubi słodczyce, zwłaszcza krówki, ale tylko te twarde, a nie ciągnące się. Nie katuje się dietami, a jej dobre samopoczucie może zburzyć tylko nietaktowny koleś, który zacznie wypominać jej wagę. Trochę tu znajdziemy takich złośliwych portretów męskich – choćby kandydat do pracy w agencji, który nie przewidział, że szefową będzie kobieta. „A co jest złego w kobiecie na kierowniczym stanowisku?” – spytała sztucznie uprzejmym tonem. „Wszystko – warknął mężczyzna”. Gacek w lekkiej formie opowiada o rzeczywistości, w której kobiety nie dają już sobie w kaszę dmuchać, przechodzą na pozycje dowodzące, co ciągle bywa trudne do zaakceptowania dla otoczenia. Żadna z nich nie czeka na rycerza na białym koniu. Nie chcą się też dostosowywać do mężczyzn. Zławsza Klara, która robi, co chce, i bierze sobie, kogo chce. Gacek pokazuje kobiety, które muszą polegać na sobie samych. Dobrze opowiada też o rozmaitych relacjach, począwszy od relacji sąsiedzkich (tak ważnych w społecznościach lokalnych), przez przyjaźń i relacje męsko-damskie (również z byłymi partnerami), aż po ważne tutaj relacje rodziców z dziećmi. Gaja, zajęta zagadką zaginionej pisarki, nie zwraca uwagi, że jej nastoletnia córka jest zagubiona. I do tego właśnie przydają się przyjaciółki, które czasem widzą więcej. Pisarka dobrze opisuje to, jak nastolatki patrzają na swoich rodziców – choćby wtedy, gdy Gaja robi w mieście awanturę o miejsce parkingowe. Im jest głośniejsza, tym większe zażenowanie dziecka. No i znajdziemy tu jakże prawdziwy opis: „Pokój nastolatka jest jak Ikea – wchodzisz po kubek, a wychodzisz z miseczką, szklanką, dwoma talerzykami i ręcznikiem”.

A gdzie w tym wszystkim Agatha Christie? Na każdym kroku. Gacek jest uważaną czytelniczką brytyjskiej pisarki, ale nie dla wszystkich tutaj Christie jest absolutną mistrzynią. „Dzięki! – położyła przed Gają »Morderstwo w Orient Expressie«. Widzisz, oddaję! Całe i zdrowe! Gaja przysunęła książkę do siebie i pogłaskała ją po okładce. – I co, spodobało ci się? – Fajne, ale przewidywalne. – Klara wydeła lekceważące wargi. – Przewidywalne? »Morderstwo w Orient Expressie« przewidywalne? – Gaja była wstrząśnięta. – Po prostu wystarczyło dodać dwa do dwóch...”.

Nie to, co w Milanówku – tu nic nie jest łatwe. Trup się ściele gęsto, choć bezkrwawo. ■

Ojczyzna adopcyjna



Gość w dom, Bóg w dom – to pobożne życzenie o staropolskiej gościnności. Takiej, która nie zna zmęczenia gospodarzy i zakłada takt przybyłych, którzy w porę się wyniosą. Bo, jak głosi porzekadło, gość i ryba trzeciego dnia cuchnie.

Polszczyzna opiewa tradycję gościnności, którą wykształciliśmy jako kraj leżący w środkowo-wschodniej Europie, rozległy, „mlekiem i miodem płynący”. Z tego też powodu regularnie najezdzany i łupiony, o granicach z tendencją do płynności. Gościnność to nasza duma, punkt honoru i żelazny punkt wychowania. Złe kogoś podjąć, to hańba. Niewykluczone, że zwyczaj ten podszity jest zabobnym strachem, że to nie biedna starowina stanęła w progu, a bogini Demeter w przebraniu, że wpadł nie żebrak, a książę.

Po inwazji Rosji na Ukrainę przyjechało do nas wielu ludzi, którzy nagle pozostali bez domu. Polska gościnność stała się znów słynna na cały świat. A nam trafiła się pierwsza od czasu zakończenia drugiej wojny światowej okazja, by znów stać się społeczeństwem wielokulturowym. Do szkół trafiły dzieci z Ukrainy, których życie zmieniły doświadczenia przerastające wytrzymałość dorosłego, a co dopiero młodego człowieka. Polscy uczniowie stanęli przed zadaniem ułożenia sobie relacji z przybyłymi. To ogromne wyzwanie, któremu sami sprostać nie mogą, nie powinni. Dorośli muszą im w tym pomóc.

Do pomysłu importowania technik integracyjnych należy podchodzić bardzo ostrożnie. Wielokulturowość Zachodu ma paskudny ogon naznaczony piętnem rasizmu, bo Niemcy, Francja, Anglia, Belgia, Włochy, Hiszpania to dawne potęgi kolonialne. Butę wobec „obcych” od niedawna próbuje się kiełznać, z różnym skutkiem. Jest wiele pozytywnych przykładów, ale wciąż nagminne są praktyki pokazywania „innym, gdzie ich miejsce”, demonstrowanie wyższości wobec tych, którzy „nie mówią poprawnie”, czy skazywanie imigrantów na pracę, której nie chcą wykonywać obywatele kraju. To tylko niektóre z przejawów dyskryminacji, których ściągać do siebie nie należy. Warto za to przyjrzeć się metodom stawiającym na równość, otwartości i szacunek dla człowieka, któremu przyszło nagle stać się imigrantem czy uchodźcą.

W naszych szkołach uczniów ukraińskich zapisano do klas, gdzie mówi się i uczy po polsku, co oznacza, że muszą naraz robić dwie rzeczy – przyswajając to, co nakazuje program, oraz uczyć się w trybie ekspresowym nowego języka. Nazywanie na nowo rzeczywistości to wielki wysiłek, zwłaszcza gdy wykonuje się go nie z własnej woli, a z dziejowej konieczności, zmagając się jednocześnie z wojenną traumą oraz przejawami codziennej dyskryminacji. Drwiące unoszenie brwi czy cierpkie uwagi bywają równie paskudne, co boje toczony z instytucjami, w których jeżą się paragrafy 22.

W belgijskich podstawówkach dobrym rozwiązaniem są dodatkowe lekcje języka dla uczniów, którzy nie opanowali go jeszcze w wystarczającym stopniu. Tym po przejściach zapewnia się również pomoc psychologiczną. Bezcenna bywa pomoc organizacji, które wspomagają integrację, stwarzając bezpieczną przestrzeń do rozmów o tym, co spotyka przybylsza w kraju gospodarzy. Można opowiadać, pisać, rysować, malować, kręcić filmy o sytuacjach, w których człowieka dotknął rasizm, seksizm czy inny rodzaj dyskryminacji. Emocjonalne zranienia potrafią paprać się latami, bo głęboko zapadają zdania typu „zabieracie nam pracę” czy „ich kobiety są dobre w łóżku”.

Nie chodzi jednak o to, by w przybyłych widzieć ofiary lub przyklepać im swoje łatki. Ważne jest, by wysłuchać, co sami mają do powiedzenia. Uczniowie polscy skarżą się czasem, że ich koledzy i koleżanki z Ukrainy mają fory u nauczycieli. Fakt, metoda: „nie nauczyłaś się, ale i tak cię przepuszczę, bo mi cię żal”, nie jest najlepsza dla nikogo. Lepiej stworzyć bezpieczną przestrzeń do rozmów, wysłuchać, z czym zmagają się uczniowie z Ukrainy i jak to odbierają ich polscy rówieśnicy. Zamiast wyśmiewać się, że nie znają polskiego, jak ci, którzy mówią tym językiem od dziecka, docenić fakt, że to ludzie dwujęzyczni. Powiedzieć im, ile dobrego wnoszą.

Wielokulturowość w klasie to nowa rzeczywistość, z którą i polscy, i ukraińscy uczniowie muszą się oswoić. Stigmatyzowanie łatką ofiary – wojny lub nierównego traktowania przez nauczycieli – nikomu nie posłuży. Potrzebna jest cierpliwość wobec innych i wobec siebie. Tu nie ma lepszych i gorszych, jest wspólnota, która uczy się być razem i może nawzajem się wzbożać. Albo implodować.

Kluczowa jest zmiana myślenia o gościnności. Relacja podejmujący-przyjmowany to sytuacja przejściowa, umowa społeczna, która zakłada, że goszczenie kiedyś się skończy. Tymczasem budowanie społeczeństwa wielokulturowego to długotrwały i złożony proces, któremu bliżej do adopcji, przyjęcia nowego członka rodziny. Jeśli zatruje mu się życie, „pokazując obcemu, gdzie jego miejsce”, będzie to okrutne i głupie. Ta zasada działa w obie strony.

Uczniowie, którzy uczestniczą w tej społecznej przebudowie, są w bardzo delikatnym położeniu. Za nimi powinno stanąć solidne zaplecze dojrzałych rozwiązań. Potrzebne są pieniądze na pomieszczenia, zajęcia i specjalistów. Bo ile można wymagać od ochotników? Zastaw się, a postaw się – to przeszłość. Dziś nie chodzi o popisywanie się, tylko o realną pomoc, dla przybyłych i dla siebie.

„Bo czyż potrzebni goście? Owszem. Jak dziura w moście!” – pisał Jan Brzechwa. Tyle że dziś nie o gościach już mowa, a o ludziach, którzy być może w naszym kraju zostaną, bo tu czują się bezpiecznie. Polska może być ich adoptowaną ojczyzną.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK



Bezżylnik

Złe żyły – informuje. – Żyły mu nie wychodzą. Co tam, informuje. Ona krzyczy na cały punkt pobrań, na całą przechodnię lekarzy rodzinnych. Po czym wydaje ostateczny werdykt.

– Beeeżyyylnik!

A ja się wstydę. A ja się próbuję napiąć i wytrzeszczyć. Jakoś jej udostępnić te żyły. Jakoś spiętrzyć, żeby w końcu wezbrały, wystąpiły z brzegu, z biegu, skądkolwiek. Pani pielęgniarka szuka, stuka, wierci w przegubie. Nic z tego.

– Bezżylnik mi się trafił z samego rana! – woła jeszcze głośnie. A ja próbuję tłumaczyć, bagatelizować, zbyć żartem.

– A bo my już takie mamy – uciekam w liczbę mnogą. – To rodzinne.

Po matce, bo babce, po ojcu. Całe pokolenia, wszyscy połączeni kilometrami złych żył. Marna krew chowa się w naszych pulchnych rękach. Gdzieś tam sobie w nas krąży, ale pokątnie, skrycie, zakopana w gęsim sadle, zagrzebana w pierzynach kończyn.

Staram się unikać wzroku pani pielęgniarki oraz widoku narzędzi jej fachu. Myślę o zgięciach przodków. O fioletowych i błękitnych śladach po pobraniach. Wspominam niegdysiejsze plamy, które wyslizgiwały się z kwiecistych rękawów lnianych sukienek i flanelowych koszul, a potem już ze szpitalnych piżam. Najpierw fioletowe. Potem zmieniały kolor, czarnały, robiły się żółtawe. Wyglądało, jakby Administracja Domów Mieszkalnych sadziła bratki w przegubach moich krewnych. „Złote oczy, podkute szafirowym dookoła sińcem”.

Pani pielęgniarka nie krzyczy do mnie. Nie krzyczy też do pobladłych pacjentów siedzących w poczekalni (wzorowych żylników, supersiakaczy, którzy już prawie napelnili swoje fiolki). Ani do cierplivej kolejki za drzwiami. Ani do dziecięcia, które zagląda do gabinetu, licząc na widowisko. Ani do młodej kobiety z moczem bez kolejki. Ani nawet nie do przechodniów, którzy pod oknami przyspieszają kroku. Ona krzyczy do innych pielęgniarek. Musi je ostrzec zawczasu. Musi wyrazić swój protest przeciw niesprawiedliwości. Że ona tu się babcze, dżga na osłep, gnie igły, a koleżanki – szast-prast i gotowe.

Koleżanki wymieniają spojrzenia. W tych spojrzeniach da się odczytać opinie na temat ilości lewych rąk, rąbka u spódnicy, pchania się na afisz itp. Pani pielęgniarka jest rozczarowana brakiem wsparcia.

– A beżżylnik co taki wystraszony? – pyta niespodziewanie. – Może z tych mdlejących?

Szybko rozważam opcje.

– Z mdlejących – mówię, bo tak wydaje się bezpieczniej.

– Mdlejący beżżylnik! – woła dramatycznie. – Mdlejący beżżylnik z samego rana! – I zaraz dodaje, po prostu musi, w tonie refleksyjnym – Co te chłopy takie słabosilne teraz.

Koleżanki tylko wzruszają ramionami.

– Poczytałabyś Twardocha – mówi jedna.

– Tak nie można – poucza druga. – Pacjenta trzeba zająć. Musisz porozmawiać, zagadnąć o pogodę, cokolwiek.

– Świetny pomysł – mówię, bo marzę o zmianie tematu.

– Zimno coś – zagajam.

– Jezusie najśłodszy – ryczy pielęgniarka, teraz już na serio spanikowana. – Bezżylnik mówi, że mu zimno! Bezżylnik mi mdleje. Ratunku!

To przesądza. Jedna z koleżanek podchodzi i z westchnieniem przejmuje posterunek.

– Zostaw już – mówi i dodaje głośnie. – A mówili, że już będzie ciepło.

– Jak tu wierzyć prognozom – odpowiadam gorliwie.

– Gotowe – konkluduje ona. – Proszę jeszcze potrzymać zgięte, kwadransik i można iść.

Więc zgięte, kwadransik i możemy zmienić temat. Wracając do domu, widzę koparkę. Na naszej ulicy trwają prace hydrauliczne, prowadzone metodą bezwykopową. Nazwa jest myląca. Metoda wymaga wykonania licznych wykopów. Są to jednak wykopy punktowe, nie zaś liniowe. Dzięki temu jezdnia pozostaje nienaruszona. Natomiast trawnik i chodniki zamieniają się w ponurą ruinę.

Koparka najpierw szarpie za korzenie naszego biednego klonu, a zaraz potem łamie mu gałęzie.

– Co pan robi temu drzewu? – wołam do operatora koparki.

– To nie ja – facet przerywa pracę. – Dopiero dwadzieścia minut, jak mam zmianę.

– Gałęzie są połamane – wołam. – A wczoraj nie były.

Szybko zaczynam żałować, że się wplątałem w tę historię. Uskakuję przed naczyniem urabiającym. Spisuję numer telefonu. Dzwonię.

– Ja w sprawie koparki.

– Koparki? – dziwi się kierownik, jakby w życiu koparki nie widział.

– Na rogu księdza Jana Kultury.

– Na którym rogu? Jakiego księdza? – pyta. – Pan jest w ogóle mieszkańcem?

– To jest barbarzyństwo, co robicie – odpowiadam. Już czuję, że nie należało wyjeżdżać z tym barbarzyństwem, ale jakoś ciągnę to zdanie w stronę finalnego wykrzyknika. – Młode gałęzie łamiecie! – oskarżam.

Szef przejmuje inicjatywę.

– Pan nie chce, żeby ludzie mieli wodę, pan mieszkaczom żałuje wody. To dopiero jest barbarzyństwo! – krzyczy.

– Ludzie potrzebują i wody, i liści! – odkrzykuję.

Bardzo przepraszam, że zawracam państwu głowę takimi głupotami z Pragi Południe. Oczywiście ten odcinek był o polityce. Po prostu krajowa opozycja ogromnie przypomina siostrę z naszego punktu pobrań. Wobec spodziewanej kłęski najbardziej ją zaprzęta przygotowanie sobie wawczasu alibi.

Natomiast władza działa jak właściciel koparki. Robi, co chce, a w razie protestu krzyczy „Ludziom wody żałujecie!”. No i ma koparkę.

MARCIN WICHA



Golizna

Moja Polska staje się, a właściwie już się stała, „postawem sukna”, jak tłumaczył Andrzejowi Kmicicowi Bogusław Radziwiłł, za które „ciągnie kto żyw naokoło”. „Kto żyw” oznacza dziś piśmowską władzę oraz jej akolitów. Prezes partii obłudnie zwanej Prawem i Sprawiedliwością po dłuższej przerwie znów krąży po kraju naszym wrogi dron. Odważnie wylądował w Janowie Lubelskim (w Janowie Podlaskim byłoby znacznie trudniej, gdyby próbował szczyścić się sukcesami), gdzie jak zwykle jednoczył Polskę okrutnie tandetną polszczyzną. No cóż, takie odebrał wykształcenie, że „som ludzie i bendum się z tom beznadziejnym ideom demokracji obnosić” (cytuje z pamięci i tendencyjnie).

PiS od 2015 r. zmienia stosunki społeczno-gospodarcze oraz ustrój polityczny państwa – ciągnął prezes. Słuchając tych słów, zrozumiałem, że w Polsce trwa pełzający zamach stanu i że – jeśli wygrają tegoroczne wybory – to dopełni on do celu. Partia rządząca będzie się pławić w autorytaryzmie, a my pokornie staniemy w kolejce, czekając na jakiś przedwczorajszy pociąg z ostatnią paróweczką hrabiego Barry Kenta. Przesadzam? Bardzo bym chciał, ale raczej nie dosadzam. Konstytucja już dawno stała się pamiątkowym egzemplarzem druku, który można podłożyć pod nogę od stołu, żeby się zupa nie wylewała. Trybunał Konstytucyjny, najwyższa instancja kontrolująca akty prawne, podzielił się na dwie nierówne połowy i w zasadzie zawiesił działalność.

Demokratyczne instytucje w naszym kraju ma pewnie zastąpić komisja ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo Rzeczypospolitej – od roku, a jakże, 2007 (pierwszy rząd Tuska) do 2022. PiS chce nadać komisji superkompetencje, nieobecne nawet w Kodeksie karnym. Na przykład prawa do zawieszenia działalności publicznej politycznego przeciwnika (oczywiście przeciwnika PiS) na 10 lat.

Nazwijmy rzecz po imieniu: ma to być rodzaj bolszewickiej czystki. Aż strach pomyśleć, jak doktor prawa, pilnowany przez kamienne lwy, będzie rozważał wszelkie za i przeciw powstania takiej komisji.

Golizna moralna tzw. rządu jest demonstracyjnie bezwstydną. Przez jeden z dwóch największych państwowych banków, PKO BP, przemyka facet z małą teczką i z jeszcze mniejszym od niej charakterem. To Franciszek Przybyła, asystent niejakiego posła Mejszy, z którym rączka w rączkę wyciągał pieniądze od rodziców śmiertelnie chorych dzieci, obiecując cudowne uzdrowienie. Mamy też Janusza Cieszyńskiego, świeżo mianowanego na ministra cyfryzacji, do niedawna twarz tzw. afery respiratorowej. Dziś, po pisowskiej nowelizacji Kodeksu wyborczego, zyskuje dotkliwy wpływ na przebieg jesiennych wyborów. Choćby dlatego, że resort Cieszyńskiego będzie jedyną instytucją z dostępem do nagrań z lokali wyborczych.

Pociągnijmy jeszcze łyk z trochę innego garnuszka. Oto wicepremier, minister kultury, profesor nauk humanistycznych Piotr Gliński puentuje obchody 80. rocznicy wybuchu powstania w warszawskim getcie. Podczas zwiedzania wystawy „Pamięć 1943” w stolecnej Kordegardzie wręcza prezydentowi Niemiec raport o stratach poniesionych przez Polskę w czasie drugiej wojny światowej. Nazywa to „działaniem w najgłębszym interesie polskiego społeczeństwa” i obiecuje, że „będzie to robił każdego dnia, dopóki nie zmusimy Niemców do wypłacenia odszkodowań”. Timing ministra – zerowy.

Życie nie przypomina mi niczego, co dotychczas widziałem – mówił, wrzucając patyk do ogniska jeden z kowbojów w antywesternie Arthura Penna „Przełomy Missouri”. Nieraz już przypominałem te słowa, ale z dzisiejszą codziennością sklejają się one wyjątkowo mocno.

STANISŁAW TYM

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)
PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ
MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszek-Radźko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

DRUK Quad8

www.lzbaprasyl.pl

PBC
POLSKIE BIURO CENZURY

PRINTED IN POLAND

BIURO KONTROLI PAŃSTWA

Lekarze z zespołu dr. Izraela Milejrowskiego

Nawiązując do poruszającego tekstu pana redaktora Mariana Turskiego „Dlaczego powstanie wybuchło tak późno?” (opublikowanego na łamach Pomocnika Historycznego POLITYKI: „1943. Opór i Zagłada”) chciałbym zauważyć, że z zespołu dr. Izraela Milejrowskiego wojnę przeżyła łącznie ósemka lekarzy:

- dr Emil Apfelbaum – zmarł w 1946 r. w trakcie prac nad wydaniem „Choroby głodowej”. Po jego śmierci prace nad wydaniem przejął prof. Juliusz Zweibaum (w getcie kierownik tajnych kursów medycznych – wydziału lekarskiego).

- dr Zdzisław Askanas – po wydostaniu się z getta brał udział w Powstaniu Warszawskim, zaś po wojnie zasłynął jako wybitny kardiolog, prof. Akademii Medycznej w Warszawie. Zmarł w 1974 r.

- dr Teodozja Goliborska – po wyjściu z getta wzięła udział w Powstaniu Warszawskim. W 1946 r. wyemigrowała do Australii, gdzie praktykowała jako lekarz. Zmarła w 1992 r.

- dr Ari Leon Heller – po wojnie pracował jako asystent na UMCS, a następnie na Uniwersytecie Wrocławskim. W 1946 r. wyemigrował do Szwecji, gdzie w Instytucie Karolinska był profesorem. Zajmował się biochemią, potem wirusologią. Zmarł w 2008 r.

- dr Kazimierz Zweibaum (Kazimierz Zakrzewski) – po wojnie profesor medycyny, biochemik, pracownik naukowy Instytutu Hematologii, Wytwórni Surowic i Szczepionek oraz Instytutu Badań Jądrowych w Świerku, wieloletni prezes PTBioch. Zmarł w 2000 r.

Ponadto prof. Tomasz Szarota oraz dr Leonard Tuchnet ustalili, że wojnę przeżyli również:

- dr Henryk Fenigstein (Henry Fenigstein) – w trakcie powstania w getcie wywieziony do obozu koncentracyjnego na Majdanku, a następnie więziony w kolejnych obozach koncentracyjnych (w tym m.in. w Oświęcimiu). Po wyzwoleniu przez armię amerykańską z obozu w Dachau początkowo pracował w szpitalu UNRRA w Monachium. Wyemigrował do Kanady, gdzie praktykował jako lekarz psychiatra. Zmarł w Kanadzie w 1993 r. W wydaniu „Choroby głodowej” z 1946 r. błędnie został uznany za zmarłego.

- dr Chaim Einhorn – z notki biograficznej opracowanej przez prof. Barbarę Engelking wynika, że pod koniec wojny został zmobilizowany do Wojska Polskiego, brał udział w zdobyciu Berlina, zaś w latach 1945–46 był kierownikiem szpitala wojskowego w Szczecinie i lekarzem chorób płucnych w TOZ w Szczecińskim. W 1946 r. wyjechał z Polski, zaś po dwuletnim pobycie w Austrii, gdzie został dyrektorem szpitala, w 1948 r. wyemigrował do Izraela. W Izraelu praktykował jako lekarz chorób płucnych. Tam też zmarł w 1978 r.

- dr Izrael (Jerzy) Rotbalsam (Rom) – w trakcie powstania w getcie został wywieziony do obozu na Majdanku, następnie był więźniem obozów w Buchenwaldzie oraz Mauthausen. Po wyzwoleniu przez armię amerykańską wyemigrował przez Paryż do Izraela, gdzie praktykował jako pediatra. Zmarł w Izraelu.

Zdaniem prof. Szaroty jest bardzo prawdopodobne, że wojnę przeżył również dziewiąty członek zespołu: dr Zuzanna Szejnfinkiel. Jej losy pozostają jednak nieznanne.

Na koniec chciałbym dodać, że poza niewielką uliczką w Szwabii, upamiętniającą dr. Fenigsteina, żaden z wymienionych powyżej lekarzy nie został w jakikolwiek sposób upamiętniony zarówno przez Polskę, Warszawę, jak i Ich Alma Mater – Uniwersytet Warszawski oraz Warszawski Uniwersytet Medyczny. Być może w amoku wynajdywania dziwacznych patronów, często okazujących się postaciami fikcyjnymi, warto wspomnieć o garstce, której raport stanowi do dzisiaj jeden z najbardziej wstrząsających dowodów niemieckich zbrodni.

JAKUB PITERA

Praca kobiet

W wywiadzie Agnieszki Krzemińskiej z dr Alicją Urbanik-Kopec „Bardziej rozważne niż romantyczne” (POLITYKA 15) nie doceniono partnerstwa kobiet w prowadzeniu gospodarstw rolnych, a przecież w XIX w. ponad 3/4 ludności żyło z roli. Praca kobiet w dużym stopniu decydowała o dochodowości gospodarstw pańszczyźnianych; to one zarabiały na jajach, serach, drobiu, wytwórstwie płótna, samodziałów, przędzy, przetwórstwie warzyw i owoców. Moja prababcia w jej 90-morgowym folwarczku pod Jarocinem zarządzała kilkusobową babską drużyną żywniowo-hodowlano-przetwórczą i trzymała kasę. Na wsi kobiety pracowały ciężko, wyjątkiem były osoby w typie p. Korczyńskiej z „Nad Niemnem”.

Szkolnictwo dla kobiet na przełomie XIX i XX w. było już dość praktyczne: moja babcia w latach 1910–13 pobierała nauki na pensji zakonnej w Pleszewie (Wielkopolska), tam miała korespondencję handlową, podstawy przedsiębiorczości oraz rachunkowości rolnej i handlowej (przygotowywano ją do roli księgowej i kasjerki), zasady przetwórstwa rolnego. To wykształcenie umożliwiło jej „karierę” urzędniczą na PKP w okresie międzywojennym i możliwość zarabiania jak mężczyźni w tej samej randze.

Ale generalnie status żony był pochodną pozycji męża! 19-letnia pensjonarka szkoły w Chyliczkach z dnia na dzień stała się Panią Ministrową, Generałową i Inspektorową.

JACEK TYLIŃSKI



Odpowiedź dr Alicji Urbanik-Kopec: Rola kobiety w środowisku wiejskim przedstawiała się inaczej niż w mieście; pozostaje pytanie, czy ich sytuacja była lepsza niż mieszkanki miast? W drugiej połowie XIX w. warunki życia na wsi w Królestwie Polskim były na tyle złe, że mężczyźni masowo wyjeżdżali nawet do Brazylii i Argentyny, a kobiety emigrowały do miast. Prawie 80 proc. służących domowych w miastach było ze wsi. Do ciężkiej pracy fizycznej za marne grosze wyjechały

jako tzw. niepotrzebne córki, których rodziny nie mogły utrzymać, a także po to, aby zebrać pieniądze na posag. Sytuacja nie poprawiała się w okresie międzywojennym. W „Pamiętnikach kobiet wiejskich” kobiety wspominają dzieciństwo na polskiej wsi jako ciężką pracę, brak dostępu do zdobyczy cywilizacyjnych i patriarchalne, przemocowe stosunki rodzinne.

Historia edukacji babki p. Jacka Tylińskiego to ciekawe świadectwo, charakterystyczne dla przełomu wieków, gdy zaczęto kłaść większy nacisk na „praktyczną” edukację kobiet. Pod koniec XIX w. popularne były szkoły „handlowe” kształcące dziewczęta na księgowę. Ten trend zwiększył ich obecność najpierw w usługach i biurach, a po 1918 r. już we wszystkich niemal obszarach pracy zawodowej.

Zgadzam się, że rola kobiety na wsi była niezwykle ważna i trudna, tylko niekoniecznie odpowiednio doceniana. Pan Jacek zaproponował doskonałe podsumowanie: pozycja kobiety była pochodną pozycji jej męża niezależnie od tego, jak wielkie (lub niewielkie) były jej własne zasługi.

Mirosławowi Gryniowi
wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci **Taty**
składają koleżanki i koledzy z POLITYKI

Ludzie i style to od dziś nowy dział naszego tygodnika, zamykający numer. Przez lata publikowaliśmy tu fotoreportaże, i one będą się ukazywały nadal, choć w innych miejscach gazety. W nowym dziale chcemy zająć się tematami, które rzadko gościłyśmy na łamach, a które dotyczą, najogólniej, naszej codzienności, jakości i urody życia. Praktyczna psychologia, kulinaria, podróże, moda, dizajn, seriale, gadzety, trendy społeczne – wypisaliśmy sobie kilkanaście takich podrozdziałów. Do projektu zaprosiliśmy wielu nowych autorów, często już popularnych w sieci, ale też pasujących do stylu POLITYKI. Będą publikować cyklicznie, jednak w każdym wydaniu zestaw tekstów ma być redakcyjną niespodzianką. Słowem: poszerzamy POLITYKĘ o nowe tematy i autorów, z nadzieją, że znajdą Państwo w tej lekturze nie tylko inspiracje, ale i dużo przyjemności.

Nie kliknęło

Skoro potrzeba bezpośredniego kontaktu jest wpisana w naszą naturę, to dlaczego niektórym po pandemii wystarczają wirtualne związki i relacje?



RELACJE

Myszka-Strychalska, socjoterapeutka i badaczka z UAM w Poznaniu, która analizowała tę kwestię. Aż 40 proc. ankietowanych w wieku 18–25 lat przyznało, że nie ufa innym ludziom, bo „w dzisiejszych czasach można liczyć tylko na siebie”.

Niepokojące jest też sygnalizowane w badaniach (prowadzonych na UW) niezadowolenie z jakości swoich związków wśród 18–29-latków, częstsze w porównaniu z pozostałymi grupami wiekowymi. – *Młodość nie zdążyła nawiązać trwałych kontaktów z rówieśnikami przed wprowadzeniem lockdownu albo zaczęła pierwszy rok na zdalnym. Taka sytuacja może odcisnąć piętno na zdolności do budowania intymnych relacji* – prognozuje badaczka.

Terapeuci przyznają też, że coraz więcej młodych pacjentów, którzy szybko wchodzą w relacje, w większości z osobami poznanymi w sieci, ma trudności z ich utrzymaniem w realu. To zaś nie tylko spuścizna pandemii, ale i wzór więzi, jaką nawiązali z pierwszymi ważnymi osobami w życiu – rodzicami czy opiekunami. Przy pierwszych konfrontacjach czy trudnościach wycofują się, używając często języka ze świata wirtualnego: „po prostu nie kliknęło”. Co nie kliknęło? Nie potrafią powiedzieć.

To, że rośnie grupa ludzi, którym wystarcza wyłączna wirtualna bliskość, nie znaczy, że zmieniły się preferencje ogółu: – *Nadal większość z nas potrzebuje dotyku, spojrzenia w oczy, siedzenia blisko, by poczuć z kimś więź, polubić go, zakochać się* – mówi dr Konrad Maj, psycholog społeczny z Uniwersytetu SWPS, badacz relacji online. Po drugiej stronie ekranu często są ludzie spragnieni wartościowych więzi i chcą ich w realu. Jak mają rozumieć ciągle odmowy czy przesuwanie w nieskończoność terminu spotkania? Taka jest specyfika aplikacji randkowych: ułatwiają nawiązanie kontaktu, ale potrafią wpędzić w dół, gdy kolejna rokująca konwersacja urywa się na etapie „to może się spotkamy”.

– *Badania Pew Research Center prowadzone w USA wskazują, że ok. 30 proc. mających profile randkowe w sieci nigdy nie spotkało się z nikim bezpośrednio* – mówi dr Konrad Maj. I podejrzewa, że w Polsce może być podobnie, bo unikanie kontaktu i tzw. *ghosting* to uniwersalne zjawisko. Kim więc są ci teoretycy randkowania? – *To równie często niedojrzali, próżni, narcystyczni ludzie, których zadawała samo kolekcjonowanie „matchów” i bycie obiektem uwagi, jak i ci, co nie posuwają się dalej z lęku przed odrzuceniem, bo musieliby udowodniać, że są tak samo fajni jak w wirtualu* – podejrzewa dr Maj.

Psychologowie mimo wszystko pokładają nadzieję w biologicznym instynkcie przetrwania. Człowiek jest w stanie zdobyć się na wiele, by być z innymi. Jak pisze Noreena Hertz, autorka wydanego rok temu „Stulecia samotnych”, niektórzy Japończycy z desperacji posuwają się do kradzieży, by trafić do więzienia i choć w takich warunkach mieć szansę na towarzystwo. ■

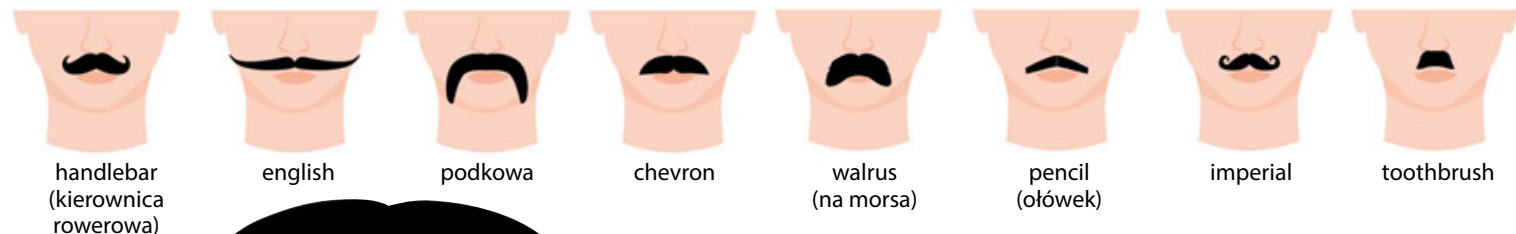


Grażyna Morek

– dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl”, zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

Rok temu Hania świadomie wybrała liceum, do którego nie będzie musiała chodzić. Takim dzieciakom jak ona Szkoła w Chmurze spadła z nieba. To platforma do samodzielnej nauki: formalnie działa w ramach edukacji domowej, ale zapewnia uczniom wszystkie potrzebne materiały i konsultacje z nauczycielami, tak by nie musieli się nią zajmować rodzice. W Chmurze uczy się dziś ponad 14 tys. dzieci z całej Polski. Hania przyznaje, że wcześniej próbowała dołączać do różnych klasowych grup, ale nie czuła się pewnie. Nie rozumiała koleżanek. – *Wystarczy mi jedna przyjaciółka. Często łapię się na tym, że nie wiem, jak działają ludzie, i to mnie stresuje* – mówi. Nikodem (też uczy się w Chmurze) podkreśla, że wirtualne znajomości dają mu więcej satysfakcji niż te z realu: – *Przyjaźnię się z wieloma osobami z różnych miast i krajów. To teraz moi najlepsi przyjaciele, mimo że z większością nigdy nie widziałem się na żywo.*

Pandemia wychowała także pokolenie pogubionych w meandrach relacji dwudziestoparolatków. – *Cechy, jakimi się wyróżniają przedstawiciele nowej generacji, to m.in. słabsza kondycja psychiczna, mniejsze poczucie kontroli, sprawczości i pewności siebie, spadek umiejętności interpersonalnych* – wyjaśnia dr Lucyna



handlebar
(kierownica
rowerowa)

english

podkowa

chevron

walrus
(na morsa)

pencil
(ołówek)

imperial

toothbrush



Mają to pod nosem

TRENDY

Pytanie dziś nie brzmi: czy zapuszczać wąsy, ale czy zapuszczać **chevron**, podkową, czy może ołówek? Gdy rozdawano w tym roku Oscary, jedni interesowali się werdyktem, inni toaletami pań, a jeszcze inni – wąsami. W analizującym branżę filmową piśmie „Variety” ukazał się tekst doradzający najmodniejszy typ wieczorowego zarostu, zaś na samej gali prym wiedli Pedro Pascal (chevron) i Austin Butler (niezdecydowany – być może hodowana podkowa). Wprawdzie autorzy rankingów nie różnicowali bród i wąsów, ale przecież nikt nie jest idealny, a niektóre typy wąsów – jak właśnie spopularyzowany przez Freddiego Mercury’ego chevron – dobrze wyglądają z dodatkiem w postaci zarostu pod dolną wargą.

Ten model pełnego wąsa oraz jego bliscy krewniacy, jak walrus („na morsa”) czy painter’s brush („pędzel malarza”), to klasyk, jak dobrze skrojony garnitur. O ile painter’s brush jest dość neutralnym stylem, o tyle toothbrush już nie. Dość powiedzieć, że poza Charliem Chaplinem nosił go Adolf Hitler. Inne warianty wąsa to lampa (bo przypominają abażur), podkowa (opadające w dół), ołówek (cienki, występuje w wariacie prostym i zakręconym na końcu; patrz: Salvador Dali), handlebar (jak kierownica w rowerze) i angielskie (odsłaniające rynienkę przynosową w całości lub części).

O ile język angielski jest tu obrazowy i precyzyjny, o tyle polszczyzna wprowadza zamieszanie. Nasz „sumiasty wąs” jest gruby, długi i konkretny (jak „na morsa”), podczas gdy wąsy samego sumy są co prawda długie, ale cienkie. No cóż, gdyby babcia miała wąsy...

Wróćmy jednak do znaczenia zarostu w kulturze. Od dekad z dumą swojego chevrona nosi Tom Selleck i ten styl stał się nawet obiektem żartów w serialu „Przyjaciele”, gdy zakompleksiony Chandler uznał, że gęsty wąs bohatera granego przez Sellecka to sekret jego męskiego czaru i próbował go skopiować. Chandler nie był daleko od prawdy – według badań opublikowanych w „Journal of Nonverbal Behavior” w Wielkiej Brytanii między epoką wiktoriańską a thatcheryzmem mężczyźni tym częściej i obficie zapuszczały zarost, im bardziej chcieli się ożenić. A pierwsze doniesienia o wąsach – wymagających wszak pielęgnacji – pochodzą z pierwszego stulecia przed naszą erą.

Czym są dziś, znów często widywane także na polskich ulicach? Wypielęgnowany chevron to oznaka przynależności do artystycznej bohemy lub nowego pokolenia hipsterów, które zgoliło brody, zrzuciło kraciaste koszule i podkręca wąsa.

OLA SALWA

SŁOWO

Cichograje

Jeśli w życiu to, czego słuchamy, kontrastuje z tym, co widzimy, to znak, że mamy na sobie cichograje. Czyli słuchawki. Sprzęt osobisty, odtwarzający dźwięk w dowolnych okolicznościach, coraz bardziej zminiaturyzowany, a w nowej wersji pozbawiony kabla i prawie niewidoczny. I właśnie o ten gatunek słuchawek, nierzucających się w oczy w miejscach publicznych, chodzi tu w pierwszej kolejności.

Wyraz powstał na podobnej zasa-

dzie co cichobiegi czy cichodajka i zakłada mniej więcej to samo, co tamte: możliwość zachowania pewnych ruchów albo życiowych wyborów w ukryciu. A spopularyzowała go seria memów pod hasłem „ja i moje cichograje”. Jej patronem i głównym bohaterem jest **Christian Bale**, który jako **Patrick Bateman w filmie „American Psycho”** (2000 r.) ukrywa zręcznie swoją prawdziwą tożsamość. W stanowiącej punkt wyjścia mema scenie, gdy wchodzi do biura (na co dzień pomnaża pieniądze na Wall Street, po godzinach morduje ludzi), słyszymy, co ma na słuchawkach: beztroskie „Walking on Sunshine” zespołu Katrina and the Waves.

Grające w sieciową grę-strzelankę „Fortnite” dzieciaki – młodsze od samego filmu – zaczęły tę scenę przerabiać lub odtwarzać, co jest pewnym echem filmowej sytuacji: dzieci niby idą grzecznie do szkoły, a jeszcze przed chwilą z bronią w ręku mierzyły do siebie w sieci.

„Cichograje” jako neologizm grają więc na kontraście tego, co emocjonujące, i tego, co nudne. W sposób teoretycznie niewychowawczy, ale jednak przydatny, bo przy okazji hasło to promuje niezbyt głośne (inaczej byłyby przecież „głośnograje”) słuchanie muzyki, co jest o tyle istotne, że to słuchawki, a szczególnie te dokanałowe, niszczą słuch na tyle skutecznie, że później już wszystko dookoła gra zbyt cicho.

BARTEK CHACIŃSKI



MÓWIĄ RYMY

kwit = pieniądze

Mieszam ziolo z pasją do liter

Zanim fani mnie odprawią z kwitkiem, a nie z kwitem

(**Włodi feat. Fisz i Gruby Mielzky**, „W czarnym fraku”, 2023 r.)

Dużo rozmawiamy, wspólnie wybieramy kolory lub motywy, ale pracujemy osobno.

Powstało w ten sposób kilka tematycznych kolekcji, w tym dwie odsłony „Kobaltowej” (efekt rezydencji w znanej Manufakturze w Bolesławcu), „Pink Punk Wiosna” (tu rządzą pstrokatość, różę i czerwienie) czy „Bałtyk” (błękity i motywy morskie). Nie jest to ceramika z pieca przeznaczona do użytku, ale ręcznie malowana ozdoba i sztuka. I w tym sensie to nowy-stary trend, w ostatnich latach wskrzeszany przez artystów i coraz chętniej architektów wnętrz.

Talerze już wisiły na ścianach, także w polskich domach, przekazywane w posagu przyszłym żonom. Te z odzysku też zresztą noszą swoją historię. Mają różne faktury i desenie, nie są bez skazy i nie muszą być. Kolektyw maluje po szczerbatych, popękanych, dużych i małych. Powstają z tego kolorowe konstelacje, ale i ciekawe opowieści. W zeszłym roku część prac trafiła na wystawę „art. dekoracyjne” w Galerii Białej w Lublinie, poświęconą zwykłym przedmiotom, które w nowym kontekście nabierają dodatkowych sensów i stają się dziełami sztuki.

Talerz, kruchy i po przejściach, okazał się ładnym przedmiotem, ale i pojemną metaforą. „Chcemy, by nasza instalacja była otwarta na interpretacje, ale głęboko siedzi w nas to, co obserwujemy, czyli ucieczka ludzi przed wojną, lęk przed przyszłością”, wyjaśniały artystki w jednym z wywiadów. W poznańskiej pracowni VZORY prezentowane są teraz ich talerze z kolekcji „Trzepot” – z ptakami w głównej roli. Te prace to nie tylko przykład twórczego recyklingu i poszanowania dla rzeczy, ale i wyzwanie artystyczne – trzeba się zmieścić ze swoją ekspresją, talerz to wszak mała rzecz. A cieszy. Malowane talerze z odzysku można pozyskać, są na sprzedaż.

Do zobaczenia na Instagramie: @pol_sztyma_wolna
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Sztuka na talerzu

D I Z A J N

Ta zastawa tak łatwo się nie stłucze, bo wisi na ścianie, a bywa, że i w galeriach sztuki. Pol/Sztyma/Wolna – czyli Anna Pol, Marianna Sztyma i Magda Wolna – wykuszają talerze z pchlich targów i tworzą z nich pełnowartościowe dzieła. Wszystkie trzy ukończyły poznańską ASP. Pol jest graficzką, projektuje okładki książek, Sztyma ilustruje m.in. literaturę dla dzieci, Wolna maluje. Przyjaźnią się, przed laty zawiązały nieformalną grupę artystyczną. Mają odmienne style i ulubione motywy, które przenoszą potem na talerze (zdarzają się i wazon). U Sztymy zawsze jest sporo przyrody i zwierząt, Wolna portretuje m.in. Marcelkę i Sabinę (kota i psa), słynne są też jej pływaczki. Prace Pol są bardziej abstrakcyjne. – *Każda z nas pracuje w innym tempie i dla każdej co innego ma znaczenie* – odpowiadają POLITYCE zbiorowo. – *Talerze Magdy można poznać po syntezie i precyzji szablonu. Ania to gest, intuicja i malarskość, talerze Marianny to często zilustrowane krótkie historie. W pracy nad kolekcjami dużo czasu zajmują nam wyszukiwanie odpowiednich talerzy i pater.*

W I R A L

Francuska rewolucja na TikToku

Reakcje na protesty w Paryżu związane z podniesieniem wieku emerytalnego pokazują zmianę nastrojów społecznych – o ile zwykle francuskie protesty były pretekstem do rasistowskich memów o „dzicy z przedmieść” i że „Francji już nie ma”, o tyle teraz polscy komentatorzy patrzą na Francuzów z zazdrością – dlaczego Polacy tak nie protestują, przecież mają powody!

Zderzenie kultur zarejestrowali także użytkownicy TikToka. Początek protestów uchwycili amerykańscy turyści, którzy liczyli na romantyczną przygodę jak z serialu „Emily w Paryżu”, a tymczasem, idąc po crossoisa (tiktokery wymawiają żartobliwie „quaso”), muszą przedzierać się przez sterty śmieci i umykać przed policją. Influencerki przystosowały się do sytuacji ze zrozumieniem i humorem, pozują w kreacjach na tle czarnych worków, z podłożonym paryskim akordeonowym

muzakiem, albo przechadzają się z kamerą wśród zniszczeń z „Non, je ne regrette rien” (Niczego nie żałuję) Édith Piaf w podkładzie. Jeden z użytkowników wcielił się w rolę przewodnika – opowiada o zabytkach Paryża, a gdy nagle w słowo wchodzi mu przechodząca demonstracja, przez chwilę skanduje wraz z nią anty-Macronowskie hasła.

Francuska rewolucja idealnie nadaje się na TikToka, bo jest rewolucją roztańczoną. Filmikom z przebiegu protestów towarzyszy utwór „Macron Explosion” Zeart – technomix ulicznego gorącego przemówienia. Aktivistka Mathilde Cailard tańczy, a tłum skanduje „Taxer les riches”, czyli opodatkować bogaczy. To hasło, które nad Wisłą uznawane jest za skrajnie lewicowe, we Francji okazuje się dość łagodne – inni protestujący wzywają Macrona na gilotynę.

MICHAŁ RADOMIŁ WIŚNIEWSKI



Lukszzz

Pieniądz lubi ciszę, moda też. Wraca trend „quiet luxury” – napędzają go hitowy serial „Sukcesja” oraz... inflacja.

Wygłąda jak zwykły facet – czapka bejsbolowa, jakaś tam koszulka, lekka kurtka, dżinsy i sportowe buty. Na ulicy można by go wziąć za pracownika firmy IT bez sztywnego dress code’u albo weekendowego ojca, który właśnie obkupił się w sieciówce i idzie z dziećmi na lody. Tymczasem już sama czapka firmy Loro Piana, „jakaś tam” koszulka i dżinsy Tom Ford są warte tyle, co polska średnia krajowa pensja (6883,96 zł brutto, kurs dolara 4,21 zł). Do tego dochodzą okulary przeciwsłoneczne Jacques Marie Mage (45 proc. pensji), sportowe buty Gucci (50 proc. pensji) i lekka kurtka bomberka, także Gucci (4 pensje). Ale Kendall Roya, jednego z głównych bohaterów serialu „Sukcesja” stać. Nie musi czekać na wyprzedaje, buszować po stronach typu Vestiaire ani nawet sprawdzać metek z cenami – i to nawet nie dlatego, że jest zbyt zajęty walką z ojcem i rodzeństwem o dominację nad rodzinnym imperium medialnym. Brak widocznych metek to nie przypadek ani brak gustu, Kendall po prostu urodził się w dobrobycie i doskonale wie, że pieniądze lubią ciszę, a status powinny doceniać nie plotkarskie gazety i followersi na Instagramie, rozpoznający połączone ze sobą litery G, LV czy beżową kratkę. Posługuje się kodem, który czytają tylko ludzie z jego klasy (wybacz, Kim Kardashian, to nie twoja liga).

Luksusowe materiały (jedwab, kaszmir), stonowane kolory (granaty, beże, szarości), określone marki (Brunello Cucinelli, Loro Piana, Hermès, ale też Gucci, Tom Ford czy Ralph Lauren – byle bez widocznego logo), czyli „quiet luxury”, „dyskretny luksus”, to clue stylu bogatych od pokoleń. Autorzy „Sukcesji” perfekcyjnie portretują osławiony 1 procent także w tej kwestii.

Świat oszalał na punkcie nie tylko kolejnych zwrotów akcji w „Sukcesji”, ale także stylu, w jakim noszą się jego bohaterowie, co postanowili zabawnie skomentować twórcy serialu. W pierwszym odcinku 4. sezonu, gdzie świętowane są kolejne urodziny Logana Roya, jego zięć Tom – wżeniony w pieniądze – wyśmiewa towarzyszkę innego bohatera, kuzyna Grega. Czym

zawiniła kobieta? Przyszła na dyskretny koktajl z dużą torbą Burberry (1,7 pensji) na ramieniu. Dla wielu jest ona synonimem luksusu i „dorobienia się”, w oczach tych naprawdę zamożnych afiszowanie się znanym logo lub, jak w tym przypadku, rozpoznawalnym wzorem oraz rozmiarem jest wulgarnie. Tom szydzi z torebki i jej właścicielki: „Co ona w niej nosi? Buty na zmianę do metra?”, kwestionując nie tyle jej gust (choć ten też), ile przede wszystkim jej status.

Sukcesja” stoi w modowej opozycji do takich seriali jak „Seks w wielkim mieście” z przełomu lat 90. i 2000., którego bohaterki lansowały kupowanie strojów i dodatków z wyraźnie zaznaczonym logo lub wzorem. Często wprost mówiły – jak Carrie w swoich monologach z offu – że torebka to Fendi, sukienka to Prada, a buty „oczywiście” Manolo Blahnik. To one spauperyzowały kosztownie drogą „Birkin bag” firmy Hermès, która, stając się powszechnym przedmiotem pożądania straciła swoją „dyskrecję”. Ale Carrie, Samantha, Miranda i Charlotte były dorobkiewiczkami z małych miasteczek, które życia na bogato uczyły się z „Vogue’a”, a nie od rodziców. A „Seks w wielkim mieście” i moda na metki była produktem swojej epoki – żarłocznego jak rekin ze „Szczęk” kapitalizmu, gdzie konsumpcja była i celem, i drogą. Bo moda nigdy nie jest odcięta od rzeczywistości, niezależnie od tego, jak bardzo chcą nas o tym przekonać dziwnie ubrani instagramerzy.

„Quiet luxury” powrócił z całą swoją subtelną i elegancką mocą w bardzo konkretnym momencie – w czasie globalnej inflacji i zmęczenia nadmierną konsumpcją, *fast fashion*. Poprzednia fala, która wyniosła cichą modę na pierwsze strony kolorowych gazet, miała miejsce po kryzysie z 2008 r., a pierwsza – w trakcie rewolucji francuskiej (porównajcie stroje Ludwika XVI czy Marii Antoniny z jakobinami...). Dziś bogaci chcą się jeszcze mniej obnosić ze swoimi pieniędzmi, ale „dyskretny luksus” to też dobra inwestycja. Przekazywana z pokolenia na pokolenie skórzana torba Hermès jest tak samo dobrą lokatą kapitału jak obraz modnego artysty. Tak, przedmioty też mają swoją sukcesję. ■



Ola Salwa, absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze i uczy kreatywnego pisania.



Zamieńmy się domami

Wpuścić do domu kogoś obcego? Polakom, nieufnym wobec nieznanym, może to się wydać ryzykowne.

A jednak pandemiczne zamknięcie i odcięcie dostępu do usług turystycznych szerzej uchyliło drzwi do znanej w innych krajach od dziesięcioleci idei wymiany domów, świetnie wpisującej się w zyskującą w ostatnich latach coraz większą popularność ekonomii współdzielenia. W obliczu szalejącej inflacji ten trend może jeszcze zyskać na znaczeniu.

Gdy opadł pandemiczny kurz, okazało się, że możliwość pracy pod palmami, z której dotychczas korzystali jedynie cyfrowi nomadzi, stała się zdecydowanie bardziej dostępna niż jeszcze kilka lat temu. Ale nawet ci, którzy nie mogą sobie pozwolić na luksus pracy zdalnej, coraz chętniej korzystają z *houseswappingu* bądź *housesittingu*.

Pomysł jest prosty: jeśli mamy ochotę na jakiś czas zmienić scenerię, mieszkamy na wsi i tęsknimy do wielkomiejskiego zgiełku, albo przeciwnie, za oknami mamy centrum wielkiej metropolii i marzymy o tym, by spędzić trochę czasu w sielskiej atmosferze wśród zieleni – szukamy drugiej połówki, której potrzeby dopełnią nasze, dogadujemy szczegóły i zamieniamy się na domy. Nie musimy mieszkać w pałacu, właściciele kawalerek też z powodzeniem znajdują partnerów do wymiany.

A co, jeśli akurat nie dysponujemy własnym lokum, które moglibyśmy udostępnić? Tu sprawdzi się *housesitting*. Wiele osób, wyjeżdżając na wakacje, staje przed dylematem, co zrobić z psem, kotem albo chomikiem. Oczywiście można poprosić o pomoc sąsiadów albo skorzystać z usług profesjonalnych petsitterów czy hoteli dla zwierząt, ale można też poszukać kogoś, kto zamieszka ze zwierzakami u nas przez kilka dni czy tygodni. Zdarzają się też mieszkania, w których trzeba

co najwyżej podlać kwiatki lub po prostu pomieszkąć, zapewniając im opiekę na czas nieobecności właściciela.

Housesitting pozwala poczuć się „w domu z dala od domu”. Zamiast bezdusznego pokoju hotelowego otrzymujemy zamieszkaną przestrzeń ze wszystkimi jej wadami i zaletami, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Z jednej strony musimy sami po sobie posprzątać, z drugiej, np. gdy pogoda uniemożliwi nam zwiedzanie, będziemy mogli spędzić czas w przestrzeni większej i wygodniejszej niż ciasny hotelowy pokój. Jak istotna to różnica, wiedzą zapewne rodzice, którym zdarzyło się utknąć na parę deszczowych dni na kilkunastu metrach kwadratowych z maluchem i garstką zabawek. Zamiana domów z rodziną z dziećmi w podobnym do naszych wieku, a co za tym idzie, z pokojem dziecięcym wyposażonym w dostosowane do tego wieku rozrywki, może uratować nasz urlop.

Wymiana domów z założenia jest barterowa: gość nie ponosi żadnych opłat, a gospodarz nie płaci za opiekę nad zwierzakiem czy mieszkaniem. Bardzo ważne jest ustalenie na wstępie jasnych zasad, z którymi obie strony będą się czuć komfortowo. Na stronie housesitting.pl można znaleźć ściągawkę dla gości i gospodarzy, a także zestaw dobrych praktyk.

Oferty wymian znajdziemy oczywiście w internecie. Na grupie „Housesitting i Houseswapping Polska” na Facebooku publikowane są ogłoszenia osób poszukujących i oferujących domy przede wszystkim w Polsce. Jeśli z kolei kusi nas wyjazd za granicę, wystarczy wpisać hasło „housesitting”, „houseswapping” lub „home exchange” w okienko wyszukiwarki i bez problemu znajdziemy portale oferujące wymiany na całym świecie. Zwykle są płatne: za roczny dostęp zapłacimy w zależności od serwisu od 30 do kilkuset dolarów.

Houseswapping i *housesitting* oprócz rodziców małych dzieci docenią także emeryci i studenci, pracownicy zdalni, których przełożonym jest wszystko jedno, gdzie pracują. Każdy, komu się marzy, żeby łyknąć klimatu okolicy, zapoznać się z sąsiadami, kupować bułki w sklepie na rogu, a wieczorem popijać wino, siedząc w wygodnym fotelu z (cudzym) kotem na kolanach. ■



Ola Wysocka
– miłośniczka podróży, zwłaszcza tych bez planu. Autorka bloga osiemstop.pl i profilu [@8.stop](https://www.instagram.com/@8.stop) na Instagramie.

Pożywka intelektualna

Co się zmieniło na naszych talerzach przez ostatnie 10 lat?

Dzień dobry państwu, nazywam się Basia Starecka i jestem dziennikarką kulinarną. Przedstawiam się w ten sposób dokładnie od dekady. Od czasu, kiedy na polskim rynku prasowym pojawił się magazyn kulturalno-kulinarny „Kukbuk”. Zostałam wtedy zaproszona do jego współtworzenia i robiłam to z wielką przyjemnością przez pięć lat jako wicenaczelną tego tytułu. Pisałam o jedzeniu już wcześniej, ale od tamtej pory miało to być moje główne zajęcie.

2013 – to był czas ostatnich podrygów legendarnych **Przekąsek Zakąsek**, baru w Hotelu Europejskim przy reprezentacyjnym Trakcie Królewskim w Warszawie, na wprost Pałacu Prezydenckiego. Miejsca wówczas ważnego dla towarzyskiego życia stolicy, jak i znaczącego dla wydarzeń, które miały zmienić symbolikę zawartości naszych talerzy. Pamiętam stamtąd dwa przekrzykujące się tłumy. Jeden na zewnątrz baru, zgromadzony wokół zniczy z okazji kolejnej miesięcznicy smoleńskiej, rozgniewany i smutny, drugi w środku baru, przy wódcze za 4 i śledziach za 8 zł, wesoły i rozochocony. Dwa zgromadzenia w kontrze do siebie, ale zaskakująco w jednej kwestii zgodne. Oba krzyczały: „Tu jest Polska!”. Linia podziału, która wtedy dopiero subtelnie zaczynała się rysować przez Krakowskie Przedmieście, dziś wydaje się trudna do przeskoczenia. Również w kuchni, na talerzu, bo i tu rozgrywają się otaczające nas bitwy, pomiędzy hummusem a kotлетem schabowym.

Tamten rok, 2013, okazał się przełomowy dla polskiej gastronomii i ważny dla smakoszy. Szefowie kuchni zyskiwali status i uwielbienie do tej pory przynależne gwiazdom muzyki, Wojciech Modest Amaro zdobył dla Polski pierwszą gwiazdkę Michelin, otwierały się kolejne miejsca z ambitną i autorską kuchnią. Na restauracyjne stoły wróciły: jarmuż, pasternak, wężymord, topinambur, kapłony, podroby i gęsina. Talerze dekorowano listkiem czosnku niedźwiedziego, kaparami z nasturcji czy łykowanym i gorzkim krwawnikiem, bo kucharze, zainspirowani René Redzepim, składniki do dań zbierali jak w kopenhaskiej Nomie, z trawnika obok knajpy. Na nowo odkrywaliśmy nasze zapomniane kulinarne dziedzictwo i sprawdzaliśmy, czym smakują dwa najmodniejsze wówczas przymiotniki: „lokalny” i „sezonowy”. Jedzenie stało się pożywką intelektualną i w szerokim ujęciu społeczno-historyczno-kulturowym było dyskutowane.

Na okładce pierwszego numeru „Kukbuka” we własnej Nosobie trzymam srebrną tacę z gigantyczną upieczoną w całości złocistą gęsią. Wtedy odzwierciedlała wszystkie bieżące mody, jak i naszą redakcyjną „gęsią skórkę”, tremę typową dla debiutantów. Zupełnie niepotrzebnie, bo wydanie okazało się dużym sukcesem potwierdzającym powszechne zainteresowanie tematem, ówczesne aspiracje i snobizmy. O jedzeniu wtedy chciano czytać, dziś się je raczej ogląda. Do restauracji, o których na łamach stołecznej „Wyborczej” co tydzień pisałam w swoich recenzjach Maciej Nowak, ustawiały się



Basia Starecka

– dziennikarka, autorka kulinarnego słuchowiska „Z pełnymi ustami”, za które została wyróżniona nagrodą podkasterki 2022 r. Jej teksty poświęcone krajowej i światowej gastronomii od 20 lat ukazują się na łamach najważniejszych tytułów.

kolejki potwierdzające działanie „efektu Nowaka”. Teraz gościom nie do końca nawet potrzebne jest menu i znajomość nazw potraw w karcie. Wystarczy pokazać zdjęcie lub film z daniem, które zjadł jakiś ulubiony wpływacz, czyli tzw. influencer.

Królowała piąta ćwiartka, dyskutowało się o filozofii „od nosa do ogona”, czyli o zjedaniu zwierząt w całości, a nie tylko ich wybranych części. Menu restauracji w całym kraju było więc pełne kości szpikowych, grascy, ogonów, serc i policzków wołowych, a gdzieś tam pojawiały się nawet bycze jądra z czekoladą w charakterze deseru. Ale w tym samym 2013 r. ukazał się polski przekład książki Jonathana Safrana Foera „Zjedanie zwierząt”, która miała zapoczątkować wielką dyskusję nad okrucieństwem przemysłowej hodowli zwierząt i ich cierpieniem. Wkrótce miała nadejść zielona rewolucja, powszechna wiedza na temat negatywnego wpływu spożycia mięsa na zdrowie i naszą przyszłość, świadomość katastrofy klimatycznej i odpowiedzialności konsumenckiej.

Nie uwierzyłabym wówczas, że nasz krajobraz kulinarny w ciągu tych dziesięciu lat tak diametralnie się zmieni, że nawet najwięksi producenci branży mięsnej będą produkować roślinne zamienniki swoich własnych produktów. Nie sądziłam również, że spór o to, gdzie jest Polska, będzie trwał dalej i podzieli nawet klientów w najtańszych dyskontach przy tej samej półce z parówkami. Na tych, którzy sięgają po najtańsze parówki z masy mięsno-tłuszczowej, i tych, którzy wybierają te trzykrotnie droższe z fasoli czy grochu. Czy będą mieli kiedyś szansę spotkać się przy jednym stole? ■

Michał Karnowski („Sieci”) popisuje się, ile insynuacji potrafi zawrzeć w dwóch zdaniach: „Cele niemieckie są jasne: zainstalowanie uległego, by nie powiedzieć marionetkowego, rządu w Warszawie z przysłanym specjalnie w tym celu politykiem na czele. W ten sposób chcą zabić polską ambicję, zahamować nasz rozwój, zlikwidować główną przeszkodę w budowie niemieckiego superpaństwa, nowej Rzeszy”.

Kto zastąpił Henryka Kowalczyka, wyjaśnia krótko „Przegląd”: „Robert Telus, nowy minister rolnictwa, jest posłem PiS od czterech kadencji, z okręgu, w którym rządzi Antoni Macierewicz. Dla Telusa Macierewicz jest krystaliczną postacią, a katastrofa lotniska pod Smoleńskiem zamachem”. Już to, że przyjął stanowisko, dowodzi braku kontaktu z ziemią.

Na szczytach PiS trwają przepychanki, kto ma zostać prezydentem. Pisze o tym Andrzej Stankiewicz w „Newsweku”: „[Beata] Szydło poczuła, że to jest ten moment i trzeba zacząć walkę o prezydenturę. (...) Szef klubu PiS Ryszard Terlecki rzuca nawet, że to Morawiecki mógłby być kandydatem na prezydenta, co ma oczywiście rozwścieczyć Szydło, która nienawidzi Morawieckiego. Tylko czy realnie premier zużyty wieloletnimi rządami, nieprzesadzający z prawdomównością milioner z zagranicznego banku, obracający nieruchomościami, o których większość Polaków może pomarzyć, nadaje się na prezydenta? Przeciwnie. I wszyscy z PiS to wiedzą. Dlatego to nie Morawiecki jest głównym problemem Szydło. Głównym problemem Szydło jest jej dawna przyjaciółka Elżbieta Witek”. Albo przyjaźń, albo władza.

Prezes PiS w rozmowie z PAP rozstrzygnął, że Julia Przyłębska jest nadal prezeską Trybunału Konstytucyjnego, co Michał Ogórek skomentował dla „Angory”: „wydając swój werdykt, Jarosław Kaczyński został Najwyższym Sędzią, Wielkim Muftim, Wyrocznią Pytyjską. To status, o jaki tak naprawdę zawsze uchodziło, a cała reszta jego życia była tylko środkiem do tego celu. I kiedy do niego doszedł, nikt tego nie zauważa. Stał się źródłem prawa, lepiej niż ktokolwiek wiedząc, że nie ma takich przepisów, które mogłyby mu taki status przyznać. Dlatego mógł się spodziewać, że będzie to podziwiane,

a przynajmniej omawiane szeroko, a tu nic”. Bo u nas wszystko jest na niby. Niby-wódz, niby-Trybunał, niby-prawo i niby-sprawiedliwość.

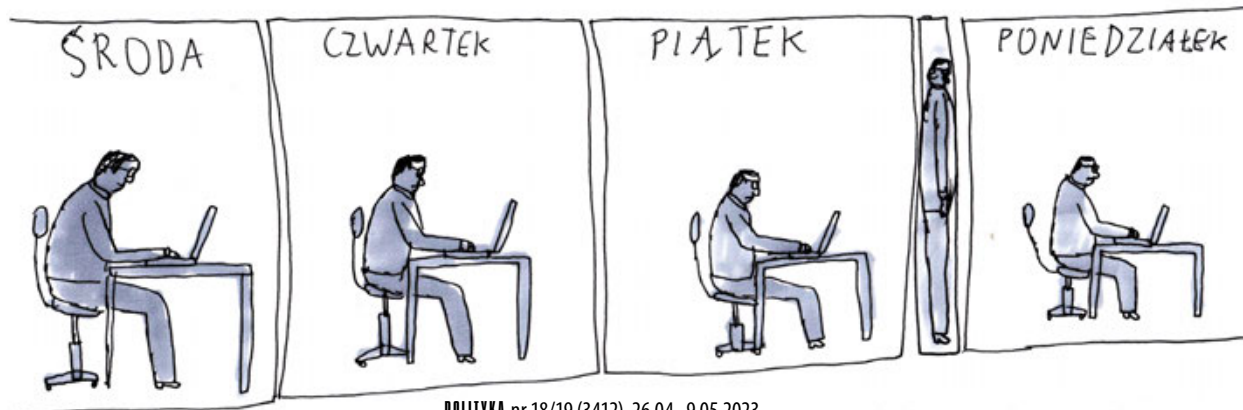
Michał Szułdrzyński zwraca uwagę w „Rzeczpospolitej” na pewną niezręczność: „Tusk ogłosił początek kampanii wyborczej, choć formalnie nie ma jeszcze kampanii wyborczej. Ta bowiem rusza zgodnie z prawem dopiero w chwili ogłoszenia oficjalnie dnia wyborów. Owszem, PiS również prowadzi kampanię wyborczą, choć jeszcze nie ma kampanii. Ale to tylko pokazuje, że prawo w tej kwestii jest całkowicie martwe. Niemniej od tych, którzy chcą być obrońcami praworządności, można oczekiwać większego szacunku dla przepisów. Albo przynajmniej zapowiedzi ich zmiany”. Zło dobrem zwyciężaj?

„Jeśli coś może w najbliższym czasie zaszkodzić budowanemu na publicznych pieniądzech medialnemu imperium Rydzika, to może to być powołana właśnie przez Sejm specjalna komisja do spraw zbadania wpływów rosyjskich” – Katarzyna, „Plus Minus”.

Wojciech Kuczok o polskiej apokalipsie („Przegląd”): „jesienią w Polsce nie odbędą się żadne wybory, lecz plebiscyt. Nadchodzą dni świrów. Za miedzą krwawa wojna, kremlowski satrapa wymachuje atomówką, u nas inflacja rozpędza się do galopu, w ludziach buzuje skrajne emocje, przeto coraz więcej marzy już tylko o wisielczej ekstazie: skoro i tak wszystkich nas nieuchronnie ma trafić szlag, niech w tej ostatniej chwili rządzą Nasi. Zanim wszyscy skończymy w ciężkiej zupie, Polak wznosi przedwyborcze modły »do Boga, Marii i Syna: zniszczcie tego skurwysyna. Mego brata, sąsiada, tego wroga, tego gada«”. To cytat z filmu „Dzień świra” Marka Koterskiego.

W „Do Rzeczy” Wojciech Cejrowski rozdziela nagany i laurki: „Czy Morawiecki kiedykolwiek prowadził własną firmę czy zawsze był jedynie zatrudniony u kogoś? Jeżeli był zawsze zatrudniony u kogoś, czyli zawsze był podwładnym, to nie nadaje się na przywódcę, na premiera, na generała, na wodza. Nadaje się na adiutanta i... raczej nim jest. (...) Samodzielny jest Orbán i dlatego akceptuję jego wady. Samodzielny jest Erdoğan, który wcale mi się nie podoba, ale prowadzi Turcję za uzdę (...). Jarosław [Kaczyński] sam nie chciał być premierem, ale jednocześnie chciał mieć władzę premiera, więc poszukał sobie adiutanta. I teraz Jarosław jest szarą eminencją, Morawiecki adiutantem, natomiast Polska nie ma przywódcy”. Może Duda?

KOZA



© JAN KOZŁA

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Uprawiaj sport świadomie

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej

Badania wstępne, okresowe i kontrolne dzieci, młodzieży i dorosłych

Orzeczenia sportowo-lekarskie

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne

blokady / nerolizy nerwów obwodowych

termolezja

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka

Dietetyka kliniczna

Dietetyka sportowa

Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja

- Rehabilitacja ortopedyczna:
 - stawów rzepkowo-udowych
 - stawów barkowych
 - kręgosłupa
 - stawów kolanowych
 - kontuzji sportowych
 - po zwichnięciach stawów
 - urazów mięśni
 - więzadeł
 - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroinekologii
- Rehabilitacja po COVID-19

Rezonans Magnetyczny 3T

- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

- Pełny zakres badań

Diagnostyka

- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl



STIHL

WAKACJE OD RAT

**KUP DZISIAJ! PIERWSZA RATA PO 4 MIESIĄCACH
10 RAT RRSO 0%**

Promocja obowiązuje od 1.05. do 30.06.2023 r. RRSO to Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania.

WIĘCEJ INFORMACJI U AUTORYZOWANYCH
DEALERÓW STIHL ORAZ NA WWW.STIHL.PL

